



SARAH SMITH I KATE SNELL

OSZUKANA

MUZA SA

- przejmujący opis autentycznych wydarzeń, których istotą było rozmyślne okrucieństwo
 - pełna napięcia opowieść o życiu w ciągłym strachu przed kulą snajpera
 - historia wyrachowanego kryminalisty i jego ofiary, która odważyła się oskarżyć swojego porywacza i odtworzyć skradzione jej życie
-

Sarah Smith spędziła dziesięć lat w podróży mrozącej krew w żyłach, balansując na krawędzi życia i śmierci, czasami głodując i mieszkając pod gołym niebem, często nie mając grosza przy duszy, zawsze w samotności. Przez cały ten czas nie zdawała sobie sprawy, że dała się oszukać i że stała się ofiarą bezwzględnego przestępcy, który nie wahał się przed niczym, byle tylko osiągnąć cel.

www.muza.com.pl

ISBN 978-83-7495-503-4



Cena 29,90 zł

SARAH SMITH I KATE SNELL

OSZUKANA

HISTORIA PRAWDZIWA

Przełożyła
Jolanta Sawicka



MUZA SA

Tytuł oryginału: Deceived

Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Kaczmarek

Redaktor prowadzący: Bożena Zasiczna

Redakcja techniczna: Krzysztof Kaczmarek

Korekta: Anna Płachta

Zdjęcie na okładce: Corbis

Kate Snell, 2007 © for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana,
przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek
formie zapisu bez pisemnej zgody posiadacza praw.

ISBN 978-83-7495-503-4

MUZA SA Warszawa 2008

Chodzi o radykalną zmianę umysłu, tak żeby jednostka stała się żywą marionetką - robotem w ludzkiej skórze - przy czym powrotność tego procesu nie może być widoczna z zewnątrz. Celem jest stworzenie mechanizmu złożonego z ciała i krwi z nowymi przekonaniami i nowym sposobem myślenia, wprowadzonymi w zniewolone ciało. Sprowadza się to do próby stworzenia rasy niewolników, którzy, w przeciwieństwie do niewolników z dawnych czasów, na pewno się nie zbuntują, będą zawsze posłuszni rozkazom, jak owady instyktom.

Edward Hunter, Brainwashing [Pranie mózgu]

Prolog

Nieopodal Dukes Meadows z czerwonego autobusu wychodzi młoda kobieta. Jest w sportowej bluzie, džinsach i adidasach, przez ramię ma przewieszoną zdefasonowaną skórzaną torbę, niesie reklamówkę z supermarketu; niczym się nie wyróżnia. Włosy ma ciemne, do ramion, z purpurowymi pasemkami, ale przez to jeszcze bardziej się wtapia w tło. Nazywa się Carrie Rogers, jest sprzątaczką.

Przechodzi ostrożnie przez drogę A316, po czym spieszonym krokiem wchodzi w Hartington Street. Ma napięty plan sprzątania i ważne jest, żeby się nie opóźnić. To drugie dziś miejsce pracy, kolejne czekają.

Jest ciepły, a jednocześnie rześki dzień, połowa czerwca 2003 roku; kiedy Carrie skręca w Chiswick Quay, towarzyszą jej błękit nieba i soczysta zieleń drzew. Kieruje się do jednego z nowoczesnych domów szeregowych i wyciągnawszy z torby pęk kluczy, sama otwiera drzwi. Zdejmuje bluzę, aby się przygotować do pracy i nuci jakąś melodię, chwytając wiadro z przyborami do sprzątania - są tam aerozole, butelki z mleczkami i płynami, różne ściereczki. Zauważa, że oprócz sprzątania ma też mnóstwo prasowania.

Jeszcze przed pójściem na piętro grzebie w torbie, szukając innego kompletu kluczy, które zostawia na stole w jadalni, aby je mieć pod ręką. To klucze do nowego mieszkania Renaty. Jej współlokatorka zadzwoniła jakiś czas temu, powiedziała, że zatrzasknęła drzwi, zostawiwszy klucze w środku i poprosiła Carrie, żeby jej pożyczyła swoje. Carrie właśnie zdążyła wejść na górę, kiedy dzwoni jej komórka.

- Jestem na dole - mówi Renata.

- Chwileczkę - odpowiada Carrie. - Już lecę. - Szybko zbiega po schodach i otwiera drzwi.

- Dzień dobry, Sarah.

Wszelkie dźwięki należące do codziennego świata przestają istnieć. Na progu stoją dwaj mężczyźni i kobieta, których Carrie nigdy przedtem nie widziała. Pierwszym odruchem jest zatrzasnąć drzwi i uciekać, ale powstrzymuje ją widok stojącej z tyłu Renaty. Co ona tu robi z tymi ludźmi? Carrie nic nie rozumie. Panika i chaos splatają się w jedną całość i niczym pętla uciskają jej gardło, coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie nie jest w stanie oddychać.

Skąd znają jej imię? Z jednym wyjątkiem od lat nikt nie nazywa jej Sarah; od lat nie widziała nikogo z rodziny ani przyjaciół, nie miała też z nimi żadnego kontaktu; od lat nie była w domu; od lat nie ma normalnego życia.

Jeden z mężczyzn opowiada coś o rządzie, o tajnych agentach. Carrie słyszy słowa, ale nie mają one dla niej żadnego sensu.

- Musimy z panią porozmawiać - mówi nieznajomy.

Środek ciężkości Carrie przestaje istnieć. Nagle unosi się ona w powietrzu, oderwana od samej siebie, ciało i umysł szybują samoistnie. Czuje, jak krew napływa jej do głowy. Niemożliwe, żeby się to działo naprawdę.

- Wejdźmy do środka - mówi mężczyzna łagodnie. Bierze ją pod ramię i prowadzi do pierwszego pokoju, przedstawia się jako sierżant Bob Brandon.

O co chodzi? Ktoś musi to wszystko wyjaśnić. Co się dzieje do diabła? Słysząc słowa Brandona: - Bardzo mi przykro, Sarah, ale ostatnie dziesięć lat było w zasadzie jednym wielkim kłamstwem.

Część pierwsza

PUŁAPKA
październik 1992 - marzec 1993

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szczęśliwe dni w Blue Door

PRAWIE JEDENAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ SARAH SMITH, SHROPSHIRE

Rzodkiewki. To temat mojej pracy licencjackiej. Obserwuję, jak wpływają na ich wzrost odstępy, w jakich rosną i podlewanie. Pochylam się nad moimi młodymi flancami wysadzonymi w rzadki idealnie od siebie oddalone, obejmując je czułym spojrzeniem i zapisuję w notatniku ich najświeższe wymiary. W rolniczym świecie nie ma miejsca na pośpiech; uprawa wymaga cierpliwości. Ale mnie się nie spieszy. Po szklarni, która kształtem przypomina kopułę, poruszam się w żółtym tempie. Powietrze jest przesycone zapachem ciepłej, słodkiej ziemi, w odróżnieniu od przenikliwego zimna panującego na zewnątrz tego kokonu. Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy za rok skończę studia i zacznę pracować jako zarządca farmy gdzieś na angielskiej wsi. Może mi się uda zatrudnić w Oxfordshire, tam, gdzie byłam przez rok na praktykach. Ale przede wszystkim mam nadzieję, że ta ostatnia partia rzodkiewek da przyzwoite wyniki, to by mi pomogło dokończyć pracę licencjacką.

Rolnictwo mam we krwi. Moi rodzice przez całe życie uprawiali pszenicę i kalafiory na Isle of Thanet w hrabstwie Kent. Przed nimi to samo robili ich rodzice i dziadkowie. Rodzina mojej matki zajmowała się uprawą ziemi we wschodnim Kencie przez ostatnie czterysta lat. Nasze rodzinne gospodarstwo o powierzchni 240 hektarów dochodzi do samego Morza Północnego; w tym południowo-wschodnim zakątku kraju wiatry są tak gwałtowne, że nawet drzewa iglaste rosną w zwartym szyku, tworząc jedną, wielką tarczę. Tam

właśnie spędziłam dzieciństwo z włosami rozwianymi na wszystkie strony i nosem wiecznie ciekącym z powodu przeziębienia. Nether Hale - gospodarstwo moich rodziców - było bezpiecznym i pełnym miłości światem, w którym dorastałam.

Uważałam za całkiem naturalne, że muszę podtrzymać tę uświęconą tradycję i tak, po kilku mniej udanych próbach, znalazłam się w wyższej szkole rolniczej Harpera Adamsa w Shropshire. Jest coś solidnego w tym imponującym budynku z czerwonej cegły, coś, co współgra z moim tradycyjnym systemem wartości i starannym wychowaniem. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa. A teraz jeszcze raz zraszam moje rzodkiewki, zamykam za sobą drzwi szklarni i wychodzę, czując się w pełni usatysfakcjonowana.

Zaczyna się mój ostatni rok studiów i nasza szóstka - cztery dziewczyny i dwóch facetów - zdecydowała się wspólnie wynająć dom, który nazwaliśmy Blue Door z powodu masywnych pomalowanych na niebiesko drzwi frontowych, które przydają budynkowi aury dostojności pomimo odłóżającej z framug okiennych farby.

Chłopcy to John Atkinson i jego kolega Jim Cooper. Moja przyjaciółka Hannah Wilson zaproponowała, żeby do nas dołączyli w Blue Door, a ponieważ szukali mieszkania, które mogliby wynająć wspólnie z innymi studentami, natychmiast się zgodzili. Rodzina Johna hoduje bydło w Cumbrii, a on sam mówi z silnym północnym akcentem. Podoba mi się i nic na to nie poradzę: jego poczucie humoru, serdeczność i błyskotliwość są zaraźliwe. Hannah znam od początku studiów. Jest szczupła, ma krótkie brązowe włosy, nastroszone na czubku głowy. Jesteśmy przyjaciółkami i mamy do siebie pełne zaufanie. Pozostałe dziewczyny to Maria Hendy i Marie Gilroy. Poważnie myślimy o swojej karierze; wszyscy chcemy po uzyskaniu dyplomu zostać zarządcami farm lub zająć się marketingiem żywności.

Poza tym jesteśmy zwyczajnymi studentami, hałaśliwą grupką, która lubi wypić i się zabawić. A chwilowo dręczy nas typowy studencki problem: gdzie parkować samochody.

Kilka miesięcy temu rodzice pożyczili mi samochód - jeżdżę brązowym sportowym volkswagenem, Scirocco Storm. Brzmi wspaniale, ale to samochód z przeszłością, a ja jestem po prostu osobą, która jako kolejna zajmuje bardzo zniszczone miejsce kierowcy.

Auto należało kiedyś do ciotki, potem przeszło na mojego najstarszego brata, a jeszcze później było używane do różnych celów na naszej rodzinnej farmie. Ale ja uwielbiam ten samochód, daje mi poczucie niezależności, a kiedy prowadzę, ustępują frustracje i zmartwienia. Na szosie czuję, że jestem wolna.

Ale tego Scirocco nie ma gdzie parkować i dotyczy to również samochodów moich współlokatorów. Blue Door stoi tuż przy ruchliwej, głównej ulicy na obrzeżach Newport, kilka kilometrów od szkoły i chociaż rozpatrywaliśmy najróżniejsze opcje, jak do tej pory nikt z nas nie trafił na odpowiednie miejsca parkingowe, gdzie nie zagrażaliby funkcjonariusze straży miejskiej, ani, co istotne, złodzieje i wandale.

Tak się składa, że do naszego miejscowego pubu, o nazwie Swan, należy olbrzymi parking, dwa razy większy niż sam pub i, jak się wydaje, zawsze są na nim wolne miejsca. Zastanawiam się, czy nie można by się było jakoś dogadać z właścicielem, może moglibyśmy tam zostawiać samochody. John uważa, że warto zapytać.

Swan znajduje się o zaledwie dwie minuty drogi od Blue Door. Sufity są nisko zawieszane, a dwie salki znajdujące się po obu stronach baru ciasne, ale sprzyja to tworzeniu kameralnej, serdecznej atmosfery. Nasza szóstka - John, Hannah, Maria, Marie, Jim i ja - zasiada wokół stołu, rozmawiamy ze znajomymi. W pubie pełno miejscowych. Newport leży na terenach rolniczych, w centrum wiejskiej wspólnoty i wiele rodzin żyjących w mieście ma związki z ziemią sięgające kilku pokoleń wstecz.

John podchodzi do baru, żeby zamówić następną kolejkę. Właściciel, osobnik o pogodnej, owalnej twarzy, nalewa piwa z beczki.

- Nie byłoby przypadkiem takiej możliwości, żebyśmy parkowali nasze samochody na pana parkingu? - pyta John.

Właściciel spogląda na niego ze znużonym wyrazem twarzy, który sugeruje, że to pytanie zadawano mu już tysiące razy.

- Przysporzymy pubowi klienteli. Będziemy stałymi bywalcami i przyprowadzimy naszych kumpli - John próbuje go zarazić entuzjazmem. - W zasadzie jesteśmy sąsiadami - dodaje z nadzieją w głosie, wskazując niezbyt precyzyjnie, gdzie się znajduje Blue Door.

- Ile samochodów?

- Sześć.

- Robert! - Właściciel odwraca się i krzyczy do kolegi, który obsługuje po drugiej stronie baru. - Jak myślisz, pozwolimy paru studentom używać naszego parkingu?

W całej okazałości ukazuje nam się barman, który się wynurza z drugiej salki. Jest szczupły, ma czarne włosy i kościstą twarz.

- Jeżeli będą przychodzić do pubu jako stali klienci i zachęcą znajomych, żeby tu zaglądali, to ja nie mam nic przeciwko temu - mówi, spoglądając w naszym kierunku.

Wydaje się, że znaleźliśmy idealne rozwiązanie naszego problemu. W końcu mamy gdzie parkować, mamy miejsce, gdzie możemy zostawiać nasze samochody, nie obawiając się, że coś im grozi.

MANCHESTER, 3 GRUDNIA 1992

W centrum Manchesteru wybuchają dwie bomby podłożone przez IRA: jedna w samym środku dzielnicy finansowej miasta, druga w pobliżu anglikańskiej katedry. Jest sześćdziesięciu pięciu rannych.

SARAH, BLUE DOOR

- Robert przyniesie jakieś jedzenie. Mówi, że coś dla nas ugotuje - oznajmia Hannah. Od dwóch miesięcy, czyli od kiedy parkujemy samochody pod pubem, barman, Robert Freegard, stał się znajomą postacią, częścią naszego życia. Widujemy go często albo w pubie, albo w Blue Door. W zasadzie zawsze jest gdzieś w pobliżu.

Wiadomość dociera do mnie przez otwarte drzwi pokoju, gdzie wiem akurat kolejny plakat Atheny. W celach towarzyskich zbieramy się na ogół przy okazji posiłków.

- O której?

- Mniej więcej za godzinę.

Dobrze. Mam dość czasu, żeby skończyć to, czym się właśnie zajmuję. Kawalek po kawalku zakleiłam plakatami brzydką, brudną tapetę w moim pokoju. Kiedy myślę o pozostałej części domu, jedyne słowo, które mi przychodzi do głowy, to „brąz”: brązowa kanapa, brązowe zasłony, brązowe tapety i brązowy stół w jadalni. Na znak protestu każdy centymetr ściany mojego własnego pokoju pokryłam obrazkami w jaskrawych kolorach; każde dostępne miejsce ozdobiłam bibelotami. Wydaje mi się, że może trochę przesadziłam, ale wszystkim innym chyba się podoba ta orgia kolorów. Nazywają mój pokój świetlicą, bo drzwi są zawsze otwarte, a kiedy się zbliża wieczór włączają się do środka, na ogół po to, żeby uciec od burości panującej wszędzie indziej.

Coś mi się zdaje, że dla naszej paczki stałam się kimś, do kogo się przychodzi po poradę, po pomoc w rozwiązywaniu codziennych problemów. „Mądra Sarah”, to ja. Niewykluczone, że tak się właśnie dzieje, ponieważ w przeciwieństwie do moich współlokatorów nie dręczą mnie kłopoty sercowe - a to z prostego powodu: nie mam w tej chwili chłopaka. Lubię towarzystwo kolegów, ale nigdy nie byłam zbyt pewna siebie w stosunkach z mężczyznami, prawdopodobnie dlatego, że nie bardzo wierzę, że mogłabym się komuś spodobać, że ktoś mógłby się mną zainteresować. Makijaż czy wysokie obcasy nie są w moim stylu; nie ma to jak workowaty sweter. Z Johnem jest inaczej. Oboje pochodzimy z podobnych, kochających się, solidnych, rolniczych rodzin. Przy nim czuję się swobodnie, rozśmiesza mnie.

Tego wieczora siedzimy przy brązowym, wyłożonym laminatem stole w jadalni i opowiadamy sobie o tym, co się działo w ciągu dnia. Rob jest jak zwykle jowialny, tryska energią i pewnością siebie. Moje współlokatorki uważają, że jest czarujący i na dodatek przystojny. Maria Hendy spotyka się z nim od miesiąca. Szczerze mówiąc, mnie się nie podoba. Wiadomo, że miał cały szereg kobiet, w wieku od szesnastu do czterdziestu pięciu lat, i najwyraźniej wszystkie one były w nim zadurzone. Coś mi w nim nie pasuje, ale nie spędza mi to snu z powiek. W końcu to tylko miejscowy barman; nie jest kimś, kto miałby pozostać w moim życiu na zawsze.

- A jak tam twój samochód? - pyta Rob, przerywając moje przemyślenia.

W październiku, kiedy parking przed pubem był pełen i musiałam zostawić auto gdzie indziej, dwa razy ktoś się włamał się do mojego ukochanego Scirocco. Najpierw zarysowali mi dach i wybili okno. Parę dni później strzaskali przednią szybę i ukradli stereo. Kazałam wtedy zamontować alarm.

- W porządku, ale wiesz, to dziwne, Maria też miała kłopoty. Jej samochód zaginął, a potem go znaleziono trzydzieści parę kilometrów stąd, w Wolverhampton. Do samochodu Johna też się włamali. Ewidentnie coś niezwykłego się tu dzieje.

- A może to IRA? - podsuwa John.

- Nie żartuj na ten temat! - strofuje go Hannah.

- No cóż, nie byłby to pierwszy raz - mówi Jim.

Nawiązują do zamachów bombowych w Shrewsbury: były cztery, tuż przed początkiem semestru. Do podłożenia bomb przyznała się IRA. Wszyscy uważają, że doszło do tego, ponieważ miasto ma powiązania z armią.

- Przerażające - mówi Marie. - Tak blisko!

- A nawet znacznie bliżej - dodaje John. - Nie zapominajcie o powiązaniach naszej szkoły z IRA. - W pokoju zapanowała konsternacja. - Pamiętacie tego chłopaka, którego aresztowali za przemyt broni dla IRA? O'Donnell, Kevin Barry O'Donnell. Był studentem z Harpera.

- Ten, którego zastrzelili?

- Aha. Oczyszczony z zarzutu przemytu broni, ale potem zastrzelony w zasadzce urządzonej przez SAS w Irlandii Północnej. Czyżby was tu nie było, kiedy przyszła policja? Poważna sprawa. Powiedzieli nam, żebyśmy na temat terroryzmu nie żartowali, a nawet żebyśmy nie nosili kominiarek. Szkoda. Od zawsze myślałam, żeby się zjawić na wykładach w narciarskiej kominiarce.

- To by była na pewno jakaś zmiana na lepsze - żartuje Jim.

Zaczynam sobie przypominać szczegóły. Mówiono, że Kevin Barry O'Donnell był zagorzałym działaczem IRA. W roku 1989, zaledwie sześć miesięcy przed tym, nim my wszyscy zaczęliśmy studia w Harperze, zostały podłożone bomby w koszarach wojskowych w Ternhill. Celem był pułk spadochronowy, który tam stacjonuje. Chociaż władze nigdy nie udowodniły powiązań O'Donnella z tymi zamachami, pojawiły się podejrzenia, że był w nie zamieszany.

Hrabstwo Shropshire nieraz trafiało na pierwsze strony gazet z powodu działalności IRA na tym terenie.

Żyjemy w burzliwych czasach i wszyscy sobie zdajemy sprawę z zagrożenia, jakie stwarza IRA dla bezpieczeństwa kraju. Nie można o tym nie wiedzieć. W Wielkiej Brytanii toczy się pełną parą największa kampania IRA od lat siedemdziesiątych. A ponadto zaledwie cztery dni temu wybuchły bomby w Manchesterze. Teraz już się wydaje, że nawet Manchester jest zbyt blisko.

- Gdzie się nauczyłeś gotować, Rob? - pyta Hannah, próbując rozładować atmosferę.

- Przez jakiś czas pracowałem jako kucharz w hotelu w Londynie - odpowiada Rob, nabijając na widelec kawałek mięsa. - Oczywiście między studiami - dodaje.

- U nas na północy zostawiamy gotowanie kobietom. Po to w końcu zostały wynalezione - wtrąca się John, szczerząc zęby w uśmiechu. - Według mnie to genialny pomysł.

- John, ależ ty jesteś po prostu luddystą - stwierdza Hannah.

- A ja nie - mówi Rob. - Jestem dobrym kucharzem i będę kiedyś dobrym mężem. - Odwraca się do Marii i zadziornie puszcza do niej oko.

Wstaje, żeby włączyć płytę, którą przyniósł Rob, „Liberty” zespołu Duran Duran.

- Dobry gust - komentuje Rob. - Wiecie, że w lutym wypuszczają kolejny album? Mój brat puścił mi tajnie jeden kawałek. Nazywa się „Ordinary World”. - Rob wygląda na zadowolonego z siebie i ewidentnie oczekuje reakcji.

- A niby skąd twój brat ma tę płytę? - pyta Jim.

- Nie mówiłem wam? Jest ich basistą.

- Co? John Taylor?

A to niespodzianka. Każdy zna Duran Duran, byli jednym z najważniejszych zespołów lat osiemdziesiątych. Ale to, co właśnie objawił Rob, przyjmujemy ze sceptycyzmem.

- To dlaczego ty się nie nazywasz Taylor?

- Dajcie spokój! Nie sądzicie chyba, że to jego prawdziwe nazwisko.

- A moglibyśmy go poznać?

- No cóż, na ogół go nie ma; podróżuje, jest w trasie, wiecie, co to za życie. Ale jasne, zobaczę, co się da zrobić. - Moje koleżanki spoglądają na siebie z niedowierzaniem. Czy to możliwe, żeby brat gwiazdy rocka naprawdę należał do naszego grona?

Atmosfera przy stole jest luźna, wrzeszczymy, pijemy wino bez ograniczeń. Rob pyta, kto jest właścicielem telewizora.

- Oczywiście, że Sarah - mówi Jim Cooper.

- Sarah ma mnóstwo gadżetów i wszelkiego rodzaju ustrojstwa, różne nowoczesne, elektryczne sprzęty - wyjaśnia Hannah. - I kupuje kompakty w takich ilościach, w jakich my pijemy wodę. Jej pokój jest pełen płyt.

Lekka przesada. - Telewizor jest stary i nic nie wart i wcale nie mam aż tak dużo płyt - próbuję się bronić.

Rozmowa, w której prym wiedzie John, przegradza się w lekko pijacki spór na temat wieku, Rob każe nam zgadywać, ile ma lat. Według Johna powinien się mieścić gdzieś w przedziale między dwadzieścia dwa a czterdzieści dwa.

- Czterdzieści siedem - mówi Jim Cooper.

- Idę o zakład, że czterdzieści osiem! - wrzeszczy Marie Gilroy. Robimy okropny harmider, w miarę jak popadamy w coraz większą głupawkę.

- Dajcie facetowi święty spokój - drze się Jim. - Nie jest aż tak stary.

Śmiejemy się do rozpuku, aż w końcu nie wiemy już, czy się śmiejemy, czy płaczymy. - Potrzebuję dolewki - mówi Jim, popychając pusty kieliszek na środek stołu. Wino leje się strumieniami. Kiedy atmosfera się wreszcie uspokaja, Rob spogląda na nas z powagą i oznajmia: - Mam dwadzieścia dziewięć lat, prawie trzydzieści.

Mama nazywała mnie „ministrem finansów”, ponieważ wykazywałam się rozważnym podejściem do pieniędzy. Moi bracia, Ian i Guy, wydawali swoje kieszonkowe natychmiast, ja zaś wolałam oszczędzać. Pomimo że rodzice byli stosunkowo zamożni, co wynikało z silnego zakorzenienia na angielskiej wsi, od najmłodszych lat nie byłam rozrzutna i zawsze odkładałam pieniądze na przyszłość.

W okolicy Nether Hale nie mieszkają żadni sąsiedzi i do najbliższej koleżanki miałam, kilka kilometrów. Moimi towarzyszami były pola, zaś huśtawkami i karuzelami stogi siana i traktory. A nade

wszystko miałam obsesję na punkcie jazdy konnej. Jako dziecko myślałam o tym bez przerwy i kiedy miałam osiem lat, dostałam klacz o imieniu Czarina, która stała się moją nieodłączną towarzyszką; razem dorastałyśmy, była dla mnie paszportem do zewnętrznego świata. Będąc młodą dziewczyną, dosiadałam jej, kiedy chciałam się wybrać poza Nether Hale, galopowałam po plażach Kentu, wolna jak ptak.

Kiedy nie jeździłam konno, pomagałam na farmie, tak więc moje dzieciństwo było zdominowane przez konie, traktory i przyczepy. W przeciwieństwie do dziewczyn w tym samym wieku nie interesowałam się modą; najlepiej się czułam w bryczesach i butach do jazdy konnej; sukienki były mi obce.

Kiedy miałam dziewięć lat, rodzice wysłali mnie do szkoły z internatem. Miałam wrażenie, że się znalazłam w innym świecie i zatrzaśnięto za mną drzwi, a do tego nowego świata nie umiałam się dopasować. Czułam się obco i byłam głęboko nieszczęśliwa. Na całe szczęście gimnazjum miało stajnie i pozwolono mi trzymać Czarinę na polu na terenach należących do szkoły.

Kiedy skończyłam szesnaście lat, wyblagałam, żeby mnie przeniesiono do szkoły w Ramsgate, gdzie uczył się mój młodszy brat, Guy; sądziłam, że będę szczęśliwsza. Była to szkoła koedukacyjna i napotkałam tam nowe wyzwanie: chłopców. Czułam, że się zachowuję niezdarnie i nieśmiało. Ponieważ dorastałam w środowisku rolniczym i na równi ze wszystkimi innymi uczestniczyłam w życiu farmy, nigdy nie odczuwałam potrzeby podkreślania swojej kobiecości - w każdym razie było to niepraktyczne. Nie przejmowałam się tym ani trochę. Do szczęścia wystarczała mi rodzina i koń. Nie można powiedzieć, żebym unikała chłopców, po prostu nigdy nie szukałam ich towarzystwa.

Największego szoku doznałam, kiedy miałam osiemnaście lat. Szkolny doradca do spraw wyboru zawodu przekonał mnie, że nie warto tracić czasu, starając się o przyjęcie na studia na wydział rolniczy. Podkreślał, że rolnictwo to zawód dla mężczyzny. Był to ciężki cios. Zawsze wiedziałam, że Nather Hale nie jest dla mnie, ponieważ do prowadzenia farmy, kiedy rodzice przejdą na emeryturę, z góry przeznaczony był mój starszy brat, Ian. Teraz dowiadywałam

się, że z powodu płci mam znikome szanse na odniesienie sukcesu w rolnictwie także poza naszym gospodarstwem.

Ponieważ zawód, o którym zawsze marzyłam, był dla mnie najwyraźniej niedostępny, zapisałam się na kurs o nazwie „Informatyka w biznesie” w Huddersfield. Sądziłam, że chodzi o zarządzanie z wykorzystaniem komputerów, ale się myliłam; okazało się, że był to kurs analizy systemowej, który między innymi obejmował pisanie programów komputerowych, do czego z kolei niezbędna była matematyka wyższa. Byłam beznadziejna i pod koniec pierwszego roku oblałam tyle egzaminów, że powiedziano mi, iż nie warto tego dalej ciągnąć.

Jednakże Huddersfield oznaczało dla mnie zmianę, jeżeli chodzi o stosunki towarzyskie. Po raz pierwszy w życiu miałam krąg przyjaciół głównie płci męskiej. Czułam się częścią tego grona; w tym mieście w hrabstwie North Yorkshire poznałam mojego pierwszego chłopaka, Hugh. Chodziliśmy na imprezy, jeździliśmy na wycieczki samochodowe, przedstawił mnie swojej rodzinie. Prawdopodobnie nadrabiałam stracony czas, ale bawiłam się doskonale.

Pomimo życia towarzyskiego dziewięć miesięcy w Huddersfield uświadomiły mi jednak, jak bardzo tęsknię za otwartą przestrzenią, poprzysięgam więc sobie, że urządzę się tak, aby mieć do czynienia z rolnictwem. Byłam zdecydowana udowodnić tym cynikom, że nie mają racji. Studia w szkole rolniczej Harpera Adamsa w Edgmond w Shropshire wydawały się po prostu doskonałe. Nie zawiódłam się.

- Dlaczego jeź przeszedł przez ulicę? - pyta John Atkinson. Śmieję się, chociaż jeszcze nie doszedł do puenty. Oddajemy dziś krew i John leży obok mnie w połowym oddziale krwiodawstwa z wyciągniętą ręką i oczami wbitymi w sufit.

- No, dawaj, Sarah. - John porusza niecierpliwie stopami na końcu łóżka, chce czym prędzej dokończyć kawał. Bardzo tego mężczyznę polubiłam. Jest w nim jakaś zadziorność, ale nie jest ani hałaśliwy, ani nietaktowny, ma żywy umysł i gorące serce.

- Nie wiem. Dlaczego jeź przeszedł przez ulicę?
- Żeby pokazać swojej dziewczynie, jaki jest odważny.

Ciągle jeszcze się śmieję, kiedy strzela kolejnym dowcipem i nagle ni stąd, ni zowąd pojawia się pielęgniarka, i mówi, że już po wszystkim. Opuszczamy rękawy. Semestr się skończył, jedziemy do domu.

- A zatem wesołych świąt - mówi John, zeskakując z łóżka.
- Nawzajem - uśmiecham się smutno, wiedząc, że się nie zobaczymy przez kilka tygodni.

Wychodzę ze stacji krwiodawstwa i po drodze do swego pokoju oczyma wyobraźni widzę stojącego na stole kuchennym na naszej farmie upieczonego przez mamę indyka ze wszystkimi dodatkami. Słyszę trzask otwieranych krakerów* i niewybredne dowcipy. Czuję się znakomicie. Przyszłość wydaje się bardzo obiecująca.

Jesteśmy wszyscy z powrotem na uczelni po feriach. Zostałam ściągnięta do pomocy za barem w naszym pubie - zapłata ma być kilka darmowych drinków i oczywiście możliwość korzystania z parkingu. Dziś wieczorem robię porządki w kuchni, kiedy pojawia się Robert Freegard. Jest w zalotnym nastroju, przysuwa się do mnie. - To będzie twój szczęśliwy dzień, Sarah. Postaram się o to. - Nie lubię, kiedy jest blisko, więc się wycofuję do drugiej części pomieszczenia i odstawiam na miejsce jakieś kieliszki.

- Powinniśmy być razem. - Rob zachodzi od tyłu i szepcze mi do ucha. Ciągle się spotyka z moją współlokatorką Marią Hendy i jego propozycja sprawia, że czuję się zdecydowanie nieprzyjemnie. Odsuwając się, odtrącam go beztrzesko, ale czuję obrzydzenie.

- Nie ma mowy. A tak w ogóle, to przecież chodzisz z Marią.

Rob bierze marchewkę i zaczyna ją chrupać.

- Wiesz, ta praca w pubie to taka tymczasowa robota. Skończyłem psychologię w Oxfordzie. Z takim dyplomem mogę dostać pracę wszędzie, Sarah. Mam przed sobą wspaniałą przyszłość.

*kraker (ang.: Christmas cracker) - strzelająca zabawka bożonarodzeniowa z niespodzianką popularna głównie w Wielkiej Brytanii.

Słyszałam, że matka Roba zatrzymała się w mieszkaniu nad pubem na okres urlopu właściciela. Mam nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy zejść teraz na dół.

- Dziękuję, ale nie. Naprawdę nie chcę teraz wchodzić w jakikolwiek związek. W następnym semestrze mam egzaminy i muszę skończyć pracę licencjacką.

Wykorzystuję okazję, żeby zmienić temat. Koleżanka zastanawia się, czy nie przystąpić do tak zwanej piramidy; pytam Roba o zdanie. - Ja bym się trzymał od tego z daleka. Tylko od niej wyłudzą kupę pieniędzy - mówi.

To dobra rada. Rob ma, jak się wydaje, doświadczenie życiowe i jest dobrze poinformowany, nawet jeżeli zachowuje się zupełnie nie w porządku, podrywając koleżanki swojej dziewczyny. Jest ode mnie starszy o sześć lat i bardziej doświadczony. Myślę, że mogę zaufać jego opinii.

ROZDZIAŁ DRUGI

Werbunek Johna

SWAN, KONIEC STYCZNIA 1993

Z pubu wyszli właśnie, leniwie się kołysząc, ostatni z uczelnianych kolegów Johna, w świetnych nastrojach.

- Na razie! Czekamy w Blue Door - krzyknął Jim Cooper.

- Aha, zaraz was dogonię - odpowiedział John z radosnym uśmiechem na twarzy. Wrócił do poważnego zajęcia, jakim jest dokończenie piwa, wspierając się ramieniem o bar. Nareszcie weekend, czas na relaks. Miał w głowie tylko tę jedną myśl.

- Fajne było dziś towarzystwo - zauważył od niechcienia, kiedy z drugiej strony baru wynurzył się Robert Freegard. Zbierał puste kufle po piwie i wkładał je do zmywarki. Nic nie odpowiedział. Stał tyłem do Johna; nagle odwrócił się twarzą do niego i powiedział:

- Nie powinienes wierzyć we wszystko, co widzisz i słyszysz, John.

- O co ci chodzi? - Na twarzy Johna pojawił się wyraz zdziwienia.

Freegard odczekał chwilę, po czym kontynuował. - Ten twój przyjaciel Garry, na przykład.

Uderzył w czułe miejsce. Garry McCullough był Irlandczykiem z grupy seminaryjnej Johna. John go lubił, ale się nie przyjaźnili. Ku ogólnemu przerażeniu cztery tygodnie temu, w Nowy Rok, Garry zastrzelił się ze śrutówki. Wszyscy przeżyli szok. Przyczyną były ponoć kłopoty sercowe.

- Co z Garrym? - zapytał John spokojnym tonem.

- No, skąd wiesz, że popełnił samobójstwo? - powiedział Freegard, a na twarzy Johna tym razem pojawił się niepokój.

- Wszyscy to wiedzą... - John nagle przerwał. W tym samym momencie Freegard podszedł do niego, przysunął twarz do twarzy Johna, zmrużył oczy, uniósł kąciki ust.

- Ilu jest Irlandczyków na tej uczelni? Nie wiesz? Powiem ci. Co piąty, aż tyłu. A jak sądzisz, dlaczego są tutaj, w szkole rolniczej w środku tego cholernego Shropshire?

Freegard zaczął wolno się przechadzać tam i z powrotem wzdłuż baru, mierząc Johna wzrokiem od stóp do głów. - Ciągłe nic do ciebie nie dotarło, John?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nawóz. - Freegard odczekał, żeby to słowo dotarło, gdzie trzeba. - Co jest jednym z głównych składników bomb, John?

John zastanowił się przez moment. Na to pytanie znał odpowiedź. - Mógłby to być nawóz, ale...

- Alleluja! - Freegard wznosił ręce do nieba. - Nawóz azotowy. - Na chwilę przerwał. - No więc dalej, kto podłożył bomby w koszarach w Ternhill, niedaleko stąd?

- IRA.

- Znów dobra odpowiedź. Nieźle nam idzie. A kto był podejrzany i zastrzelony przez SAS w wieku dwudziestu jeden lat, nazywano go „irlandzką legendą”?

- Kevin Barry O'Donnell?

- A gdzie studiował O'Donnell?

Powoli docierało do Johna to, co Freegard chciał mu przekazać. - Był studentem naszej uczelni.

- Bingo! Gratulacje, John.

- Ale nie chcesz chyba powiedzieć, że Garry był w IRA?

Freegard uśmiechnął się cynicznie.

- Jakież to typowe, jesteś jeszcze jednym obywatelem, który chodzi po świecie z zamkniętymi oczami. Nie widzisz, co się dzieje pod twoim własnym nosem. Czy ci się wydaje, że oni spacerują z tabliczkami „Zamachowiec IRA” na szyi? Wyglądają, jak wszyscy inni, próbują się wtopić, działają w najgłębszym sekrecie. Tak jak O'Donnell. A może sądzisz, że był sam? Na chwilę przerwał. - Nie

masz o tym wszystkim pojęcia, co? Nawet ci nie przychodzi do głowy, że niektórzy z twoich tak zwanych przyjaciół w istocie pracują dla IRA. Po prostu tego nie widzisz. Żyjesz sobie w swoim własnym małym światku, pod kloszem, bez troski, w bezpiecznej i ciepłej atmosferze, a wszyscy wokół ciebie są dobrzy. Ale świat tak nie działa, John. Pełno na nim łajdaków. To jeden wielki front; nie masz najmniejszego pojęcia, co się odbywa za zamkniętymi drzwiami.

Freegard nagle się rozchmurzył i spojrzał na zegarek. - No dobra, czas do domu. - Zrobił ruch, jak gdyby chciał wyjść, ale John złapał go za ramię.

- Nie, poczekaj, nie idź jeszcze. To co według ciebie się przydarzyło Garry'emu?

Freegard nie odpowiedział, ale wyswobodził się z rąk Johna i wszedł na schody za barem, które prowadziły do jego mieszkania nad pubem. John podążył w ślad za nim, przyspieszając kroku z ciekawości. Po chwili znaleźli się w pokoju Freegarda.

- Naprawdę sądzisz, że mieszkałbym z wyboru w takiej norze? - Freegard machnął ręką i prychnął pogardliwie. John rozejrzał się po pokoju. Kanapa i fotele były zakryte celofanem, nieużywane; obrazki leżały na podłodze, jakby czekając, żeby je ktoś powiesił; kuchnia była pusta, szafki również. Według Johna wyglądało to tak, jakby Freegard zatrzymał się tu przejazdem, czekając na kolejny pociąg.

- Naprawdę sądzisz, że bym się zniżył do zamieszkania w tym prymitywnym mieście, z dala od świata? Nie do tego jestem przyzwyczajony. To tylko czasowo - powiedział i odwróciwszy się na pięcie, stanął twarzą w twarz z Johnem. Wyciągnął z kieszeni list. John zauważył, że było to jakieś oficjalne zawiadomienie z sądu w Nottingham.

- To wezwanie dla jednego z twoich bliskich znajomych, jednego z tych twoich słodkich, niewinnych, młodych przyjaciół. Ale ten miły koleżka należy do IRA Tymczasowej, to Provo* w każdym calu. Zastrzeliliby cię bez zmużenia oka. Wykorzystuje ciebie i twoich kumpli jako przykrywkę swoich tajnych operacji. I nie jest osamotniony. - Freegard przerwał na chwilę. - Nie, Garry nie był w IRA.

*Provo - członek radykalnego skrzydła IRA, zwanego IRA-Tymczasowa (ang.: Provisional IRA).

Po prostu dowiedział się o czymś, o czym nie powinien był wiedzieć i się go pozbyli.

John był wstrząśnięty i przerażony. - Skąd ty to wszystko wiesz?

Freegard podszedł do zakrytej celofanem kanapy i rzucił się na nią, rozkładając ręce na oparciu.

- Naprawdę sądzisz, że jestem barmanem? - Freegard zaśmiał się z pogardą. - Myślisz, że mieszkałbym w takiej dziurze jak to miasto? Uważasz, że to taka moja rozrywka pracować w pubie bez żadnych perspektyw i obsługiwać jakichś idiotów? - Freegard zachichotał złośliwie. - Daj spokój. Boże święty. Naprawdę nie możesz tego rozgryźć? Chcesz wiedzieć, czemu tutaj siedzę? No dobra, powiem ci. - Spojrzenie Freegarda przykuło Johna do miejsca. - Jestem w tajnej policji.

Ziemię pokryła warstwa śniegu; przez oblodzone podwórko na tyłach pubu Freegard prowadził Johna do piwnicy. Pod ścianami tego wilgotnego, ponurego pomieszczenia ustawione były beczki z winem, a mokra, betonowa podłoga dodatkowo wzmagała uczucie zimna.

Przez ostatnie cztery dni John zastanawiał się, czy to, co mu powiedział Freegard, odpowiada rzeczywistości. Z początku, kiedy tylko Robert się zdekspirował, wydawało się niewiarygodne, że może być policjantem, jednak im dłużej John nad tym rozmyślał, tym bardziej odnosił wrażenie, że nie tylko jest to możliwe, ale wręcz prawdopodobne. Tłumaczyłoby to, dlaczego Freegard jest takim outsiderem, dlaczego tak bardzo się stara wkreślić do środowiska uczelnianego. Mieszkanie nad pubem z pewnością nie robiło wrażenia zamieszkanego, tak jakby Freegard rzeczywiście wprowadził się tylko na chwilę, żeby wykonać określone zadanie. Czyżby IRA miała komórkę w Harperze? Niewykluczone. Poza tym nie sposób zaprzeczyć, że były student uczelni okazał się członkiem IRA. A zatem, jeżeli jeden student był związany z terrorystami, dlaczego nie miałoby to dotyczyć innych? No i wreszcie Garry. Samobójstwo zupełnie do niego nie pasowało. Co właściwie mógł zyskać Freegard, kłamiąc na temat Garry'ego? Nie była to transakcja handlowa; nie chodziło o żadne pieniądze. Freegard nic z tego nie mógł mieć, w jakim celu miałby więc wymyślić tak podłe kłamstwo? Nie, to musiała być prawda.

Im dłużej John się nad tym zastanawiał, tym bardziej zrozumiałe stawały się różne wydarzenia, tak jak je teraz pojmował. Nie miał żadnych wątpliwości, że Robert Freegard jest tym, za kogo się podaje: członkiem oddziału specjalnego Scotland Yardu.

- Jak sądzisz, ilu ludzi ma IRA w Harperze? - zapytał John parę dni temu.

- Słuchaj, wszystko, co ci powiem, jest ściśle tajne. Sam fakt, że to wiesz, może oznaczać wyrok śmierci, nie paplaj więc na ten temat z koleżkami. Jasne?

- Tak jest. Ani słowa.

Starannie dobierając słowa, Freegard przedstawił Johnowi sytuację. Według jego oceny co najmniej trzech studentów Harpera należało do IRA. Powiedział mu, że na ogół komórka liczy pięciu lub sześciu członków. On i jego szefowie mieli pewność co do dwóch i wydaje się im, że zidentyfikowali kolejnego, co oznacza, że trzeba jeszcze wypłoszyć z kryjówki dwóch lub trzech.

- I tu właśnie zaczyna się twoja rola. Pomożesz nam ich namierzyć.

John był przerażony. A więc to o to chodziło.

Następnie Freegard wyjaśnił, że John już teraz się obraca w towarzystwie podejrzanych, a zatem może pomóc Scotland Yardowi, wykorzystując tę dogodną sytuację. Ponieważ jest niezwykle towarzyski i bardzo lubiany, będzie ostatnią osobą, którą by IRA podejrzewała o współpracę z policją. Dodał, że czy się to Johnowi podoba, czy nie, i tak już w tym siedzi, a najszybszym, najbezpieczniejszym i jedynym sposobem wydostania się z tej sytuacji jest robić to, co każą. Freegard polecił mu uważnie się przyjrzeć wszystkim znajomym z uczelni. Musi ocenić, czy zachowują się choć odrobinę dziwnie i donieść Freegardowi, jeżeli którykolwiek ze studentów zrobi coś, czego on, John, nie będzie w stanie wytłumaczyć.

John instynktownie się zdrygnął, usłyszawszy, czego się od niego oczekuje, ale Freegard uparcie go przekonywał, że nie ma wyboru. Poza tym, jeżeli na uczelni są aktywiści IRA, to jego obowiązkiem jest pomóc ich zgarnąć. Odmowa byłaby tchórzostwem. Tak więc John rzeczywiście nie miał wyboru i pod koniec tygodnia, czując, że ogarnia go coraz większa paranoja, nie będąc już pewnym, komu ufać, sporządził listę i wręczył ją Freegardowi.

Teraz znajdował się w zimnej, wilgotnej piwnicy, gotów do następnego etapu.

- Uderzyłeś kiedyś kogoś? - zapytał Robert z nonszalancją, kładąc swoją skórzaną kurtkę na ziemi i rozpinając rękawy koszuli.

- Nie, nie jestem agresywny - szczerze odpowiedział John.

Robert pokręcił głową z niesmakiem. - A ciebie ktoś kiedyś uderzył? - Rękawy podwinął do łokci, zacisnął pięści.

- Nie, raczej nie.

Freegard sięgnął do kieszeni i wyciągnął kawałek materiału. - W porządku, musimy działać szybko. Nie ma czasu na zorganizowanie pełnego szkolenia policyjnego, więc muszę cię sam trochę podszkolić. - Zrobił z materiału przepaskę i zawiązał Johnowi oczy.

- Trzeba, żebyś się trochę zahartował, John, pokażę ci różne techniki. Za chwilę cię uderzę i sztuka polega na tym, żeby nie reagować. Musisz po prostu stać bez ruchu i przyjąć cios. Gotów?

- Tak jest - powiedział John, próbując się wykazać odwagą. Nic nie widział przez przepaskę, ale wyczuwał, że Freegard porusza się po cichu po piwnicy. John napiął mięśnie brzucha, spodziewając się ataku, ale nic się nie wydarzyło. Co on tam do diabła robi? Nagle wątpliwości wzięły górę nad determinacją Johna.

- Słuchaj, Rob. Ja jednak nie chcę być w to wmieszany. Mam inne plany, no wiesz - odezwał się z nadzieją, że w ostatniej chwili egzekucja zostanie wstrzymana, że znajdzie się jakieś wyjście.

Głos Freegarda wahał się pomiędzy niedowierzaniem a szyderstwem.

- Nie masz wyboru, kolego - stwierdził beznamiętnie.

- Nie możesz zamiast mnie zwerbować kogoś innego do pomocy?

- Próbowaliśmy różnych ludzi, ale się nie nadawali. Już to przerabialiśmy. Tak jak mówiłem, ty jesteś facetem towarzyskim, masz mnóstwo znajomych. To, co zrobisz, będzie skuteczniejsze. A może chcesz mi powiedzieć, że nie interesuje cię to, że kolejne osoby zostaną zamordowane?

- Ale ja nie jestem wyszkolonym policjantem. W ogóle nie jestem w niczym wyszkolony - zaprotestował John.

Freegard zrobił krok do tyłu, po czym wyciągnął przysłowio-
wego asa z rękawa i po części z rozbawieniem, po części z lekceważeniem powiedział: - John, mówię to po raz ostatni, my cię nie prosimy,

żebyś to zrobił; my ci każemy. - Wygłosiwszy tę kwestię, walnął go pięścią w podbródek.

John zatoczył się i jednocześnie odczuł rozdzierający ból w głowie. Jeżeli przedtem wątpił, że Freegard go zaatakuje fizycznie, to szok kazał mu gwałtownie wrócić do rzeczywistości. Zrobi wszystko, o co go Freegard prosi. Pogodził się z losem, był skazany na to, co przyniesie przyszłość.

- Chcę, żebyś miał oczy i uszy szeroko otwarte, żebyś wiedział, gdzie są twoi koledzy, z kim się widują, co robią. - Następny cios. Tym razem John utrzymał się na nogach, chociaż zobaczył wszystkie gwiazdy.

- Zachowaj czujność wobec tych, których uważasz za zdrajców. Nie będziesz miał czasu chodzić na uczelnię, więc na razie masz pracować ze mną za barem. W ten sam sposób zrobisz coś dla nas również w innej części kraju.

Freegard znów zadał Johnowi cios. - Właśnie tego chcą od ciebie moi zwierzchnicy ze Scotland Yardu. Oczywiście zapłacimy ci. Policja zawsze dba o swoich ludzi. Chcę, żebyś przyciągnął do pubu kolegów ze studiów, żebym mógł przeniknąć do ich środowiska. Cel: rozpracowanie siatki terrorystycznej. - Kolejny cios w głowę, tym razem z boku, kompletnie zaskakujący. Johnowi bezwiednie wyrwał się z gardła stłumiony okrzyk.

- Nie powiesz mi chyba, że sobie z tym nie dasz rady. - Freegard uśmiechnął się szyderczo.

- Tak, jakbym miał jakiś wybór - odpowiedział John, zrezygnowany. Tym razem Freegard uderzył go w brzuch.

- Chyba już wiemy, gdzie szukać prowodyrów. Tak naprawdę, jesteśmy o krok od dokonania aresztowań. Za kilka tygodni będzie po wszystkim, a niektórzy z twoich przyjaciół znajdą się w więzieniu. Mocno się zdziwisz, kiedy zobaczysz, kogo chcemy przyłapać. - Freegard zaśmiał się złośliwie. - A potem, no, wiesz co się stanie?

- Tak. Będę mógł powiedzieć wszystkim, o co chodzi i odzyskam swoje normalne życie - odpowiedział John.

- Doskonale. Nareszcie zaczynasz załapywać - stwierdził skwapliwie Freegard, zadając kolejny cios. - No i jeszcze pieniądze, które zarobisz - dodał. - Nie zapominaj o tym! Nie mówimy tu o marnych groszach, John.

Johna wszystko zaczynało boleć. W głowie mu się kręciło; czuł, że jego twarz jest jedną wielką raną. Zastanawiał się, jak długo Freegard ma zamiar kontynuować tę zabawę. Wiedział, że aby przyspieszyć koniec tej męki, nie może okazać słabości. W końcu o to przecież w tym wszystkim chodzi. Tak więc nie poddawał się w dalszym ciągu, zadając sobie wiele trudu, żeby nie ustąpić pod ciosami, które mu Freegard wymierzał raz po raz; znosił ból w milczeniu i próbował udawać, że go to wszystko nie obchodzi.

- Zanim zatrzymamy podejrzanych, chcemy mieć pewność, że to już wszyscy; że wiadomo dokładnie, kto jest z kim powiązany.

Freegard przystanął, cofnął się na moment, jakby się chciał przypatrzeć swemu dziełu.

- Nazywamy to „strząsaniem jabłek z drzewa”. - Freegard przetarł sobie oko knykciem.

- Trzeba puścić jakąś efektowną plotkę, coś, co sprawi, że ludzie będą ze sobą rozmawiać. Tak więc, John, chcę, żebyś oznajmił wszystkim, że jesteś gejem. - Wypowiedziawszy ostatnią sylabę, Freegard zadał cios najpotężniejszy jak do tej pory. John zachwiał się na nogach, niemal upadł na ziemię, ale nie z powodu uderzenia.

- Chyba sobie żarty stroisz. Nie ma mowy! - wymamrotał ze skurczem bólu na twarzy.

Freegard zignorował te protesty i dorzucił triumfalnie: - A zatem, przyjrzyjmy się, kto z kim rozmawia.

Kiedy John sobie wyobraził, jak mówi przyjaciółom, że jest gejem, przeleciała mu przez głowę cała kolekcja obrazów. Będą zaskoczeni. Taka wiadomość to z pewnością świetny materiał na plotkę, ale na samą myśl o steku kłamstw, które będzie musiał mieć w zanadrzu, ogarniało go przerażenie. Rozważył całą sytuację i doszedł do tego samego wniosku, co przedtem. Nie miał wyboru. Chciał spełnić swój obowiązek wobec kraju. To oczywiste. Jeżeli więc jacyś jego koledzy z uczelni rzeczywiście są terrorystami, jakie ma znaczenie przyznanie się przed nimi do gejostwa? Żadne, zakończył swoje przemyślenia, jeżeli będzie można dzięki temu uratować ludzkie życie. Co więcej, jeżeli to najszybszy sposób, żeby mieć całą sprawę za sobą, jeżeli za parę tygodni będzie mógł wszystko odkręcić, trzeba to po prostu zrobić.

- Twój współlokator, Jim Cooper. Jest jednym z nich. Tkwi w tym po uszy - chłodno oznajmił Freegard.

Kiedy ta sensacyjna informacja dotarła do Johna, poczuł się, jakby mu kamień przygniótł serce. - Ależ on nawet nie jest Irlandczykiem - zaprotestował.

Freegard pozwolił sobie na drwinę: - Czy rzeczywiście jesteś aż tak tępy, John? Czy ty naprawdę sądzisz, że wszyscy członkowie IRA są Irlandczykami? Musisz przecież wiedzieć, że mają mnóstwo sympatyków w Ameryce, a ja cię zapewniam, że jest ich równie wielu w samej Wielkiej Brytanii.

John był speszony i otepiały, czuł się zagubiony w towarzystwie kogoś, kto ma najwyraźniej więcej doświadczenia i lepiej się zna na tych sprawach.

- Jeżeli przeczyłeś coś tak oczywistego, jak mogę zaufać czemukolwiek w twoim raporcie, John? Kazałem ci uważnie się zastanowić nad każdym, kogo znasz na uczelni. Jima na twojej liście nie ma. A zatem spartaczyłeś robotę, John. Jeszcze ciągle nie rozumiesz, o co chodzi. Musisz być konsekwentny. - Kolejny prosty, tym razem w nos, został zadany w charakterze przerywnika.

- Zastanówmy się nad Jimem Cooperem. Pasuje tu jak pięść do nosa. Po pierwsze, widać na kilometr, że jest stanowczo zbyt pewny siebie i zbyt inteligentny, żeby go mogła zadowolić taka szkoła jak Harper. Po drugie, jeżeli to twój dobry kumpel, czemu zawsze zachowuje taki dystans? Po trzecie, dlaczego nie jest ani trochę podobny do swych braci? Wreszcie po czwarte, jeżeli nasz kochany Jim studiuje marketing, to po co wstaje w środku nocy, żeby pomóc koledze z hodowli, którego to faceta, jak się otwarcie zadeklarował, wręcz nie lubi. Czy koniecznie trzeba odkażać krowom racice tak wcześnie rano? Daj spokój, John, on cię wykorzystuje, służysz jako przykrywka dla jego pracy w IRA. Jeżeli się komuś należą baty, to tą osobą jest właśnie Jim.

W miarę jak John tracił siły wskutek nieustających ciosów, usiłował jednocześnie się uporać z całą masą rewelacji dotyczących jego kolegów, ludzi, których, jak się mu zdawało, znał od kilku lat. Przyszło mu do głowy, że tak naprawdę w ogóle nic nie wie.

Freegard mówił dalej. Jego zwierzchnicy ze Scotland Yardu nalegają, żeby wymyślić jakiś pretekst, który by umożliwił Johnowi wciągnięcie Jima w bójkę; wywołałoby to poruszenie, co by pozwoliło policji dowiedzieć się, z kim Jim jest powiązany. Szefowie policji twierdzą, że prowokacja zawsze się udaje. Freegard dostarczy Johnowi odpowiednie ubranie i obleje go cuchnącym płynem po goleniu, a potem John będzie musiał odegrać w pubie komedię, najlepiej jak umie, udając pedzia przed Jimem i resztą gości. Freegard przewidywał, że po tym incydencie aż zahuczy od plotek, które uderzą bezpośrednio w komórkę IRA. To będzie wielki sukces w dwu dziedzinach: w „strząsaniu jabłek z drzewa” i w hartowaniu Johna.

John jęknął głośno. Było tego wszystkiego za dużo i za szybko się to działo. Całkowicie stracił kontrolę nad sytuacją, ale nie pozostawiono mu wyboru, musiał jakoś dotrzeć do końca, jeżeli miał kiedyś znów wrócić do normalności. Tak naprawdę, zaczynał już zapominać, co oznacza słowo „normalność”.

- Jeszcze jedno - powiedział Freegard. - Już cię ostrzegałem, ale powiem to jeszcze raz. Sytuacja jest bardzo delikatna. Twoja rozmowa z kimkolwiek nie dość, że nas narazi na niebezpieczeństwo, to jeszcze wystawi na szwank całą operację, więc trzymaj gębę na kłódkę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Osaczenie Sarah

SARAH, HARPER ADAMS, POCZĄTEK MARCA 1993

Przechodząc obok pokoju Johna, zauważam, że drzwi są zamknięte na klucz - widomy znak jego nieobecności. Trzy tygodnie temu wszyscy się wyprowadzili z Blue Door do akademika, żeby w okresie poprzedzającym egzaminy dyplomowe nie tracić czasu na dojazdy. Jednak od tej pory Johna w zasadzie nie ma. Wygląda na to, że całe dni spędza w pubie; pracuje chyba co najmniej dwanaście godzin na dobę, a przecież ten czas powinien teraz poświęcać na przygotowania do egzaminów.

Reszta naszej paczki jest równie jak ja zaskoczona tą nagłą zmianą w zachowaniu naszego przyjaciela. Kiedy od czasu do czasu przychodzi do swego pokoju, zamyka drzwi, jednoznacznie dając do zrozumienia, że nie życzy sobie gości.

Przez cały czas jest jakby nieobecny duchem i praktycznie rzucił studia. Nie chodzi na wykłady, nie pisze pracy, nic nie robi. Po prostu zrezygnował. Nie możemy pojąć, dlaczego. Z nas wszystkich to John ma największe szanse na uzyskanie dobrego dyplomu. My musimy zakuwać, żeby dostać w miarę przyzwoite oceny na egzaminach, a jemu to przychodzi w sposób naturalny. Zawsze pracował wytrwale nad swoimi studiami; miał cel. Chciał się zatrudnić na jakiś czas jako zaopatrzeniowiec w supermarkecie, po czym zamierzał się przenieść do dyplomacji, może się zaangażować w sprawy ekonomiczne w Brukseli. A teraz wszystko się skończyło i to tak nagle, że jestem głęboko zaniepokojona.

Dojeżdżam do Swana, zostawiam samochód na parkingu i małymi, bocznymi drzwiami wchodzę do ciemnego wnętrza.

John wyciera bar. Zmienił się nie do poznania. Ufarbował swoje ciemnobrązowe włosy na szokujący biały kolor, jest blady, wygląda, jakby był chory. Na policzku ma siniaka. Przypominam sobie przerażenie, które mnie ogarnęło, kiedy mi opowiedziano, jak to parę dni temu John rzucił się na Jima Coopera. To wszystko nie ma sensu. Jim i John są najlepszymi przyjaciółmi od początku studiów. Tymczasem, jeśli wierzyć plotce, kiedy Jim z grupką kolegów - wszyscy w świetnych humorach - pojawił się któregoś dnia w pubie, jego oczom ukazał się John wystrojony w kwiecistą koszulę i kamiżelkę. Śmierdział płynem po goleniu i zachowywał się tak, jakby odgrywał pedzia w przedstawieniu kabaretowym. Jego wygląd wywołał niedowierzanie, drwiny i salwy śmiechu i wtedy John rzucił się na swego kumpla i przyłożył mu w twarz z taką siłą, że wybił Jimowi ząb, który mu przeciął górną wargę. Musieli odwieźć Jima do szpitala w Telford, ponieważ konieczne było założenie szwów.

John oznajmił następnie wszem i wobec, że jest gejem, co nas kompletnie zamurowało.

- Cześć, kopa lat - odzywam się łagodnie.

- Cześć, Sarah. - Przez chwilę nic nie mówi, wygląda na nieco skrępowanego, daje do zrozumienia, że nie jest gotów na przesłuchanie. Dalej sprząta. Nagle przystaje, twarz mu się rozpogadza, pojawia się znajomy, szeroki uśmiech.

- A jak tam twoje rzodkiewki?

- W porządku. Już niedługo będą gotowe i będę mogła skończyć pracę.

John patrzy wprost na mnie. Wie, co muszę teraz powiedzieć i nie daje mi szansy na zadanie pytania.

- To jest mój wybór, Sarah. - Z tonu jego głosu wyczuwam, że to ostateczna decyzja. Uśmiech zniknął mu z twarzy, ja jednak brnę dalej:

- Ale dlaczego? Tak ci niewiele zostało do końca, do dyplomu. - Przysuwam się do Johna, jakby mając nadzieję, że może w ten sposób uda mi się go przeciągnąć na swoją stronę. Odwraca się i monotonnym głosem mówi:

- Jakoś nagle przestał mnie pociągać zawód zaopatrzeniowca w supermarkecie. Potrzebuję czasu, żeby to wszystko jeszcze raz przemyśleć. Proszę, nie wypytuj mnie o to więcej.

Wzdycham, kompletnie nic nie rozumiejąc. Jest jakiś bezsens w rzucaniu studiów tak po prostu, tuż przed dyplomem. Przykro mi, że się odwrócił ode mnie i od reszty przyjaciół, że odciął nas od swego życia, ale dalsza rozmowa na ten temat wydaje się bezcelowa.

Wracam do akademika, martwię się. Z końca korytarza dobiegają głosy Hannah i Marii Hendy; skądś przyjechały, są najwyraźniej zmęczone.

- Byłyśmy w Sheffield. Tam i z powrotem to sporo kilometrów - narzeka Hannah.

Po cóż u licha jechały do Sheffield i to właśnie teraz?

- Robert powiedział, że musi się stawić w sądzie. Mówił coś, że zabił psa swojej byłej dziewczyny.

Unoszę brwi ze zdumienia, a z wyrazu twarzy Hannah mogę wywnioskować, że dla niej całe to wydarzenia też jest nieco dziwne.

- Cały dzień łączyliśmy po sklepach, czekając na Roberta. W drodze powrotnej pokazał nam, gdzie mieszkała kiedyś ta jego dziewczyna.

Hannah ziewa, nie jest w stanie ukryć znużenia; żegnamy się. Szykując się do snu, wracam myślami do wydarzeń minionego dnia, a zwłaszcza do rozmowy z Johnem i historii z wezwaniem Roberta do sądu. Kręcę głową. Przypomina to opowieści z brakującymi kawałkami tekstu. Ostatnio wszystko wydaje się trochę dziwaczne. Zamykam oczy, ciesząc się, że mogę się trochę przespać.

SWAN

Pub jak zwykle w niedzielę w porze lunchu pełen był ludzi pijących piwo, hałasujących, korzystających z wolnego dnia. Ich dobry humor jeszcze bardziej przygnębiał Johna. Przy barze usiadło kilku studentów, rozmawiali, ale ich obecność tylko wzmogła jego zdenerwowanie. Teraz każdego podejrzewał o członkostwo w IRA.

Freegard powiedział mu na wstępie, że nie będzie miał czasu chodzić na uczelnię; to zdanie szybko się przekształciło w: „Chodzenie na uczelnię w żadnym razie nie jest bezpieczne teraz, kiedy jesteś ze mną związany”. Tak więc John odizolował się od przyjaciół. Wiedział jednak, że ludzie o nim rozmawiają, spoglądając na niego z ukosa, słyszał, jak szepczą. Próbował to ignorować, wierząc, że wkrótce dojdzie do aresztowań i będzie po wszystkim. Wtedy opowie znajomym, co się naprawdę działo, a oni zrozumieją przyczynę jego dziwnego zachowania. Jakżeż tęsknił do tego dnia.

Na razie jednak czuł się kompletnie wyczerpany. Dzień w dzień pracował za barem po dwanaście godzin. Poza tym po zamknięciu pubu Freegard nieustannie omawiał z nim sprawy IRA, czasami przeprowadzając jednocześnie dodatkowe „szkolenie”. Kiedyś zawiózł go do Banbury, gdzie, jak powiedział, jest rozpracowywana kolejna komórka IRA. John prawie nie sypiał. Naprawdę cierpiał męki. Jedyną pociechą było to, że wierzył, iż robi coś z gruntu wartościowego, że się wykazuje odwagą cywilną.

- Coś jesteśmy smutni. - Freegard poklepał Johna po plecach, wrzucając pieniądze do kasy. - Przydałoby ci się damskie towarzystwo.

- No rzeczywiście.

- Mówię poważnie. Niech pomyślę. - Freegard zadumał się na chwilę, pocierając podbródek. - Co powiesz o Sarah?

- Sarah Smith?

- No oczywiście... wiesz, że się jej podobasz.

John przywołał na pamięć młodzieńczą, szczerą twarz Sarah, jej prostolinijny, łagodny charakter, jej uczciwość. Niewątpliwie przydałaby mu się teraz taka pocieszycielka.

- No tak. Lubię ją, ale...

- Więc coś zrób.

John zastanowił się przez chwilę, przeanalizował sytuację. - Nie, nie sądzę, żeby to był właściwy moment. Jeżeli jest tak źle, jak twierdzisz, to naprawdę nie chcę jej w to mieszać.

Freegard szturchnął Johna konspiracyjnie w ramię, mówiąc cicho: - Wiesz przecież, że ja się spotykam z Marią. - Rozejrzał się wokół, jakby sprawdzając, czy nikt nie słucha. Cofnął się o krok, jeszcze raz klepnął Johna po plecach. - Moi szefowie mają sposoby

opiekowania się ludźmi, no wiesz - powiedział serdecznym, przyjacielskim tonem.

Dla Johna ta poufałość była denerwująca. Tak naprawdę, mimo respektu, z jakim traktował jego „odpowiedzialną”, jak rozumiał, pracę, do samego Freegarda nigdy nie czuł sympatii. W jednej chwili wydawał się kompetentny i wiarygodny, zaraz potem był chłodny, wyrachowany, arogancki, a kiedy indziej znów zbyt kumpelski i poufały. Jeszcze w Blue Door John, i nie tylko on, uważał, że Freegard jest przesadnie koleżeński i że trzeba się mieć przed nim na baczności. Teraz bardzo żałował, że musi być z nim związany, ale obdarzył go zaufaniem, uwierzył, że Freegard jest policjantem w tajnej służbie. John domyślał się, że taka praca ma swoje nieprzyjemne strony, a to by tłumaczyło liczne niesympatyczne cechy charakteru Roba. Wynik rozumowania Johna był następujący: nie musiał Freegarda lubić, ale ufał mu bezgranicznie w sprawach dotyczących własnego bezpieczeństwa. Nie mógł się już wycofać. Czuł się, prawdę mówiąc, jak w potrzasku: wpakował się w sytuację, nad którą nie panował i której nie rozumiał. Z tego i tylko z tego powodu będzie się dalej zmuszał do postępowania zgodnie z zaleceniami.

- Śmiało, umów się z nią. Spróbuj. Będzie okej, obiecuję - trąkotał Freegard.

John ciągle się wahał, ale przechodził w tym okresie takie piekło, że naprawdę potrzebował odrobiny uczucia. Jeżeli to, co powiedział Freegard jest prawdą, może rzeczywiście nikomu nie zaszkodzi.

SARAH, HARPER ADAMS

Spacerujemy z Johnem po uczelnianym parku, mijamy kępki żonkili, które właśnie zaczynają wystawać z ziemi. Ni stąd, ni zowąd prosi mnie, żebym była jego dziewczyną. Jestem kompletnie zaskoczona. Po tych wszystkich dziwnych rzeczach, które się wydarzyły, jego propozycja wprawia mnie w pewne zakłopotanie.

- Ale przecież powiedziałaś, że jesteś gejem.

- Nie jestem pewny. Sam nie bardzo wiem, jaką mam orientację. Chcę z tobą chodzić, żeby sobie udowodnić, że nie jestem gejem.

Zastanawiam się, jak to rozumieć. Osobliwy powód, żeby chcieć chodzić z dziewczyną i chyba nieszczęśliwie mi się podoba pomysł, żeby mnie wykorzystywano do jakiegoś doświadczenia z dziedziny towarzyskiej, podczas gdy eksperymentator będzie się nad sobą zastanawiał. Ale mi to pochlebia z drugiej strony.

Czyżbym mu się naprawdę podobała? Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Mam tak niskie poczucie swojej wartości w kontaktach z mężczyznami, że aż mi się w to nie chce wierzyć. Zmagam się ze swoimi uczuciami, ale radość, jaką mi sprawia jego propozycja, zwycięża. Zawsze mi się podobał, od kiedy tylko zamieszkaliśmy w Blue Door. Wydaje się, że od tego czasu stracił swoje szelmowskie poczucie humoru, nie ma już w nim dawnej radości życia, ale jestem pewna, że to stan tymczasowy; po prostu przechodzi ciężki okres. Perspektywa posiadania chłopaka jest ekscytująca, a towarzystwo zapewne podniesie Johna na duchu. Z odrobiną pomocy wkrótce znowu będzie sobą.

- Okej. Dlaczegożby nie. Spróbujmy. - Uśmiecham się sceptycznie, przyciskając do piersi jakąś książkę, zastanawiając się ze zdumieniem nad ścieżką, na którą właśnie wkroczyło moje życie. John z kolei uśmiecha się nieśmiało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ucieczka

SWAN, 15 MARCA 1993

Słuchaj. Mamy kłopot. Freegard wypowiedział te słowa cichym, ponaglającym głosem, z zaciśniętymi ustami, nerwowo mrugając oczami. Wyjrzał przez jedno z małych okienek, szybko rozejrzał się po ruchliwej ulicy, po czym znów się ukrył w ciemnym wnętrzu pubu.

- IRA depcze nam po piętach - wyszeptał skrzypiącym głosem. - To znaczy, głównie mnie, ale musimy założyć, że obaj jesteśmy w niebezpieczeństwie.

John już przedtem wyglądał jak włóczęga z zapadniętymi oczami i policzkami. Teraz, kiedy usłyszał o tym nowym zagrożeniu, krew odpłynęła mu z twarzy i poczuł suchość w gardle.

- Tutaj w pubie nie jest tak źle. Wszystko mamy ustawione, no i pilnują nas. Ale na zewnątrz..., nawet o tym nie myśl. Wyjście byłoby równoznaczne z samobójstwem - powiedział Freegard, rzucając spojrzenie w stronę okna.

John czuł, że serce mu wali jak młotem. Z całych sił starał się nad sobą panować, widząc na własne oczy, jak się rozpada jego życie. W co on się wpakował? Usiadł na jednym z ciemnych, drewnianych stołów, poruszając się niczym w zwolnionym tempie. Freegard zakradł się cichaczem i przycupnął naprzeciwko niego.

- Słuchaj dalej, to też ci się nie spodoba. - Freegard pochylił się nad stołem, świdrując Johna spojrzeniem; jego ciemne oczy kłuły jak sztylety, usta zacisnęły się w cienką, krwawoczerwoną linię. -

Sarah również jest w niebezpieczeństwie, i Maria. Ponieważ są z nami, one też się znalazły na czarnej liście.

- Ale przecież powiedziałaś... - zaczął John. Dopiero od tygodnia chodził z Sarah, a teraz mu mówią, że przez niego ona jest w niebezpieczeństwie. Osunął się z powrotem na krzesło. W żółtawym świetle John wyglądał jak ciastko maślane, cienkie i kruche, które można w każdej chwili rozgnieść.

- Nie warto się teraz nad tym zastanawiać. - Freegard wykorzystał moment. Podniósł się na całą swoją wysokość, twarz mu pociemniała. - Musimy uciekać. Wszyscy czworo. Musimy zostawić szkołę, pub i po prostu się stąd wynieść na jakiś miesiąc. - Freegard przerwał, oceniając, czy jego słowa wywarły odpowiednie wrażenie, po czym kontynuował, nie spiesząc się: - Po Wielkanocy dokonamy aresztowań. Wtedy będziecie mogli wrócić do swoich studiów.

John przyglądał się Freegardowi jasnymi, wymęczonymi oczami, starając się to wszystko objąć umysłem. - Kiedy powiemy dziewczynom, że jesteś policjantem? - zapytał łamiącym się głosem.

- W ogóle im nie powiemy. Nie byłoby to bezpieczne na tym etapie. Im mniej widzą, tym lepiej. Musimy je utrzymać w nieświadomości, jeżeli chodzi o IRA, dla ich własnego bezpieczeństwa, no i dla powodzenia operacji. Powiedzenie im całej prawdy byłoby pod każdym względem zbyt ryzykowne.

John oparł głowę na rękach, wbijając w czoło długie, delikatne palce. Na jego twarzy pojawił się grymas, namiastka uśmiechu, kiedyś tak radosnego i beztróskiego. - Nie ma mowy, żeby nam się udało namówić dziewczyny na wyjazd na cały miesiąc tuż przed egzaminami. Nie kupią tego.

Freegard milczał przez chwilę. Przyglądał się Johnowi z zadowoleniem. - Moi zwierzchnicy powiedzieli mi, jak mamy to rozegrać. Znają się na tych sprawach, no wiesz. - Podszedł do baru i nalał sobie szklanekę wody sodowej. - Ale to ci się nie spodoba - powiedział, wracając i zdecydowanym ruchem stawiając szklanekę na stole. - Wcale ci się to nie spodoba.

Maria Hendy i ja dostałyśmy pilną wiadomość od Marie, że mamy się udać do Swana. Jest środek dnia, a zatem oznacza to, że musimy opuścić wykłady. Nie mamy pojęcia, o co chodzi. Po wejściu do pubu, widzimy Johna, który stoi za barem, błądy i zobojętniały. Spogląda na nas i daje znak, żebyśmy usiadły przy stoliku w rogu. Lokal jest pusty. Mówimy, że nie mamy czasu, że jesteśmy zapracowane, że nas oderwano od zajęć. Woła Roba, który jest u siebie na górze, ale on nie odpowiada. John podchodzi do naszego stolika, jakby ostatnim wysiłkiem. Siada. Powietrze jest nieruchome. Unosi się w nim woń zwięzłego piwa i stęchlizny. John niemrawo porusza ręką po stole. Wpatruje się w swoje paznokcie, jakby próbował odczytać jakiś szyfr.

Wreszcie z niemalże teatralną przesadą, nie spuszczać oczu ze swoich rąk, oznajmia: - Z największym smutkiem muszę was poinformować... umieram. - Następuje długa chwila milczenia, kiedy John patrzy wprost na mnie, a potem dodaje beznamiętnie: - Rak wątroby.

Ustaje wszelki ruch. Obraz staje się czarno-biały. Czuję się tak, jakby te słowa miażdżyły mi klatkę piersiową, oddycham z największym trudem. Czy on to mówi poważnie?

- Rak wątroby? - pytam oszołomiona.

- Jest w zbyt zaawansowanym stadium, nic już nie mogą zrobić. Mówią, że zostało mi tylko parę miesięcy. - Twarz Johna jest pozbawiona wyrazu, jakby z malowidła usunięto wszystkie kolory. - Wiem już od jakiegoś czasu. Pogodziłem się z tą myślą - dodaje z niewyraźnym uśmiechem.

Włosy mi się jeżą na głowie. Próbuje zrozumieć, co John chce mi powiedzieć. Cisza przygniata mnie swoim ciężarem, jakby ścięto olbrzymie drzewo; została tylko ogromna dziura, kurz i ta śmiertelna cisza. Czy to dlatego John wyglądał tak okropnie? Czy to dlatego tak dziwnie się zachowywał?

Oczy mu błyszczą, kiedy mówi: - Słuchajcie, chcę was o coś poprosić. Chciałbym, żebyście obie wyjechały ze mną na miesiąc w podróż po kraju, takie ostatnie szaleństwo. - Przerzywa na chwilę, żeby odkaslnąć. - Wiem, że to nieodpowiedni moment, egzaminy i tak dalej, ale to moja ostatnia szansa. - Zwraca się do mnie. - Chciałbym,

żebyśmy pojechali w dwie pary: ty i ja, i Maria z Robem.

W spojrzeniu Johna dostrzegam takie samo zmieszanie, jakie musi się malować na mojej twarzy. Straciłam w przeszłości krewnych, ludzi starszych, ale po prostu nie mogę przyjąć do wiadomości, że może odejść ktoś tak młody i tak pełen życia jak John. Czuję się nagle jak ślepiec niepewnie stawiający kroki, szukam po omacku czegoś, czego mogłabym się uczepić, jakiegoś znajomego kształtu, który by mi wskazał drogę.

- Proszę, nie mówcie nikomu o mojej chorobie - mówi John. - Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział.

WARRINGTON, 20 MARCA 1993

Potężna bomba podłożona przez IRA w pobliżu centrum handlowego w Warrington zabija dwóch chłopców w przeddzień brytyjskiego Dnia Matki. Ponad piętnaście osób jest rannych.

SARAH, HARPER ADAMS

Minęły dwa tygodnie, od kiedy John nam przekazał swą straszną wiadomość. Mój pokój w akademiku jest dosłownie ogołocony. Bibeloty zostały wyrzucone, obrazki zdjęte ze ścian, zdjęcia schowane. Podobnie jak pokoje moich przyjaciół ma on być wynajęty za opłatą na okres przerwy wielkanocnej. Do mojego powrotu będzie należał do kogoś innego.

Do niewielkiej torby wrzuciłam różne buty, bluzki i spodnie; powinno wystarczyć na czas naszej podróży. Całą resztę moich rzeczy ładuję na kupę do Scirocco. Przed wyjazdem muszę odbyć jeszcze jedną, ostatnią rozmowę telefoniczną.

Wyobrażam sobie mój dom rodzinny, budynek z czerwonej cegły usadowiony wśród pól niczym olbrzymie jajo w gnieździe, wokół niego drzewa i krzewy kołyszące się na wietrze, a na ich czubkach oznaki niecierpliwie się dobijającej wiosny. Już sobie przygotowałam tę rozmowę, w której będę musiała ukryć prawdziwy powód

mojej wyprawy. Telefon odbiera mama i od razu pyta, czy przyjeżdżam na Wielkanoc. Mówię, że tym razem zdecydowałam się pojechać gdzie indziej. Wybieram się w tajemniczą podróż po kraju. Mama uważa, że taka zmiana przed egzaminami to wspaniały pomysł, ale ostrzega mnie, żebym na siebie uważała z powodu „tych wszystkich zamachów IRA”.

Odkładam słuchawkę z ciężkim sercem. Udawanie nie przychodzi mi łatwo, bo w stosunkach z rodzicami zawsze byłam całkowicie uczciwa, ale przeżywam to wszystko tak mocno. Biedny John. Biedny, biedny John.

Zaglądam do pokoju Hannah, żeby się z nią pożegnać, po czym wychodzę, ukrywając głęboko swój smutek. Moi przyjaciele nie przywiązują żadnej uwagi do tego, że się spakowałam, ponieważ wszyscy zrobili to samo.

Nie ma żadnego powodu, dla którego ktokolwiek miałby przypuszczać, że nie wrócę tu po Wielkanocy, żeby napisać swoją pracę licencjacką, podejść do egzaminów i w końcu otrzymać dyplom.

SARAH, UCIECZKA

Ostatnie dziesięć dni to jeden wielki chaos. Jeździmy pociągami z jednego końca kraju na drugi, śpiąc w najtańszych pensjonatach, jakie można znaleźć; potem znów przesiadamy się do samochodu, mojego, Johna lub Marii. Całkowicie straciłam orientację, o co w tym wszystkim chodzi. Wcale nie byłam przekonana, że słusznie robię, wyjeżdżając, rzucając moje doświadczenia, stawiając pod znakiem zapytania pracę licencjacką, ale w końcu Robowi udało się przekonać i mnie, i Marię, że powinnyśmy pojechać. Rob twierdzi, że ze studiami nie będzie żadnego problemu. Ze względu na okoliczności przedłużą mi termin złożenia pracy i kiedy wrócę, nadrobię zaległości. I w końcu uzyskam dyplom. Zawsze to jakaś pociecha. Bardzo by mi było przykro, gdybym sprawiła zawód mamie i tacie. Ale i tak najbardziej zamartwiam się o Johna.

Wyczerpani, docieramy do nadmorskiego miasta Bournemouth. Świeci słońce, nie jest zbyt zimno jak na tę porę roku, wszędzie pełno spacerowiczów. Słyszę krzyki rozemocjonowanych dzieci budujących

na plaży zamki z piasku, widzę ich drobne sylwetki rysujące się na tle błyszczącego w słońcu morza. Jednak ta beztroska, świąteczna atmosfera kłóci się z moim własnym ponurym nastrojem.

Odświeżamy się przed spotkaniem na dole, po czym idziemy na nadbrzeżną promenadę, na spacer wzdłuż plaży pokrytej wodorostami. Wieje silny wiatr od morza, marzną mi czubki palców u rąk. W normalnych warunkach śmielibyśmy się teraz z jakiegoś okropnego dowcipu Johna, ale teraz nikt nie ma na nic ochoty.

Minęliśmy właśnie molo. - Usiądźcie, jest coś, o czym musicie się dowiedzieć - odezwał się Rob.

Kucamy na piasku, czuję, jak strach łapie mnie za gardło. Co jeszcze może nas czekać?

- Rzeczy nie są tym, czym się wydają - mówi Robert rzeczowym tonem. - Jestem zmuszony wam powiedzieć, co my tutaj naprawdę robimy. Jesteśmy tu dla waszego bezpieczeństwa, żeby was chronić. Sprawa jest poważna, a nawet bardzo poważna.

Z całych sił staram się zachować spokój, ale nie mogę zebrać myśli, które mi się beładnie tłuką po głowie. Patrę na pozostałych. Na twarzy Marii maluje się przestrah i zmieszanie, John zaś po prostu spogląda w dal, całą uwagę poświęcając samotnej mewie.

- Zostałem umieszczony w Swanie z konkretnego powodu. Słyszałyście o działaniach IRA w Shropshire w ostatnim czasie? Otóż namierzaliśmy komórkę IRA w Harper Adams i moim zadaniem jest ją rozpracować. Na uczelni aż się roi od Provo. Jeszcze nie wszystkich zidentyfikowaliśmy i z tego powodu próbowałem się zbliżyć do studentów, zaprzyjaźnić się z nimi, dowiedzieć się, jaka jest sytuacja.

Przed oczami przelatują mi obrazy Roba obsługującego klientów zza baru. Czyżby chciał mi powiedzieć, że przez cały czas po prostu grał?

- A John mi pomaga. - Freegard przerywa na moment, aby upewnić się, że nasza uwaga skoncentruje się dokładnie na tym, co właśnie zamierza powiedzieć.

- Pracuję dla rządu brytyjskiego, rozumiecie? Jestem tajnym agentem.

Kręci mi się w głowie, jakbym stała na skraju przepaści.

Freegard kontynuuje: - Nie jesteśmy tu tak po prostu z powodu choroby Johna, ale dlatego że przez pewien czas musimy się przyczać i przenosić z miejsca na miejsce. Zostaliśmy zdemaskowani. Ja i John. Niestety, ponieważ jesteście z nami związane, również na was został wydany wyrok. Nawet o tym nie wiecie, ale widziałyście rzeczy, których nie powinnyście były widzieć. Nie wolno wam jechać do domu... no, może jedna, ostatnia wizyta, żeby uspokoić rodziny, ale na tym koniec, aż do momentu aresztowań. Mamy nadzieję, że się to stanie w ciągu najbliższych kilku tygodni.

- Wasze rodziny nie powinny wiedzieć, gdzie jesteście, co robicie, że uciekacie przed IRA. Tak będzie dla nich najlepiej. Na jakikolwiek kontakt musicie otrzymać pozwolenie, w przeciwnym razie również najbliższych narazicie na niebezpieczeństwo. Jeszcze raz to podkreślam: musicie być w najwyższym stopniu ostrożne, musicie wiedzieć, z kim rozmawiacie i bez przerwy mieć się na baczności, ponieważ możemy być obserwowani.

Wyobrażam sobie mężczyzn w czarnych kominiarkach rozstawionych wokół naszego domu, gdy tymczasem mama studiuje kalendarz świąt kościelnych, a tata ogląda flance kalafiorów. To nie wydaje się możliwe. Jestem do tego wszystkiego naprawdę nastawiona co najmniej sceptycznie.

- Masz jakąś legitymację. Pokaż mi coś - rzucam wyzwanie.

- Myślisz, że nosimy ze sobą legitymacje? - drwi Rob. - Trochę bez sensu, nie sądzisz, w końcu podobno jesteśmy tajniakami. - Wrzuca kamyk do wody. - Ale wszystko o tobie wiem, Sarah Smith - mówi, przymierzając się do kolejnego rzutu. - Niech pomyślę. Poza takimi sprawami jak wiek, stosunki rodzinne, środowisko, wiem też wszystko o twoich finansach. Dziwi cię to, co? - Wypuszcza kamień w ręki. Patrzę nerwowo, jak szybuje nad wodą, po czym znika w ciemnej głębinie.

- Jeżeli chodzi o wolną gotówkę, masz rachunek oszczędnościowy i rachunek bieżący. Ostatnie saldo, z obu łącznie, dwadzieścia tysięcy funtów.

Zgadza się, ale się nie przyznaje. Staram się nigdy nikomu nie opowiadać, ile mam pieniędzy, skąd więc on to wszystko wie? Nie mógł po prostu zgadnąć. Ma zbyt dokładne dane.

- A poza tym masz jeszcze rachunek powierniczy.

Słyszę, jak krew tętni mi w skroniach.

- Wiem, że twoja rodzina ma ziemię w Cliffs End i w Westwood. Szczerze mówiąc, mógłbym tak opowiadać przez cały dzień. Wszystko o tobie wiemy, Sarah Smith. Musisz się do tego przyzwyczaić.

Spoglądam na Johna, oczekuję potwierdzenia i współczucia. Ociężałe podnosi głowę i przytakuje lekkim skinieniem. - Sarah, tak mi przykro z powodu tego, co się dzieje. To wszystko przeze mnie. Ale teraz musimy po prostu robić to, co Rob każe i będzie znowu dobrze.

Siadam ciężko, próbując przyjąć do wiadomości ten ostatni zwrot akcji. Czuję się, jak gdybym wpadła do jakiegoś ciemnego pomieszczenia, z którego już nie widać mojego dotychczasowego bezpiecznego i znajomego świata. Trzeba od początku wyznaczyć kierunki; pojawiają się nowe obrazy, ale są upiorne, to na razie tylko cienie, ich prawdziwe kształty będą się musiały dopiero ujawnić. Ta chwila rozpoczyna przypuszczalnie jakiś nowy początek, ale nie jest on obiecujący ani radosny. Jestem wystraszona i skołowana. Mam co do tego nowego początku jak najgorsze przeczucia.

Część druga

ZABAWA W KOTKA
I MYSZKĘ
kwiecień - czerwiec 1993

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pożegnanie z rodziną

BISHOPSGATE, LONDYN, 24 KWIETNIA 1993

W samym sercu londyńskiego City wybuchła bomba podłożona przez IRA, zabijając jedną osobę i raniąc ponad czterdzieści. Zdewastowany zostaje średniowieczny kościół, poważnie uszkodzone są również inne budynki. W momencie wybuchu bomby policja była w trakcie ewakuacji terenu.

NETHER HALE, 25 KWIETNIA 1993

Lunch stygł na stole w Nether Hale, rodzinnym domu Sarah Smith w hrabstwie Kent. Ojciec Sarah w szortach koloru khaki, poluarze i sandałach z odkrytymi palcami maszerował po podwórzu wielkimi krokami, wypatrując czegokolwiek, co mogłoby sygnalizować przyjazd córki. Dzięki zdrowym, rumianym policzkom, szczupłej sylwetce i chłopięcej urodzie Peter Smith nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt kilka lat. Przez całe życie uprawiał kalafiory i był z tego niezwykle dumny. Niczego nie lubił tak bardzo, jak oglądania pod mikroskopem młodych sadzonek i zgadywania, kiedy to, co z nich wyrosnie, będzie gotowe do zbiorów. W jego świecie wszystko się sprowadzało do logicznego myślenia. Nie było takiego problemu, który by się nie dał rozwiązać. Znany był z tego, że nie lubił owijać w bawełnę, swoje poglądy wypowiadał bez ogródek. Miał jednakże gorące, otwarte serce, zwłaszcza w stosunku do dzieci. Teraz, chodząc po podwórzu, drapał się w głowę, zastanawiając się,

gdzie się mogła zapodziać Sarah.

Kiedy wreszcie wszedł do środka, powitało go pięć psów. Dom rozprzestrzenił się we wszystkich kierunkach po obu stronach wejścia; wystrój wnętrza był raczej staromodny; wszędzie znajdowały się książki, papiery, pamiątki, bibeloty, fotografie, dając świadectwo tego, że żyje się tu pełnią życia.

W kuchni Jill wkładała właśnie lunch z powrotem do piekarnika. Była również tuż po sześćdziesiątce, mówiła ze staroświeckim akcentem przywołującym na pamięć Margaret Rutherford, aktorkę filmową z dawnych dobrych czasów studia Ealing. Przez całe swoje życie, podobnie jak mąż, pochłonięta była uprawą ziemi. Jednak w przeciwieństwie do Petera Jill kierowała się uczuciem. Zawsze można było wszystko wyczytać w jej wielkich, okrągłych oczach. Tego dnia było w nich widać oczekiwanie z domieszką lekkiego rozczarowania. Sarah spędzała na ogół całą przerwę świąteczną w domu, tym razem wybrała się w jakąś „tajemniczą podróż” i mogła wpaść tylko na chwilę. W porządku. Peter i Jill nie zaliczali się do rodziców, którzy odbierają swemu potomstwu możliwość rozwinięcia skrzydeł. Rozumieli, że jest pod presją z powodu zbliżających się egzaminów i nawet się cieszyli, że Sarah się zabawi, podróżując po kraju. Byli przekonani, że zmiana dobrze jej zrobi.

Słyszeli też o nowym chłopaku córki i cieszyli się, że będą go mogli poznać. Ale teraz zaczęli się niepokoić. Spóźnianie się było zupełnie nie w stylu Sarah, a ponadto Jill z przykrością myślała o ciężkiej pracy, jaką włożyła w przygotowanie lunchu, a która najwyraźniej poszła na marne.

- Strasznie to irytujące, że nie zadzwoniła, żeby powiedzieć, gdzie jest - napomknęła Jill.

- Nic na to nie poradzimy - powiedział Peter stanowczo. - Przyjadą, kiedy będą mogli.

Peter i Jill czekali całe popołudnie, godzina mijała za godziną. Przeczytali niedzielne gazety pełne informacji o ostatnim zamachu IRA, o potężnej bombie skonstruowanej na bazie nawozów rolniczych, która wybuchła w Bishopsgate w londyńskim City. Miały miejsce rozmowy między przywódcą Socjaldemokratycznej Partii Pracy, Johnem Humem a Gerrym Adamsem z Sinn Fein i obaj politycy

złożyli wspólne oświadczenie, zgodnie z którym naród irlandzki ma prawo do samostanowienia. Hume był przekonany, że uda się nakłonić republikańców, żeby zaprzestali używania przemocy, ale w komentarzach redakcyjnych nie czuło się zbyt nadziei na bliskie zakończenie konfliktu.

Było wpół do pierwszej w nocy, kiedy Peter i Jill usłyszeli na podwórzu chrzęst żwiru rozgniatanego oponami samochodowymi. Światła odbiły się o ściany i zgasły. W ciemnościach zaczęły szczeleć psy. Wreszcie przyjechała Sarah.

Peter podszedł do drzwi ubrany tylko w pidżamę, za nim drepiała Jill w szlafroku, z zapuchniętymi oczami. Sarah z zakłopotaniem przeprosiła za tak późne przybycie, unikając kontaktu wzrokowego. Peter, z miną groźną, ale i z cieniem uśmiechu wokół oczu, badał wzrokiem młodych ludzi, kiedy jeden za drugim przechodzili koło niego. Sarah przedstawiła Marię i Johna.

- A to jest Rob.

Peter skinął głową i uściśnął rękę Robertowi Freegardowi.

Wszyscy byli zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać, jedyne, czego pragnęli, to się położyć spać. Rano nadrobiją stracony czas. Wchodząc do łóżka, Peter napomknął coś do Jill na temat, jak to określił, słabego charakteru Johna. - A co do tego ciemnowłosego, ten to prawdziwy czaruś. Ma o sobie bardzo wysokie mniemanie.

Następnego dnia rano przy śniadaniu Sarah nerwowo się wierciła. Wydawała się spięta, nie mogła się rozluźnić. W końcu oświadczyła, że muszą zaraz wyjeżdżać.

Jill, zupełnie tym zaskoczona, próbowała namówić córkę, żeby zostali na jeszcze jedną noc. Sarah się wahała, spoglądała na Roberta, jakby oczekując od niego jakiejś wskazówki. Robiła wrażenie niepewnej siebie i przygnębionej. Peter i Jill nie mogli pojąć, co wstąpiło w ich córkę, zachowywała się w sposób zupełnie nietypowy. Peter, widząc, że żona będzie niepokieszona, jeżeli Sarah tak szybko ją znowu opuści, postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Używając łagodnej perswazji, namówił Sarah i jej troje przyjaciół, żeby zostali jeszcze jeden dzień.

Nazajutrz rano torby zostały zapakowane do samochodu i czwórka podróżników przygotowywała się do wyjazdu. Sarah ciągle nie była sobą, gdzie się zapodziała jej normalna beztroska. Jill natomiast dzielnie próbowała rozładowywać przygnębiającą atmosferę i namówiła ich na wspólne zdjęcie. Przegoniła psy, które się z ciekawości kręciły w pobliżu i kazała swoim gościom ustawić się, komenderując niczym starszy sierżant sztabowy. Stanęli na podjeździe, plecami do garażu, Sarah w jaskrawoczerwonym swetrze, brązowych sztruksach, z łańcuszkiem na szyi, który rodzice podarowali jej na dwudzieste pierwsze urodziny, obok niej John, wreszcie Maria.

- Bardzo dobrze. No, Robert, ty też - zawołała Jill. Freegard dołączył do szeregu; był ubrany w bluzę studenckiego klubu rugby z Harpera Adamsa, a w prawej ręce trzymał czerwoną baseballówkę. Sarah próbowała się uśmiechnąć, ale ten uśmiech nie doszedł do jej oczu.

- Super. Jeszcze jedno, na szczęście. - Jill była bardzo zadowolona ze swoich wysiłków.

W domu zadzwonił telefon. Peter wszedł do środka, żeby go odebrać.

- To dziekan z Harpera Adamsa, zastanawiał się, gdzie wy wszyscy jesteście - oznajmił, wychodząc z powrotem na podwórze. - Uspokoilem go, powiedziałem, że już ruszacie w drogę powrotną.

SARAH

Kiedy samochód wyjeżdża z Nether Hale, jeszcze raz ze smutkiem oglądam się za siebie i na twarzy taty dostrzegam wyraz niepewności. Ogarnia mnie strach, zamykam oczy i odmawiam jakąś krótką modlitwę. Prawdopodobnie przed dłuższy czas nie zobaczę rodziców, ale John, Maria i ja zdajemy sobie sprawę, jak ważne jest stosowanie się do instrukcji Roba, robienie dokładnie tego, co każe, jeżeli my i nasze rodziny mamy wyjść z tego wszystkiego cało.

Rob podkreślił, że jest tylko jeden sposób, żeby ochronić naszych najbliższych: musimy spróbować ich uspokoić, starać się zachowywać normalnie, ale nic im nie powiedzieć. Jeżeli mają być bezpieczni, nie mogą wiedzieć, gdzie jesteśmy, a my musimy się od nich trzymać z daleka.

Zmowa, w której uczestniczę, sprawia, że czuję się bardzo nie-swojo i z całego serca pragnę opowiedzieć mamie i tacie, w co się wplątałam, ale po prostu nie śmiem. Co by jednak Rob mówił o konieczności udawania, że życie toczy się normalną koleją, nie potrafię się zachowywać naturalnie. Rodzice z pewnością zauważyli, że coś jest nie tak.

Osiem dni później Peter i Jill zaparkowali swój samochód na podjeździe w Nether Hale. Właśnie wrócili z Holandii, gdzie byli w odwiedzinach u młodszego syna. Guy także studiował w szkole rolniczej Harpera Adamsa, ale obecnie odbywał roczną praktykę w firmie inżynierskiej w Holandii.

Ledwie zdążyli wyjąć walizki, kiedy pojawił się ich starszy syn, Ian. Znowu dzwonili z uczelni; niepokoją się o Sarah i jej przyjaciół, którzy nie wrócili po przerwie świątecznej.

Jill poczuła ogarniający ją nagle strach, przecież w normalnej sytuacji Sarah regularnie kontaktowała się z rodzicami. Jej pokój był najwyraźniej ciągle pusty i nikt z uczelnianych kolegów nie wiedział, gdzie Sarah jest. Próbując uspokoić żonę, Peter zapewniał ją, że musi być jakieś rozsądne wyjaśnienie tej sprawy.

Peter Smith był bystrym i przyzwoitym człowiekiem i kiedy czuł nawet najłżejszy zapach nieuczciwości czy jakiejś innej nieprawidłowości, odzywał się w nim pies gończy i gotów był na wszystko, byle tylko dojść do prawdy. Nie chciał martwić żony swym własnym niepokojem, ale musiał się zgodzić ze stwierdzeniem, że to wszystko nie było podobne do Sarah. Zawsze można było na niej polegać, jednakże ostatnio zachowywała się nieco dziwnie. Nawet on był zmuszony to przyznać.

Usiadł przy biurku, odsunął na bok stos rachunków i myślał z rozżaleniem, jak wiele czasu musi poświęcać załatwianiu spraw papierkowych, podczas gdy jedyne, czego naprawdę chce, to chodzić po polach, czuć ziemię między palcami i zachwycać się wzrostem kalafiorów. Przygotował listę nazwisk, po czym podniósł słuchawkę.

Najpierw zadzwonił do rodziców Marii Hendy i odbył rozmowę z jej ojcem, Gordonem.

- Czyli Maria mówi, że nie zamierza wracać na uczelnię ani podjąć, tak jak planowała, pracy w VSO*. A powiedziała dlaczego? - Peter nasłuchiwał skwapliwie. - Ale co ona rozumiała przez to: „Pewnego dnia zrozumiecie?”.

Potem zatelefonował do rodziców Johna Atkinsona.

- W Boże Narodzenie był w porządku, ale od tamtej pory wszystko się wywróciło do góry nogami - powiedział ojciec Johna, Russell. - Na wszelkie pytania syn odpowiadał wymijająco, a potem po prostu oświadczył, że rzuca studia. Powiedział, że chce odłożyć egzaminy dyplomowe na następny rok. Muszę przyznać, że jesteśmy oboje bardzo zmartwieni i zupełnie nie rozumiemy, co się dzieje.

Następnie Peter zadzwonił do koleżanek Sarah z uczelni, Hannah Wilson i Marie Gilroy.

- Nie, nie mamy pojęcia, dlaczego Sarah i reszta nie ma. Wszyscy się spodziewali, że wrócą po Wielkanocy - powiedziała Marie. - Ale jest jedna rzecz. Rob nam zakomunikował, że John umiera, co brzmi nieco fantastycznie. - Chcesz mi powiedzieć, pomyślał Peter, że niekoniecznie jest to prawda. Hannah zaproponowała, żeby zadzwonić do Swana, że może właściciel mógłby pomóc. Peter wykręcił numer pubu.

Swan miał nową właścicielkę. Nie miała zbyt dobrego zdania o Robercie Freegardzie; w jej przekonaniu nie należało mu ufać. Zgięły pieniądze i on był podejrzany.

Peter chciał wiedzieć, czy może Freegard coś szczególnego powiedział przed wyjazdem w „tajemniczą podróż” z Sarah, Johnem i Marią? Nie, o niczym takim nowa właścicielka nie wiedziała; po prostu zniknęła. Pod koniec marca poszedł na zwolnienie lekarskie i nikt nie był w stanie się z nim skontaktować. Potem się dowiedzieli, że wziął ze sobą trójkę studentów.

Ta informacja poważnie zaniepokoiła Petera. Właścicielka dała mu numer telefonu jej poprzednika, Johna Simsa, ponieważ był on, jak się wydaje, w dobrych stosunkach z Freegardem.

*VSO (ang.: Voluntary Service Overseas) - organizacja wysyłająca wolontariuszy do pracy w krajach rozwijających się.

- Może pan spróbować zadzwonić do matki jego byłej dziewczyny - powiedział poprzedni właściciel pubu. - Kiedyś pokazał mi z samochodu jej dom, miał chyba na jej punkcie obsesję.

Podziękowawszy Simsowi za pomoc, Peter odłożył słuchawkę i rozważał to, czego się do tej pory dowiedział. Jego konsternacja szybko zmieniała się w podejrzenie. Udał się do pokoju żony, gdzie Jill próbowała oderwać się od kłopotów, wykonując na komputerze jakąś pracę dla miejscowego kościoła. Spojrzała na męża niecierpliwie, nie mogąc się doczekać wiadomości.

- Nie wierzę ani trochę, że John umiera - powiedział dobitnie Peter. - To wymówka.

- Ale co będzie, jeżeli Sarah w to uwierzy? Załamie się. I dla czego nawet o tym nie wspomniała? - zastanawiała się Jill spokojnie. - Zawsze nam wszystko mówiła.

Im bardziej Peter rozmyślał nad zaistniałą sytuacją, tym bardziej się stawał niespokojny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kryjówka

SARAH, POCZĄTEK MAJA 1993

Prowadzi mnie do budki telefonicznej, a potem stoi tam razem ze mną, kiedy wykręcam numer. Wszystko się źle układa. Rob twierdzi, że pojawił się pewien problem, który wstrzymał realizację operacji policyjnej i dlatego dotychczas nie przeprowadzono aresztowań. Z powodu niebezpieczeństwa, jakie nad nami wisi, nie ma chyba w tej chwili żadnej nadziei na powrót na uczelnię, żadnej szansy na ukończenie studiów. Jestem załamana. Wiem, że moi rodzice z tym się nie pogodzą, chyba że im przedstawię niepodważalne argumenty.

Rob zaproponował, żebym wymyśliła historyjkę o jakiejś nadzwyczajnej ofercie pracy dla szczególnie utalentowanych studentów akademii rolniczych. W zmyślaniu jestem beznadziejna, zapytałam więc, jak to właściwie powinno się odbyć i Rob mi podyktował, co mam powiedzieć.

Teraz stoi nade mną, bacznie obserwując każdy mój ruch, jak gdyby mi nie ufał. Słyszę, jak po drugiej stronie kabla dzwoni telefon. Spoglądam na moją ściągę w momencie, kiedy tata podnosi słuchawkę.

- Cześć, tato. Mam naprawdę dobre wieści. Zamierzam odłożyć dyplom na co najmniej rok i znowu trochę popracować.

- Dobrze, Sarah, w porządku, ale powiedz mi, o co chodzi z Johnem Atkinsonem? Dowiedziałem się, że umiera.

Pytanie mnie zaskakuje. Tego nie było w scenariuszu. Rob powiedział, że mam zakończyć rozmowę, jak tylko wypowiem swoją kwestię, ale teraz nie wiem, co zrobić. Waham się, spoglądając przez

ramię na Roba, ale decyduję się brnąć dalej.

- Słyszałeś o Commercial Union, tej wielkiej firmie ubezpieczeniowej? Otóż, zamierzają przyjąć do pracy kilku studentów, jeszcze przed dyplomem.

- Matka i ja chcemy tylko zrozumieć, o co chodzi, Sarah. Jakie są symptomy? Przecież powinien być leczony, niezależnie od tego, jak poważna jest ta choroba.

- Zarabiałabym dwadzieścia cztery i pół tysiąca rocznie plus samochód, a na dodatek będę na prowizji.

- Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć? - tata drąży dalej. Nie wiem, co robić. Jest oczywiste, że w ogóle nie słucha tego, co mówię.

Rob daje mi znaki, że mam skończyć rozmowę.

- Skontaktowałem się z ojcem Johna, nic o tym nie wspomniał. Dziwne, nie sądzisz? - Tata się rozkręca.

- Słuchaj, tato. Nie chcę o tym rozmawiać i tyle.

Rob jest wyraźnie wściekły, gwałtownym ruchem przeciąga palcem po gardle, mówiąc bezgłośnie: - Rozłącz się. Skończ to. Już!

- Tato, muszę kończyć - wydobywam z siebie słabym głosem.

Ojciec zaczyna zadawać kolejne pytania, ale nie daje mu szans. - Słuchaj, tato. Ja naprawdę muszę już lecieć. Niedługo znów zadzwonię, okej? - I odkładam słuchawkę.

- Co to było? - pyta Rob, kiedy wychodzimy z budki telefonicznej. Mówię mu, że tata się dowiedział o śmiertelnej chorobie Johna, ale że w ogóle się nie wydaje przekonany.

Nie jestem w stanie nic odczytać z wyrazu twarzy Roba.

Znam tatę. Jak się do czegoś weźmie, nic nie jest w stanie go powstrzymać. Mam nadzieję, że kupi tę moją historyjkę o Commercial Union, dla dobra nas wszystkich.

Przejechaliśmy dziś kilkaset kilometrów. Rob wypożyczył furgonetkę w Sheffield i jeździliśmy od miejsca do miejsca, zbierając rzeczy, które wzięliśmy z akademika, kiedy opróżnialiśmy pokoje. Mój dobytek, załadowany do Scirocco, znajdował się w Oxfordshire, w Watlington, gdzie spędziłam rok na praktyce zawodowej.

Rob kazał mi go tam zostawić na czas naszej „tajemniczej podróży”. Bóg jeden wie, co się stanie z tym samochodem.

Rob wynajął w moim imieniu dom w Peterborough, niedaleko Cambridge, na sześć miesięcy. Wszystko zorganizował, tak że jest to, jak twierdzi, bezpieczna kryjówka. Została przeczesana w poszukiwaniu podsłuchów, stwierdzono, że jest czysta. W jednym z domów naprzeciwko zostanie umieszczony tajny agent, który będzie nas obserwował i pilnował, żeby się nam nie stała żadna krzywda.

- Dlaczego to ja mam za to płacić? Dlaczego nie policja? - pytam, ciągle nie przyjmując niczego na wiarę. Jeżeli ktoś ma zamiar grzebać w moim życiu, to nawet jeżeli jestem na celowniku, chcę wiedzieć dlaczego.

Rob odpowiada, że chodzi tu o bezpieczeństwo. - Musi być wiadomo, że to ty płacisz za dom. Nie zapominaj, jak ważne jest, żeby twoi rodzice byli przekonani, że nic złego się nie dzieje. Dzięki temu będą widzieli, że ciągle prowadzisz normalne życie, nie będą podejrzewali, że jesteśmy, albo że oni są, w jakimkolwiek niebezpieczeństwie. A co do płacenia za dom przez policję: to właśnie ona płaci, choć pośrednio. Wszystko ci zostanie zwrócone, później. To mieszkanie jest tylko przykrywką, naprawdę.

Jeżeli chodzi o właściciela domu w Peterborough, to wie on, że jesteśmy studentami akademii rolniczej na praktykach i że pracujemy w Perkins Engines, znajdującym się w pobliżu zakładzie przemysłowym. Wydaje się, że nasze wyjaśnienia przyjął bez problemu, jednak kłamstwo ponownie zostawia mi uczucie niesmaku. Ale przecież, jak mi powiedziano, nie mam wyboru.

O Peterborough nie wiem praktycznie nic poza tym, że jest siedzibą Perkins Engines, a także miejscem spoczynku Katarzyny Aragońskiej, pierwszej żony Henryka VIII - jakie to dziwne, że taki właśnie fakt tkwi w pamięci.

Jest wczesny wieczór, kiedy w końcu zatrzymujemy się przed małym domkiem przy Martinsbridge Road, który pod względem architektonicznym naśladuje styl z epoki Tudorów. Jesteśmy wykończeni. Wszyscy z wyjątkiem Roba, on przypomina kota siedzącego na rozżarzonych węglach, jest spięty, jakby go coś trapiło.

- Mamy duży problem - syczy przez zęby. - Ktoś nas śledzi.

Każę mi wyjść na zewnątrz i dyskretnie pospacerować po okolicznych uliczkach, zapisując numery rejestracyjne samochodów. Będzie mógł wtedy sprawdzić, czy nie ma w pobliżu pojazdów, przed którymi go ostrzegano. To dla naszego bezpieczeństwa, mówi. Wyśle szczegółowe dane do centrali, żeby je mogli sprawdzić.

Wymykam się ostrożnie z domu z notesikiem i długopisem i spisuję numery z tablic rejestracyjnych wszystkich znajdujących się w okolicy samochodów. Myśl, że ktoś mnie obserwuje, jest straszna, więc staram się jak najszybciej uwinąć z powierzonym mi zadaniem. Wróciwszy do domu, wręczam Robowi kartkę. Jestem wykończona, chcę tylko móc położyć głowę na poduszce, zanim zasnę na stojąco. Stres zniekształca uczucie zmęczenia i sprawia, że czuję się, jakbym była podminowana, a jednocześnie pod wpływem środków odurzających.

Otwieramy torby, kiedy nagle Rob wypada jak burza, mówiąc, że musimy natychmiast wyjeżdżać.

- Ale przecież dopiero przyjechaliśmy - protestuję.

- Myślisz, że to moja wina? To ten twój cholerny ojciec, Sarah. To szalenię. Właśnie dał nasz adres Jimowi Cooperowi. - Freegard spogląda na Johna, którego wzmianka o Jimie Cooperze najwyraźniej przeraziła.

- O, cholera - mówi John.

- O tak, i to ciężka cholera - wrzeszczy Rob. - Tata-detektyw, że też on musi być tak cholernie głupi, żeby wtykać nos w nie swoje sprawy. Teraz IRA wie dokładnie, gdzie się zatrzymaliśmy i zaraz tu będą. Jesteśmy w olbrzymim niebezpieczeństwie i to wszystko przez ciebie, Sarah. Nie mamy wyboru, musimy uciekać. Natychmiast!

- Ale ja nic nie rozumiem. Przecież to tylko Jim Cooper. - Patrę bezradnie na Johna.

- Sarah, Rob ma rację. Twój tata nie mógł gorzej wybrać. No już, musimy się stąd zabierać.

Jestem totalnie przerażona i kompletnie zdezorientowana. Co do diabła ma z tym wszystkim wspólnego Jim Cooper? Ale nie ma czasu na wyjaśnienia. Spoglądam na moje rzeczy, chwytam małą torbę z ubraniem i biżuterią i wybiegamy z domu w ciemną noc.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na tropie

NETHER HALE, 11 MAJA 1993

Kiedy Sarah powiedziała ojcu o swojej pracy w firmie ubezpieczeniowej, Peter zatelefonował do Commercial Union, żeby zwerfikować wiadomość. Zapewnili go, że córka tam nie pracuje, a co więcej, że nie przyjęliby nikogo bez dyplomu szkoły wyższej, a gdyby nawet ją zatrudnili, płaca początkowa dla absolwenta uczelni byłaby o połowę mniejsza od kwoty, którą podała Sarah.

Kiedy właściciel domu przy Martinsbridge Road zadzwonił do Petera z prośbą o referencje, powiedział mu, że według niego studenci mają pracować w Perkins Engines, a nie w Commercial Union. Wszystko to nie miało dla Petera żadnego sensu. Był zły i czuł, że go wprowadzono w błąd.

Wróciwszy do swojego biurka, Peter jeszcze raz się zastanowił nad rozmową z byłym właścicielem Swana. John Sims wspomniał, że Robert Freegard ciągle się przechwalał swoją byłą sympatią, Alison, powtarzając, jak bardzo jest dla niego ważna. Freegard nawet wziął Simsa na przejażdżkę po Derbyshire w okolice jej starego, wiejskiego domu, żeby mu pokazać, jak ładnie jego dziewczyna mieszka. Właściciel opisał tę okolicę. Peter miał świeży trop.

Wykręcił numer. Sądząc po głosie, osoba, która odebrała telefon, była w średnim wieku. Mogła to być matka dziewczyny.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Peter Smith i przypuszczam, że może będzie mi pani mogła pomóc. Próbuje odnaleźć córkę. Jest z człowiekiem o nazwisku Freegard, Robert

Freegard. Sądzę, że go pani zna.

Peter uważnie wysłuchał opowiadania kobiety o tym, jak to Freegard wcisnął się do ich rodzinnego domu i robił, co mógł, żeby doprowadzić do nieporozumień. Dowiedział się następnie, jak Alison, była dziewczyna Freegarda, odkryła, że ukradł on z jej rachunku bankowego 600 funtów. Najwyraźniej pobrał tę kwotę, aby oddać pieniądze, które wcześniej od niej pożyczył. Wstrząśnięta jego oszustwem, córka rozmówczyni Petera Smitha postanowiła zakończyć znajomość, ale Freegard nie chciał się z tym pogodzić. Kiedy zawiodły próby i pochlebstwa, odwołał się do przemocy.

Do swojego domu w Worksop zaprosił kolegę. Tenże kolega sądził, że jego obecność miała pomóc Robertowi w rozwiązaniu kłopotów sercowych, ale kiedy mu Freegard przedstawił w skrócie plan porwania Alison z użyciem młotka i liny, ze zdumieniem zrozumiał, że perswazja, tak jak ją pojmował Freegard, polegała na agresji. Uciekł i udał się wprost na policję. - Może spróbowałby pan zadzwonić na posterunek w Worksop - powiedziała matka Alison.

Nie tracąc czasu, Peter czym prędzej poszedł za jej radą. Powiedział telefonistce z policyjnej centrali, że próbuje odnaleźć córkę, która się według niego zadała z nieodpowiednimi ludźmi, wśród których jest młody człowiek mieszkający w ich okolicy, Robert Freegard. Telefonistka połączyła go z oficerem o nazwisku Ivan Stallworthy. Peter przedstawił mu swoje obawy.

- No tak, pan Freegard. Nie jest to ktoś, kogo łatwo zapomnieć - powiedział Stallworthy monotonnym głosem z silnym akcentem z Nottinghamshire. - To facet żyjący w świecie fantazji - mówił dalej krótkimi, lapidarnymi zdaniami, nie spiesząc się. - O cokolwiek go pytaliśmy, mówił nieprzerwanie. Lubi młode kobiety z pieniędzmi. Kiedyś mieszkał w Worksop z matką. Ma się stawić w sądzie jeszcze w tym miesiącu za kradzież i podżeganie do porwania; chodzi o jego byłą dziewczynę.

Peterowi serce zabiło mocniej. Podżeganie do porwania? Zaczynało to być poważniejsze niż mu się do tej pory wydawało. Próbował nacisnąć oficera, żeby mu poradził, jak ochronić Sarah.

- Może pan oczywiście zgłosić jej zniknięcie. Obawiam się, że poza tym niewiele pan może zrobić. Freegard nie narusza prawa. Sarah jest pełnoletnia i najwyraźniej jest z nim z własnego wyboru. Na pańskim miejscu, obserwowałbym jej konto bankowe i nie blokowałbym linii telefonicznej.

Peter próbował przetrwać ten niepokojący zwrot akcji. Freegard został oskarżony tuż po tym, jak Sarah rozpoczęła swój ostatni rok studiów w Harperze Adamsie, mniej więcej w tym czasie, kiedy studenci zaczęli parkować samochody w Swanie.

- Szczególny sposób odzyskiwania uczuć dziewczyny - pomysłał na głos. - Z kim się Sarah u diabła zadała?

SARAH, SZKOCJA

Wychodzimy właśnie z samochodu w zatoczce parkingowej nad Loch Ness, żeby rozprostować nogi, kiedy dzwoni komórka Roba.

- Halo. Tak, mamo. Kiedy się to stało? - Twarz Freegarda ciemnieje, aż przybiera wyraz nienawiści. Mam złe przeczucia, ta rozmowa nic dobrego mi nie wróży.

- Peter Smith. Tak. To ci dopiero niespodzianka. Powiedział, że co takiego robi? Że próbuje odnaleźć Sarah? Rozumiem.

Rob syczy jak rozwścieczona osa. Kończy rozmowę i odwraca głowę, piorunując mnie wzrokiem.

- Twój ojciec, Sarah, jest jednym wielkim pieprzonym cieniem w oku. Przez to jego mieszanie się w nie swoje sprawy jest dla nas większym zagrożeniem niż ta cholerna IRA. - Teraz już krzyczy. - Czy ty sobie zdajesz sprawę, do jakiego stopnia ten twój szalony ojciec naraża całą operację na niepowodzenie? Jestem naprawdę niezadowolony. Co więcej, moi szefowie będą niezadowoleni, a to znacznie poważniejsza sprawa. Wszystko się teraz co najmniej przedłuży. Im bardziej ten cholerny człowiek będzie grzebał w sprawie, tym więcej czasu upłynie, zanim będziecie się mogli znów spotkać z rodzinami. I tym dłużej my wszyscy będziemy tkwili w tym gównie. Czy wyrażam się jasno?

Przytakuję skinieniem głowy, czuję się okropnie. Rob zwraca się do Johna, który się temu wszystkiemu przysłuchuje z wyrazem zmartwienia na twarzy. Maria gdzieś odeszła, ale jestem pewna, że wie, że coś się dzieje.

- John, będziesz musiał zadzwonić do Petera Wszechwiedzącego Smitha i powiedzieć mu, że umierasz nie na raka, tylko na AIDS, dobra? Może się od nas odczepi, jak to usłyszysz.

Nie sądzę, żeby powiedzenie mojemu ojcu, że John ma AIDS, mogło w jakikolwiek sposób poprawić sytuację. Może pogorszyć sprawę, ponieważ da mu to po prostu jeszcze jeden powód do zmartwienia.

- To się nie uda.

- Co przez to rozumiesz? - pyta Rob.

- Znam ojca. Tak jak już przedtem powiedziałam, jak się do czegoś zabierze, to nie popuści. To doprowadzi do jeszcze większych kłopotów.

- A niech cię! - wyrzuca z siebie Rob, odwracając się nagle do mnie i wygrażając mi palcem przed samym nosem. - Wszystko przez ciebie. Jesteś już teraz tak powszechnie znana, że moglibyśmy równie dobrze dać ogłoszenie do „Timesa” i powiedzieć wszem i wobec, gdzie jesteśmy. Nie ma wyjścia. Potrzebujesz charakteryzacji. Będziesz musiała zmienić wygląd. Trzeba coś zrobić, żebyś się mniej rzuciła w oczy.

Wygina palce, zastanawiając się. - Obetnij włosy na krótko, najwyżej dwa, dwa i pół centymetra od głowy i rozjaśnij je. Na początek wystarczy.

Ignorując moje protesty, Rob wolno chodzi tam i z powrotem, z zaciśniętymi ustami i chłodem w oczach. - Czyżbyś nie chciała ochronić siebie i rodziny przed terrorystami? - Milczę, słowa więzną mi w gardle, jeszcze zanim się zdążą uformować. Cóż mogę na to odpowiedzieć?

Zadowolony z siebie Rob łapie Johna za ramię i odchodzą w stronę jeziora, zostawiając mnie obok samochodu razem z moimi przemyśleniami na temat rozwoju wydarzeń. Na początku nie zauważam Marii. Wygląda na niepewną siebie, kiedy mamrocze pod nosem coś, co nie od razu do mnie dociera. To kolejna bomba na zakończenie tego dnia.

- Jesteś pewna? - pytam.

Mówi, że tak, że jest prawie pewna. Jest w ciąży z Robem.

Pokój Jill Smith został przekształcony w sztab wojenny. Na ścianie wisiała olbrzymia mapa Anglii, Walii i Szkocji z wpiętymi w nią w wielu punktach kolorowymi pinezkami. Każda z nich oznaczała miejsce, gdzie wiadomo było, że Sarah podjęła z banku gotówkę - każda była niemyym echem jej obecnego życia, jej ucieczki.

Śledzenie Sarah stało się pracą niemalże na pełen etat, kampanią prowadzoną w sposób wojskowy. Sarah wydawała pieniądze jak szalona, płacąc kartą kredytową Access, a ponieważ konto było założone na farmę, Peter i Jill otrzymywali wszystkie rachunki. Siedzieli właśnie nad ostatnim wyciągiem z banku, próbując znaleźć jakąś logikę w przemieszczaniu się Sarah, wpinając jednocześnie w mapę pinezkę w każde nowo zidentyfikowane miejsce.

- W ciągu ostatnich czterech tygodni byli dokładnie wszędzie, spójrz na to, skarbie - powiedziała Jill, podając mężowi wyciąg. Wynikało z niego, że przebywali w Newcastle-upon-Tyne, Sheffield, Banbury, Rugby, Warwick i Leamington Spa; podane były nazwy hoteli, w których się zatrzymali. Wyglądało na to, że to Sarah finansuje całe towarzystwo.

Zadzwonił telefon. Peter pomyślał, że może to ten, na który czeka. Od kiedy John Atkinson powiedział mu, że jest chory na AIDS, Peter wszystkimi sposobami próbował sprawdzić tę informację. Dowiedział się, że kilka miesięcy przed „tajemniczą podróżą” oboje, John i Sarah, oddali krew na uczelni. Według Petera było absolutnie oczywiste, że ktoś, kto jest nosicielem wirusa HIV nie zostałby honorowym krwiodawcą, zaczął więc prowadzić swoje dyskretne śledztwo. Zaginęła jego córka, czy może zechcieliby mu pomóc?

Głos w słuchawce brzmiał autorytatywnie. Dzwoniono w sprawie badań krwi Johna Atkinsona i okazało się, że jest dokładnie tak, jak Peter przewidywał: krew Johna była zupełnie normalna.

Peter zagotował się ze złości. - Za kogo oni nas biorą? Kompletni idioci!

Jill wydawała się przybita. Czując matczyną troskę w stosunku do córki, zastanawiała się teraz, czy zachowanie Sarah nie jest wynikiem jakiegoś błędu rodzicielskiego. Wiedziała, że Sarah była

nieszczęśliwa z powodu wysłania jej do szkoły z internatem. Może to, co się teraz dzieje, było spóźnionym aktem rebelii. Chciała porozmawiać z Peterem o tym, co czuje, ale jej mąż był człowiekiem, dla którego ważne były fakty, a nie uczucia: życie było zbudowane z pewników, nie z niewiadomych; szukanie dowodów to domena nauki. Tak więc Peter dopuszczał do siebie tylko konkrety, a Jill, zamiast z nim, rozmawiała z komputerem, zadowolając się tym, że może wypowiedzieć na głos swoje troski, nawet jeżeli nikt tego nie słyszy.

Parę dni temu napisała list do Sarah i wysłała go do rodziców Marii Hendy z nadzieją, że prześlą go dalej:

Podjęłaś decyzję na dobre i na złe, no i wynajęłaś dom. Będziemy stać za Tobą niezależnie od tego, co się wydarzy (choćby byłyby nam dużo łatwiej, gdybyśmy znali prawdę i wiedzieli, czego Ty sama chcesz). Przykro nam, kiedy myślimy o Tobie siedzącej w pustym domu w Peterborough, podczas gdy wszystkie Twoje rzeczy są tutaj. Bardzo byśmy chcieli się z Tobą spotkać i porozmawiać, ale jeżeli nie możesz albo nie chcesz z nami rozmawiać, to chociaż przyjedź, kiedy nas nie będzie w domu i weź swoje meble. Możesz zabrać jedno z łóżek z poddasza i materace, ile chcesz, z drugiego strychu. My prawdopodobnie wyjedziemy na pierwsze dwa tygodnie czerwca.

Jeżeli zaś chodzi o Petera, to po rozmowie z komisariatem w Worksop był on w pełni przekonany, że Robert Freegard coś knuje. Nie mógł tylko pojąć, dlaczego Sarah i John godzą się na kłamstwa Freegarda i dlaczego Sarah nie chce im powiedzieć, gdzie jest. Czegoś mu w tym wszystkim brakowało.

SARAH

Urzędnik w Lloyds Banku przelicza pieniądze, całe siedem i pół tysiąca funtów, banknoty migają mi przed oczami we wszystkich kolorach tęczy. Nigdy przedtem nie widziałam takiej ilości gotówki na raz.

W ciągu ostatnich kilku dni przejechaliśmy z jednego końca kraju na drugi - powtórnie. Z Edynburga do Winchesteru, przez Banbury w Oxfordshire i Poole w Dorset, niekończące się setki

ponurych kilometrów i monotony głos Roba powtarzający w kółko, że trzeba zacierać ślady. Stało się to jego mantrą, a w tle nieustannie rozbrzmiewa „Ordinary World” Duran Duran, płyta, którą puszcza przez cały czas.

Oznajmia, że potrzebujemy pieniędzy na pokrycie kosztów utrzymania. Dostaje on co prawda od swojego wydziału budżet na codzienne wydatki, ale, jak mówi, bardzo go przekroczyliśmy, a winę za to ponosi mój ojciec, ponieważ doprowadził do zdemaskowania nas w Peterborough. Od tamtej pory brniemy w długi, podróżując po całym kraju, zmieniając hotele, starając się zmylić pościg IRA. - Ale nie martwcie się tym. Odzyskacie wszystkie pieniądze, później - obiecuje.

Tak więc stoję oto w filii Lloyds Banku w Winchesterze, dawnej stolicy Anglii, byłej siedzibie króla Alfreda, patrząc ponuro, jak kasjer odlicza ostatnie już pieniądze z mojego rachunku oszczędnościowego. Tyle papieru; paliwo niezbędne do ucieczki. Rodzice zablokowali konto, ale jakoś sobie z tym poradziłam; osobiście się stawiałam w banku i udało mi się przekonać urzędnika, żeby odblokował rachunek. - To ja jestem Sarah Smith - powiedziałam. - To moje konto. Może pan sprawdzić wiarygodność podpisu. - Bank nie był w stanie odeprzeć tych argumentów.

Ściskając w rękę plik banknotów, wracam do samochodu, gdzie czeka Rob. - Udało się, nie? - pyta szorstko. Gwałtownym ruchem podaję mu pieniądze, ale mnie powstrzymuje, sięgając ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Posłuchaj, co zrobimy. Chcę, żebyś włożyła pieniądze do tej koperty i podpisała się na złączu. - Rob wyciąga pióro. - W ten sposób będziemy mieli pewność, że nikt w niej nie grzebie. Wiemy, że to twoje pieniądze, a kiedy się to wszystko skończy, otrzymasz z powrotem całą kwotę z procentem.

- Jesteś absolutnie pewny, że wszystko zostanie mi zwrócone? - pytam spokojnie.

- Absolutnie. Przestań się wreszcie przejmować i choć raz mi zaufaj, dobrze? Zostaniesz sownie wynagrodzona za wszystkie kłopoty i niebezpieczeństwa, w których się znalazłaś.

Robię to, co mi Rob każe robić: wkładam pieniądze do koperty, oblizuję ją, zamykam, podpisuję i wreszcie mu ją podaję. Nie mam wyboru, muszę mu zaufać, w końcu jest przedstawicielem rządu.

Zgodnie z tym, co mówi Rob, zostaniemy objęci programem ochrony świadków i we właściwym czasie dadzą nam nową tożsamość i nowe życie. A tymczasem konieczne jest, żebyśmy zniszczyli wszelkie oznaki swojej dotychczasowej egzystencji. Ważnym elementem tego procesu będzie rozwiązanie sprawy śladu, jaki zostawiają pieniądze. Jak twierdzi Rob, dla terrorystów byłoby dziecinną igraszką nas wytropić, śledząc transakcje bankowe, tak więc musimy stopniowo zniknąć z radaru finansowego IRA - nie od razu, bo to mogłoby przyspieszyć ich akcję, ale etapami. Aby to umożliwić, jego wydział otworzył bezpieczne, niewykrywalne konta policyjne. Szeffowie Roba chcą, żebym przetransferowała wszystkie swoje oszczędności na te właśnie rachunki. Tak więc mamy być w ciągłym ruchu, nigdy się na dłużej nie zatrzymywać w jednym miejscu, po drodze wybierać niewielkie ilości gotówki i oddawać pieniądze Robowi.

W mojej głowie ponownie dzwięczy dzwonek alarmowy. Zasadą to jedna sprawa, a pieniądze druga. Pomysł, żeby wyciągnąć wszystkie oszczędności i przekazać je komuś na wiarę, wydaje mi się absurdalny. Pomimo ciągłych zapewnień Roba, że to tylko środek tymczasowy i że jego wydział odda nam pieniądze z procentem, kiedy dostaniemy nową tożsamość, nie jestem do tego do końca przekonana.

- Nie podoba mi się pomysł oddawania pieniędzy komukolwiek, a zwłaszcza ludziom, których w życiu nie widziałam - sprzeciwiam się.

Jesteśmy z Robem sami. - Czy ty chcesz, żeby cię Provo znaleźli, Sarah? Przecież wiesz, że jeżeli do tego dojdzie, nie tylko ty znajdziesz się w niebezpieczeństwie, natychmiast zabiorą się też za twoją rodzinę - przekonuje, próbując mnie uspokoić. - Na pewno się nie zdadzą na przypadek. Jeżeli zlikwidują ciebie, dlatego że ja rozpracowuję ich siatkę, to zlikwidują też twoją rodzinę, z tego tylko powodu, że jesteś ich córką. Tak to po prostu działa.

Ton jego głosu jest uspokajający, a jednocześnie przepraszający. - Czy tego chcesz, Sarah?

Wzdycham ze znużeniem. Gubię się w płątaniu obaw, zamiętu, paniki, rozpacz i strachu, które paraliżują mój umysł. Brak nadziei na spotkanie z rodziną, świadomość, że są w śmiertelnym niebezpieczeństwie, John umierający na raka, za dużo tego wszystkiego, nie umiem sobie z tym poradzić. A w dodatku jestem wykończona z powodu samej ilości kilometrów, które przemierzaliśmy i godzin, które spędziliśmy w drodze.

- Bądź tak miła i postaraj się ze mną kooperować - kontynuuje.
- Chyba nie po to zrobiliśmy te setki kilometrów po całym kraju i nie po to znosimy cały ten bajzel, żebyś ty się teraz zaczęła bez sensu zamartwiać o to, co masz w skarbonce. Robię, co mogę, żeby was chronić.

Słucham z ponurą miną, ale nic nie mówię. Z utęsknieniem myślę o Nether Hale, o tym, jak bardzo bym chciała być w domu. Nie, oczywiście, że nie chcę zdradzić miejsca naszego pobytu. Gdzieś w głębi serca nie godzę się z tym wszystkim, ale nie sądzę, żebym miała jakikolwiek wybór, muszę przystać na propozycje Roba.

Zawieszeni między podejrzeniami a strachem, spędzamy kolejne kilka dni, jeżdżąc po całym kraju od jednego bankomatu do drugiego. Rob co i raz zatrzymuje się przy budkach telefonicznych, żeby odebrać instrukcje od swoich bossów z Londynu na temat, dokąd mamy się następnie udać i co robić. Właśnie wyciągnęłam ostatnie pieniądze z moich rachunków: bieżącego i depozytowego. Oba są już puste.

Czy fakt, że troje studentów uwierzyło w to, co im powiedział Freegard, świadczy po prostu o ich głupocie? Można by przyjąć takie rozumowanie, ale przecież była to trójka bardzo różnych młodych ludzi; oszukanie jednego z nich mogłoby wskazywać na głupotę tego pojedynczego osobnika, ale oszukanie ich wszystkich sugeruje pewną prawidłowość. Sarah, John i Maria padli ofiarą okrutnej, niezwyklej, potężnej, ale i misternej manipulacji.

Freegard posiadał nadzwyczajną umiejętność kłamania i zwodzenia w sposób przekonujący. Twierdził, że ma prawie trzydzieści lat, kiedy miał zaledwie dwadzieścia jeden. Utrzymywał, że ma dyplom magistra psychologii z uniwersytetu oksfordzkiego, a nigdy go nie miał. Mocno przesadził, podając liczbę studentów irlandzkich w szkole rolniczej Harpera Adamsa. John Taylor z zespołu Duran Duran nie był bratem Freegarda, a Jim Cooper nie był członkiem IRA, a jednak Freegardowi udało się sprawić, że uwierzono

w prawdziwość jego twierdzeń. Wezwanie z sądu w Nottingham, które pokazał Johnowi, w istocie dotyczyło jego samego.

Najbardziej udane kłamstwa bardzo często bazują na prawdzie i to właśnie było jedną z najsilniejszych stron oszustwa Freegarda. Zagrożenie związane z zamachami IRA w Wielkiej Brytanii i ostatnie wydarzenia na uczelni związane z konfliktem irlandzkim były rzeczywistością i to uwiarygodniło fantazje szpiegowskie Freegarda. Kolejne kłamstwa wydawały się jak najbardziej prawdopodobne.

Podając się za tajnego agenta pracującego dla rządu brytyjskiego, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo publiczne, Freegard, umyślnie albo nieumyślnie, ustawił się z racji posiadanej władzy na pozycji dominującej, a ponadto, dzięki temu mistrzowskiemu posunięciu, znalazł się poza jakąkolwiek kontrolą. Jako że był agentem, jego tożsamość i dokumenty ją potwierdzające nie mogły podlegać weryfikacji. Studenci mieli niewielkie doświadczenie życiowe, a ponieważ zostali wychowani w sposób typowy dla klasy średniej, to znaczy w szacunku dla władzy, Sarah, John i Maria nie mieli powodu Freegardowi nie wierzyć, tak więc poddali się jego „fachowym radom”.

Zadziwiająco dokładna znajomość życia osobistego Sarah była kolejnym atutem w rękę Freegarda. Nie wiadomo, czy miał autentyczną wiedzę na temat jej funduszu powierniczego i rachunków bankowych, czy też nie. Jego „poufne informacje” były prawdopodobnie jedynie sprytną konfabulacją, połączeniem trafnych spostrzeżeń, dobrej pamięci i sprytu, ale przydały wiarygodności jego twierdzeniom. Freegard miał zadziwiającą pamięć do drobiazgow. Potrafił w trakcie rozmowy wychwytywać szczegóły, po czym pieczołowicie gromadził te skarby, aby móc je odkopać i użyć tychże cennych informacji, wtedy i tam, gdzie ich potrzebował - kiedy rozmówcy dawno już nie pamiętali, co mu powiedzieli.

Freegard nie był w swych umiejętnościach wyjątkowy. Posiadał wiele cech charakterystycznych dla przywódców sekt - był osobnikiem w typie Davida Koresha - którzy dzięki inteligencji, charyzmie i intuicji potrafili dostrzeć u innych podatność na wpływy i wykorzystali tę cechę, aby podporządkować sobie słabsze jednostki. W wypadku Sarah, Freegard szybko wyczuł jej brak pewności siebie w stosunku do mężczyzn, więc pozyskał Johna, który mimowolnie posłużył mu za narzędzie do usidlenia Sarah.

Niezależnie od tego, czy Freegard sobie z tego zdawał sprawę, czy nie, dalej rozgrywał tę partię w równie klasyczny sposób: zaczął swoich studentów dezorientować. Rzekoma choroba Johna i „tajemnicza podróż” wytworzyły chaos i zamieszanie, dzięki czemu łatwiej było narzucić im swoją wolę. Kiedy mu się udało wywabić ofiary ze znanego im środowiska, mógł jeszcze bardziej zwiększać presję i wykorzystywać ich strach przed IRA. Chociaż Sarah i Johna nękały pewne wątpliwości co do sytuacji, w której się znaleźli - nawet te wątpliwości wyrażali - byli jednak na tyle zastraszeni, że nie kwestionowali zbyt mocno wiarygodności Freegarda.

Freegard prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że, jeżeli chce utrzymać swoje ofiary pod kontrolą, musi podsycać ich obawy. Kiedy powstało zagrożenie, że ojciec Sarah stanie się przysłowiowym cierniem w oku, Freegard sprytnie obrócił to na swoją korzyść, robiąc z Petera Smitha kolejnego straszaka. Freegard nigdy nie sugerował, że Peter Smith jest złym człowiekiem lub że chce im w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Zamiast tego wmówił studentom, że Peter kompletnie nie panuje nad sytuacją i że jego wtrącanie się może wszystkich narazić na niebezpieczeństwo, łącznie z nim samym. W ten sposób Freegard uczynił z Petera źródło zagrożenia, nie podważając miłości Sarah do ojca. To był ważny moment. Gdyby mu się ta sztuczka nie udała, cała jego podstępna koncepcja mogła runąć. Freegard metodycznie wykorzystywał ojca Sarah w charakterze straszaka, żeby stworzyć poczucie, że sytuacja jest krytyczna, że w powietrzu wisi zagrożenie. Dzięki temu mógł utrzymywać swoje ofiary w stanie dezorientacji, każąc się im przemieszczać z miejsca na miejsce bez żadnego uprzedzenia.

Jest mało prawdopodobne, żeby Freegard miał generalny plan akcji, a nawet żeby sobie umiał wyobrazić, dokąd to wszystko prowadzi. Jego metoda polegała raczej na eksperymentowaniu, sondowaniu i testowaniu, dzięki czemu mógł stwierdzić, które jego posunięcia działają, a następnie ocenić ich skuteczność. Kiedy jego pomysły spotykały się z niedowierzaniem studentów, inaczej formułował zdanie, mówiąc, że tylko żartował albo że ich „testował”. W ten sposób szybko się przekonał, co było skuteczne, a co nie. Dla przykładu, zachowanie studentów zasadniczo się zmieniło, kiedy Freegard objawił im, że jest „szpiegiem”, ale przeświadczenie, że może przejść do bardziej wyrafinowanego poziomu manipulacji, było wynikiem jednego, szczególnego manewru. Freegard każdą ze swoich ofiar, po kolei, zawiózł do rodziców - ale nie indywidualnie, lecz jako członka grupy; grupa

nigdy się nie rozdzielała. Dla Freegarda był to moment przełomowy, nagle zdał sobie sprawę, do jakiego stopnia kontroluje studentów: udowodnił, że jest w stanie zerwać najsilniejszą więź, jaką posiadają - więź z rodziną. Od tego momentu zaczął nadużywać swojej nowo odkrytej władzy.

Co istotne, stał się dla nich jedynym punktem odniesienia, jedynym gwarantem bezpieczeństwa. W miarę jak studenci coraz bardziej się od niego uzależniali, Freegard miał nad nimi coraz większą władzę.

Odsunąwszy bezpośrednie zagrożenie ze strony rodziców Sarah, Freegard sprowokował ciąg wydarzeń, które miały mu umożliwić jeszcze silniejsze zaciśnięcie pętli wokół swych ofiar. W tym celu potrzebował stałej bazy dla siebie i Marii, miejsca, które mógł kontrolować, gdzie mógłby schować Sarah i Johna i całkowicie ich wszystkich zdominować - byłby to w istocie jego „azył”.

Po opuszczeniu Peterborough Freegard wrócił do tej części kraju, którą znał najlepiej, do północnej Anglii. W gazecie „Sheffield Star” zauważył ogłoszenie: do wynajęcia było „luksusowe mieszkanie” w dzielnicy Hillsborough - zaledwie pół godziny jazdy samochodem od jego rodzinnego miasta, Worksop. 17 czerwca 1993 roku zatelefonował pod podany numer.

Właścicielka pokazała mu mieszkanie, które się mieściło na dwu górnych piętrach domu szeregowego przy Dorothy Road. Freegard zdecydował się natychmiast. Podpisał umowę najmu na sześć miesięcy i wręczył kobiecie 840 funtów gotówką, równowartość czynszu za dwa pierwsze miesiące.

Kiedy właścicielka i jej mąż zapytali, czym się zajmuje, powiedział, że pracuje w holdingu British Nuclear Fuels (BNFL) i że zamierza się urządzić w mieszkaniu ze swoją przyjaciółką. Nie wspomniał ani o Sarah Smith, ani o Johnie Atkinsonie.

Mając bezpieczne miejsce do prowadzenia swojej działalności, Freegard gotował się do zaciśnięcia pętli wokół Sarah i Johna.

Część trzecia

PRANIE MÓZGU
czerwiec 1993 - marzec 1994

ROZDZIAŁ ÓSMY

W jarzmie niewoli

SARAH, SHEFFIELD, 19 CZERWCA 1993

Przyjechaliśmy do Sheffield w hrabstwie North Yorkshire. Nasz mały domek szeregowy jest usytuowany przy łagodnie opadającej ulicy Dorothy Road w podmiejskiej dzielnicy o nazwie Hillsborough. Rob mówi, że będzie to kryjówka dla niego i Marii i że dół zajmuje ktoś z tajnej ochrony, którego zadaniem jest nas pilnować. Na razie wszyscy będziemy mieszkali pod jednym dachem, ale wkrótce dla naszego własnego bezpieczeństwa zostaniemy przetransportowani do indywidualnych kryjówek.

Niekończące się rzędy identycznych domów szeregowych - jakże zazdroszczę wszystkim tym ludziom żyjącym „normalnym” życiem. Jakże chciałabym wrócić na studia. Wprost nie mogę uwierzyć, że sprawy przybrały taki obrót; mam wrażenie, jakbym była w cudzej skórze. Marzę o dniu, kiedy się obudzę z tego koszmaru.

W lustrze w łazience widzę młodą kobietę, której nie rozpoznałam. Ta nieznajoma ma włosy króciutko obcięte, utlenione na blond w drogim zakładzie fryzjerskim. Wcale nie wyglądają ładnie, są wręcz brzydkie, to upokarzające. Odwracam się, zniesmaczona. Wizyta u fryzjera w Edynburgu była wydarzeniem bardzo przygnębiającym. Moje długie, grube, brązowe włosy spadały na podłogę, tworząc wielką, ciemną plamę. Musieli użyć tak dużo rozjaśniacza, że mi poparzyli skórę i ciągle odczuwam ból.

Mieszkanie znajduje się na dwóch ostatnich piętrach, jedno z nich zostało przerobione ze strychu i właśnie tam będziemy mieszkać z Johnem.

Pokój jest zupełnie pusty, pozbawiony wszelkiego umeblowania poza dwoma wbudowanymi szafami - nie ma łóżka, nie ma komódek, nie ma szafek. Rob zabiera mnie do sklepu, żeby kupić kołdrę i dwie poduszki, na mój koszt, ale z powodu braku materaca i tak trzeba będzie leżeć na twardej podłodze, a poza tym w pokoju jest zimno. Tu na górze nie ma żadnego ogrzewania w przeciwieństwie do pomieszczeń znajdujących się poniżej, gdzie Rob będzie mieszkał z Marią. Rob mówi, że Marii należą się specjalne przywileje, ponieważ jest w ciąży. - Zachowujcie się spokojnie i uważnie, kiedy z nią jesteście - prosi. - Nie denerwujcie jej.

Rob bez cienia współczucia tłumaczy, że John i ja nie powinniśmy w ogóle nic wiedzieć o kryjówce przy Dorothy Road - ja powinienam być teraz w domu w Peterborough, a nie tu w Sheffield. Od początku częścią planu było rozdzielenie naszej czwórki, w ten sposób trudniej byłoby nas znaleźć. Jednak te zamiary zostały zniweczone przez mojego ojca, kiedy powiedział Jimowi Cooperowi, gdzie się znajdujemy. Wiem już teraz, dlaczego trzeba się mieć na baczności przed Jimem. Rob wyjaśnił podczas podróży po kraju, że nasz były współlokator jest aktywistą IRA. Tak więc John i ja mamy mieszkać z Robem i Marią, dopóki centrala nie załatwi nam innych kryjówek. Do tego czasu wszystkie nasze ruchy będą przez Roba ściśle kontrolowane.

Ponieważ to, że musimy przebywać wszyscy razem w jednym miejscu, naraża nas na większe ryzyko, Rob zapoznaje nas naprędce z założeniami życia w ukryciu i przedstawia listę zasad, do których będziemy się musieli stosować. Jeżeli na przykład usłyszymy dzwonek do drzwi, nie wolno nam otwierać. Jeżeli się pojawi ktoś podający się za policjanta, na pewno będzie to pułapka, ponieważ żadne inne władze nic nie wiedzą o tajnej, antyterrorystycznej operacji na uczelni ani o tym, że jesteśmy w to wmieszani poprzez związek z Robem.

Rozglądam się po pustym poddaszu i wzdygam się nerwowo. Daleko mi do moich kolorowych pokoi na uczelni i w domu. Dzielenie tego pomieszczenia z Johnem będzie męczące, ponieważ zbyt dobrze się nam nie układa. Niezmiennie bierze on stronę Roba, jeżeli chodzi o tę sprawę z moim tatą - a tak naprawdę, także w każdej innej dziedzinie. Jakoś nie mogę do niego dotrzeć, a poza tym niewiele mamy okazji do rozmowy, bo w ciągu dnia, a przeważnie również

wieczorem, wychodzi na akcje z Robem.

Pozostaje mi mieć nadzieję, że Rob myśli poważnie, mówiąc, że jest to tylko rozwiązanie tymczasowe i że wszystko wkrótce wróci do normalnego stanu.

Z czułością spoglądam na małą, połyskującą kupkę biżuterii na moich kolanach. Wśród tych skarbów jednym z moich ulubionych jest brylantowy pierścionek z opalami w kształcie kwiatu. Pozwoliłam sobie go kupić dokładnie trzy lata temu w Canterbury za pieniądze, które zarobiłam, pracując w czasie wakacji na farmie. Był tak piękny i delikatny, że po prostu musiałam go mieć. Kosztował mnie mnóstwo pieniędzy - siedemset funtów - ale potraktowałam to jako inwestycję i naprawdę jest dla mnie bardzo cenny. Reszta kosztowności to różne pamiątki rodzinne, które dostałam od dziadków i rodziców: dwa złote pierścionki, kolczyki z opalami, naszyjnik obsydianowo-perłowy, brylantowa szpilka. Do wszystkich tych drobiazgów czuję wielki sentyment, ale Rob mówi, że muszę się ich pozbyć.

- Musisz je oddać w zastaw, są najzwyczajniej zbyt charakterystyczne - nalega. - Niezależnie od tego, jak bardzo zmienisz swój wygląd, Sarah, zawsze cię rozpoznają po tej biżuterii. Nie martwiłbym się, gdyby to były jakieś tanie bzdety z byle domu towarowego, ale to są rzeczy jedyne w swoim rodzaju, mogą być katalogowane i jeżeli przez pierścionek, który masz na palcu, może cię poznać koleżanka, to równie dobrze może to być snajper IRA. Trzymając je, narażasz nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

Jestem załamana, a jednocześnie oburzona. - Dlaczego muszę to zrobić?

- Bądź tak miła i przestań krzyczeć - warczy w odpowiedzi.

Zniżając głos, walczę dalej. - Dlaczego nie mogę ich po prostu schować? - Początkowo ignoruje moje pytanie, wpatrując się w coś przez szybę samochodu, po czym chłodnym i beznamietnym tonem mówi: - Słuchaj, Sarah, ty nie masz wyboru. Zrobisz to, co ci każe. Czy znowu muszę ci przypominać, że ciebie i Johna w ogóle tu nie powinno być. Ty powinnaś być w Peterborough, ale dzięki twojemu durnemu ojcu wszyscy jesteśmy teraz w Sheffield, wszyscy jedziemy

na tym samym wózku, a ponieważ jesteśmy razem, ryzyko jest wielokrotnie większe. Jeżeli znajdą jedno z nas, możemy równie dobrze wszyscy wyjść z domu i im pomachać. Ile razy muszę ci wbijać do głowy, że jesteśmy tropieni przez terrorystów z IRA. Oni są bezwzględni. Jeżeli IRA przyjdzie mnie szukać, będą natychmiast wiedzieli, że jeszcze ktoś jest w to zamieszany, nie dlatego że będziesz w domu, ale dlatego że zostawisz swoją cenną biżuterię. Nie mogę się powstrzymać od płaczu.

- Tak czy inaczej, dostaniesz te rzeczy z powrotem. Będą przechowane przez policję, aż się to wszystko skończy.

- Ale skąd mam wiedzieć, czy je dostanę z powrotem? - mówię przez łzy.

Wzdycha rozdrażniony. - Muszę zadzwonić do jednego z moich kolegów. Jak tylko wyjdiesz ze sklepu, on wejdzie i je wykupi. - Przerywa na chwilę. - Zrozum, że ja po prostu postępuję zgodnie z zasadami. To w twoim własnym interesie.

Łzy spływają mi po policzkach na myśl o rozstaniu się z tymi tak mi drogimi przedmiotami, to część mojego życia, ostatnie pamiątki po krewnych, których już nigdy nie zobaczę.

Niespodziewanie Rob śmieje mi się prosto w twarz. - Weźże się w garść - warczy na mnie. - No, do roboty. To nie jest kwestia wyboru, to rozkaz od moich szefów.

Reakcja Roba na moje cierpienie sprawia, że łzy przechodzą w spazmatyczny, dławiący szloch. Przyzwyczaiałam się do obelg, którymi mnie obrzuca, kiedy się sprzeciwiam jego instrukcjom - z pewnością musiałam odziedziczyć sceptycyzm po moim tacie - ale okrutna przyjemność, jaką sprawia Robowi moja strata, jest nie do zniesienia. Czuję się całkowicie pokonana. W końcu jednak i tak nie mam przecież żadnego wyboru. Rozkaz to rozkaz.

Rob wygrał kolejną batalię i teraz wiezie mnie do centrum Sheffield. Parkuje samochód, a ja obserwuję, jak idzie do budki telefonicznej zadzwonić do kolegi, żeby z nim ustalić, do którego lombardu mam się udać. Mówi, że nie będzie ze mną wchodził do środka, bo mogłoby to być zbyt niebezpieczne, gdyby nas widziano razem.

- A teraz się pospiesz - ponagla mnie - bo w przeciwnym razie to ja dostanę po głowie.

Wysiadam. Na ulicach pełno ludzi uszczęśliwionych właśnie zrobionymi zakupami. Wrócą do domu i podzielią się ze swoimi bliskimi radością z kupienia czegoś nowego. Nic na to nie poradzę, w porównaniu z nimi czuję się okropnie. W transakcji, której mam dokonać, nie ma cienia radości. Mam się rozstać z najcenniejszymi rzeczami, jakie posiadam i wcale nie jestem pewna, czy je kiedykolwiek jeszcze zobaczę, niezależnie od tego, co mówi Rob.

- Dam pani za to wszystko sto pięćdziesiąt funtów - oświadcza mężczyzna w rozpinanym swetrze stojący po drugiej stronie kontuaru.

- A kamienie? Dlaczego nie może mi pan za nie zapłacić? - pytam, wstrząśnięta tym, że tak niewiele oferuje.

- Płacimy tylko za złoto, od wagi, nie za kamienie - mówi szorstko.

Jestem zbyt strapiona, żeby się oburzać, tak więc nic nie mówiąc, skinieniem głowy daję znak, że się zgadzam. Bierze ode mnie biżuterię i właściwie prawie nie zauważam, kiedy mi wręcza pieniądze. Wychodzę ze sklepu, jak szybko się da.

Wsiadam do samochodu Roba, ciągle łkając i podaję mu pieniądze.

- Czemu ryczysz? Przecież powiedziałem ci, że wszystko odzyskasz.

- Patrzy na mnie z pogardą, wkładając gotówkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nienawidzę go w tym momencie, ale z przyjemnością myślę o jednym, małym tryumfie. Udało mi się schować przed Robem naszyjnik z czarnych opali, prezent od rodziców na moje dwudzieste pierwsze urodziny. Postanowiłam sobie, że nigdy, przenigdy mi go nie odbierze.

- Wsiadaj do samochodu! - Nie za bardzo wiem, dlaczego Rob jest tak wzburzony, ale ewidentnie nie jest to czas na sprzeczkę, więc robię, co mi każe. To jakiś nowy samochód, nie widziałam, żeby nim kiedykolwiek przedtem jeździł, vauxhall Astra GSI. Naciśka na gaz i już pędzimy ulicami Hillsborough.

- Czyj to samochód?

- Ciszka!

Twarz Roba jest ponura i poważna. Co chwila spogląda w tylne lusterko, co sprawia, że się zaczynam denerwować. Sięga ręką do radia i nastawia kompakt na cały regulator. Tym razem jest to Depeche Mode, jego drugi ulubiony zespół obok Duran Duran. Trzymam się kurczowo uchwyty na drzwiach, próbując się skoncentrować na drodze.

W centrum miasta zatrzymuje się gwałtownie w pobliżu niewielkiego parku i wysiada z samochodu, gestem każąc mi zrobić to samo. Jest wściekły.

- Ile razy do jasnej cholery mam ci powtarzać? - Rob niemal wypluwa słowa, maszerując tu i z powrotem między klombami. - Ty chyba jesteś głupia! To samochód służbowy i jest na podsłuchu. - Zatrzymuje się i przewierca mnie wzrokiem. - Centrala słucha, Sarah. Jeżeli będziesz ciągle narzekała, pomyślą, że to ja niewłaściwie wykonuję polecenia i to ja oberwę. Tak więc mówię po raz n-ty, nie gadać w samochodzie - warczy.

- Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje - protestuję. - To moje życie, nie wydaje ci się? Dlaczego ja?

- Słuchaj, Sarah. Moi szefowie nie są z ciebie zadowoleni. Uważają, że trzeba ci nieco przytrzeć nosa, że masz nierealistyczny pogląd na życie, że nie rozumiesz, o co w nim naprawdę chodzi.

Przyjmuję do wiadomości tę najświeższą informację, zupełnie nie wiedząc, o czym on mówi. Nie może to być nic dobrego. Nie jest.

- Tak więc masz się teraz nazywać Betty Smith. To takie pseudo, rozumiesz? Wiesz chyba, o co chodzi? Pod żadnym pozorem nie wolno ci im zdradzić swojego prawdziwego imienia. Powiedz im, żeby ci płacili gotówką. W ten sposób ani twój ojciec, ani IRA nie będą w stanie cię namierzyć.

Wznoszę ręce ku górze. O czym on do diabła mówi?

- Masz zacząć od zaraz, tam. - Rob ruchem głowy pokazuje rząd sklepów.

- Gdzie? - pytam zdumiona.

- W barze rybnym - odpowiada warknięciem.

- W barze rybnym? Ale dlaczego? Dlaczego mam pracować właśnie tam? - krzyczę, waląc pięścią w dach. Jest po drugiej stronie samochodu i właśnie ma zamiar odjechać i zostawić mnie tutaj, ale

chę, żeby najpierw odpowiedział na moje pytania.

- Jak długo mam to robić? Kiedy wreszcie dostaniemy nową tożsamość?

Rob rzuca w moim kierunku gniewne, ponure spojrzenie. Jestem przerażona.

- Słuchaj uważnie. To ja jestem pod presją. To ja odpowiadam przed moim wydziałem. Jeżeli szef mi mówi, że masz tu pracować, to masz to zrobić. Wiesz, jak to działa, Sarah. Spaprzesz moje życie, a wtedy ja twoje zamienię w piekło. - Wygłosiwszy tę przemowę, wskakuje do samochodu, z furią naciska na gaz i odjeżdża.

Spoglądam na drugą stronę ulicy, wzdrygając się na samą myśl o przekroczeniu tego mojego własnego Rubikonu.

Właścicielką baru o nazwie Option Fish and Chips jest pulchna Greczynka o włosach czarnych jak węgiel. Ma około czterdziestu pięciu lat. - Tutaj trzymamy łupacza i dorsza - mówi z silnym greckim akcentem, w którym pobrzmiwiają nosowe, północnoangielskie tony. - A tu mamy kebaby i pieczonego kurczaka w pikantnym sosie. - Oprowadza mnie po małym pomieszczeniu, wskazując kontuar w kształcie litery L, gdzie na płytach do podgrzewania potraw trzymane są wszystkie dania.

- Tuż koło nas jest klub nocny i po jedenastej zaczyna być naprawdę dużo roboty, szczególnie w weekendy, tak więc musimy pracować szybko i efektywnie. Twoje miejsce jest tu, a moje tu. Ty będziesz pakowała rybę i frytki, przyjmowała pieniądze i nabijała na kasę, a ja będę gotowała. Damy sobie z tym radę we dwie.

Zastanawiam się, co ja do cholery robię w tym obcym mi otoczeniu. Znowu się czuję, jakbym siłą wdarła się w życie zupełnie nieznaney mi osoby albo jakbym się znalazła w innej galaktyce. Stojąca, w tym barze dziewczyna to nie ja. Właśnie teraz powinnam kończyć studia rolnicze i uwieńczyć je zasłużonym, z trudem zdobytym dyplomem licencjata. Przypominam sobie jednak o niebezpieczeństwie, w którym jesteśmy, o groźbach, które wiszą nad moją rodziną i postanawiam, że muszę się pogodzić z rozkazami z Londynu.

- Tutaj przyrządzamy puree z groszku - kontynuuje właścicielka niczym przewodnik oprowadzający wycieczkę. Pokazuje mi małą kuchenkę gazową, na której stoi olbrzymi rondel. - A do czasu, kiedy jesteśmy gotowe do akcji, wszystko trzymamy w tych zamrażarkach. Jeżeli będziesz chciała zapalić, to możesz przez tylne drzwi wyjść na dwór i tam sobie stanąć.

- Nie ma problemu - mówię. - Nie palę.

Do barku wtoczyło się kilku klientów, nie mogą się doczekać, kiedy ich ktoś obsłuży. Jeden z gości, śniady mężczyzna, który najwyraźniej czuje się tu o wiele pewniej niż ja, wydziera się, coś zamawiając. Grecka właścicielka zabiera się do roboty, teraz ważne są tylko jej pulchne, opalone ramiona, siatka na włosach i skwierczący tłuszcz. Staram się wyglądać tak, jak bym wiedziała, co mam robić, ale wszystko tutaj jest dla mnie obce. Muszę się wyłączyć, tylko w ten sposób zdołam jakoś przez to przejść. Mój umysł może i będzie mógł pracować na jałowym biegu, ale od dźwięków i zapachów nie dam rady się odseparować. Do tej pory wszystkie ostre wonie, z jakimi się w życiu zetknęłam, były związane z farmą. Mogę w każdej chwili wyrzucić gnój ze stajni, nigdy też nie przywiązywałam uwagi do błota na ubraniu czy we włosach, ale zapachy, które się rozchodzą w tej frytkami są mi obce; powietrze śmierdzi tłuszczem do smażenia, a nawet jeszcze zanim ten odór ma szansę się rozprzyszyć, na patelnię trafia kolejna partia ryb. Smród odkłada się warstwami, aż wreszcie jest tak gęsty, że mam wrażenie, jakbym się poruszała we mgle. Cała jestem nim przesiąknięta: ubranie, włosy, skóra; atakuje moje nozdrza i usta; jest mi niedobrze, ale nie ma przed nim ucieczki.

- Dwa razy dorsz z frytkami, skarbie i niech pani nie skąpi na occie!

Nic z tego nie rozumiem. Próbuję nie myśleć o domu.

- Kebab i purce z groszku. A może macie saveloy'a*?

Pustka.

- Już późno. Podrzucę cię do domu. - Słowa wypowiedziane z greckim akcentem zaczynają nabierać kształtu gdzieś w bliżej nieokreślonym miejscu w moim umyśle. Jest pierwsza w nocy. Rob

*Saveloy (ang.) - pikantna kielbaska wieprzowa o intensywnie czerwonej barwie, serwowana czasami w angielskich barach Fish and Chips.

powiedział, że mogę się dać podwieźć do domu, ale muszę poprosić właścicielkę, żeby mnie zostawiła na końcu ulicy. Tak więc przyjmuję propozycję, chwytam torebkę i podczas gdy moja szefowa zamyka lokal, wciągam w płuca nocne powietrze.

- Gdzie mieszkasz? - pyta.
- Hillsborough.
- Z dala od domu, nie?

Łzy mi napływają do oczu. Jak miałabym jej wytłumaczyć, co się dzieje w moim życiu? Nie ma nawet jak zacząć. Nikt by mi nie uwierzył, nawet gdybym mogła to komuś opowiedzieć. To wszystko jest zbyt dziwaczne. Odwracam głowę. Łzy ćmią mi oczy, domy zlewają się ze sobą.

Moja pracodawczyni wysadza mnie u podnóża wzniesienia, dwie przecznice od Dorothy Road i odjeżdża. Nie mam kluczy, Rob twierdzi, że byłoby to naruszeniem zasad bezpieczeństwa, tak więc pukam i czekam, i jeszcze raz pukam, i jeszcze raz. Jest naprawdę chłodno, kiedy tak stoję na ulicy, mimo pory roku.

Rob otwiera mi po dwudziestu minutach. Nic nie mówi, kiedy wślizguję się do środka; idę na górę, na poddasze, gdzie czeka na mnie twarda podłoga.

Dzisiaj będzie mój piąty dzień pracy w barze. Zaczynam dopiero o drugiej, ale Rob mówi, że, jeżeli chcę, żeby mnie podwiózł do miasta, to jest to możliwe tylko o jedenastej, co oznacza, że będę się musiała przez trzy godziny pałętać po ulicach.

- A może byś mi po prostu dał na autobus?
- Autobus? Chyba sobie żarty stroisz. I tak żyjemy ponad stan. Nie mamy ani grosza wolnej gotówki, Sarah.

Tak więc siedzę teraz w parku Peace Gardens w centrum Sheffield, próbując jakoś zabić czas do godziny drugiej. Od kiedy opróżniłam swoje konta bankowe i oddałam pieniądze na przechowanie, nie mam nawet za co kupić sobie czegoś do picia, nie mogę więc usiąść gdzieś w środku, żeby się schronić przed chłodem. Wygląda na to, że się zbiera na deszcz.

- Betty Smith, Betty Smith - powtarzam moje nowe imię niczym mantrę. No i rzeczywiście spadają pierwsze krople deszczu. Jeden z domów w spokojnej alejce w pobliżu mojej frytkami ma wejście z okapem, a ponieważ pada coraz mocniej, próbuję się tam schronić, przysuwając się jak najbliżej drzwi. Według mojego zegarka jest dwunasta czterdzieści pięć. Nie cierpię mojej pracy, ale przecież lepiej by mi było tam, w cieple niż tu, pod daszkiem.

Jak zwykle wyłączam się w momencie, kiedy przekraczam próg baru. Przetrwam kolejne dwanaście godzin, poruszając się jak automat, robiąc po kolei to, co do mnie należy.

Nakładam kawałek ryby na polistyrenowy talerzyk, pakuję górę rozmiękłych frytek w papier, nabijam odpowiednią kwotę na kasę. Następnym klient; od początku to samo. To linia produkcyjna; wykonuję swoją pracę mechanicznie, otepiała, wyprana z wszelkich uczuć. Pod koniec zmiany zbieram z podłogi śmieci rzucone tam przez klientów - puste pudełka, papier, rozgniecione frytki wdeptane w linoleum, często z wbitymi w nie plastikowymi widelczkami. Moja szefowa próbuje wyrzucić pijaka, który nie chce wyjść dobrowolnie. Zaczyna być agresywny i obrzuca ją obelgami. Właścicielka wygląda, jakby była do tego przyzwyczajona i wkrótce udaje się jej go wywalić na ulicę. Koniec kolejnego dnia.

MIESZKANIE W HILLSBOROUGH

Zaterkotał budzik, wybijając Johna z głębokiego, wymęczonego snu. Podniósł się z podłogi, przeszedł cichym krokiem przez poddasze i zaczął schodzić po schodach.

Dokładnie w tym momencie usłyszał, jak Freegard otwiera drzwi swojego pokoju i idzie do łazienki, po czym gwałtownym ruchem zamyka się na zasuwę, jak gdyby przywłaszczając sobie to terytorium. Powtarzało się to każdego dnia rano. Zaledwie John zdołał zrobić dwa kroki na schodach, Freegard wynurzał się ze swojego pokoju. John musiał codziennie czekać, aż Freegard skończy i dopiero wtedy wolno mu było pójść się załatwić.

Wzbierało w nim uczucie upokorzenia. Co za małostkowość, co za zadufanie w sobie, pomyślał.

Trzydzieści minut później wyszedł z domu, wrzucając klucz z powrotem do mieszkania przez otwór na listy. Wsiadł do autobusu; pieniądze na dojazd do pracy zawsze dostawał od Freegarda, był od niego całkowicie uzależniony finansowo. Zadaniem Johna było przynosić wypłatę i oddawać ją Freegardowi. Nie stanowiło to dla niego problemu, liczył na wysoką gażę policyjną i uważał, że cała zaległa pensja zostanie mu wypłacona, kiedy się to wszystko skończy.

Samo wyjście z domu było ulgą; nikt mu nie mówił, jak się ma zachowywać, jakiej muzyki ma słuchać, co wolno mu powiedzieć. Nienawidził Freegarda. Któregoś dnia tuż po powrocie Johna do domu Freegard przyłapał go, kiedy kończył porcję frytek, które mu kupił kolega z pracy. - Skąd to masz? - zapytał z wściekłością. - Kupił mi je nasz pomywacz. Daj spokój, muszę wziąć prysznic - odpowiedział John, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenia Freegarda. - No wiesz, zadymiony pub i tak dalej.

- Obawiam się, że nici z prysznic. Wyłączyli wodę. Życzę szczęścia jutro - zadrwił Freegard.

John wiedział, że jego „prawdziwe” życie jest w stanie zawieszenia i że to, przez co przechodzi, jest niestety konieczne, aby dojść do celu i wrócić do normalności, jednak fakt, że Freegard zawsze musiał demonstrować swoją przewagę, doprowadzał go do wściekłości.

Teraz dotarł właśnie do pubu Stonehouse przy placu Orchard Square w Sheffield. Po obowiązkowych porannych powitaniachabrał się do pracy. Rozmowę kwalifikacyjną załatwił mu swojego czasu Freegard, a nawet go poinstruował, co ma mówić. John był pełen niepokoju, ponieważ spóźnił się na to spotkanie dziesięć minut i wychodząc, uważał, że nie zrobił zbyt dobrego wrażenia. Freegard powiedział mu, żeby się nie martwił. - Rozmawialiśmy już z facetem, ja i chłopcy z policji. Ma ci dać tę pracę. - Telefon z informacją, że dostał posadę, był niespodzianką i zrobił na Johnie wrażenie. Freegard rzeczywiście był kimś ważnym; jego policyjne kwalifikacje zostały potwierdzone.

Była jedenasta i John, skończywszy swą zmianę, udał się na miejsce, z którego zabierał go Freegard, pięćdziesiąt metrów od pubu, w spokojnej bocznej uliczce, z dala od wścibskich spojrzeń.

Czas oczekiwania wahał się od trzydziestu minut do czterech godzin, ale niezależnie od tego, jak długo John musiał czekać, bez względu na pogodę, nie wolno mu się było ruszyć z tego miejsca. Usiadł na progu nie wynajętego biurowca, żywy posąg. Nawet kiedy Freegard w końcu się pojawił, John wiedział, że jego dzień wcale nie dobiegł końca i że przed nim była jeszcze długa noc.

SARAH

Koniec kolejnego tygodnia, pracodawczyni właśnie mi wypłaciła pensję gotówką. Dobrze byłoby zatrzymać parę groszy. Wiadomo, że są pewne niezbędne rzeczy, które dziewczyna chce sobie sama kupić, a nie płaszczyć się przed mężczyzną, żeby je dostać. Jednak Rob uparcie twierdzi, że mamy mu oddawać wszystko, że jest to konieczne, jeżeli ma być w stanie pokryć koszty naszego utrzymania.

Sprzeczenie się z nim lub odmowa wykonania polecenia nie wchodzi w rachubę. Byłam wstrząśnięta, kiedy zobaczyłam, co zrobił Marii, kiedy się opierała: przyciął jej palce szybą samochodu, a potem się usprawiedliwiał, mówiąc, że to my utrudniamy życie, nie on.

Nie jestem osobą, która lubi doprowadzać do konfrontacji, nie chcę też dać mu pretekstu, żeby jeszcze bardziej pogorszył naszą sytuację; robię więc to, co każe, mając nadzieję, że nasza męka skończy się, gdy tylko będzie to możliwe, ale żal ściska mi serce, kiedy widzę, jak bierze ode mnie pieniądze i wsuwa je do własnej kieszeni.

Z gotówką jest naprawdę krucho, mówi Rob, ponieważ wszystkie fundusze, którymi dysponował, a nawet więcej, musiał wydać na zacieranie śladów po tym, jak mój ojciec zdradził Jimowi Cooperowi nasze miejsce pobytu. Rob nigdy nie przepuszcza okazji, żeby przypomnieć wszystkim, jak bardzo cierpi i on, i reszta grupy z powodu mojego taty.

Jedzenie jest rygorystycznie racjonowane. Zdarzyło się kiedyś, że John i ja wzięliśmy sobie z lodówki kawałek sera czy szynki, nic wielkiego. Rob, zauważywszy to, ze złością stwierdził, że sięgnęliśmy po coś, co zostawił dla siebie i Marii i zwymyślał nas od ostatnich.

- Dość tego, nie wolno wam niczego brać z szafek. Rano możecie zjeść płatki, ale jeżeli chodzi o całą resztę, macie najpierw mnie zapytać, czy można, zanim cokolwiek zjecie. - Oznacza to, że możemy jeść tylko wtedy, kiedy nam zezwala. Maria ma pierwszeństwo, bo jest w ciąży, mówi Rob. Ja i John będziemy musieli się zadowolić tym, co zostanie i tym, co Rob zechce nam dać. Zaczynamy w tej sytuacji podbierać jedzenie w pracy albo kupować sobie bułki za niewielkie grosze, które dostajemy w charakterze napiwków.

Czuję się urażona sposobem, w jaki jesteśmy traktowani, zwłaszcza że dałam Robowi tak dużo pieniędzy i tego wieczora wyładowuję swoją frustrację na Johnie.

- Nie rozumiem, dlaczego musimy tak żyć.

- To porozmawiaj o tym z Robem. Nie naskakuj na mnie. Rob tu rządzi.

- Dlaczego mamy robić to, co każe?

- Bo od tego zależy nasze życie, właśnie dlatego. A może zamierzasz sama stawić czoło IRA? - pyta John najwyraźniej zirytowany moim zachowaniem.

- Ale co to ma wspólnego z tym, co nam wolno jeść?

- Daj spokój, Sarah. Rob powiedział, że musi tak być, ponieważ przekroczyliśmy budżet, ponieważ musieliśmy jeździć po całym kraju, ponieważ twój głupi, nadgorliwy ojciec ujawnił miejsce naszego pobytu. To wina twojego taty, że nie możemy jeść tego, co chcemy. Im dłużej będzie kontynuował te swoje poszukiwania, tym dłużej my będziemy tu tkwić, żyjąc w ten sposób. Wiń jego, a nie Roba. I przestań się czepiać mnie.

John gasi światło i odwraca się ode mnie.

- Ty nie jesteś w rzeczywistości chory na raka, prawda? - mówię w ciemności.

- Idź spać, Sarah.

- Rozumiem, dlaczego skłamałeś.

Nagle dochodzi do nas z dołu grzmiący głos, na którego dźwięk wzdrygamy się nerwowo. - Zamknijcie się, oboje! - wrzeszczy Rob.

- Pokój jest na podłuchu. Ciszka.

- No idźże już spać - szepce John ostro.

Nic z tego, leżę z otwartymi oczami. Rozumiem teraz, że John wymyślił tę historię z rakiem, ponieważ musiał użyć wybiegu po to, żeby mnie i Marię wyciągnąć z uczelni bez ściągania uwagi. Nie sądzę, żeby miał jakikolwiek wybór, więc mu wybaczam kłamstwa. Potrzebuję Johna. Jest moim jedynym powiernikiem. Nie ma nikogo innego, do kogo bym się mogła zwrócić o poradę i ciągle go bardzo lubię pomimo tego, przez co przechodzimy. Widzę, że on też się męczy. Nie cierpi swojej pracy w pubie w centrum miasta co najmniej tak, jak ja nie znoszę mojej w barze. On też nie ma pieniędzy i też ciągle jest głodny. Zawsze był chudy jak patyk i choć to zdumiewające, zdołał jeszcze schudnąć, i to znacznie. Poza tym pracuje w jakichś nieprawdopodobnych godzinach, często wraca dopiero o trzeciej lub czwartej nad ranem. Z tego co wiem, Rob zabiera go spod pubu po pracy, a potem razem gdzieś jeżdżą. Tak więc zawsze jest wykończony, zbyt wiele obowiązków spadło na jego barki. Ale wszystko to i tak nie pomaga mi rozwiązać moich wątpliwości.

- Dlaczego wszystko zawsze mnie tak dużo kosztuje?- szepczę, mając nadzieję, że nikt nas nie słyszy.

- Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytania. Nie jestem policjantem. Nie zapominaj, że jestem w takiej samej sytuacji jak ty.

- Sfinansowałam całą naszą podróż, wszystkie hotele. Nie ufam temu facetowi, John. Coś tu nie gra.

- Słuchaj, nie lubię go tak jak i ty, Sarah, ale gdyby był oszustem, nie czekałby na więcej. Gdyby był oszustem, zabrałby nasze pieniądze i zniknął, tak żeby po nim wszelki śluch zaginął. Nie mieszkałby piętro niżej ze swoją ciężarną dziewczyną, która przecież jest naszą koleżanką z uczelni. Co prawda raczej nie bardzo się znam na tym, jak się zachowują typowi oszuści, ale jestem pewien, że nie tak jak Rob. To wszystko jest zbyt nienormalne, żeby mogło być kantem, to musi być prawda. Nikt nie naraziłby siebie ani nikogo innego na to, co my musimy przeżywać, tylko dla pieniędzy. Okoliczności są stanowczo zbyt kuriozalne, żeby to mogło być kłamstwo. Daj już temu spokój.

Zastanawiam się nad rozumowaniem Johna. Spędza z Robem więcej czasu niż ja i jeżeli on mu wierzy, to dlatego ja miałabym podawać w wątpliwość uczciwość Roba. Sadzę, że Maria też musi mu ufać. Jestem w mniejszości, pozostaje mi więc się pogodzić z

zasadami narzuconymi przez Roba i robić to, co każe.

Następnego dnia rano Rob łapie mnie, kiedy schodzę na dół. - Nie słyszałaś, jak powiedziałem, że pokój jest na podsłuchu? A może czegoś nie rozumiałaś? Nawijałaś bez końca. Słyszałem każde słowo, które wypowiedziałaś, zupełnie wyraźnie. Wiesz co to oznacza? Moi szefowie w Londynie też to słyszeli. Teraz uważaj, ja jestem tu tylko po to, żeby was chronić, ważne decyzje są podejmowane w centrali, a mówi się, że nie są oni tam zachwyceni twoim ciągłym kwestionowaniem wszystkiego i twoją niewdzięcznością. Jak można komuś pomóc, na litość boską, jeżeli ten ktoś tak to cholernie utrudnia?

Rob zdaje się nade mną górować i czuję, jak opadam z sił, nie jestem w stanie odeprzeć tego ataku słownego. Spuszczam oczy.

- Przecież już wiesz, jak to działa, Sarah. Utrudnisz mi życie, a wtedy ja twoje zamienię w piekło. Nie zapominaj, że jesteś tu tylko dlatego, że twój pieprzony ojciec nie chce się od nas odczepić. Dopóki się wszystko nie uspokoi, dopóki nie odzyskamy kontroli nad sytuacją, masz robić to, co każe. - Stoję przygwożdżona jego irytującym spojrzeniem. Cała się trzęsę, bliska płaczu.

Wieczorem pod dyktando Roba piszę list do domu.

Proszę rodziców, żeby zrezygnowali z poszukiwań. Proszę, żeby przestali kontrolować nasze ruchy. Jeżeli się nie wycofają, znikniemy naprawdę i nigdy już mnie nie zobaczą. Oczami wyobraźni widzę przepiękne krajobrazy z mojego dzieciństwa, morze, pola złocistej pszenicy, zagony kalafiorów, mewy pikujące w świeżo zaoraną ziemię.

Nie próbuję hamować łez. Ten list to całkowite przeciwieństwo tego, co naprawdę chcę powiedzieć. Zaklejam kopertę. Rob wydaje Johnowi polecenie, żeby go wysłał z Milton Keynes.

To, przez co przechodzili teraz Sarah i John, było systematycznym praniem mózgu. Pod tym pojęciem kryje się stosowanie wyrafinowanych technik kontrolowania myśli celem narzucenia określonych wzorców zachowań. Termin ten został wprowadzony w roku 1951, w trakcie wojny koreańskiej, przez agenta CIA, Edwarda Huntera.

Freegard zmienił wygląd Sarah, każąc jej rozjaśnić włosy i zniszczył jej więź z przeszłością, żądając, żeby zastawiła biżuterię. Zmusił ją do używania fałszywego imienia, jednym posunięciem pozbawił ją tożsamości.

Pod pozorem zapewnienia ochrony zaczął manipulować życiem Sarah, kształtując tak pod względem fizycznym, jak i społecznym środowisko, w którym się obracała. W czasie, kiedy powinna właśnie kończyć studia, Freegard kazał jej pracować we frytkami, w całkowicie obcym otoczeniu; w domu przy Dorothy Road wprowadził „zasady” określające, kiedy Sarah i John mogą korzystać z łazienki i co im wolno jeść; pozbawił ich wszelkich pieniędzy i nie pozwalał używać komunikacji miejskiej.

Freegard kontrolował nie tylko środowisko, w którym się Sarah poruszała, ale także jej czas; dotyczyło to również Johna. Nie mając kluczy do mieszkania, musieli stać pod domem, dopóki Freegard nie wpuścił ich do środka; ponieważ ich woził do pracy, często byli zmuszeni godzinami czekać na początek swojej zmiany. Narzucając im środowisko i ramy czasowe, Freegard nie dał swym ofiarom zbyt wielu okazji do przemyśleń, pytań czy kwestionowania jego postępowania. Fakt, że odebrano im prawo do porządnego snu, do odczuwania zmęczenia czy też zdumienia w związku z rozwojem wypadków, niewątpliwie przyczynił się do ich psychicznej kapitulacji.

Sprawą o zasadniczym znaczeniu było wykorzystanie zagrożenia ze strony IRA do zerwania regularnych kontaktów Sarah z rodziną i przyjaciółmi. W ten sposób znajomi Sarah zostali pozbawieni jakiegokolwiek możliwości wpłynięcia na nią lub umocnienia jej w dotychczasowych przekonaniach albo też podsunięcia nowych pomysłów. Sarah wolno się było komunikować ze światem wyłącznie pod nadzorem Freegarda. Ta technika działa szczególnie dobrze w stosunku do osób przyzwyczajonych do pełnej informacji, które nagle zostają od niej odizolowane; naturalna potrzeba informacji czyni ich bardziej podatnymi na pranie mózgu.

Sarah rozmawiała regularnie tylko z dwiema osobami: z Johnem, jej jedynym powiernikiem, który podzielał stanowisko Freegarda i z samym Freegardem, który, utrzymując, że zarówno dom, jak i samochód są na podsłuchu, nie dawał jej żadnej szansy na kwestionowanie jego poglądów lub uskarżanie się. Praktycznie rzecz biorąc, Freegard unieszkodliwił Sarah. Nie miała nikogo, kogo mogłaby próbować przekonać do swych racji; została pozostawiona samej sobie. Środowisko, w którym funkcjonowała, nie sprzyjało racjonalnemu myśleniu. Podobnie jak się to dzieje w wypadku sekt,

które w dużej mierze prosperują dzięki oderwaniu ich członków od świata zewnętrznego, Freegard poprzez izolację swych ofiar doprowadził do całkowitego uzależnienia ich od tego, co on - „guru” - uznał za stosowne im powiedzieć. Na tym etapie nie bardzo się już nadawali do kwestionowania czegokolwiek. Chociaż Sarah nie była prawdopodobnie tego świadoma, jej umysł zaczynał zawodzić.

Aby utrzymać swą absolutną władzę podczas procesu prania mózgu, Freegard regularnie posiłkował się groźbą IRA. W domu, w którym mieszkali Sarah i John, umieścił nawet wydumanych agentów, obserwatorów, uprawdopodobniając wizję siatki szpiegowskiej i potwierdzając w ten sposób, że nie działa sam.

Jednocześnie Freegard niezmiennie obracał na swoją korzyść wytrwałe śledztwo Petera Smitha, przedstawiając go jako realnego wroga.

Im dłużej Freegardowi udawało się podtrzymywać to oszustwo doskonale, tym bardziej stawał się pewny potęgi swej charyzmy, tym bardziej czuł swą władzę. Budowla, którą stworzył, dodawała mu wiary we własne siły i zwiększała jego wysokie mniemanie o sobie. Czuł się upoważniony do swobodnego używania pieniędzy zdobytych lub zarobionych przez Sarah i Johna. Podczas gdy standard życia jego ofiar się obniżał, jego sytuacja finansowa ulegała poprawie w postępie geometrycznym.

Freegard hojnie rozdzielał nagrody i kary - co jest kolejną klasyczną techniką stosowaną w trakcie prania mózgu. W wypadku Sarah nagrodą była obietnica, że pewnego dnia odzyska swoje normalne życie i że wszystko, co się jej przytrafiło, zostanie wytłumaczone. Jedyne, co musiała zrobić, to wytrwać. Natomiast kiedy wyrażała wątpliwości, Freegard groził jej karą albo wręcz karą według uznania. Zawsze mógł się odwołać do niebezpieczeństwa, jakie zagrażało jej rodzinie ze strony IRA.

Zastraszenie było główną bronią psychologiczną w ręku Freegarda i pozwalało mu kontrolować Sarah. W miarę jak postępował proces prania mózgu i warunki życia Sarah się pogarszały, robiła się ona coraz bardziej uległa i coraz bardziej się bała, że jeżeli nie będzie postępowała tak, jak Freegard każe, sytuacja stanie się jeszcze trudniejsza.

W wypadku Sarah pewność przerodziła się w niepewność, opanowanie w bezsilność. Nigdy nie wiedziała, czego się spodziewać po następnej chwili. Jej światem zarządzał teraz Freegard. Przerazona, poniżona, bezwolna, odizolowana od rodziny i przyjaciół, Sarah znajdowała się w położeniu

porównywalnym z położeniem więzienia.

Kiedy Freegardowi udało się zmanipulować zewnętrzny świat Sarah, jego celem stało się uczynić ją niezdolną do samodzielnego myślenia i zdobyć władzę nad jej światem wewnętrznym - nad jej umysłem - zmienić ją, jak to określił Edward Hunter, w „roboty w ludzkiej skórze”, w „mechanizm złożony z ciała i krwi z nowymi przekonaniami wprowadzonymi w zniewolone ciało”.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obława

NETHER HALE, SIERPIEŃ 1993

Peter i Jill byli rozgorączkowani. Właśnie dostali list, w którym Sarah stawiała im ultimatum: albo przestaną jej poszukiwać, albo zniknie na zawsze. Peter był skłonny zlekceważyć te pogróżki, twierdząc, że musi mieć chociażby mgliste wyobrażenie o tym, w jakim mieście albo przynajmniej w jakim hrabstwie Sara przebywa. Jak do tej pory pilne monitorowanie jej wydatków na podstawie wyciągów z karty kredytowej nic nie dało. Nie mieli pojęcia, gdzie jest i od dwóch miesięcy nie rozmawiali z nią przez telefon.

Ostatnią konkretną informację otrzymali w lipcu. Peter zadzwonił wówczas do ojca Marii Hendy, który powiedział mu, że towarzystwo się rozdzieliło i że Sarah z Johnem mogą być w Leamington. Natomiast kiedy Peter rozmawiał z ojcem Johna, Russell Atkinson wyraził opinię, że są w Milton Keynes.

Tego rodzaju sprzeczności czyniły z poszukiwań zadanie beznadziejne. Peter i Jill zaczęli ponownie analizować wyciągi bankowe. Płacąc kartą kredytową, Sarah kupiła benzynę na stacji w Sheffield i jedzenie w pizzerii Deep Pan w Derby. Była w Langley Mili w hrabstwie Derbyshire, tankowała na stacji Esso w Banbury, wynajęła samochód w Sheffield, płaciła w sklepie obuwniczym w Newark i znów kupiła benzynę, tym razem na stacji Q8 w Peterborough. Nie mieli pojęcia, co to wszystko mogło oznaczać. Nie było żadnej logiki, żadnej prawidłowości w jej poruszaniu się po kraju i nie dawało się znaleźć ani jednego miejsca, z którym można by ją było powiązać.

Peter miał wrażenie, że zawsze jest o dziesięć kroków z tyłu.

- Myślę, że potrzebna nam pomoc - powiedział. - Pamiętasz tego prywatnego detektywa z Ramsgate? Chyba do niego zadzwonię. Chciałbym, żeby się dowiedział wszystkiego, co się da, na temat ruchów Sarah i jej towarzystwa.

W papierach bankowych znajdowała się jednakże jedna pozycja, której Jill nie mogła zrozumieć. Peter przyjrzał się wyciągowi przez chwilę, po czym wydał cichy pomruk. - Interesujące. Bramall Lane, wiesz, gdzie to jest? - Nie wiedziała. - Klub piłkarski Sheffield United, to ich boisko. Sarah kupiła dwa karnety.

- Ależ ona w ogóle nie interesuje się piłką.

- No właśnie. Tak więc możemy się domyślać, z dużym prawdopodobieństwem, kto wykorzysta jeden z tych biletów, nie sądzisz? - Peter wyglądał na zadowolonego z siebie. Wpadł na pewien pomysł.

Guy Smith miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale wydawał się nad wiek dojrzały. Był wysokim, barczystym, młodym mężczyzną, życzliwym, ale i pewnym siebie, o otwartej twarzy, na której można było dostrzec nieliczne piegi przypominające plamki karmelu. Kiedy się znajdował w kulturalnym towarzystwie, w piwnych oczach Guya widać było przyjazne błyski, ale jeżeli ktoś ośmielił się zagrozić komuś z jego bliskich, w jednej chwili zniknęły pozorna łagodność i niefrasobliwość, a na ich miejscu pojawiała się coś zgoła innego: zawziętość, upór i złość. Guy był wręcz nadopiekuńczy w stosunku do tych, których kochał i nie należało mu się sprzeciwiać.

- Jeżeli o to chodzi, to wiesz przecież, że mama nigdy się nie zgodzi, żeby odciąć Sarah dostęp do pieniędzy - powiedział do ojca, stojąc w drzwiach pokoju Petera z rękami w kieszeniach spodni. - Uważa, że to zbyt drastyczne posunięcie. Freegard mógłby w końcu skrzywdzić Sarah.

Peter przyglądał się swemu młodszemu synowi. Zawsze robiło na nim wrażenie praktyczne, rzeczowe podejście Guya do rzeczywistości, a w ostatnich latach coraz częściej zdawał się na jego opinię. - Wiem. Tym bardziej trzeba jakoś dotrzeć do twojej siostry i spróbować jej przemówić do rozsądku. Nie ma mowy, żebym odpuścił

dochodzenie, niezależnie od tego, co napisała w liście.

- Zgadzam się z tobą, tato. Musi być jakiś sposób, żeby ją odnaleźć.

- Czekam do dziewiątej i dzwonię do Sheffield United. Mam zamiar porozmawiać z szefem klubu, albo z sekretarzem, albo z kimkolwiek innym, kto się tam liczy. Powiem mu, że jeden z jego kibiców to oszust, który kupuje bilety, używając karty kredytowej mojej córki. - Peter przerwał, odwrócił się razem z fotelem i spojrzał wprost na Guya, unosząc brwi i uśmiechając się szelmowsko do syna. - Zamierzam się dowiedzieć, gdzie konkretnie będzie siedział Freegard.

Guy pokiwał głową, obdarowując Petera podobnym uśmiechem. Wiedział dokładnie, co ojciec miał na myśli.

SHEFFIELD, SOBOTA 25 I NIEDZIELA 26 WRZEŚNIA, 1993

Guy Smith czekał cierpliwie na odpowiedni moment. Wiedział, że za chwilę gracze wyjdą na boisko. Prezes Sheffield United okazał się bardzo pomocny i tak wszystko zorganizował, żeby Guy mógł siedzieć obok posiadacza jednego z karnetów kupionych na kartę Sarah.

Była to druga wizyta Guya w Sheffield w ciągu ostatnich pięciu tygodni. Podążając tropem karty kredytowej i posługując się metodą eliminacji, Guy i rodzice Sarah doszli do wniosku, że musi się ona znajdować w tym mieście albo gdzieś w jego okolicy. Jednak mimo że Guy poświęcił mnóstwo czasu, odwiedzając puby, a także oddziały Armii Zbawienia, pokazując ostatnie zdjęcie siostry z nadzieją, że odświeży to ludzką pamięć, nic mu się nie udało osiągnąć. Sarah nikomu z niczym się nie kojarzyła.

Może teraz będzie inaczej. Guy wsłuchiwał się w odgłosy tłumu niecierpliwie wyczekującego pojawienia się zawodników i jeszcze raz sprawdził numer miejsca na swoim bilecie. Wiedział, że kiedy gracze wyjdą na boisko, Freegard już się usadowi i nie będzie się mógł ruszyć, zablokowany przez tłum kibiców. Dopiero wtedy Guy wejdzie na trybuny i przepchnie się na swoje miejsce obok Freegarda.

Rozległ się ogłuszający ryk, wiwaty i gwizdy wypełniły stadion. Na to właśnie Guy czekał. Zachowując czujność, ruszył po schodach, sprawdzając po drodze numery rzędów. Wreszcie mu się udało osaczyć Freegarda; będzie miał szansę się dowiedzieć, gdzie jest siostra.

Rzuciwszy okiem na rząd kibiców, Guy rozpoznał profil swojego przeciwnika. Natychmiast wiedział, że to on, ten oślizgły typ. Guy, który podobnie jak Sarah studiował w Harperze Adamsie, podczas praktyk przyjeżdżał tam od czasu do czasu, żeby się spotkać z siostrą, a te spotkania odbywały się w Swanie, gdzie został Freegardowi przedstawiony.

Powoli i ostrożnie Guy przepychał się przez tłum podnieconych widzów w czerwono-białych szalikach, wiwatujących, trąbiących, skandujących, gwizdzących. Panował ogłuszający hałas, ale entuzjazm tłumu nie robił wrażenia na Guyu, który był całkowicie pochłonięty swoją misją. - Założę się, że się nie spodziewałeś mnie tu spotkać - krzyknął do Freegarda, wciskając się na miejsce obok niego.

Przez ułamek sekundy na twarzy Freegarda pojawił się wyraz zmieszania, po czym uśmiechnął się z wyższością, jakby usłyszał jakiś kiepski żart. - To pomysł twojego ojca, tak? Na miłość boską, mógłby się on wreszcie przestać wtrącać w moje życie.

Sędzia odgwizdał początek meczu.

- Chcę się zobaczyć z siostrą, a ty wiesz, gdzie ona jest.

Freegard bacznie obserwował piłkę, którą gracze podawali sobie wzdłuż boiska.

- Ale ona nie chce się z tobą zobaczyć. - Zawodnik Sheffield został umyślnie podcięty i sędzia zatrzymał grę. Pokazał żółtą kartkę i podyktował rzut wolny. - Nie chce mieć nic wspólnego z waszą rodziną. - Freegard przerwał i odwrócił się twarzą do Guya. - Tylko ja jeden troszczę się o dobro Sarah.

- Jeżeli tak się o nią troszczysz, to nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym się z nią spotkał - odparł Guy.

Uśmiech zniknął z twarzy Freegarda. - Zobaczę, co się da zrobić, ale po meczu.

Przez następną godzinę i trzy kwadransy w Guyu wzbierała złość. Miał ochotę zmasakrować tego faceta, siłą wydobyć z niego prawdę. Nie byłoby to trudne, Guy był dużo silniejszy. Freegard nie

miałby z nim żadnych szans, szybko by zaczął skamlać o litość.

Guy zacisnął pięści, ale zastanowił się nad konsekwencjami. Mogłoby to oznaczać areszt i mogłoby to również zniszczyć wszelkie szanse Sarah na odzyskanie wolności. Guy był absolutnie przekonany, że jeżeli mu się uda jakimś sposobem przemówić jej do rozumu, na pewno będzie się chciała wyrwać. Nie, doszedł do wniosku, że nie warto się bić. Lepiej czekać spokojnie i postarać się wyciągnąć z Freegarda, ile się da. Tak więc Guy, usiadłszy na swoich własnych rękach, czekał.

Mecz się skończył. Guy go nie oglądał; nie miało dla niego znaczenia, kto wygrał.

- Zostaw tu swój samochód i chodź ze mną - powiedział Freegard. Przyjechali na parking przed magazynem meblowym MFI w centrum Sheffield. - Będzie tu bezpiecznie. - Guy zamknął swoje auto i przesiadł się do luksusowej Astry Freegarda, niechętnie stosując się do jego instrukcji; nie chciał jednak stracić szansy na spotkanie z siostrą.

- Dokąd jedziemy?

- Nie wiem, gdzie jest Sarah, ale John wie.

Jechali w ciszy i w końcu zatrzymali się przed pubem Old Queen's Head.

- Wejdz, John jest w środku - powiedział Freegard.

Wnętrze pubu rozbrzmiewało wesołymi dźwiękami, czuło się swobodną atmosferę. Czerwono-białe szaliki świadczyły o tym, że Guy nie był jedynym, który tu dotarł po zakończeniu meczu, ale w przeciwieństwie do ludzi wypełniających pub wcale nie był w radosnym nastroju. Czuł, jak wzbiera w nim gniew.

John grał w snookera w tylnej salce; Guy przeszedł od razu do sedna sprawy. - Chcę zobaczyć się z siostrą. - John naprężył się, opierając się na kiju do snookera. W międzyczasie został poinstruowany przez Freegarda, który do niego zadzwonił i przedstawił mu sytuację, że ma trzymać Guya na dystans.

- Teraz ja opiekuję się Sarah - powiedział.

- Chciałbym to usłyszeć z jej własnych ust - ze spokojem odparł Guy.

- Ona nie chce cię widzieć. Nie chce mieć z tobą nic wspólnego. - John wrócił do snookera, jak gdyby Guy nie istniał.

Godzinę później Freegard zawiózł Guya do kolejnego miejsca, do hotelu znajdującego się około dwudziestu kilometrów na północ od miasta. Pierwsze, co się rzuciło Guyowi w oczy, to fakt, że hotel posiadał bezpieczny parking z systemem kamer. Natychmiast nabrał podejrzeń. - Dlaczego nie mogłem zaparkować tutaj, zamiast zostawić samochód pod sklepem meblowym?

Freegard zignorował pytanie. - John powiedział mi, gdzie jest Sarah i zamierzam ją znaleźć. Nie ruszaj się stąd.

Samochód odjechał, a Guy został w holu hotelowym, nie mając pojęcia, jak długo przyjdzie mu czekać. W miarę jak upływały godziny, zrozumiał, że będzie musiał przenocować w hotelu i nie pozostało mu nic innego, jak sięgnąć po kartę kredytową.

Następnego ranka Freegard zapukał do pokoju Guya i oświadczył, że zabiera go do miasta na spotkanie z Sarah. Guy miał wrażenie, że trop, po którym porusza się, zaczyna zanikać, ale dopóki istniała jakakolwiek szansa zobaczenia się z Sarah wiedział, że musi zbadać wszystkie ślady bez względu na to, jak bardzo są niewyraźne.

O godzinie dziesiątej Guy ustawił się na przystanku autobusowym w centrum Sheffield, a w chwilę potem zobaczył Sarah wychodzącą z autobusu. Kiedy ruszyła w jego kierunku, przez moment poczuł się zdezorientowany, zobaczywszy jej krótkie blond włosy, nie mógł wprost uwierzyć, że to rzeczywiście ona. Ale poznałby ją wszędzie. Na pewno będzie chciała wszystko mu opowiedzieć, na pewno będzie chciała z nim wrócić do domu.

Sarah robiła wrażenie nieobecnej, udręczonej, niezainteresowanej tym, co się wokół niej dzieje; przez chwilę oboje milczeli.

- Co sądzisz o mojej nowej fryzurze? - wydusiła w końcu.
- Co się dzieje, Sarah? Dlaczego się do nas nie odzywasz? - zapytał Guy łagodnym tonem.
- Nie wolno mi - odparła Sarah.
- Faszerają cię jakimiś bzdurami. Nie ma najmniejszego powodu do robienia tego, co ty robisz.

- Nie mogę jechać do domu.
- Słyszałem tę bajeczkę o IRA, Sarah. Tata rozmawiał z jakimś twoimi znajomymi z Harpera, którzy mu powiedzieli, że Maria im opisała całą sytuację. Ale zobacz, jeżeli ja mogę być na uczelni i pić piwo z tymi tak zwanymi terrorystami, to jak to jest możliwe, że dla mnie powrót do domu jest bezpieczny, a dla ciebie nie?

Sarah zaczęła płakać.

- Czy ty rzeczywiście widziałaś, jak oni montują bomby? Jeżeli tak, to opisz mi, jak się to robi?

- Muszę już iść - powiedziała Sarah.

- A może byś mi spróbowała zaufać? - odezwał się Guy błagalnym tonem.

- Muszę już iść - powtórzyła. - Przyjdę później.

Guy patrzył, jak odchodziła, zdenerwowany i załamany tym, że siostra nie chciała go wysłuchać. Dlaczego się w taki sposób zachowuje, dlaczego chce zostać z Freegardem? Po prostu nie mógł tego pojąć. Kiedy Sarah wolno znikwała z jego pola widzenia, pomyślał sobie, że przypomina zombie, istotę bez życia, ale zmagającą się z życiem, podczas gdy jej serce bije gdzie indziej.

Czekał w pobliżu przez kolejne kilka godzin, ale wiedział, że to bez sensu. Nie zamierzała wrócić.

Znalazłszy się ponownie na parkingu pod sklepem MFI, Guy stwierdził, że bok jego samochodu został uszkodzony. Co za główniany dzień, pomyślał. Na dodatek ukradli mu tylny zderzak.

Zadzwoił na policję. - Mieliliśmy niestety amatora przejażdżki kradzionym samochodem - poinformowano go. - Ścigaliśmy go po całym parkingu i w końcu go złapaliśmy, ale zanim się nam to udało, nieźle narozrabiał. - Guy słyszał, jak policjant wciąga powietrze przez zęby. - Przykro mi to powiedzieć, ale nie będzie pan miał prawa do odszkodowania. Rozumie pan, nieletni kierowca, żadna firma ubezpieczeniowa nie uzna roszczenia.

Wykończony wydarzeniami tego weekendu, Guy ruszył w drogę powrotną do domu, ale nie ujechał daleko, kiedy zauważył coś, co mu kazało zawrócić. Okrążywszy powtórnie rondo, jeszcze raz to

zobaczył. Zatrzymał samochód niedaleko ronda i wrócił piechotą na to samo miejsce. Tak, teraz był absolutnie pewien. Na poboczu leżał jego tylny zderzak. Podniósł go i uważnie mu się przyjrzał. Zadał sobie pytanie, jak się to stało, że jego zderzak znajdował się tu, dziesięć minut jazdy od parkingu, na którym się zabawiał i został złapany przez policję młodociany przestępca drogowy. Wyjaśnienia policji nie miały żadnego sensu. Guy wiedział aż nadto dobrze, kto za tym stał, ale czyż miał jakiegokolwiek dowody?

Władza Freegarda nad Sarah została poddana ostatecznemu testowi. Z całej rodziny Sarah była najbardziej związana ze swoim młodszym bratem, a jednak nawet Guyowi nie udało się odciągnąć jej od Freegarda. Przeświadczenie Sarah, że Freegard pracował dla rządu było niezachwiane. Była przekonana, że jej życiu zagraża I RA i że jest bezpieczna tylko wtedy, kiedy się stosuje do poleceń Freegarda. Uważała, że gdyby wyjechała ze swym bratem, również jego naraziłaby na ryzyko.

Przy okazji okazało się, że John Atkinson także zachował niewzruszoną postawę. Proces prania mózgu zarówno w wypadku Sarah, jak i Johna, był już prawie zakończony. Oboje byli posłusznymi niewolnikami Freegarda; nie musiał już nawet być obecny fizycznie, żeby sprawować nad nimi władzę. Freegard, mistrz oszustwa stał się Freegardem, mistrzem teatru lalkowego, który kieruje swymi marionetkami, pociągając za odpowiednie sznurki.

Jednakże Freegard wiedział, że nie może sięść na laurach. Po tym, co się wydarzyło na stadionie Sheffield United, było oczywiste, że Peter Smith nie ma zamiaru się poddać bez walki. Freegard zdawał sobie sprawę, że jest tylko kwestią czasu, kiedy ojciec Sarah dowie się o mieszkaniu przy Dorothy Road, wiedział więc, że musi znów wyruszyć z Sarah w drogę.

Byłaby to jednocześnie kolejna okazja do wzmocnienia władzy: rozdzielając Sarah, Marię i Johna, zerwałby wież łączącą ich z życiem, które kiedyś wspólnie prowadzili, zanim on pojawił się na scenie.

Rozwijając swą szpiegowską opowieść, zamierzał podporządkować ich sobie jeszcze bardziej; miałyby temu służyć odwoływanie się do instytucji rządowej, dla której, jak twierdził, pracuje, otaczanie się kolegami-agentami - słowem stworzenie niewidocznej, ale przekonującej sieci szpiegowskiej.

Równocześnie Freegard myślał o stopniowym dystansowaniu się od twardego wymagań wobec Sarah. Jeżeli jakiś rozkaz byłby dla niej trudny do zaakceptowania, zwałałby winę na swoich bossów, swych przełożonych z MI5.

Jednak zanim mógł sobie pozwolić na rozdzielenie studentów, potrzebował więcej pieniędzy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Telefony do domu

SARAH, WRZESIEŃ 1993

Przeostań zadzierać nosa. Wskakuj. - Rob naciska na gaz i za moment jedziemy już na północ z rozkręconym na cały regulator odtwarzaczem, z którego rozbrzmiewa piosenka Duran Duran „Hungry Like a Wolf”.

Przed oczami przelatują mi znaki drogowe i zastanawiam się, dlaczego kierujemy się do Huddersfield, miasta, gdzie chodziłam na kurs „Informatyka w biznesie”. Po chwili zatrzymujemy się przed budką telefoniczną. Kiedyś widok tej tradycyjnej czerwonej budki sprawiał mi przyjemność, traktowałam ją jak przyjaciela w podróży, ale to już przeszłość.

- Dlaczego jesteśmy w Huddersfield? - pytam, wysiadając z samochodu.

- Mówiłaś, że byłaś tu szczęśliwą studentką. Pomyślałam, że przywiozę cię do miejsca, z którym masz miłe skojarzenia, ponieważ..., przykro mi to powiedzieć, ale mam złe wieści.

Czuję, jak mi się wydłuża twarz i napinają ramiona.

- Zaczyna nam brakować gotówki, Sarah. Musisz zadzwonić do rodziców i poprosić ich, żeby spłacili zadłużenie z karty Access, tak żebyśmy mogli znowu coś z niej wyjąć i zapłacić czynsz.

Na myśl, że mam prosić rodziców o pieniądze, robi mi się niedobrze, nigdy tego dotychczas nie robiłam, zawsze byłam niezależna finansowo. Poza tym od ostatniej rozmowy z nimi upłynęły ponad dwa miesiące.

- A co ja mam im powiedzieć?

- Powiedz, że potrzebujesz tych pieniędzy, żeby móc wpłacić zaliczkę na wynajem domu.

- Ale...
- Żadnych ale...

Rob stoi nade mną, kiedy wykręcą numer i powtarzam sobie w myślach słowa, które mam wypowiedzieć.

- Farma Nether Hale. - Słyszę głęboki, uspokajający głos mamy, który pieści uszy jak aksamit i jednocześnie rani serce. Rob wisi nade mną z uchem przy słuchawce.

- Jesteś sama, mamó? Możesz rozmawiać?

- Gdzie ty się podziewałaś, córeczko? Zamartwiamy się o ciebie. - W głosie mamy wyczuwam błaganie, ból i ulgę, całą matczyną miłość zawartą w jednym zdaniu. Czuję się owładnięta jej uczuciami i ze wszystkich sił staram się zachować panowanie nad sobą. Opieram czoło o chłodny, metalowy automat telefoniczny i mocno ścisnęłam słuchawkę.

- Mamó, chcę, żebyście spłacili zadłużenie z karty Access. Muszę wyciągnąć trochę pieniędzy na wynajem domu. - Ton mojego głosu jest błagalny, natarczywy, przykry. Rozpadam się.

- Wróc do domu, proszę cię, kochanie, porozmawiajmy o wszystkim jak należy. - Słyszę, jaki ból sprawia jej ta rozmowa, wyczuwam niezrozumienie i kontuzję. Zawsze byliśmy sobie tak bliskie. Kłamstwa, które jestem zmuszona jej opowiadać, są dla mnie torturą.

- Może w następnym miesiącu.

- Gdzie jesteś? Co robisz?

- John powiedział, że powinnam do was zadzwonić. Muszę już kończyć. Proszę, po prostu wpłaćcie te pieniądze. - Już dłużej nie wytrzymam. Odkładam słuchawkę, odcinając się od wszystkiego, co kocham i wybiegam z budki telefonicznej. Łzy spływają mi po twarzy.

- To było straszne.

Rob rzuca mi gniewne spojrzenie i odchodzi do samochodu, spodziewając się, że pójdę za nim.

- To niedopuszczalne, żeby cię ludzie oglądali w takim stanie. Przyciągasz uwagę. Weź się w garść! - warczy.

Kilka dni potem udaję się do banku, podczas gdy Rob czeka na mnie w samochodzie zaparkowanym dwie ulice dalej. Mówi, że zgodnie z instrukcjami jego bossów mam tylko określoną ilość czasu na podjęcie pieniędzy, tak żeby nie dopuścić do wykrycia nas.

Używając karty Access, wyciągam z konta całe tysiąc sto dwadzieścia pięć funtów. Kiedy już siedzę z powrotem w samochodzie, każe mi przeliczyć tę gotówkę na jego oczach.

Miesiąc później znowu jesteśmy w tej samej budce telefonicznej w Huddersfield. Tym razem jest z nami John, chociaż nie bardzo wiem po co. Cokolwiek między nami było, po prostu się rozleciało pod naporem sytuacji. John przeprowadził się z naszego mieszkania przy Dorothy Road do Hathersage w hrabstwie Derbyshire, gdzie pracuje jako barman w pubie Marquis of Granby. Podobnie jak ja musi używać fałszywego imienia; teraz nazywa się Jamie. Rob udaje, że jest jego bratem i odwiedza go co kilka dni, żeby odebrać od Johna pensję.

Nie chcę wejść do budki, nie chcę telefonować. Próbuję się sprzeciwiać Robowi, ale straszy mnie, że moje nieposłuszeństwo jeszcze pogorszy sytuację. - O co ci chodzi? Te pieniądze są na pokrycie kosztów, Sarah. Odzyskasz je, z procentem, więc może byś wreszcie przestała biadolić. Wszystko się skończy, kiedy twój tata raz na zawsze zrozumie, że ma nas zostawić w spokoju. Nie bądź takim mięczakiem, dzwoń. No, dzwoń do cholery.

Jestem wyczerpana. Zaczyna się na mnie odbijać spanie na twardej podłodze, a raczej brak snu, ciągłe czekanie, niekończące się zmiany i niepewność; brak mi sił.

Podnoszę słuchawkę. - Mamo, chcę, żebyście spłacili zadłużenie z karty Access - powtarzam mechanicznie, jak robot. Mam to wyćwiczone, wyłączam się, ta sytuacja mnie nie dotyczy, mój umysł i moje ciało działają w oderwaniu od siebie.

- Zapłacimy, jeżeli będziemy się mogli z tobą zobaczyć, kochanie. Może w ten weekend?

Rob trzyma ucho tuż przy słuchawce i daje znak: „nie”. Podporządkowuję się. Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

- Nie, nie pasuje mi.

- Prześlemy do banku czek na twoje nazwisko. - Rob kręci przecząco głową.

- Nie, to musi być gotówka.
- Zapłacimy pięćset funtów teraz, a resztę, kiedy się z tobą zobaczymy. - Rob znowu kręci głową.
- Nie, to też jest nie do przyjęcia.

Rob daje znak, że mam odłożyć słuchawkę. Podporządkowuję się. Każe mi zaraz znów do nich zatelefonować i powiedzieć, że mam niewiele do jedzenia, że chcę kupić prezenty gwiazdkowe i że muszę wykonać jeszcze inne opłaty. Jeżeli nie spłacą karty, nie zobaczą mnie przed Bożym Narodzeniem. Jeżeli mnie zapytają o adres, nie wolno mi go podać.

Jeszcze raz się stosuję do instrukcji Roba. Nie da się z nim dyskutować. To, co mówię lub czuję, nie ma żadnego znaczenia, po prostu odpowiedzialnością za każdą sytuację obarcza swych szefów. Łatwiej jest się wyłączyć i podporządkować. Nawet sobie nie zdaję sprawy z łez, niemych świadków mojego smutku, wpływających mi po policzkach, kiedy kończę tę drugą rozmowę z rodzicami.

Robert Freegard odmaszerował do samochodu, zostawiając szlochającą spazmatycznie Sarah. Gestem kazał Johnowi wysiąść. - Powiem ci teraz, co chcę, żebyś zrobił. - Przynął się blisko do Johna i zaczął przyciszonym głosem snuć swoją intrygę, wciągając Johna w zмовę.

- Ojciec Sarah rujnuje nam życie. To jego wina, byłoby już dawno po wszystkim, gdyby nie on. Nie pomaga swojej córce. Nie pomaga sobie. Nie pomaga tobie ani nie pomaga mnie. Chciałby wszystkimi rządzić, o to tylko chodzi, a swoją Sarah naprawdę unieszczęśliwia. Zobacz, jaka ona jest rozbita. Chciałbym, żebyś zadzwonił i go trochę zwymyślał, żebyś uświadomił panu Smithowi, jak bardzo źle postępuje. Powiedz mu, co o nim sądzisz i każ mu się wycofać.

John spojrział na Sarah. Nagle poczuł wobec niej opiekuńczość. Przez miesiące wzbierały w nim uraza i złość; naprawdę był gotów komuś przyłożyć. Przełknąwszy ślinę, zdołał się opanować. Był przecież spokojnym, uprzejmym mężczyzną; dlaczego u diabła miałyby coś takiego zrobić? Odpowiedź była automatyczna: ponieważ pracował dla policji, a pan Smith sprawiał kłopoty. John przekonał sam siebie, że słusność była po jego stronie.

- Czy to znowu ty, Sarah? - zapytała spokojnie Jill.
- Sarah nie chce z wami rozmawiać. Niech mi pani da pana Smitha. - Było to tak szorstko powiedziane, że pod Jill ugięły się nogi.

- Czy to ty, John? Gdzie jest Sarah? - zapytała, roztrzęsiona.
- Właśnie ją tulę w ramionach. Zupełnie żeście to wszystko spartaczyli. Wbijcie sobie wreszcie w swoje durne głowy, że ona nie chce z wami rozmawiać. To koniec. Powtarzam, niech mi pani da pana Smitha.

W tym momencie Peter wszedł do pokoju Jill; widząc na twarzy żony cierpienie, wziął telefon z jej ręki. Całkowicie roztrzęsiona Jill opadła ciężko na krzesło.

- Ty dupku! - zaczął złorzeczyć John. Na drugim końcu linii Peter słuchał potoku oskarżeń, zachowując niewzruszony spokój. - Pieprzony despota! Posłuchaj no, twoja córka z tobą skończyła, ma cię powyżej uszu, nie chce, żebyś ją kontrolował ani żebyś jej mówił, co ma robić. Spieprzyłeś to, ciulu. Ona nie chce cię więcej widzieć. - Peterowi z trudem udawało się pogodzić tę gwałtowność ze słabym uściskiem dłoni chłopaka, który przyjechał z Sarah w kwietniu do Nether Hale.

John rzucił słuchawkę. W żyłach poczuł nagły przypływ energii: dobrze było dać upust złości.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nowy rekrut

SHEFFIELD, LISTOPAD 1993

Simon Young obserwował Roberta Freegarda, który z czułością przyglądał się zegarkowi marki Swatch, obracając go na wszystkie strony i patrząc, jak tarcza mieni się w świetle. Simon był młodym, otwartym mężczyzną w wieku dwudziestu kilku lat o ciemnych włosach i czarnych oczach spoglądających zza okularów w cienkiej oprawce. Pracował jako kierownik działu z zegarkami w sklepie jubilerskim Goldsmith's w olbrzymim centrum handlowym Meadowhall w Sheffield. Freegard, stały klient działu, miał obsesję na punkcie kolorowych zegarków wystawionych w gablotach.

Zegarki Swatch były ostatnim krzykiem mody. Young nie miał wątpliwości, że Freegardowi chodziło o to, żeby wszyscy wiedzieli, iż stać go na nadążanie za najnowszymi trendami. Freegard przymierzał kolejny zegarek, flirtując z ekspedientką, kobietą o obfitych kształtach, która ewidentnie wołałaby, żeby klient aż tak nachalnie się w nią nie wpatrywał.

Simon Young tolerował przydługie wizyty Freegarda, ponieważ wiedział, że zawsze mu się coś uda sprzedać. Ten klient nigdy nie zawodził; kupił już u niego sporo zegarków.

- Mam prośbę - odezwał się Freegard, dając mu ruchem głowy znak, że się zdecydował i prosząc, żeby zapakowano w pudełeczko jego ostatni zakup. - Czy mógłbyś przenocować kogoś u siebie przez jakiś czas? Nie dłużej niż kilka tygodni.

Simon się zastanowił. Była to dość dziwna prośba ze strony klienta. Z drugiej strony w swoim domu, w małym miasteczku Conisbrough, miał wolny pokój. Czy Freegard będzie mu chciał zapłacić? Ile?

- Posłuchaj - powiedział Freegard z szerokim uśmiechem. - Zapłacę za wasze wyżywienie. Pokryję wszystkie jego koszty, a ty będziesz jadł za darmo. - Pochylił się nad kontuarem, unosząc brwi i kołysząc się na łokciach. - Propozycja nie do odrzucenia, nie sądzisz?

Simon Young obliczył w myślach, że nie kupując jedzenia, zaoszczędziłby około sześćdziesięciu funtów na tydzień. Bez wahania przyjął hojną ofertę Freegarda i zaczął się zastanawiać, kim będzie jego gość.

Kiedy Simon Young zobaczył Sarah, doznał szoku. Rozpoznał ją i jednocześnie jej nie rozpoznał. Uderzyły go przede wszystkim jej krótkie, rozjaśnione włosy, które, jak mu się wydawało, były kiedyś długie i brązowe. Blond jej nie pasował i absolutnie nie harmonizował z resztą jej osoby; wyglądała na zgaszoną, przygnębioną, zamkniętą w sobie; była zupełnie inna niż dziewczyna, którą pamiętał.

Simon przypomniał sobie wydarzenia, które doprowadziły do ich pierwszego spotkania około dziesięciu miesięcy wcześniej. Był chłodny, wilgotny wieczór w lutym 1993 roku. Wszystko zaczęło się w nocnym klubie w Manchesterze. Simon znalazł się tam w towarzystwie swego stałego klienta ze sklepu jubilerskiego, Roberta Freegarda, albo inaczej Roberta Frittora, jak go czasami nazywano w mieście. Nie powiedziałby, że byli przyjaciółmi, ale od czasu do czasu Freegard zabierał go ze sobą na różne imprezy.

Było już dość późno, kiedy Freegard przyniósł ćwierćlitrową szklankę z jakimś napojem, domagając się, żeby Simon wypił zawartość jednym haustem. Reszty wieczoru nie pamiętał. Ocknął się o czwartej rano na tylnym siedzeniu jadącego samochodu. Oczy miał tak zlepione, że z trudem udało mu się je otworzyć i wtedy zobaczył Freegarda spoglądającego na niego z fotela kierowcy.

- Gdzie jesteśmy? - wychrypiął Simon, nie rozpoznając terenu.

- Newport - usłyszał w odpowiedzi. - No prawie. Próbowiałem cię obudzić, ale się po prostu na mnie zwałeś. Nie masz zbyt mocnej głowy, co? Poznaj moją koleżkę z pracy - powiedział Freegard,

wskazując siedzącego z przodu mężczyznę o włosach w mysim kolorze.

Simon poczuł, że Morfeusz, a może ktoś lub coś o zgoła mocniejszym uścisku, ciągnie go z powrotem w nicosć. Parę sekund później, tak mu się w każdym razie wydawało, ponownie gwałtownie otworzył oczy. Samochód stał. Simon był sam. Walcząc z pasem bezpieczeństwa, próbował usiąść. Miał wrażenie, jakby samochód chciał się wokół niego owinać. Co się dzieje w mojej głowie, pomyślał.

Usłyszał jakieś szcęknięcie po lewej stronie i otworzyły się drzwi. Ukazały się czyjeś nogi unoszące się nad mokrym, czarnym asfaltem, potem pojawiła się twarz, zniekształcona, różowa, bezsensownie radosna. - Jesteśmy na miejscu - powiedziała twarz. - Wyłaż, mięczaku! - Jakieś ręce wyciągnęły go z samochodu i pchnęły go w kierunku czegoś, co wyglądało na pub. Miał uczucie, że jest na głównej ulicy, ale nie było żadnych samochodów. Kiedy go wprowadzano do wnętrza, potknął się o stopień. Te same ręce znowu go podniosły i nagle znalazł się na stromych schodach. Otworzyły się kolejne drzwi i zobaczył łóżko, które go zapraszało do środka. Tym razem, kiedy się osunął, łóżko czekało i zdołało go złapać.

Simon ciągle miał w pamięci to uczucie rozdzielenia ciała od umysłu, kiedy miał wrażenie, że stojąc z boku, przypatruje się sam sobie; nigdy więcej nie chciałby czegoś takiego przeżyć. Co on takiego wypił tamtego wieczora? Może go czymś naszprycowano, kto wie? Wyraźnie natomiast pamiętał, że następnego ranka obudził się z potwornym kacem w łóżku w pokoju na pierwszym piętrze, nad pubem w Newport w Shropshire.

Zszedł ostrożnie po schodach, odnalazł Freegarda siedzącego nad szklanką wody i cała historia stała się nieco bardziej klarowna. Freegard powiedział Simonowi, że znajdują się w jego pubie o nazwie Swan.

Wkrótce zaczęli się schodzić klienci. Simon zwrócił uwagę na to, jak pewnie Freegard czuł się za barem; odnosiło się wrażenie, jakby to robił przez całe życie. Ponieważ Simon nie miał ze sobą pieniędzy, a to oznaczało, że nie miał też jak wrócić do domu, nie pozostało mu nic innego, jak tylko zatelefonować do sklepu, w którym pracował i powiedzieć, że jest chory. Musiał się pogodzić z koniecznością pozostania w Newport przez cały tydzień.

W Swanie zauważył dużą grupę studentów tłoczących się wokół baru. Freegard zabrał go do domu, który trójka z nich wynajmowała w pobliżu i w ten sposób poznał Johna Atkinsona, Marię Hendy i Sarah Smith.

Simon spędził wówczas w towarzystwie Sarah tylko godzinę, ale z pewnością była to ta sama kobieta, która stała teraz przed nim w jego salonie w Conisbrough.

- Cześć - powiedziała Sarah. Wiedział, że też go poznała, ale nie robiła wrażenia osoby w nastroju do pogaduszek, tak więc dał temu spokój i zaprowadził ją do pokoju. Miała ze sobą niewiele rzeczy, trochę przyborów toaletowych i nocną bieliznę.

Przez następne kilka tygodni Simon rzadko widywał swoją lokatorkę. Kiedy ją spotykał, była przeważnie w tejże nocnej bieliźnie. Rozmawiali o tym, co było w telewizji, o jakichś drobiazgach, o niczym ważnym. Jego zdaniem przypominała ducha.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sianie zamętu

NETHER HALE, LISTOPAD 1993

Po ostatnim telefonie Sarah i wybuchu Johna, Peter i Jill zaczęli się zastanawiać, czy z ich córką nie dzieje się coś bardzo złego. Rodzicom Sarah historyjki na temat IRA wydawały się w całości zmyślane i z miejsca je odrzucili. W dalszym ciągu kontynuowali poszukiwania, ale zadawali sobie pytanie, czy Sarah rzeczywiście chce zostać odnaleziona. Instynktownie wiedzieli, że Freegard coś knuje, całe życiowe doświadczenie mówiło im, że coś w tym wszystkim jest mocno nie w porządku. A jednak odnosiło się wrażenie, że Sarah jest z nim z wyboru, co dla każdego, kto ją znał, nie miało żadnego sensu.

Przyjaciele i rodzina radzili im, żeby przestali spłacać zadłużenie z karty córki i nie regulowali jej innych rachunków, ale Jill nie była w stanie zmusić się do zlekceważenia próśb Sarah. Jej potrzeby wydawały się dość prawdopodobne, a przecież istniała możliwość, że naprawdę jest w kłopotach. Jak mogłaby odciąć swoje własne dziecko do pieniędzy, które dla niej odłożyli?

Jill zamartwiała się, że jakimś sposobem Sarah uzależniła się od narkotyków. Peter jednak nie sądził, żeby to mogło być prawdą. Była też inna teoria, a mianowicie że Sarah wstąpiła do sekty. Córka ich przyjaciół niedawno związała się z munistami i, jak to określił Peter, „świata zgasły”. - Nie wierzę, żeby coś takiego mogło się przytrafić Sarah - powiedziała Jill, modląc się, żeby miała rację.

Peter odnalazł dom w Peterborough, w którym Sarah miała mieszkać, pracując w Commercial Union. Zastanawiał się nad całą tą łamigłówką. Zgodnie z informacjami, które uzyskał jakiś czas temu, Sarah wynajęła ten dom na sześć miesięcy, a obecnie właściciel chciał wiedzieć, co się dzieje. Powiedział Peterowi przez telefon, że nie widział żadnego ze swoich czterech lokatorów od maja. Ponieważ Peter uczestniczył w spotkaniu odbywającym się niedaleko uniwersytetu w Cambridge, nadarzyła się świetna okazja, żeby pojechać kawałek dalej, do Peterborough i zorientować się w sytuacji.

Wyciągnął szyję, chcąc zajrzeć przez okno do wnętrza domu zbudowanego w stylu udającym tudoriański, osłaniając oczy ręką, żeby lepiej widzieć. Ewidentnie nikt tu nie mieszkał. Obszedł dom i nacisnął klamkę tylnych drzwi. Były zamknięte.

Peter był przekonany, że wewnątrz znalazłaby się jakaś wskazówka, która by mu pomogła odnaleźć córkę i zrozumieć, co się dzieje. Ale jak się tam dostać? Po bezowocnych poszukiwaniach otwartego okna albo zapasowych kluczy pod wycieraczkami i doniczkami, zauważył, że pływaczka w dolnej części tylnych drzwi jest obluźwana. Poruszał ją trochę i bez większego trudu oderwał. Wczołgał się przez dziurę, strzepnął kurz z rąk i przez kuchnię wszedł do salonu.

Zatrzymał się na progu zaskoczony widokiem, który ukazał się jego oczom. Na podłodze walały się ubrania, bagaże, najróżniejsze rzeczy osobiste. W pudle leżały porzucone kubki, czajnik, cukier, herbata i kawa, najniezbędniejsze rzeczy w życiu studenta. Wyglądało to tak, jakby zegar nagle się zatrzymał. Kimkolwiek byli ludzie, którzy tu mieszkali, bez wątplenia opuszczali to miejsce w popłochu.

Peter sprawdził torby. Wszystkie ubrania należały do Sarah albo do Johna; nie było rzeczy ani Freegarda, ani Marii. Peterowi zaczęło się wydawać, że porzucenie przez Sarah swojego dobytku mogło oznaczać, że córka chciała zostawić przeszłość za sobą i zacząć wszystko od nowa. Poczuł, jak go coś ściska w gardle. Czyżby on i Jill popełnili jakiś błąd? A może było inne, bardziej ponure wytłumaczenie tego wszystkiego?

Jego uwagę zwrócił mały notesik. Otworzywszy go, zobaczył, że strony pokryte były pismem Sarah, rozpoznał je bez problemu. Przyjrzał się dokładnie notatkom, ale nie miały one dla niego żadnego sensu - była to długa lista z numerami rejestracyjnymi, markami samochodów, numerami domów, godzinami.

Peter zmarszczył brwi. Co to wszystko mogło znaczyć? Jeszcze raz przerzucił całą tę stertę rzeczy i znalazł kilka kartek różniących się od reszty. Na pierwszy rzut oka wziął je za list od Sarah, słowa wydawały się znajome. Przyjrawszy się im bliżej, zorientował się, że to zapis rozmowy telefonicznej, a raczej tego, co Sarah mówiła w trakcie tej rozmowy, którą przeprowadzili sześć miesięcy temu, kiedy mu powiedziała o pracy w Commercial Union. Wszystko tu było czarno na białym, słowo w słowo. Dlaczego to zapisała?

To był nowy zwrot akcji. Peter wyjrzał przez okno kompletnie zbity z tropu.

CUMBRIA, POCZĄTEK GRUDNIA 1993

Światła reflektorów omiotły okna sypialni na farmie Aldby w pobliżu miast Cleator Moor w hrabstwie Cumbria. Na odgłos pukania do drzwi wejściowych Jean poderwała się ze snu. Rzuciwszy okiem na zegar, zorientowała się, że dobiega północ i zaczęła się zastanawiać, kto to u licha może być. Czując nagłą obawę, że stało się coś strasznego, narzuciła na siebie szlafrok. Jej mąż również się już obudził i razem zeszli na dół zobaczyć, kim jest ten późny gość.

- John? - Jean wyraźnie zaskoczył widok brata stojącego na progu w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Od sześciu miesięcy nikt z rodziny go nie widział. Kiedy dzwonił, co zdarzało się rzadko, żeby ich zapewnić, że wszystko jest w porządku, wystraszeni i zaniepokojeni starali się go namówić na powrót do domu. Bezskutecznie.

Jean kazała im natychmiast wejść do środka. Padał gęsty śnieg i obaj mężczyźni byli pokryci białymi płatkami, które zaczęły się rozpuszczać, tworząc małe kałuże, kiedy tylko przekroczyli próg i weszli do przedpokoju.

John przedstawił swego kolegę, na imię miał Rob. Jean ruchem ręki zaprosiła ich do pokoju; zauważyła jednocześnie, że brat jest zdenerwowany i wystraszony.

- Co się dzieje, John? - zapytała. - Dlaczego rzuciłeś studia? - John Atkinson i jego siostra Jean byli młodszymi z czwórki rodzeństwa i zawsze się dobrze rozumieli, ale kiedy John nagle opuścił uczelnię, nawet ona nie mogła do niego dotrzeć, żeby spróbować zrozumieć, dlaczego tak nagle zrezygnował tuż przed końcem ostatniego roku studiów.

John robił wrażenie wzburzonego. - Niczego nie mogę wytłumaczyć w domu. Musimy gdzieś stąd odejść. - Jean i jej mąż spojrzeli na siebie pytająco, nie mając ochoty nigdzie wychodzić o tak późnej porze i w tak okropną pogodę.

- A dlaczego nie możemy rozmawiać tutaj? - zapytała Jean. John nie odpowiedział. Wyglądał na przerażonego. Trzęsąc się, złapał siostrę za rękę, odwrócił jej dłoń grzbietem do góry i napisał: IRA.

W tym momencie Jean zrozumiała, że jest jakiś poważny problem. Te trzy litery przyprawiały o dreszcze każdego, kojarzyły się z gwałtowną śmiercią. Sądząc po wyglądzie jej brata, stawka musi być wysoka. Jean nie była osobą, którą łatwo nastraszyć, ale serce zaczęło jej bić szybciej i oczyma wyobraźni ujrzała karabiny, bomby i mężczyzn w kominiarkach.

- Okej, chodźmy - powiedziała nerwowo.

Powoli, dwoma samochodami wyjechali z farmy, pierwszy prowadził Freegard. Po godzinie i piętnastu minutach jazdy mały konwój zatrzymał się na stacji benzynowej Tebay niedaleko Shap. Weszli do barku, zamówili kawę, po czym Jean zwrócił się do brata z prośbą, żeby jej to wszystko wytłumaczył.

Przez cały czas, kiedy John mówił, Freegard się nie odzywał, ale bacznie go obserwował. John opowiedział siostrze o studencie z Harpera, jednym z jego kolegów, który pojechał do domu do Irlandii i rzekomo popełnił samobójstwo. Jednakże śmierć tego chłopaka to było coś znacznie więcej. John przyznał, że tak się tym wystraszył, że bał się mieszkać w akademiku, więc się wprowadził do Roba, do mieszkania nad pubem. Grozi mu niebezpieczeństwo ze strony IRA, ponieważ wie za dużo na temat ich działalności na uczelni. Dla jego własnego dobra jest teraz objęty programem ochrony świadków

razem z Sarah Smith, Marią Hendy i Robem Freegardem. Powiedział Jean, że nie może zdradzić swojego adresu, ale że na chwilę obecną jest bezpieczny. Poprosił ją, żeby przekazała to wszystkim rodzicom, ale żeby koniecznie zrobiła to poza domem i nie w samochodzie, ponieważ policja podejrzewa, że mogą tam być założone podsłuchy.

SARAH, SHEFFIELD, POCZĄTEK GRUDNIA 1993

Pracuję teraz w barze w hotelu Forte Posthouse na obrzeżach Sheffield. Przynajmniej wreszcie nie śmierzę tłuszczem do smażenia frytek, ale Rob w dalszym ciągu nie pozwala mi zatrzymywać żadnych pieniędzy, ponieważ nasze fundusze są niezmiernie bardzo skromne i wszystko musi być wpłacane na konto policyjne. Uparcie twierdzi, że musi mnie wozić do pracy, a potem odbierać, niezależnie od tego, o której kończę. Na ogół oznacza to dla mnie wielogodzinne oczekiwanie.

Rozmowy ze współpracownikami ograniczam do minimum, żeby uniknąć niewygodnych pytań. Naciskana, mam mówić, że Rob jest moim chłopakiem. Tylko w ten sposób da się wytłumaczyć jego ciągłą obecność.

Żeby utrudnić mojemu ojcu wyśledzenie mnie, Rob zarządził, że moja pensja ma być przekazywana na konto Marii Hendy. Dał mi jej dane bankowe i numer w systemie ubezpieczeń społecznych. Jeżeli ktokolwiek będzie kwestionował ten układ, mam mówić, że jest moją siostrą. Jeżeli się wygamam na temat swojej sytuacji, może to, jak twierdzi Rob, oznaczać kłopoty, mogą mi postawić zarzut oszustwa. Ponadto jeżeli się zdemaskuję przez własną głupotę, nawet postępując zgodnie z rozporządzeniami, będę musiała sama sobie poradzić z zagrożeniem, które wisi nade mną i moją rodziną.

Od kiedy wyprowadziłam się z Dorothy Road i zamieszkałam u jednego z jego kolegów, zostałam całkowicie odcięta od reszty grupy i mam kontakt tylko z Robem. Z ulgą uciekłam od życia w permanentnym napięciu, ale początkowo pomyśliłam, żebym mieszkała z kimś obcym, bardzo mi się nie spodobał. Rob nalegał, utrzymując,

że to tylko na parę tygodni, że w międzyczasie znajdzie dla mnie coś na stałe.

Prawdę mówiąc, już kiedyś spotkałam Simona Younga, mojego gospodarza, nawet kilka razy. Rob przyprowadził go do akademika, do mojego pokoju. Teraz rozumiem dlaczego; najwyraźniej razem rozpracowywali komórkę IRA na uczelni. Ale z Simonem nie rozmawiamy o „problemie”, chyba że Rob mnie poinstruuje, co mam mówić. Zamiast tego gawędzimy o piłce nożnej i komputerach.

Rob ciągle powtarza, że wkrótce się to wszystko skończy i nie pozostaje mi nic innego, jak tylko mu wierzyć. Staram się nie rozmyślać o rodzinie i nie martwić się tym, co musi im chodzić po głowie.

NETHER HALE, BOŻE NARODZENIE 1993

W hrabstwie Kent sprawy toczyły się swoim normalnym biegiem. Mając niczym nieuzasadnioną nadzieję, że może w okresie świątecznym uda się im jakimś cudem gdzieś spotkać z córką, Jill udała się na gwiazdkowe zakupy. Tak więc pod choinką leżały teraz trzy kolorowe, nie otwarte paczki, a na błyszczący papier opadło kilka sosnowych igieł. Do prezentów przyklejone były karteczki z dedykacją: „Dla naszej ukochanej córki Sarah. Mama i Tata”. Jill czuła, że te liściki mogą nigdy nie zostać odczytane. Państwo Smith w dalszym ciągu nie wiedzieli, gdzie jest ich córka.

Ostatni trop zatarł się i znikł. Peter nie zdołał uzyskać żadnych informacji od ojca Marii, Gordona Hendy, napomknął on jedynie, że Maria jest w ciąży. Peter pomyślał sobie, że wobec tego Maria musi mieć kartę u jakiegoś lekarza, a na tej karcie powinno się znajdować miejsce zamieszkania. Wybłągał przyjaciela, który pracował w Narodowym Funduszu Zdrowia, żeby przeszukał komputerową bazę danych. Udało się, dostali adres: Dorothy Road w Sheffield. Peter chciał wziąć dom pod obserwację, mając nadzieję, że może w ten sposób zdołają wytropić Sarah, ale Jill się nie zgodziła, obawiając się reperkusji, jakie taki krok mógłby pociągnąć za sobą, tak więc poszukiwania córki utknęły w martwym punkcie.

Rodzina Sarah dzielnie świętowała Boże Narodzenie, ale puste miejsce przy stole sprawiło, że czuli się, jakby obchodzili te święta w towarzystwie ducha. Nikt nie wypowiedział imienia Sarah.

Tego wieczora Jill napisała w swoim pamiętniku: „Serce się kraje...”. Wiedziała, że mąż radzi sobie z tym wszystkim, nie dopuszczając do siebie smutnych myśli, koncentrując się na poszukiwaniach. Jednak dla niej, pomyślała, gasząc lampkę nocną, był to jeden wielki smutek, którego może zaznać tylko matka. W ciemnościach Jill cichutko wyłakiwała swój żal.

CUMBRIA, STYCZEŃ 1994

- Ależ John, to straszne. - Margaret Atkinson, matka Johna była bliska płaczu. - A może byś po prostu został tutaj, kochanie, do czasu aż się to wszystko uspokoi?

- Nie, mam. Naprawdę nie mogę. To nie byłoby bezpieczne. - John rzucił pełne niepokoju spojrzenie w kierunku okna. Na zewnątrz w samochodzie czekał Rob.

Russell Atkinson pochylił się, oparł łokcie na stole, ręce złożył jak do modlitwy, jego stopy spoczywały bezpośrednio na zimnej, kamiennej podłodze. Będąc młodym mężczyzną, ojciec Johna musiał się poruszać z gracją charta. Miał młodzieńczą, świeżą skórę i szare, niemal przezroczyste oczy. Wszystko w nim było doskonale dopasowane.

Russell Atkinson zawsze oglądał wiadomości w telewizji. Wiedział o problemie Irlandii Północnej, ale dla niego był to temat z innego świata. Myśl, że jego syn jakimś sposobem uwikłał się w politykę irlandzką, wydawała się nieco komiczna. To tak jakby królowa ubrała się w dzinsy albo bibliotekarz wykonywał taniec brzucha. Nie miało to po prostu sensu. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że IRA jest zagrożeniem rzeczywistym, że z tymi ludźmi nie ma żartów.

- Mam wrażenie, że robisz cokolwiek ci każe ten twój przyjaciel Rob - powiedział Russell wolno. - To nie on przypadkiem wszystkim rządzi?

John wyrecytował historyjkę, którą Rob kazał mu opowiedzieć rodzicom: że istniał specjalny agent nadzorujący operację. - Nie, Rob jest w takiej samej sytuacji jak ja. Wykonuje jakieś zadania dla

policji, a jeżeli chodzi o mnie, po prostu pilnuje, żebym robił to, co zarządzi nasz agent. Oczywiście nie mogę wam podać jego prawdziwego imienia. Mógłby się nazywać jakkolwiek: Tom, Dick lub Harry, niech mu będzie Harry.

- Rozumiem - powiedział ojciec Johna. Russellowi nic się w tym wszystkim nie podobało, ale nie miał powodów nie wierzyć synowi.

NOTTINGHAM, 10 STYCZNIA 1994

Robert Freegard zamieszkały przy Westgate 111 w Worksop wyszedł z sądu koronnego w Nottingham jako wolny człowiek. Pomimo że postawiono mu zarzut podżegania do porwania Alison, swojej byłej dziewczyny, Freegardowi udało się doprowadzić do ugody z oskarżycielem, w wyniku której został obwiniony jedynie o zwykłą kradzież, do czego przyznał się przed sądem. Został skazany na dwanaście miesięcy w zawieszeniu, zobowiązany do przestrzegania porządku i zapłacenia grzywny w wysokości 100 funtów. Wyszedł z opresji, nie spędziwszy nawet jednego dnia w więzieniu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Misja szpiegowska

STYCZEŃ 1994

Simon Young, u którego zamieszkała Sarah, usadowił się w autokarze National Express z wyrazem zadowolenia na twarzy. Zajrzał do torby, rzucił okiem na metalowy przedmiot, którego dostarczenie w określone miejsce było celem jego misji i uśmiechnął się do siebie tajemniczo. Czyż nie marzył zawsze, żeby zostać szpiegiem, żeby być kimś takim jak James Bond? Teraz jego fantazje miały nabrać realnych kształtów. Pracował dla rządu brytyjskiego, wykonywał prawdziwe zadanie polegające na dostarczeniu przesyłki do londyńskiego pubu.

W miarę jak autobus połykał kilometry na autostradzie M1, Simon rozmyślał nad zmianą, jaka zaszła w jego życiu w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Wiesz co, Simon, mógłbyś wreszcie coś dla siebie zrobić - oświadczył pewnego dnia Freegard, kiedy razem oglądali rozłożone na wystawie zegarki. - Powinieneś się rozbijać szybkimi samochodami, mieć sznur pięknych kobiet, jeździć na ekskluzywne wakacje i kupować to, na co masz ochotę. Świat czeka na ciebie. Dlaczego miałbyś się ograniczać do tego? - Freegard wskazał ręką sklep.

Simon był zauroczony wizją podniecającej przyszłości, którą roztoczył przed nim Freegard. Kto by nie był? Z pracy u jubilera dawało się wyżyć i zapłacić rachunki, ale była to harówka od godziny dziewiątej rano do piątej po południu przez sześć dni w tygodniu, a Simon czuł, że stać go na więcej. Miał dwadzieścia pięć lat i już nieraz zastanawiał się nad przyszłością. Propozycja, żeby zmienić

bezpieczne życie, w którym jednakże wszystko sprowadzało się do rutyny, na coś oryginalnego i ekscytującego, była pociągająca i jak najbardziej chciał się czegoś więcej na ten temat dowiedzieć.

- Rozumiem, że sobie ze mnie żartujesz.

- Nie, jestem śmiertelnie poważny. - Freegard wiedział, że udało mu się skupić na sobie uwagę Simona.

- W takim razie powiedz mi, co przez to rozumiesz.

Freegard pochylił się nad kontuarem i zaczął się pukać po nosie. - Zaczynaj pracować dla mnie - zaproponował, po czym przeszedł do wyjawienia swojego wielkiego sekretu.

Konspiracyjnym szeptem przyznał się, że jest w rzeczywistości szpiegiem pracującym dla rządu brytyjskiego. Opisał, jak rozpracowywał komórkę IRA na uczelni rolniczej koło Newport i wykorzystywał studentów w celu „wypłoszenia” terrorystów z kryjówek.

Simon był zahipnotyzowany. Zupełnie zapomniał o zegarkach, słuchając tego zagadkowego klienta opisującego swą pracę. Dowiedział się, jak Freegard został zdemaskowany, jak IRA odkryła jego tożsamość oraz nazwiska studentów, którzy z nim współpracowali. Wszyscy oni musieli teraz uciekać. W rzeczy samej Sarah mieszka chwilowo w domu Simona, aby się ukryć przed pogonią, a zadaniem Freegarda jest chronić ją i Marię, jako że obie znajdują się na czarnej liście IRA. John wspólnie z nim wykonuje tę misję, a obecnie wypełnia tajne zadanie, pracując w pubie na wzgórzach Derbyshire.

Freegard powiedział mu, że za częścią operacji, których celem jest złapanie irlandzkich terrorystów, stoi Scotland Yard. - To wszystko jest ściśle poufne, jak się pewnie już domyśliłeś. Ale możesz w tym uczestniczyć, Simon. Powiedziałbym wręcz, że jesteś idealnym kandydatem; trzeba by cię było trochę wyszkolić i mógłbyś pracować ze mną dla rządu. No i co na to powiesz?

Oczy Simona rozszerzyły się z niedowierzania. Po prostu nie był w stanie tego pojąć, ale Freegard był pewny siebie i elokwentny i powoli wszystko zaczynało nabierać sensu. Tłumaczyłoby to, dlaczego Freegard zawsze przyjeżdża po Sarah i ją odwozi: czuwa nad jej bezpieczeństwem.

Wyjaśniałoby to także, dlaczego Sarah jest tak powściągliwa i przygnębiona, jakby balansowała nad przepaścią. Już od pewnego czasu Simon podejrzewał, że Sarah, John, Maria i Freegard należą do jakiejś sekty, teraz zrozumiał, dlaczego mu się tak wydawało. Freegard tym wszystkim zarządzał, to on otrzymywał rozkazy ze Scotland Yardu. To dlatego na jego najłżejsze skinienie John pędzi wykonać polecenie. Freegard ukazał mu się teraz w zupełnie nowym świetle.

Simon, oparty o gablotę z zegarkami, zdecydował się, że chce w tym uczestniczyć. - Kiedy mam zacząć?

Począwszy od tego spotkania w dziale jubilerskim, sprawy posuwały się szybko do przodu. Simon omówił pobieżnie temat IRA z Sarah i wszystko zdawało się potwierdzać.

W poprzednim tygodniu Freegard przedstawił w skrócie szereg, jak to nazwał, zadań na lojalność, które Simon musi wykonać, aby można było stwierdzić, czy nadaje się do zaplanowanej dla niego roli. Simon przystąpił do ich wypełniania z wyraźną przyjemnością.

Misja numer jeden odbyła się z udziałem Freegarda, który wysadził Simona w centrum Sheffield, wręczając mu plik kartek z odręcznie napisanymi instrukcjami. Miał biegać od miejsca do miejsca i wracać w określonym czasie. Simon od razu się przyznał, że nie jest w najwyższej formie i rzeczywiście złał się potem, wykonując zadanie, ale mimo to wyszedł z próby zwycięsko. Freegard nie szczędził mu pochwał i wyglądał na bardzo zadowolonego. Simon poczuł się świetnie i nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł się rozprawić z kolejnym zleceniem.

Misja numer dwa wymagała wyjazdu do Manchesteru, gdzie, jak został wcześniej poinstruowany, miał się zastosować do szeregu wskazówek. Doprowadziły go one do domu towarowego. Po dotarciu na miejsce musiał kupić określony przedmiot, a następnie go przywieźć do Sheffield. Żaden problem.

Obecnie wypełniał trzecią misję, która polegała na dostarczeniu przedmiotu zakupionego w Manchesterze pewnej osobie pracującej w pubie w Londynie.

Simon rozmyślał nad znaczeniem tych zadań. Na pierwszy rzut oka wydawały się dość dziwaczne, ale wiedział, że podczas szkolenia agencji MI5 muszą wykonywać najróżniejsze zwariowane polecenia;

gdzieś o tym czytał. To prawda, że miał pewne wątpliwości, czy to, co się odbywa, ma jakikolwiek związek z rzeczywistością. Jednakże w momencie, kiedy się spotykał z Freegardem, wszystkie te obawy się rozwiewały. Facet był tak bardzo pewny siebie. Simon czuł, że jest nieodwołalnie wciągnany w grę.

Zdecydowany powierzona mu misję doprowadzić pomyślnie do końca, Simon radośnie nucił coś pod nosem, wyglądając przez okno autokaru. Wyobrażał sobie swój nowy styl życia, widział mężczyznę sączącego koktajle przy basenie, wygrzewającego się w ciepłym słońcu z nogami wyciągniętymi na leżaku. Koniec z domkiem w Conisbrough; z czasem będzie miał dość pieniędzy, żeby zamieszkać we wspaniałej rezydencji, może w jakimś egzotycznym otoczeniu. Pomyśleć tylko, co powiedzą jego znajomi, jakie historie będzie im mógł opowiadać. Bez wątpienia los się do niego uśmiechnął. Czuł się, jakby występował w filmie.

Dopiero po raz drugi w życiu jechał do stolicy i w miarę, jak autobus połykał kilometry, a cel podróży się przybliżał, Simon był coraz bardziej podekscytowany. Miasto pojawiło się w oddali i w niedługim czasie autobus zatrzymał się w centrum, przy Marble Arch; zapisały hamulce, silnik zgasł. Nadszedł czas na kolejny etap.

Simon wysiadł z autobusu i zbiegł szybko pod ziemię, do metra. Przejechał trzy przystanki i znalazł się na stacji Hyde Park Corner. Bardzo mu się to podobało, czuł się jak odurzony. Skrzyżował ulicę Old Park Lane i wkrótce zobaczył przed sobą pub o nazwie Rose and Crown. Serce zabiło mu mocniej, ale śmiało wkroczył do środka i pomaszerował w kierunku baru.

Freegard poinformował Simona, że właściciel pubu będzie go oczekiwał. Obejrzawszy się szybko przez ramię, Simon spokojnym głosem powiedział mężczyźnie stojącemu za barem, że przyniósł umówiony przedmiot, podał mu go, po czym bez dalszych ceregieli odwrócił się i poszedł z powrotem na dworzec autobusowy. Ponieważ wykonał zadanie przed terminem, zdecydował się wrócić do Sheffield wcześniejszym autobusem niż to było zaplanowane. Pomyślał, że zdobędzie dodatkowe punkty za szybsze zakończenie misji.

Cztery godziny później był już w Sheffield, ale uśmiech wkrótce znikł z jego twarzy. Ku zdziwieniu i przerażeniu Simona, Freegard, zamiast być zadowolonym z tak szybkiego załatwienia sprawy,

był rozdrażniony i opryskliwy. - Zleciłem komuś, żeby cię śledził, musiałem wiedzieć, czy wykonujesz rozkazy. Trudno chyba sobie wyobrazić coś prostszego, na miłość boską. Wyraźnie ci powiedziałem, że masz wrócić autobusem o szóstej, a nie o piątej. Powinieneś podróżować razem ze swoim ogonem, a tak skończyło się na tym, że przyjechałeś sam.

Simon zaczynał rozumieć zawiłości tego, w co się zaangażował. Fregard go obserwował, miał go stale na oku. Nie wolno mu więcej zboczyć z kursu. Następnym razem będzie o tym pamiętał.

Kiedy w końcu Simon znalazł się w łóżku, długo leżał, patrząc w sufit i analizując wypadki tego pracowitego dnia. Przez chwilę przed oczami stanął mu zakłopotany wyraz twarzy właściciela pubu, kiedy mu wręczał świecący, srebrny przedmiot. Simon zastanawiał się, gdzie może teraz być ów otwieracz do konserw.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dostęp do wspólnego rachunku bankowego

SARAH, STYCZEŃ 1994

Słuchaj uważnie, Sarah. Musimy mieć dostęp do twojego rachunku wspólnego. - Rob siedzi naprzeciw mnie w parku tuż koło domu przy Ivanhoe Road w Conisbrough. Jest w podłym nastroju.

Prosi o coś niemożliwego, ponieważ jest to konto, z którego jako współwłaścicielka mogę korzystać wyłącznie razem z Guyem. Ale z Robem nie da się dyskutować. Ma rozkazy z Londynu, zgodnie z którymi wszystkie pieniądze znajdujące się na wszystkich rachunkach na moje imię i nazwisko muszą zostać przetransferowane na konto policyjne, ponieważ kiedy dostanę nową tożsamość, pierwsza próba podjęcia pieniędzy na moje prawdziwe nazwisko byłaby jednoznaczna z możliwością natychmiastowego wytopienia mnie.

Warkliwym tonem przekazuje mi rozkazy, wrzeszcząc i próbując mnie zastraszyć, a ja czuję, jak moja obrona słabnie. Niemniej jednak karta Access to jedna sprawa, a mój wspólny rachunek z Guyem to zupełnie inny temat. Jest na nim prawie 76 000 funtów, pieniądze, które rodzice składali dla nas, kiedy dorastaliśmy. Wiem, że Guy nigdy w życiu się na to nie zgodzi.

- Wydostaniesz tę książeczkę bankową. To nie jest kwestia wyboru, musisz to zrobić. Przecież wiesz, że odzyskasz pieniądze, kiedy się to wszystko skończy. - Rob forsuje własny punkt widzenia, przełamując moją wolę.

Tak więc jesteśmy w drodze do Isle of Thanet w hrabstwie Kent, skąd mam zabrać swój paszport oraz książeczkę oszczędnościową banku Woolwich. Rob zapewnia, że rodziców nie ma, że

wyjechali na wakacje na Fidzi. Załatwił to tak, że ktoś ich obserwuje, a jakiś jego człowiek nawet dla nich pracuje. W samochodzie jest z nami John, ale jedziemy w ciszy. Z radia grzmi Depeche Mode. Na ogół nie znoszę głośnej muzyki, ale w chwili obecnej uśmierza ona mój ból. Pozwalam sobie popaść w ośpienie.

Mam pójść do Nether Hale sama, podczas gdy oni będą czekali w samochodzie nieopodal. Kiedy już się dostanę do środka, mam zabrać dokumenty i wrócić najszybciej, jak się da.

Z zewnątrz dom kusi rodzinnym ciepłem, ale koncentruję myśli na celu mojej wizyty: muszę wydobyć paszport i książeczkę bankową.

Drzwi frontowe są otwarte i widzę przez nie naszą sekretarkę siedzącą w biurze taty wśród stosów papierów. Sejf znajduje się w tym właśnie pokoju, w którym ona pracuje. Wyjmuję kluczyk ze schowka. Serce wali mi jak młot. Czuję się, jakbym była intruzem we własnym domu.

Kiedy mnie dostrzeżę, patrzy ze zdziwieniem znad okularów. - Sarah!

- Wkładam kluczyk do zamka. - Co ty do licha robisz? - pyta z otwartymi ustami.

Przeszukuję gorączkowo dokumenty i papiery w sejfie. Nie ma ich. To niemożliwe. Gdzie one są?

- Gdzie tata wsadził mój paszport? Muszę mieć swój paszport - domagam się.

- Nie wiem. Twój ojciec nic mi na ten temat nie mówił.

Czuję się całkowicie rozbita. Nie mam wyboru, muszę wrócić do samochodu z pustymi rękami.

LUTY 1994

- Wejdz do budki - warczy Rob. Jesteśmy znowu w Huddersfield i znowu zatrzymaliśmy się przed budką telefoniczną. Czuję, jak panika ściska mnie za gardło. Wiem, co musi teraz nastąpić. Każe mi jeszcze raz spróbować wydostać mój paszport i książeczkę bankową.

- Nie zrobię tego - sprzeciwiam się.
- Powiedziałem: wejdź. Przestań pochlipywać, tylko szybko do nich dzwoń. Czas ucieka. Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby znowu nawalić. - Wpycha mnie do budki. Ręce mi się trzęsą. Z trudem udaje mi się utrzymać monety, które mi wcisnął. Patrzę na niego błagalnie, nie mając pojęcia, jak to załatwić.
- Jesteś chyba na tyle dorosła, żeby wiedzieć, jak dotrzeć do rodziców. Biedna, malutka, smutna Sarah, boimy się mamusi i tatusia? - nabija się ze mnie. Podnoszę słuchawkę i powoli wykręcąm numer rodziców, modląc się, żeby jeszcze ciągle byli na wakacjach. Błagam, nie odbierajcie.
- Farma Nether Hale.
- Mamo. - Czuję, jak głos mi się załamuje.
- Sarah, skarbie. Gdzie jesteś? - Słyszę tyle miłości i ciepła w jej głosie, że odczuwam ogromny ból, musząc kontynuować tę rozmowę.
- Mamo, chciałabym się z tobą spotkać. Przyniosłabyś mój paszport, a poza tym potrzebuję książeczkę bankową do mojego rachunku wspólnego. Ale proszę cię, bądź sama. - Czuję oddech Roba na szyi, przysłuchuje się rozmowie z uchem przy słuchawce. Spoglądam ukradkiem i widzę jego mroczne spojrzenie, w którym jest więcej wrogości niż kiedykolwiek dotychczas.
- Powinnaś przyjechać do domu, kochanie. Jeżeli możesz wpaść, kiedy nas nie ma, to dlaczego nie miałabyś pokazać się teraz, kiedy jesteśmy? - Ledwie słyszę słowa mamy. Zmuszam się, żeby wrócić do tematu i doprowadzić tę sprawę do końca. Wolę nawet nie myśleć o konsekwencjach, jeżeli mi się znów nie uda.
- Mam swoje powody, mamo. Potrzebuję pieniędzy. Miałam wczoraj stłuczkę...
- Przyślij wycenę z warsztatu, skarbie, zapłacimy.
- Rob wszystko słyszy i staje się coraz bardziej wzburzony. Z całego serca pragnę skończyć tę rozmowę, ale przeraża mnie myśl o tym, co się wydarzy, jeżeli nie dostanę książeczki bankowej i paszportu.
- Mamo, błagam. Po prostu przyślij mi to, o co proszę.
- Sarah, czy nie moglibyśmy tego razem omówić? Jesteś naszą córką. Przyjedź do domu. Nie masz pojęcia, jak bardzo się martwimy. - Czuję, jak w mig tracę równowagę wewnętrzną. - Pozwól

nam sobie pomóc. Jeżeli jesteś w kłopotcie, jakoś to załatwimy.

Rob wrywa mi słuchawkę i rzuca ją z wściekłością.

To jeszcze nie koniec. Następnego dnia znowu ciągnie mnie do Huddersfield. Mam podjąć kolejną próbę odebrania od rodziców moich dokumentów. Rob każe mi wsiadać, zatraskuje drzwi przed nosem, sam usadawia się na fotelu kierowcy, poprawia marynarkę i włącza Duran Duran. Przeraza mnie sama myśl o kolejnej rozmowie z rodziną. Próbuję się skupić na czymkolwiek innym. Może to wszystko nieprawda. Może za chwilę się obudzę. Może ich dziś nie będzie w domu. Błagam, niech ich nie będzie.

Mama podnosi słuchawkę tak jak poprzednim razem. Proszę ją, żeby się ze mną spotkała, ona zaklina mnie, żebym przyjechała do domu. Odpowiadam, że nie mam pieniędzy na czynsz, że potrzebuję 400 funtów, że lada chwila wyrzucą mnie na ulicę.

- Mam prawo do moich pieniędzy - mówię błagalnym tonem - to wszystko, czego chcę. Proszę, dajcie mi mój paszport i dostęp do rachunku wspólnego. - Proponuję mamie, żeby do mnie przyjechała. Mama uważa, że lepiej byłoby się spotkać w Londynie. Mówię, że mnie na to nie stać. Odpowiada, że zapłaci za mieszkanie i naprawę samochodu, dodając, że nie ma sensu, żeby przyjeżdżała z książeczką bankową, ponieważ do wybrania pieniędzy z rachunku w banku Woolwich i tak konieczna jest obecność nas obojga, Guya i moja. Mówię, że wobec tego nie ma sensu, żeby w ogóle przyjeżdżała.

Jestem cała we łzach. Jeszcze raz ją błagam, żeby mi przywiozła paszport i książeczkę bankową. Rob przeciąga ręką po gardle, dając znak, że mam przerwać rozmowę.

Tym razem wcale nie pamiętam ani odłożenia słuchawki, ani wyjścia z budki. Wokół mnie panuje kompletna cisza, jedyne co słyszę, to błaganie mamy, żebym jeszcze nie kończyła; jedyne co czuję, to cierpienie z powodu bólu, który zadają rodzicom i kłamstw, którymi ich muszę karmić.

- Nie chcę już nigdy przez to przechodzić. Nie dam rady przeprowadzić ani jednej więcej takiej rozmowy.

- Weź się w garść - odpowiada chłodno Rob.

Była godzina siódma i Jill, udręczona rozmowami z córką w ciągu ostatnich paru dni, właśnie zaciągała zasłony; był to znak, że kolejny dzień dobiegł końca. Nagle znowu zadzwonił telefon. Jill domyślała się, kto to może być i nie miała ochoty podnosić słuchawki, mimo że pragnęła z całego serca znów porozmawiać z córką. Była załamana ciągłą batalią z Sarah o pieniądze i wprost nie mogła uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która kiedyś pilnie oszczędzała i była naprawdę świadoma wartości pieniądza. Jeszcze niedawno Jill wydawało się, że zna Sarah tak dobrze jak samą siebie, ale wydarzenia ostatniego roku pozbawiły ją tych złudzeń.

Ostry dźwięk telefonu rozległ się w dalszym ciągu. Jill przez parę chwil wpatrywała się w aparat i nie miała siły się oprzeć. W końcu z powściągliwością odebrała telefon.

Nie była to Sarah. Rozmówczyni przedstawiła się jako przyjaciółka Sarah, Roberta Freegard, matka Roba. Jill ogarnęły najgorsze przeczucia. Roberta powiedziała, że jest pewien temat niecierpiący zwłoki, który muszą omówić. Jill poprosiła o telefon, kiedy mąż wróci do domu.

Przez następne trzy godziny Roberta oddzwaniała co dwadzieścia minut. Za każdym razem, kiedy ponownie rozległ się dzwonek, Jill czuła się coraz bardziej podenerwowana, aż wreszcie stwierdziła, że nie da rady jeszcze raz odebrać telefonu. Petera ciągle nie było w domu. - A więc o czymże to pani chce porozmawiać? - zapytała w końcu Jill.

Słuchając, co ta kobieta, podająca się za matkę Freegarda, ma jej do powiedzenia, Jill poczuła niemoc w całym ciele. Zgodnie z tym, co mówiła, Sarah groziła, że popełni samobójstwo. W rzeczy samej, raz już udało się im ją powstrzymać.

- Pozwólcie mi z nią porozmawiać - błagała Jill zachrypniętym głosem. - Dajcie mi Sarah do telefonu.

- Nie jest w odpowiednim stanie.

- Ona musi wrócić do domu.

- Nie ma mowy, żeby ją teraz przewozić. - Rozmowa została przerwana.

W tym momencie Peter pojawił się w drzwiach wejściowych i wszedł do pokoju Jill. Był zaszokowany tym, co się ukazało jego oczom. Atmosfera była tak napięta, że odnosiło się wrażenie, jakby

cały pokój trząść się wokół jego żony. Złapał ją w chwili, gdy bliska była upadku. Właśnie wtedy ponownie zadzwonił telefon.

- Kto mówi? Co wyście takiego powiedzieli mojej żonie?

- No proszę, proszę, czyż to nie sam pieprzony inspektor Clouseau we własnej osobie? - Peter zorientował się, że rozmawia z Johnem Atkinsonem; tak jak poprzednim razem, postanowił zachować spokój.

- Sarah musi przyjechać do domu, chcemy pomóc.

- Jak możecie pomóc, jeżeli macie gdzieś dobro własnej córki?

Im Peter był spokojniejszy, tym John bardziej się wściekał. - Sarah jest bliska samobójstwa. Czy to was nic nie obchodzi? Jak możecie być tak okrutni? - Peter z całą pewnością słyszał w tle jakiś szept.

- Ty psycholu, chciałbyś wszystkimi rządzić! Zabiję cię! Słyszysz? Wiem, co się stanie, kiedy ona przyjedzie do domu. Złapiesz ją w swoje szpony, a do mnie wymierzysz ze strzelby. O nie, najpierw ja cię zabiję!

John się rozłączył, a Peter mógł się tylko wpatrywać w słuchawkę, zachowując spokój, choć wszystko się w nim gotowało.

Robert Freegard przysłuchiwał się rozmowie, stojąc w drzwiach budki telefonicznej, na drugim planie. Kiedy się skończyła, wyszedł na chłodne, nocne powietrze i przygładził sobie włosy.

W Nether Hale Jill rozchorowała się na grypę. Peter bardzo się martwił, patrząc, jak cała ta sprawa odbija się na zdrowiu żony. Nie chodziło tylko o grypę; Jill, nałogowa palaczka, zaczęła od chwili zniknięcia Sarah palić jeszcze więcej; poza tym podskoczyło jej ciśnienie. Peter był przekonany, że rozmowy telefoniczne powodowały stres nie do zniesienia. Przykazał, żeby od tej pory nie odbierała telefonów, ma to pozostawić jemu.

Kiedy Jill położyła się do łóżka, Peter wyłączył aparat stojący na jej szafce nocnej.

Za tydzień Sarah znowu zadzwoniła do rodziców. Nie padło ani jedno słowo na temat próby samobójstwa. Sarah poprosiła ich tylko, żeby za sześć dni przyjechali na spotkanie z nią do pubu Pomona przy ulicy Eccleshall w Sheffield. Peter i Jill zgodzili się bez zastrzeżeń.

SARAH

Mówi, że mam cel do osiągnięcia i że muszę go osiągnąć. Mówi, że będzie mnie obserwował razem z kilkoma innymi agentami, żeby zobaczyć jak sobie radzę z wykonaniem zadania. Mówi, że wiele od tego zależy, a w szczególności to, jak prędko jego szefowie uznają, że jestem gotowa na powrót do normalnego życia.

Każe mi zabrać mamę do centrum handlowego w Sheffield, tak żeby była z dala od taty i pod żadnym innym pozorem nie wychodzić z pubu. - Z nią łatwiej sobie poradzić, powinnaś zdołać ją nakłonić, żeby ci dała pieniądze.

- To jest nie do wykonania. Nie ma mowy, żeby tata pozwolił mi ją wziąć gdziekolwiek bez niego, a mama nie zgodzi się nigdzie iść bez taty.

- Musisz to zrobić. Będziesz obserwowana. Masz wrócić za dwie godziny.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ostateczna rozgrywka w pubie Pomona

14 MARCA 1994

Peter i Jill nie widzieli córki od dziesięciu miesięcy, a teraz się spóźniała. Umówili się na spotkanie o jedenastej przed południem, a była już prawie za piętnaście pierwsza. Siedzieli przy stoliku, ściskając w rękach drinki i nerwowo spoglądając na drzwi. Jill zapaliła kolejnego papierosa. Kiedy Sarah w końcu weszła do pubu, z trudem rozpoznali własną córkę. Miała blond włosy o nienaturalnym, białym odcieniu; była chuda, zgaszona i unikała ich wzroku. Peterowi przypominała wychłostanego psa. Zapadła pełna napięcia cisza, a kiedy Sarah wreszcie się odezwała, jej głos ledwie było słychać.

- Przywieźliście mój paszport i książeczkę bankową? - powiedziała z oczami utkwionymi w podłogę.

- Czy nie moglibyśmy porozmawiać o czym innym, skarbie? Nie widzieliśmy cię prawie rok. Miło by było choć raz nie poruszać tematu pieniędzy. - Jill dała wyraz swojej frustracji.

- Nie wiecie nawet, jakie to dla mnie ważne. Mój samochód ciągle jest nienaprawiony, a mnie już prawie wyeksmitowali. Ja naprawdę potrzebuję gotówki.

- Pojedźmy więc razem do warsztatu. Zapłacimy za naprawę.

• - Muszę zapytać Johna, czy da się to tak załatwić; tam trzeba płacić gotówką.

- A może byś po prostu przyjechała do domu - Jill spojrzała na córkę z miłością.

Sarah zaczęła płakać i słowo po słowie ujawniać straszliwą „prawdę”. - Nie mogę, mam. Ściąga nas IRA. Jesteśmy u nich na czarnej liście - powiedziała cała we łzach. Peter i Jill nie zareagowali.

Sarah ciągnęła swoją opowieść, a błagalna nuta w jej głosie stawała się coraz intensywniejsza. - No więc John zobaczył, jak jacyś jego koledzy z uczelni robili bomby dla IRA. Zagrozili mu i dodali, że jego rodzina także powinna się mieć na baczności. John martwił się o mnie, ponieważ byłam w tej samej grupie co ci chłopcy, więc mi o wszystkim opowiedział. - Sarah nie odrywała oczu od podłogi. - Rob miał problemy w pubie. Musiał się też uporać z jakąś sprawą sądową. Maria zakochała się w Robie, tak więc pomyśleliśmy sobie, że najlepiej będzie, jeżeli wszyscy razem zostawimy uczelnię i wyjedziemy.

Peter i Jill, jak wszyscy obywatele Wielkiej Brytanii, niepokoiili się rozwojem wypadków w związku z kampanią, którą IRA prowadziła w ich kraju. Nawet w ostatnich dniach miała miejsce seria zamachów na lotnisku Heathrow. Jednakże pomyśl, że ich córka miałaby się znajdować w niebezpieczeństwie, dlatego że coś widziała na uczelni, wydawał się im niedorzeczny.

- To na Roberta Freegarda powinnaś uważać, a nie na IRA – burknął Peter. - Na dwóch posterunkach policyjnych, nie mających ze sobą nic wspólnego, powiedzieli mi, że lubi młode kobiety z pieniędzmi i że jest nałogowym kłamcą.

Sarah stłumiła szloch, ale nic nie powiedziała.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał ojciec.

Zignorowała jego pytanie i skupiła się na Jill. - Muszę się z tobą zobaczyć sam na sam, mam - odezwała się błagalnie. Peter delikatnym głosem zaproponował, żeby się wszyscy razem przeszli. Córka zgodziła się, choć niechętnie.

Nie mogąc wyjawić swego adresu, Sarah znów wróciła do tematu pieniędzy na mieszkanie i naprawę samochodu.

Kiedy Peter zadał jej pytanie o telefon w sprawie próby samobójczej, spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem, potrząsnęła głową i dalej ciągnęła swój wątek. - Chciałabym cofnąć czas, tato, ale nie mogę, jest już za późno. Potrzebuję pieniędzy, jak ich nie będę miała, nie oddadzą mi samochodu. Proszę was, dajcie mi moją

książeczkę bankową. Muszę mieć pieniądze na czynsz.

Peter był dokumentnie zdumiony, słuchając córki mówiącej zupełnie bez sensu, nie rozumiał, dlaczego w żaden sposób nie mogą do niej dotrzeć. Z Sarah zawsze łatwo się było dogadać. Czyżby ona jednak rzeczywiście się wykoleiła? Zdrowy rozsądek mówił mu, że jeżeli znalazła się w tej sytuacji wbrew swej woli, to obecność rodziców w Sheffield powinna być dla niej okazją do wyzwolenia się z narzuconych siłą więzów. Nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Kiedy tylko wrócili do pubu, zadzwonił stojący na barze telefon. Barman dał gestem znak, że to do Sarah. Na drugim końcu linii odezwał się John Atkinson. Powiedział, że ponieważ nie zrobiła tego, co do niej należało, ma natychmiast przeprosić rodziców i wyjść.

Peter i Jill w pośpiechu zaprosili Sarah na wieczór na obiad i sądząc, że ciągle jest z Johnem, zaproponowali, żeby jego też przeprowadziła, jeżeli będzie miała na to ochotę. Zrobią co w ich mocy, żeby cofnąć czas i zacząć wszystko od nowa. Przyniosą jej paszport. Sarah się zgodziła.

SARAH

Rob kieruje się do parku, a ja muszę iść za nim. Nikogo nie ma w pobliżu, z oddali dobiegają jedynie słabe odgłosy ulicy. - Czy ty sobie zdajesz sprawę, jak kompletnie i totalnie wszystko spartaczyłaś? - wydziera mi się w twarz.

- Przecież ci powiedziałam - mówię z płaczem. - Mama się w życiu nie zgodzi pójść do centrum handlowego sama. Rodzice nie dadzą się rozdzielić.

- Czy jesteś naprawdę tak głupia, że nie potrafisz zastosować się do prostych instrukcji? - Patrzy na mnie z pogardą.

Opuszczam głowę.

- Nie, nie wolno ci iść na żaden obiad. Nie wykonałaś poleceń. Miałaś przecież zabrać matkę na zakupy, samą. Co w tym takiego trudnego?

Peter i Jill, kiedy znaleźli się z powrotem w hotelu, odebrali telefon od Johna Atkinsona. - Jak możecie być tak okrutni dla swojej własnej córki? Tak źle ją potraktowaliście. Dlaczego jej nie daliście tego, o co prosiła? Nie pozwolę, żeby Sarah została jeszcze raz tak brutalnie potraktowana. Nie przyjdzie na spotkanie z wami. Nie przyjdzie na żaden obiad. - Odłożył słuchawkę.

Państwo Smith byli kompletnie załamani, jedyne co mogli zrobić, to pogodzić się z rozwojem wypadków. Jednak następnego dnia rano ponownie zadzwonił John, każąc im stawić się w pubie Pomona o godzinie dwunastej. Powiedział, że jest przeciw temu pomysłowi, ale Sarah chce się jeszcze raz z nimi spotkać. Zdumieni ciągłym zmienianiem instrukcji, rodzice Sarah ponownie udali się do pubu. Córki nie było, barman również jej nie widział.

W tym momencie podszedł do nich wolnym krokiem jakiś mężczyzna. Przedstawił się jako Terry Evans, właściciel warsztatu samochodowego. Powiedział, że stoi u niego auto, które zostało naprawione w jego zakładzie i że od trzech tygodni czeka on na pieniądze za tę naprawę, siedemset pięćdziesiąt funtów. Peter chciał zobaczyć fakturę. Evans pokręcił przecząco głową, mówiąc, że już ją wysłał do Sarah, do Sarah Pickles, pod takim ją znał nazwiskiem.

Peter wyraził chęć obejrzenia samochodu, na co Evans odpowiedział, że znajduje się on w jego warsztacie w Doncaster. Peter zaproponował, że może się tam udać razem z właścicielem. Evans nie mógł się na to zgodzić, ponieważ, jak powiedział, musi czym prędzej dostarczyć samochody, które właśnie przewozi na platformie. Wyszedł z pubu zły, z pustymi rękami, odgrażając się, że zawiadomi policję.

Minęły kolejne dwie godziny, a Sarah się nie pojawiała. O wpół do trzeciej zadzwoniła komórka Petera. Był to Terry Evans. Peter zastanawiał się, skąd u licha znał jego numer i doszedł do wniosku, że musiała mu go podać Sarah. Evans kazał mu przyjechać do pubu Boat Inn w Sprotborough niedaleko Doncaster. - Sarah będzie tam na was czekać o czwartej. Jeżeli się wam uda dogadać, nie pójde na policję.

Peter sprawdził, czy w Doncaster znajduje się warsztat Terry'ego Evansa. Nie było tam takiej firmy. Niemniej jednak razem z Jill czym prędzej pojechali do Doncaster i znaleźli pub. Znow zaczęto się

czekanie. Nikt się nie pojawiał. O wpół do szóstej, kompletnie wy-
czerpani, zdecydowali się wracać do domu. Na autostradzie M1, w
połowie drogi do domu, znowu zadzwoniła komórka. Tym razem
była to Sarah.

- Gdzie jesteście? Co robicie? - zapytała.

- Jesteśmy w drodze do domu. A czego się spodziewałaś?
Przez dwa dni byliśmy tam, gdzie chciałaś, próbując ci pomóc. W
ciągu całego roku widzieliśmy cię zaledwie przez dwie godziny. Jak
ci się wydaje, co my możemy w tej chwili czuć?

- Dlaczego nie zapłaciliście panu Evansowi? - nie ustępowała
Sarah.

- Nie ma mowy, żebym dał komuś pieniądze, nie zobaczyw-
szy faktury, zwłaszcza takiemu podejrzanemu typowi. Słuchaj, Sa-
rah, podaj mi choć jedno nazwisko terrorysty z IRA ze swojej uczel-
ni.

- Wiesz, że nie mogę, tato. Proszę cię, zapłać za naprawę sa-
mochodu i za mieszkanie; właściciel chce właśnie wymienić
wszystkie zamki. I muszę mieć swoją książeczkę bankową.

- Dość tego. Nie będzie więcej pieniędzy. Miałaś szansę, a
zrobiłaś z nas głupków, Sarah. Tak więc koniec.

- Nic nie rozumiesz, tato. Nie mam nikogo innego, kto mógł-
by mi pomóc - błagała Sarah, uderzając w płacz.

- Marnujesz nasz czas. Mamy dość tego ganiań za tobą w
kółko. Donikąd to nie prowadzi.

- Nieprędko się z wami znów skontaktuję.

Peter nic nie mówił przez chwilę. Umacniał się w swoim posta-
nowieniu. Sprawy doszły do punktu, w którym, jak uważał, może
będzie lepiej, jeżeli Sarah przestanie do nich wydzwaniać. Myśl o
ciszy i spokoju była bardzo nęcąca. Popatrzył na żonę i zastanowił
się nad tym, jaki to wszystko ma na nią wpływ, nad koszmarem,
jakim jest ciągle napięcie i nieustanne zmartwienie. Może lepiej by
było zapomnieć o Sarah?

Stał przed trudnym wyborem. Mógł stracić córkę, ale jednocze-
śnie nie miał zamiaru stracić żony.

- No więc dobrze, Sarah. Od tej chwili jesteś sama. - Rozmo-
wa się skończyła.

SARAH

- Jak to się do diabła stało, że się w to wpakowałam? Zupełnie tego nie rozumiem! - Jestem wściekła z rozpaczy. - Mama i tata już nigdy nie będą chcieli się do mnie odezwać.

- Oczywiście, że się odezwą. Problem się rozwiąże, kiedy poznają całą prawdę.

- Chcę, żeby się to wszystko skończyło. Dlaczego to się nie może wreszcie skończyć? - Już dłużej sobie z tym nie poradzę. Równie dobrze mogłabym umrzeć. - Dlaczego mnie po prostu nie dobijesz? Dlaczego się mnie nie pozbędziesz?

Rob próbuje rozładować sytuację. - Siadaj i zamknij się - rozkazuje.

- Nie bądź głupia.

- Wobec tego mogę się sama zabić. - Szlocham ze złości i rozpaczy. Po powrocie do mojego mieszkania w Conisbrough słyszę, jak Rob idzie do kuchni i usuwa z szuflad wszystkie noże.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ostatni przyjaciel

SARAH, 16 MARCA 1994

No dobra, którzy z nich są twoimi najlepszymi przyjaciółmi? - Rob trzyma mój notesik z adresami i z wściekłością przewraca kolejne kartki. - Kto mógłby ci pomóc w trudnej sytuacji? - pyta, wciskając mi w ręce notatnik. - Sarah, ty musisz zdobyć te pieniądze! - mówi opryskliwie, drapieźnie. - Jeszcze ci daleko do celu.

Rob ciągle wspomina o „celu”, to znaczy o kwocie, która została ustalona przez jego kolegów w Londynie. Twierdzi, że muszę dojść do tej magicznej liczby i wówczas koszmar się skończy. Biorę notes i wpatruję się w niego beznamiętnie. Żaden z moich znajomych nie ma pieniędzy i wiem, że bez sensu jest ich prosić o pomoc. Udaję, że się zastanawiam nad kolejnymi nazwiskami. Każde z nich to drzwi do innego świata, tyle że ja znajduję się po złej stronie drzwi i nie mam jak tam wrócić. Robi mi się zimno.

- Sądysz, że jak nie będziesz się odzywała, to w czymś to pomoże? - krzyczy Rob z groźną miną, wdzierając się w moje myśli, które zwracają się teraz ku wczorajszemu wydarzeniu w pubie Pomona; wyobrażam sobie ojca, kiedy stanowczo odmawia dalszego przekazywania mi jakichkolwiek pieniędzy.

- Do samochodu. No już! - syczy przez zęby Rob, a wściekłość wykrzywia mu twarz.

- Moi znajomi nie mają pieniędzy - szepczę. - Żaden z nich.

- Musisz je skądś zdobyć. Wszystko jedno, czy mają pieniądze, czy nie, musisz i tak do nich zadzwonić.

Zrywam się z miejsca, tak jakby duszący mnie gniew i nadmiar emocji kazały mi się podnieść na równe nogi. - Powiedziałam, że nie mają pieniędzy. - Trzęsę się cała, nie mogąc się opanować, czuję, że cała płonę.

Przez moment twarz Roba jest pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, po czym do jego oczu wślizguje się rozbawienie. Nagle wszystko wydaje się poruszać w zwolnionym tempie. Rob odrzuca głowę do tyłu, otwiera usta, słyszę bezduszny śmiech, najpierw słaby, potem coraz głośniejszy i coraz bardziej demoniczny. Czuję, jak ogarnia mnie fala beznadziei i nawet już nie próbuję powstrzymać łez.

- Przepyszne - mówi Rob, patrząc na mnie wzrokiem hieny, jakby oceniał, ile jeszcze zdołam wycierpieć.

- Cześć, Jess, mówi Sarah. - Staram się, żeby mój głos brzmiał wesoło, ale Rob stoi za mną w budce telefonicznej, a w jego obecności jestem ponura i ociężała.

- Słuchaj, Jess, potrzebuję twojej pomocy. Wpadłam w kłopoty.

- Co się stało, Sarah?

- Pokłóciłam się z mamą i tatą, na dobre.

Niemalże słyszę, jak moja szkolna koleżanka zastanawia się, co zaproponować.

- Możemy się spotkać? - pyta Jess.

Spoglądam na Roba, niepewna, jak mam zareagować. Kiwa głową.

- Okej, mogłabyś przyjechać do Sheffield? Spotkałybyśmy się na dworcu - mówię, patrząc na gałęzie drzew, które zwisają nad budką telefoniczną, jakby ją chciały ogarnąć ramionami.

- Mogę nawet dzisiaj. Dasz radę? - Puls bije mi w przyspieszonym tempie na myśl o spotkaniu i o tym, że znów będę musiała kłamać.

Anonimowy głos spikera rozbrzmiewa echem po peronach. Nie umiem sobie wyobrazić podróży do miejsca, które bym sama wybrała, coś takiego wydaje się kompletnie niewykonalne. Należy do przeszłości, którą kiedyś miałam i do przyszłości, która pozostaje poza zasięgiem.

Czekam na Jess w holu dworcowym. Przyjedzie z Liverpoolu z mężem. Znam ją jeszcze z czasów w Bedgebury, to jedna z moich najlepszych koleżanek. Gdzieś w pobliżu snuje się Rob, nie widzę go,

ale wiem, że jest, że mnie obserwuje.

Rozpoznając znajomą sylwetkę przyjaciółki, zbliża się szybkim krokiem, podświetlona promieniami słońca. - Sarah!

- Jess! - Obejmujemy się, ale czym prędzej wyrrywam się z uścisku, wiedząc, że muszę zachować dystans i skoncentrować się na zadaniu, które mam do wykonania. Wypowiadam swoją kwestię, nie tracąc czasu, niczym jaszczurka wysuwająca język, żeby złapać muszki.

- Ile pieniędzy mogłabyś mi pożyczyć? - Widzę, jak jej delikatne rysy zmieniają się pod wpływem szoku wywołanego natarczywością mojej prośby. Wpatruję się w nią w sposób niedwuznaczny, moja twarz jest pozbawiona uczuć.

- Ach, Sarah. Nie mogę cię wesprzeć finansowo i tak ciągle nam brakuje pieniędzy, ale mogę ci zaoferować pokój na parę dni, jeżeli potrzebujesz chwili wytchnienia - mówi miękkim głosem i spogląda na męża, licząc na jego zgodę. Wiem, że to na nic, więc tylko kręcę głową. Rozglądam się niepewnie dookoła.

Jess obejmuje mnie ramieniem. - Odpocznij, Sarah. Może powinnaś na jakiś czas uciec od wszystkiego. Jedź z nami. Wsiadaj z nami do samochodu i pojedziemy razem do Liverpoolu.

Tak bardzo bym chciała z nią pojechać, ale wiem, że to nie wchodzi w rachubę, naraziłoby to moich przyjaciół na ryzyko. A zresztą powiedziano mi, że pod żadnym pozorem nie wolno mi wyjść z dworca. Simon Young i Rob są gdzieś w pobliżu, obserwują mnie. Niczego nie da się zmienić.

- Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- A dlaczego nie? Cóż takiego cię powstrzymuje?

Rozglądam się na wszystkie strony, szukając drogi ucieczki, wyjścia z tego psychologicznego labiryntu, w którym każda ścieżka to ślepy zaułek, chyba że prowadzi do pieniędzy. Zauważam Roba przeciągającego ręką po gardle, patrzącego na mnie władczy, ponaglającym wzrokiem. Chciałabym z całej siły przyłgnąć do Jess, ale czuję, że niewiele już pozostało z naszej wieloletniej przyjaźni, jakby nieubłagane wsysały ją ruchome piaski o przerażającej sile, której nie jestem w stanie powstrzymać.

- Muszę już iść, Jess. - Odwracam się, do mojej świadomości dociera jedynie to, że rozdziela nas przepaść. Zanurzam się w ciemność.

Umysł ludzki jest czymś nadzwyczajnym. Jest w stanie bardzo szybko się przystosować do gwałtownie zmieniających się okoliczności. To właśnie stało się z Sarah, która w ciągu ostatniego roku była poddawana permanentnej deprywacji sensorycznej. Została obdarta ze wszystkiego, na czym się opierała jej psychika, ze swych indywidualnych przekonań, z własnego ja; ich miejsce zajął nowy zbiór norm postępowania. Jej świat wywrócił się do góry nogami, a przecież jej umysł zdołał się do tego przystosować.

Przypadkowemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że wszystko jest w porządku. Sarah sama nie uświadamiała sobie kolosalnej zmiany w swoim sposobie rozumowania, ale dla tych, którzy ją dobrze znali, nie ulegało wątpliwości, że stała się zupełnie inną osobą.

W tym czasie Freegard kontrolował już każdy aspekt jej świata zewnętrznego; to on decydował o wszystkim, czego doświadczała i o wszystkim, co wolno jej było uzewnętrznić. Oczywiście Sarah ciągle miała pewne wątpliwości, ale Freegard potrafił być przekonujący w swoich wyjaśnieniach i Sarah mu wierzyła. Udało mu się na tyle ukształtować jej świadomość, że uważała, iż skoro Freegard pracuje dla rządu, to on i tylko on jest bossem. „Wszystko będzie dobrze, jeżeli zostanę”, to zdanie było jej mantrą, niemy protestem; powtarzając je w myślach, tłumaczyła sobie, dlaczego tkwi w tym układzie, dlaczego pozwala sobą pomiatać wbrew własnej woli. Gdyby Sarah znalazła się w takiej samej sytuacji osiemnaście miesięcy wcześniej, bez określonych uwarunkowań psychologicznych, po prostu by odeszła.

Zgodnie z opinią ekspertów pranie mózgu w wypadku Sarah można by określić mianem „gwałtu psychicznego”. Freegard zmusił ją do oddania mu pieniędzy, upokorzył ją i poniżył oraz pozbawił jakiegokolwiek swobody. Doprowadzona do rozpacz, wykończona strachem i ciągłym stresem, Sarah obrała jedyną drogę, jaka jej pozostała: posłuszeństwo. Skupiła się wyłącznie na wykonywaniu poleceń Freegarda i wszystko inne zostało temu podporządkowane, nawet jeżeli Sarah zdawała sobie sprawę, że jest to niesłuszne. Wola Freegarda była siłą dominującą.

W oczach rodziny i przyjaciół, którzy nie wiedzieli o tym, że Freegard podał się za szpiega ani o torturach psychicznych, jakie przeżywała, Sarah zachowywała się jak zombie. W pubie Pomona rodzice nie mogli w żaden

sposób do niej dotrzeć. Próba jakiegokolwiek zakwestionowania jej nowych poglądów spotykała się z mechaniczną, kilkakrotnie powtarzaną odpowiedzią: jej życie jest w niebezpieczeństwie i ucieka przed IRA.

W zakamarkach swego odmienionego umysłu Sarah naprawdę sądziła, że jest pewnego rodzaju zakładniczką, wierzyła, że wycofując się z normalnego życia, w jakiś sposób ochrania rodzinę. Ograniczyła się do skrupulatnego wykonywania bieżących poleceń i zdobywania pieniędzy, które miały jej umożliwić powrót do normalnego życia.

Początkowo dała się nabrać na kłamstwo na temat choroby Johna, potem została wplątana w oszustwo większego kalibru: przyjęła do wiadomości, że Freegard jest szpiegiem i że jej życie jest w niebezpieczeństwie. Historia szpiegowska Freegarda wywołała efekt kumulacyjny i Sarah uwikłała się w tę fantazję zbyt głęboko, żeby się móc wycofać. Odizolowana od normalnego świata, wyobcowana z rodziny i grona przyjaciół, Sarah nie miał dokąd pójść. Stała się więźniem, tyle że kraty istniały w jej własnym umyśle.

Pranie mózgu zostało ukończone. Sarah należała do Freegarda; była jego marionetką w ludzkiej skórze.

Część czwarta

NARODZINY OSZUSTA
1980-1992

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Maminsynek

JESIEŃ 1980

Niedaleko Worksop w hrabstwie Nottinghamshire Rita Taylor pełniła dyżur na boisku w szkole podstawowej w Hodthorpe. Na placu uganiała się za piłką zgraja dziewięciolatków. Rozczochrani, z podrapanymi kolanami, wrzeszczeli jeden przez drugiego; panował powszechny zgiełk i zamęt.

Rita obserwowała małego chłopca stojącego samotnie na uboczu. Miał słodką buzię, był porządnie ubrany, ale nigdy, jak już wcześniej zauważyła, nie przyłączał się do szkolnych zabaw. Był dzieckiem astmatycznym. Nie należał do zdrowych i silnych chłopców, był blady i słabowity i po prostu nie pasował do reszty. Nazywał się Robert Freegard.

Jego matka, Roberta, pracowała w kuchni szkolnej. Rita wy czuwała, że była ona w stosunku do syna nadopiekuńcza. Podejrze wała również, że więź między matką i synem była najważniejszym elementem w życiu emocjonalnym obojga. Tak naprawdę Rita musiała sięgnąć pamięcią bardzo daleko wstecz, aż do czasów sprzed urodzenia się Roberta, żeby sobie przypomnieć jakiegokolwiek mężczyznę w życiu Roberty. Rita i jej koleżanka, również nauczycielka, wpadły wówczas na Robertę w bramie szkolnej. Stojąc pod rękę z młodym człowiekiem, czekała na swą córkę, Tracy. Małżeństwo Roberty z ojcem Tracy rozpadło się jakiś czas wcześniej.

- Cześć, Bobby - zawołała koleżanka Rity. - Widzę, że znalazłaś przystojnego młodego mężczyznę. - Roberta lekko się zaczerwieniła i mocniej się wsparła na ramieniu swojego towarzysza.

Rita nigdy go więcej nie widziała. Od tamtego czasu Roberta zawsze była sama, nie licząc oczywiście małego Roberta.

Rozległ się szkolny dzwonek. Robert wyglądał, jakby poczuł ulgę, że przerwa wreszcie się skończyła. Rita pomaszerowała w kierunku szkoły, zbierając po drodze maruderów.

- Dzisiaj napiszemy coś prawdziwego - powiedziała, rozpoczynając lekcję. Robert usiadł, otworzył zeszyt, przygotował swój ostro zatemperowany ołówek. Rita pomyślała, że pod wieloma względami był wzorem ucznia. Był uważny, dobrze wychowany, zadziwiająco grzeczny; starannie prowadził zeszyty; zawsze przed przeczytaniem czegokolwiek uśmiechał się do niej i niezmiennie otwierał jej drzwi do klasy, zachowując się w sposób absolutnie ujmujący.

Dopiero co zaczęła lekcję, a inni chłopcy już się wiercili i wyglądali przez okno. Ale nie Robert; był inny. Wsłuchiwał się z przejęciem we wszystko, co mówiła i nigdy nie spuszczał z niej oczu. Ten właśnie aspekt jego zachowania, pomimo czarującego sposobu bycia, wytrącał Ritę z równowagi: chłopiec nie odrywał wzroku od jej twarzy, nieustannie czuła na sobie jego spokojne spojrzenie. Dręczyło ją to; w Robertcie było coś niepokojącego. Tak naprawdę, jeżeli miałyby być szczerą, w obecności tego dziecka dostawała gęsiej skórki.

- Maminsynek, maminsynek! - krzyknął Michael Ingram, kiedy mijał Roberta, wybiegając ze szkoły.

Robert wyglądał na urażonego. Nie miał wielu przyjaciół, ale dziesięcioletniego Michaela uważał za jednego ze swych najlepszych kolegów.

- Chodź do mnie, pobawimy się żołnierzkami - zaproponował. Michaelowi zrobiło się przykro, że się naśmiewał z kolegi i postanowił mu to wynagrodzić. - Dobra. Chcesz gumę? - Michael otworzył paczkę i podał Robertowi. - Dziękuję - powiedział Robert, łamiąc w ustach na pół listek gumy do żucia.

Chłopcy wsiedli do autobusu, który ich zawiózł z wioski Hodthorpe do Worksop, małego miasteczka targowego na północnych obrzeżach lasów Sherwood, trzydzieści kilometrów od Sheffield. Worksop jest położony w jednym z siedmiu dystryktów wchodzących

w skład hrabstwa Nottinghamshire. W dziewiętnastym wieku otwarto tam kopalnie i zaczęto eksploatować bogate złoża węgla kamiennego, a wokół kopalni powstały liczne wioski, w których zamieszkały rodziny górników.

Chłopcy przyjechali do domu Roberta. Był to niewielki komunalny bliźniak z czerwonej cegły z maleńkim ogródkiem od strony ulicy i drewnianą furtką.

- Poczekaj tutaj, zaraz przyniosę pudło z żołnierzami - zarządził Robert, otwierając drzwi wejściowe i szybko wchodząc do środka. Michael słyszał, jak jego kolega tupie po schodach, biegnąc na górę do swego pokoju. Ponieważ nie został zaproszony do mieszkania, poszedł wolnym krokiem na tyły domu, do ogrodu, gdzie zazwyczaj się bawili.

Od kiedy trzy lata temu Michael sprowadził się w tę okolicę z Aldershot, Robert uczeplił się go i to tak mocno, że czasami Michael miał wrażenie, że gdzie by się nie ruszył, Robert zawsze był w pobliżu. Najwyraźniej nie miał taty, a jego siostra, Tracy, była dużo starsza, tak więc Michael podejrzewał, że był jego jedynym przyjacielem. Może właśnie dlatego Robert tak się do niego przylepił.

Robert wyskoczył właśnie z domu i rzucił się na trawę, gwałtownym ruchem ściągając pokrywę z puszkki, w której trzymał żołnierzyki.

- Ustawimy ich tutaj, na tym kartonie, żeby stali prosto. Jak chcesz, możesz mieć Anglików. Ja będę miał Niemców.

Robert rozdzielił żołnierzy, odczuwając radosne podniecenie na myśl o zbliżającej się bitwie.

- Mój dowódca ma oddział budzących grozę, nieustraszonych wojowników - powiedział Michael, lustrując swoich żołnierzy od tyłu.

- Mój dowódca ma plan, który zaskoczy wszystkich - odparł Robert, wydając dźwięki naśladujące grzechot strzałów karabinowych.

Chłopcy byli gotowi. Linie bojowe zostały wyznaczone i zabrzmiała umowna salwa artyleryjska. Były pierwsze poważne ofiary i na pole bitwy musieli wbiec czekający z boku sanitariusze z noszami. Strzelanina stawała się coraz głośniejsza: bum, bum, bum! Robert i Michael wykrzywiali się, wydawali jęki i przewracali się, udając ból, za każdym kolejnym niszczycielskim uderzeniem. Trwała zacięta bitwa. Nagle Robert zadął w zwinięte w trąbkę dłonie, a

następnie głosem, w którym brzmiało przekonanie o własnej ważności, oświadczył, że nadciągnęła jego specjalna dywizja.

- Specjalna dywizja? - zaśmiał się Michael, wybałuszając oczy.

- Aha. Są niewidzialni. A skoro są niewidzialni, nie można ich zniszczyć - powiedział z powagą Robert.

Michael przewrócił się na plecy i spojrział z ukosa na swojego kolegę.

- Ale z ciebie palant, Robercie Freegard. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie głupiego.

Rzucając srogie spojrzenie na przyjaciela i wypowiadając wolno każde słowo, Robert oświadczył poważnie: - Nie jestem palantem. Przekonasz się. Pewnego dnia będę sławny.

Michael oparł się na łokciu i odezwał się prowokacyjnie: - A niby jak masz zamiar tego dokonać? Obrabujesz bank? Zostaniesz zawodowym piłkarzem? A może kimś bardzo bogatym? Jak zamierzasz do tego dojść?

- Nie wiem, ale będę sławny - powiedział Robert z całą stanowczością.

Michael gwizdnął przeciągle. Jego kolega nie miał wątpliwości, że pewnego dnia, niczym wielki generał, pokaże, na co go stać. W wieku zaledwie dziewięciu lat Robert Freegard naprawdę wierzył, że jest przed nim wielka przyszłość.

PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

Jason Bennett i jego dwaj koledzy Darren i David Hancock grali w kasztany* na końcu boiska. Był to nierówny skrawek ziemi wysypany żwirem i obrzeżony pasem trawy, które rada miejska przeznaczyła na teren rekreacyjny dla młodzieży z Worksop.

- Uwaga, nadchodzi Modniś! - krzyknął Darren.

Do trójki graczy zbliżał się czterastoletni Robert Freegard ubrany w koszulę z szerokim kołnierzem i szare spodnie. Ponieważ wykazywał zainteresowanie modą, zdobył wśród rówieśników

*Gra w kasztany (ang.: conkers) - gra popularna w wielkiej Brytanii polegająca na uderzaniu w kasztan przeciwnika własnym kasztanem zawieszonym na sznurku.

przydomek Modniś Freegard.

Robert niósł torbę pełną kasztanów, była to niezwykła zdobycz. Z wymuszonym uśmiechem na twarzy podszedł do chłopców, najwyraźniej chcąc się pochwalić swym łupem.

- Skąd je wzięłeś? - zapytał Jason zjadliwym tonem.

- Z mojego tajemniczego drzewa - odpowiedział Robert. Nie zamierzał wyjawić swego sekretu.

Rok po roku, niezależnie od tego, jak wspaniałe kasztany znajdowali inni chłopcy, Robert zawsze był w stanie popisać się większymi. Koledzy mieli już trochę dość tego, że bezwstydnie się chlubił swoim sukcesem i odmawiał pokazania komukolwiek, gdzie znajdują się te olbrzymie kasztanowce. To jednak nie powstrzymało ich od próby poznania sekretu.

- Gdzie jest to twoje tajemnicze drzewo?- zapytał Darren, starszy z braci.

- Nie powiem wam. - Robert uśmiechnął się zadowolony z siebie. Uśmiezek na twarzy Roberta jeszcze bardziej rozżłościł Darrena.

- Jak nie powiesz, to ci przyłożę! - warknął.

Robert rzucił się do ucieczki, ale chłopcy ruszyli za nim w poгон i go wkrótce złapali.

- Powiedz nam, gdzie jest to drzewo - nalegali bracia Hancock.

- Nigdy - odparł Robert wyzywającym tonem.

- Daj mu spokój - powiedział Jason. - Chodźcie, pójdziemy na Broad Lane, a potem dalej do lasu. Założę się, że znajdziemy tam kasztany, i to większe niż Modnisia.

- Tak jest, masz rację - zgodzili się jednogłośnie bracia Hancock, odwracając się od Freegarda. Zeszli z boiska i pomaszerowali w kierunku lasu, w którym rosły kasztanowce. Freegard włókł się parę kroków z tyłu, przysłuchując się uważnie ich rozmowie. Bojowy nastrój zdążył w międzyczasie wyparować i chłopców znów połączyło hataśliwe koleżeństwo.

- Byłem wczoraj ze swoją dziewczyną - powiedział Jason, składając usta jak do pocałunku. - Ależ z niej super laska. - Podskoczył i odłamał gałązkę z drzewa. - A dlaczego ty nie masz dziewczyny, Modnisiu? - Odwrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z podążającym za nimi jak cień Robertem. - A może ty jesteś pedziem czy kimś w tym rodzaju?

- No właśnie. Każdy ma dziewczynę - dołączył się David Hancock.

- Nawet gdybyś był ostatnią łamagą w klasie, i tak powinienes mieć dziewczynę.

- A może ty się ich boisz? - nie dawał za wygraną Jason, szturchając Freegarda gałązką w klatkę piersiową.

- Nie, po prostu mnie nie interesują i tyle - powiedział Freegard z całkowitą obojętnością.

- Nie interesują go - drwił Darren. - Jak to jest możliwe, żeby cię nie interesowały? Przecież to jedyne, czym się zajmujemy na boisku w Whitwell: całowankiem! - Darren odchrząknął i zaczął podskakiwać przed Freegardem, głośno cmokając.

- Przestań, dobrze. Nie obchodzą mnie dziewczyny. Nie potrzebuję ich. Mama się mną zajmuje.

Trzej koledzy Roberta mało nie pękli ze śmiechu.

- Modniś bez bigla nie potrzebuje figla-migla - ryczał Jason. Freegard zostawił ich, mając dość drwin.

- Czy ktoś tu ma pieluchę? - wysapał Jason. - Zaraz się posi-kam. Chłopcy wybuchnęli gromkim śmiechem. - Co za pedzio - szydził Darren. Rozmawiając swobodnie, skierowali się do lasu.

- Gdzie on się podział? - zapytał nagle Darren.

Rozejrzeli się naokoło, ale Freegarda nigdzie nie było widać. Zaczęli go szukać wśród kasztanowców, nawołując co chwila.

- Jasna cholera! - gderał Jason. - To typowe dla Modnisia. Wydaje ci się, że go przygwoździłeś, a on znika bez śladu.

Chłopcy ruszyli dalej leśną ścieżką, kiedy nagle Freegard zeskoczył z drzewa i wylądował tuż przed nimi.

- U!

- Oj, jestem naprawdę przerażony. - Darren udawał, że się przestraszył.

- Kretyn. Uważaj na koszulę. Mamusi się nie spodoba, jak się pobrudzisz.

- Czy to są te twoje tajemnicze drzewa, Modnisiu? - zapytał Jason.

- Oczywiście, że nie. One są kawał drogi stąd - oświadczył Freegard, bardzo z siebie zadowolony mimo sarkazmu Darrena.

- To gdzie one w końcu są? No, wyduś to wreszcie - naprzykrzał się Jason.

- Nie ma mowy, to są moje drzewa. Nikomu nie zdradzę, gdzie one są. - Powiedziawszy to, Freegard ruszył pędem ścieżką prowadzącą do Hodthorpe. Po chwili stanął i odwrócił się. Dysząc ciężko, krzyknął: - To mój sekret.

STYCZEŃ 1992

Robert Freegard zbliżał się do momentu przełomowego w swoim życiu. Skończy 1 marca dwadzieścia jeden lat: otworzą się przed nim wszystkie drzwi. Freegard był typowym dzieckiem ery Margaret Thatcher. Jako nastolatek na co dzień stykał się z propagandą kultury przedsiębiorczości, która opanowała każdy aspekt życia nie tylko w Worksop, ale w całym kraju, w wypadku wielu ludzi wywierając zasadniczy wpływ na wybór drogi życiowej.

Freegard wyuczył się zawodu stolarza w dwuletniej szkole wieczorowej w Worksop, a następnie ukończył roczny kurs dla robotników budowlanych w Mansfield. Zatrudnił się w firmie budowlanej jako stolarz i był wysyłany na różnego rodzaju targi w całej północnej i środkowej Anglii. Pozwoliło mu to zobaczyć kawałek świata, choć zasadniczo był w dalszym ciągu chłopcem z Worksop, mieszkającym z matką, którą wspierał finansowo.

Był Nowy Rok i Robert Freegard razem ze swym kolegą Geraldem jechali na zabawę do eleganckiego klubu nocnego Josephine's w Sheffield. Obowiązywał strój wieczorowy i stojący przy wejściu bramkarze nie wpuszczali nikogo, kto nie był właściwie ubrany. Freegard i Gerald, zapłaciwszy za taksówkę, przecisnęli się przez tłumy, które wyległy w ten piątkowy wieczór na ulice. Kiedy Gerald poszedł po drinki, Freegard zajął się obserwowaniem gości zgromadzonych na parkiecie. Nad głowami tańczących połykiwały kręcące się bombki, oślepiając odbijającym się od nich światłem. Freegardowi wpadła w oko atrakcyjna dziewczyna, która właśnie coś szepetała do ucha swojej towarzysze.

- Ciekawe, kto to? - powiedział Freegard, wskazując głową dwie młode kobiety, kiedy jego kolega wrócił z drinkami.

- Podejdz i zapytaj - zaproponował Gerald.

Freegard pociągnął łyk lemoniady i podszedł do dziewcząt. Ponieważ muzyka była tak głośna, że uniemożliwiała rozmowę, dołączył do nich i zaczęli tańczyć razem.

- Mam na imię Robert - krzyknął.

- Alison. A to moja siostra.

Freegard wkrótce dowiedział się, że Alison ma dwadzieścia sześć lat i jest nauczycielką. Przywołał ręką Geralda i przedstawił go.

Pół godziny po północy klub zaczynał z wolna pustoszeć. Mężczyźni grupkami udawali się do pobliskich restauracji kupić coś na wynos, a dziewczyny z gołymi nogami dygotały, czekając na zimnym nocnym powietrzu.

Freegard, Gerald i ich dwie partnerki przeszli przez park. - Zobaczymy się jeszcze? - zapytał Robert nieśmiało. Alison uśmiechnęła się do siebie. - Dlaczegożby nie - powiedziała z fałszywą skromnością.

- To może jutro o dwunastej trzydzieści ma dworcu w Sheffield?

- Okej.

Przez następne trzy miesiące Freegard i Alison rozmawiali przez telefon przynajmniej raz dziennie i spędzali ze sobą całe weekendy. Freegard skończył w międzyczasie dwadzieścia jeden lat i wydawało się, że ma na punkcie swojej pierwszej miłości obsesję.

Minęła zima, potem wiosna; na początku lata firma budowlana zatrudniająca Freegarda znalazła się pod sekwestrem sądowym i Robert stracił pracę. Przedsiębiorstwo w Sheffield, w którym znalazł kolejną posadę jako stolarz, splajtowało zaledwie w trzy tygodnie później.

Freegard był bezrobotny i żył z zasiłku, miał około 800 funtów długu i matkę na utrzymaniu. Zaczął podkraść pieniądze z konta swojej dziewczyny: podejmował gotówkę, używając jej karty bankowej, nie mając pojęcia, że Alison dokładnie wie, co on robi. Trzykrotnie podjął pieniądze z jej rachunku na łączną kwotę około 600 funtów. Część wykorzystał, aby oddać Alison to, co od niej oficjalnie pożyczył.

Pewnego popołudnia, kiedy siedzieli w kawiarni w domu towarowym Debenhams, Alison powiedziała mu otwarcie, że uważa, iż powinni trochę od siebie odpocząć i nieco ochłonać przez tydzień

czy dwa. Po tym spotkaniu przestała odbierać jego telefony.

Freegard postanowił nie dać się zrazić i zaczął ją prześladować. Alison zrozumiała, odsłuchując wiadomości, które zostawiał na jej automatycznej sekretarce, że łatwo przed nim nie ucieknie. „Wiem, gdzie byłaś. Obserwowałem cię, a ty nawet nie wiedziałaś, że tam jestem”. Ewidentnie zjadała go zazdrość.

Freegard zwierzył się ze swych kłopotów przyjacielowi o imieniu Graham i poprosił go, żeby mu pomógł załagodzić sprawę. Nie wiedząc, co go czeka, Graham przyjechał do Freegarda do Worksop.

- Pomyślałem, że moglibyśmy ją zmusić, żeby zjechała z drogi - powiedział Freegard niedbale. - Najpierw myślałem, żeby użyć chloroformu, ale zdecydowałem, że najlepszym sposobem będzie związać ją liną i ogłuszyć młotkiem.

Graham patrzył na Freegarda oszołomiony. - Zwariowałeś? Przyjechałem do ciebie, żeby was pogodzić, a nie żeby ją atakować. To jakiś idiotyzm! - krzyknął, wybiegając pędem z domu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Na progu stał policjant. - Pan Robert Freegard? Aresztuję pana za kradzież i podżeganie do porwania.

Freegard był miły, skłonny do współpracy i nie stawiał żadnego oporu. Na posterunku w Worksop przesłuchiwało go dwóch policjantów, jednym z nich był Ivan Stallworthy. Nigdy przedtem nie prowadził sprawy o porwanie, a pomysł, żeby próbować odzyskać względy dziewczyny, ogłuszając ją, wydał mu się dziwaczny. Słuchając, co Freegard ma do powiedzenia, odnotował, że choć ten młody człowiek przyznał się do zarzucanych mu czynów, nie uważał, że zrobił cokolwiek złego. Ponadto Stallworthy był zaskoczony zacięciem krasomówczym Freegarda: odpowiadając na zadawane mu pytania, mówił przez dwadzieścia minut, kiedy jednodominutowa wypowiedź w zupełności by wystarczyła. Jakby na to nie patrzeć, wydawał się bardzo wiarygodny i elokwentny. Sierżant Stallworthy nigdy dotychczas nie spotkał nikogo takiego jak Freegard i doszedł do wniosku, że to człowiek żyjący w świecie fantazji.

Sprawa miała być najpierw rozpoznana przez sędziego pokoju w Worksop, a dopiero później skierowana do sądu koronnego w Nottingham. Tymczasem Freegard został zwolniony za kaucją bez żadnych ograniczeń. Nie został uznany za osobę skłoną do ucieczki lub niebezpieczną dla otoczenia.

Młody stolarz załatwił sobie pracę w fast foodzie, ale nigdy do niej nie przystąpił. Gdyby ją podjął, życie Sarah Smith, Johna Atkinsona i wielu innych osób mogłoby się potoczyć zupełnie innym trybem.

Niestety pewnej piątkowej nocy we wrześniu 1992 roku Robert Freegard wszedł na dworzec kolejowy w Worksop z 85 funtami w kieszeni. Wskoczył do pociągu do Sheffield, gdzie kupił kolejny bilet, do Stafford. Następnego dnia rano wsiadł do autobusu jadącego do Newport w hrabstwie Shropshire, gdzie obecnie, jak się dowiedział, Alison pracowała jako nauczycielka. Jeżeli nie mógł mieć jej osobiście, to mógł przynajmniej być blisko niej.

Trzy dni później wszedł do pubu Swan w Newport.

- Może by się znalazła jakaś praca na pół etatu? - zapytał właściciela, Johna Simsa.

- Nie jesteś stąd, jak mi się zdaje?

- Nie, ale spędziłem tu trochę czasu z moją dziewczyną. Zerwaliśmy, ale pomyślałem sobie, że wrócę, rozejrzę się. To fajne miejsce.

John Sims był pod wrażeniem uroku osobistego Freegarda i zaoferował mu pracę barmana.

Cztery tygodnie później Sarah Smith i jej przyjaciele z Blue Door pojawili się w pubie z pytaniem, czy mogliby korzystać z parkingu.

Cztery miesiące po ich wizycie w pubie Freegard zaczął snuć swoją misterną opowieść szpiegowską. Odniósłszy nadzwyczajny sukces, zdał sobie sprawę, że może się cieszyć prestiżem wśród ludzi, karmiąc ich odpowiedniego typu historyjkami. W ciągu sześciu miesięcy, posługując się oszustwem, wmówił studentom, że są w śmiertelnym niebezpieczeństwie i muszą uciekać.

Nic nie wskazuje na to, żeby w młodzińskich latach Freegard otrzymał jakiegokolwiek formalne wykształcenie w zakresie psychologii. Natomiast już w dzieciństwie pojawiły się oznaki świadczące o tym, że żył w świecie

fantazji. Dorastając, zdradzał brak poczucia winy - co uwidoczniło się najbardziej, kiedy, jak się wydaje, gotów był ogłuszyć młotkiem swoją dziewczynę, Alison.

Freegard posiadał wrodzoną umiejętność wyczuwania słabych punktów swych ofiar, a metodą prób i błędów potrafił znaleźć sposoby działania najodpowiedniejsze dla każdego indywidualnego przypadku. Jednakże jego wirtuozeria każe sądzić, że posiadał szeroki repertuar klasycznych technik prania mózgu. Można przypuszczać, że sięgał do podręczników uczących technik manipulacji oraz reformowania procesu myślenia, których działanie sprawdzał następnie na swych ofiarach.

Jego zdolność do kłamstwa wydaje się natomiast cechą wyłącznie wrodzoną. Był mistrzem oszustwa; talent do fabrykowania faktów w sposób przekonujący i konsekwentny umożliwiał mu bezkarnie kontynuowanie mistyfikacji.

W czerwcu 1994 roku Freegard był gotów do bardziej ambitnej manipulacji swych ofiar. W początkowym etapie testował ich posłuszeństwo w sposób ekstremalny, ale na stosunkowo niewielką skalę, każąc im na przykład opróżnić konta bankowe po trochu i przekazywać mu gotówkę.

Teraz, pewny swej władzy nad nimi, uważał, że może zasadniczo zwiększyć skalę żądań. Będąc już w tym czasie ojcem i w dalszym ciągu żyjąc z Marią, zaczął wykorzystywać Sarah i Johna w celu zgromadzenia dużo większego kapitału. Freegard lubił wydawać bez zastanowienia, ale pieniędzy potrzebował również, żeby móc schlebiać swojej próżności, a także roztaczać jeszcze większą władzę. Były one dla niego jedynie środkiem do celu. Naprawdę interesowała go tylko władza: panowanie nad ludźmi i zmuszanie ich do okazywania mu szacunku, który, jak uważał, słusznie się mu należy.

Część piąta

KRADZIEŻ
NA WIELKĄ SKALĘ
czerwiec 1994 - październik
1999

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Cel: państwo Atkinsonowie

CUMBRIA, CZERWIEC 1994

Wioska St Bees, leżąca sześć i pół kilometra na południe od Whitehaven w Lake District, zajmuje dno głębokiej doliny i jest smagana potężnymi wiatrami wiejącymi znad Atlantyku. St Bees Head, skalisty cypel wrzynający się daleko w ocean, jest najdalej na zachód wysuniętym miejscem w Cumbrii.

Rodzina Johna Atkinsona zajmuje się uprawą roli w tej okolicy od 400 lat, a jej członkowie z dumą podkreślają, że są w stanie się z tej ziemi wyżywić, podczas gdy wiele farm popadło w ciężkich czasach w ruinę. Rodzina była zawsze niezwykle gościnna i dotyczyło to każdego, kto przywędrował do tego odległego zakątka Wielkiej Brytanii.

John i jego rodzice, Russell i Margaret, siedzieli przy dużym, drewnianym stole ustawionym pośrodku kuchni. Kuchnia Atkinsonów była centrum życia farmy: zarówno rodzinnego, jak i zawodowego. Większość ważnych decyzji mających wpływ na codzienne życie rodziny była podejmowana właśnie tam.

- Ten dokument jest oczywiście fałszywy, a firma stanowi przykrywkę; wszystko dla zachowania pozorów - wyjaśniał John. Russell i Margaret przyglądali się umowie między Johnem a jego ojcem o pożyczkę dla firmy KOS zajmującej się hydrauliką i ogrzewaniem.

- Przez to, że ten cholerny Peter Smith ciągle się wtrąca, próbując znaleźć Sarah, nie możemy się przyczaić i rozpocząć nowego życia z nową tożsamością. Dopóki sytuacja będzie tak nieustabilizowana jak obecnie, IRA może nas znaleźć, ale jeżeli pan Smith

zobaczy, że pieniądze, które otrzymujemy od rodziców, służą tworzeniu solidnych firm, to miejmy nadzieję, że się wycofa. Wtedy wszystko się uspokoi i odzyskam swoje normalne życie. Będę mógł wrócić do domu.

- Chcemy tylko, żebyś był bezpieczny, skarbie - powiedziała Margaret spokojnym, ale zatroskanym głosem.

- Nie martw się o mnie, mamo. Wszystko się uspokoi, musimy tylko doprowadzić do tego, żeby się ten facet od nas odczepił. Żebyście wiedzieli, co to za tyran. - John nalał sobie wody z kamiennego dzbanka stojącego na stole, chcąc ostudzić nieco gniew, który w nim wzbierał, ilekroć wspominał ojca Sarah. - Po prostu postarajcie się nie mieć z nim nic wspólnego. Jeżeli ktokolwiek z klanu Smithów skontaktuje się z wami z prośbą o informacje czy pomoc, powiedzcie, że bardzo wam przykro, ale nie macie im nic do powiedzenia. Ten facet ma jakąś obsesję. - John wypił wodę jednym haustem, kręcąc nieufnie głową.

- Wierzymy, że robisz to, co należy, chłopcze - powiedział Russell miękkiem akcentem typowym dla mieszkańców Cumbrii. - Więc mówisz, że te pieniądze pójdą prosto na konto policyjne i że nikt ich nie tknie oraz że kiedy wszystko się ułoży, dostaniemy je z powrotem, z odsetkami?

John zapewnił ojca, że pieniądze zostaną im zwrócone, kiedy tylko sytuacja wróci do normy. Russell spojrzał dyskretnie na żonę, która kiwnęła przyzwalająco głową. - No, powiedzmy, że w porządku. Kiedy tylko spotkamy się z tymi twoimi szefami, zgodzimy się na to papierkowe ćwiczenie, jeżeli tego właśnie życzy sobie policja. Nie chcemy, żeby ci się stało coś złego.

- Naprawdę bardzo wam dziękuję za pomoc. Taki jestem z ciebie dumny, tato. To ulga wiedzieć, że można się do ciebie zwrócić w potrzebie.

Jeszcze tego samego wieczora John wypełnił formularze i otworzył rachunek w banku Northern Rock w Whitehaven. Ojciec wpłacił na to konto 9 500 funtów.

Przez następne dziewiętnaście dni John systematycznie podejmował gotówkę z tego rachunku w oddziale w Sheffield w transzach po 500 funtów. Wręczał pieniądze Robowi, uważając się za wielkiego szczęśliwca z racji posiadania tak oddanej rodziny, w przeciwieństwie

do Sarah, której rodzina wydawała się nieufna i prowadziła działania destruktywne.

Miesiąc później Russell Atkinson przekazał kolejne 7000 funtów na konto w Northern Rock, a następnie ponad 13 000 funtów na nowy rachunek bieżący w banku National & Provincial. W obu wypadkach transfer został uzależniony od rychłego spotkania z policją. Tak jak przy pierwszym przekazie John podjął wszystkie pieniądze w ratach po 500 funtów i przekazał gotówkę Freegardowi.

John Atkinson uważał, że im szybciej pieniądze zostaną prze-transferowane, tym szybciej się to wszystko skończy.

CUMBRIA, PAŹDZIERNIK 1994

Russell podniósł słuchawkę i czekał, aż osoba na drugim końcu linii się odezwie. Zamiast tego do jego uszu dobiegał jedynie cichy szloch. Nie wiadomo, kim była rozmówczyni, ale na pewno płakała.

- Halo - powiedział, zmarszczywszy brwi.

- Pan Atkinson? Mówi Sarah. Sarah Smith. - Słyszał, jak Sarah pociąga nosem, jej głos łamał się z nadmiaru emocji. - Przepraszam, że do pana dzwonię, ale pomyślałam sobie, że może pan mógłby mi pomóc.

Russell wysłuchał wyjaśnień Sarah, która powiedziała, że musi pożyczyć trochę pieniędzy. Jej rodzice odmówili współpracy i blokują jej dostęp do konta. Czy może państwo Atkinson zechcieliby jej pomóc?

Russell, zażenowany, nie mógł spokojnie ustać w miejscu. Całe jego życiowe doświadczenie nie przygotowało go na coś takiego. Nie wiedział, co zrobić. W ostatnich tygodniach zaczął coraz bardziej powątpiewać w uczciwość próśb o pieniądze, ponieważ jego żądania, żeby spotkać się z jakimś przedstawicielem władzy zwierzchniej, były najwyraźniej ignorowane. On i jego żona otrzymali natomiast odręcznie napisany list od niejakiego Nigela Cartera Bainesa, który twierdził, że jest pracownikiem policji i który jako adres podał: „Kensington, Londyn”.

A oto, co napisał Baines:

Powinien Pan wiedzieć, że z niecierpliwością oczekujemy momentu, kiedy będziemy mieli możliwość Analizowania sprawy, z którą Pan i Pańska żona jesteście związani. Jeżeli zechcecie państwo okazać jeszcze trochę cierpliwości, przekonacie się, że postępujecie właściwie i z perspektywy czasu nie będziecie tego żałować. Pragnąłbym równocześnie skorzystać z okazji i złożyć podziękowania za Państwa pomoc, cierpliwość, czas i zrozumienie; zdaję sobie sprawę, że nie było to łatwe. Cieszymy się nadzieją, że nadejdą lepsze, mniej stresujące czasy i zapewniam Państwa, że, jeżeli o mnie chodzi, jestem pewien, że nastąpi to niebawem.

Ten list nieco zaniepokoił Russella i Margaret. Czy jest autentyczny? Czy mogą sobie pozwolić na zakwestionowanie jego prawdziwości? Co się może przytrafić Johnowi, jeżeli nie wpłaca pieniędzy?

Co więc miał teraz Russell zrobić z Sarah? Głęboko westchnął, wiedząc w głębi serca, że nie umiałby się zdobyć na odrzucenie prośby młodej kobiety, której rozpacz była tak ewidentna.

- Ile potrzebujesz?

Russell Atkinson przechadzał się po połyskującym centrum handlowym Meadowhall w Sheffield. Było tam chłodno i w powietrzu unosił się zapach talku. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł opuścić to miejsce z wypolerowanymi podłogami i sztucznym oświetleniem i wrócić na swoje wzgórze. Zauważył Sarah siedzącą w kącie kawiarni. Wyglądała na zgnębioną zmartwieniami i było jasne, że nie znalazła się w obecnej sytuacji z własnej woli.

- Panie Atkinson - powiedziała Sarah, wstając i jednocześnie spuszczać oczy. - Strasznie mi przykro, że ściągnęłam pana taki kawał drogi aż do Sheffield.

- Pomożemy ci, jeżeli będzie to w naszej mocy - odpowiedział. Usiedli i zamówili kawę. Russell podał jej pod stołem brązową kopertę. W środku znajdowało się 750 funtów, których się jej nie udało wyciągnąć od rodziców na „naprawę samochodu” oraz 500 funtów na „czynsz”, w sumie 1 250 funtów.

- Dziękuję - powiedziała Sarah. - To bardzo miłe z państwa strony, że chcecie mi pomóc.

W ciągu następnych trzech miesięcy Russell Atkinson wystawił kolejne trzy czeki dla Sarah na łączną kwotę prawie 58 000 funtów. Przekazał jej te pieniądze na prośbę syna; miało to tak wyglądać, jakby Sarah otwierała klub jeździecki, firmę-przykrywkę, która miałaby uspokoić jej ojca. Kiedy wszystko się wreszcie unormuje, John będzie mógł odzyskać swoje normalne życie, a Sarah będzie mogła wrócić do domu.

SHEFFIELD

- Piękna linia. - Freegard pogładził ręką lśniąca karoserię vaukhalla Astry. Na szyldzie umieszczonym nad wejściem do atrium widniała nazwa: „A D Scholey”. Freegard był regularnym klientem tego salonu znajdującego się w dzielnicy Sheffield, Deepcar.

Na Freegarda zwróciła uwagę sekretarka firmy, Elizabeth Bartholomew, która uważała go za bardzo czarującego mężczyznę. Zgodnie z tym, co powiedział jej szef, Freegard pracował dla MI5; podkreślił, że o samochodach, które u nich kupował, nie powinna rozmawiać z nikim spoza firmy. Aura tajemniczości otaczająca tego wysokiego, ciemnowłosego klienta dodatkowo podsyciła ciekawość Elizabeth. Wydawało się jej, że on także ją zauważył.

Freegard poinformował dyrektora salonu, że weźmie Astrę i oczywiście zapłaci gotówką.

ABERDEEN, GRUDZIEŃ 1995

John i Russell Atkinsonowie czekali w pokoju hotelowym, wsłuchując się w odgłosy deszczu bębniącego w szyby. John nerwowo spoglądał na zegarek. - Zaraz tu będą. Wiem, że przyjdą. - Zerwał się z krzesła i szybkim krokiem przemierzył pokój, chcąc wyjrzeć na zewnątrz. - Pewnie jest duży ruch albo może coś wyskoczyło w ostatniej chwili.

Russell miał poważną minę, nic nie mówił, swoje rozważania zachowywał dla siebie. Już od pewnego czasu rozmyślał nad wielkimi sumami pieniędzy, które wyłożył w tym roku kalendarzowym i które miały się rzekomo znaleźć na kontach policyjnych:

19 stycznia 1995	16 600 funtów
8 lutego 1995	32 600 funtów
26 kwietnia 1995	60 000 funtów
31 lipca 1995	26 400 funtów
17 sierpnia 1995	27 300 funtów
8 września 1995	23 700 funtów
13 października	12 000 funtów
1 listopada 1995	13 000 funtów
4 grudnia 1995	13 400 funtów

Razem z pieniędzmi na firmy-przykrywki: hydrauliczną i jeżdżącą oraz inne opłaty wyniosło to w sumie ponad 325 000 funtów w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Żądania zawsze wydawały się uzasadnione: trzeba było coś nowego zrobić, wykonać jakieś zadanie, poradzić sobie z jakąś sytuacją. Russell rozmyślał nad historiami, które mu opowiadano.

Pewnego dnia Russellowi i jego żonie powiedziano, że policja chce dać każdemu z nich samochód „na dowód dobrych intencji”, a także auto dla Johna. Chociaż protestowali, mówiąc, że nie chcą samochodów, że woleliby, żeby im zwrócono pieniądze i żeby mogli spotkać się z kimś, kto tym wszystkim rządzi, powiedziano im, że nie będą się mogli z nikim zobaczyć, dopóki nie przyjmą samochodów. W końcu zgodzili się je przyjąć.

Wcale jednak nie był to koniec. Te samochody miały być prezentami w ostatecznym rozrachunku, ale najwyraźniej chodziło o to, żeby najpierw rodzina oficjalnie za nie zapłaciła. Im dłużej Russell się nad tym teraz zastanawiał, tym bardziej mu się to wydawało dziwaczne. Ale ponieważ to John tłumaczył im całą tę zawiłą logikę faktów, Atkinsonowie w końcu na wszystko się zgodzili, nie dlatego że zrozumieli, o co właściwie chodzi policji, ale z miłości, szacunku i troski o syna.

Sprawa nie skończyła się nawet wtedy, kiedy już wręczyli pieniądze za samochody. „Jeszcze jedna przeszkoda, którą musimy pokonać i wszystko wróci na miejsce”... „i temat będzie zamknięty”... „i dostaniecie pieniądze z powrotem, z odsetkami”... „i wtedy spotka się z wami ktoś z władz”. Obietnice przekształciły się w wymuszanie: „Jeżeli chcecie zobaczyć swoje pieniądze, zapłaćcie jeszcze raz”. Gdyby nie miłość do syna i obawy co do jego bezpieczeństwa, Russell i jego żona dawno by się wycofali.

Russell westchnął. - Nie sędzę, że ktoś przyjdzie, chłopcze - powiedział poważnie, spoglądając na Johna, który był blady jak ściana, policzki miał zapadnięte, a oczy podkrążone. Rodzice obserwowali syna przez ostatnie miesiące i widzieli, że popada w coraz większą depresję.

- Nie, tato, oni przyjdą, będą tutaj, gwarantuję. Obiecali mi - powiedział John błagalnym tonem.

- John, wierząc w obietnice, byliśmy już wszędzie, zakładając konta w różnych kasach mieszkaniowych. Byliśmy w Poole. Czekaliśmy trzy dni i nikt nie nadszedł. Byliśmy już raz w Aberdeen i powiedziano nam, że mamy się spodziewać kogoś z kierownictwa. Nikt się nie pojawił, a to było po otworzeniu rachunku w Alliance and Leicester i przetransferowaniu kolejnych 15 000 funtów. Utworzyliśmy konta w Yorkshire Building Society i w Clydesdale Bank. Byliśmy też w Rotherham. Czekaliśmy i czekaliśmy. Ani żywej duszy. Zawsze jest wytłumaczenie: „Zostali wezwani gdzie indziej w ostatniej chwili”.

Russell miał już tego dość. - Czas, żeby z tym skończyć, synu.

- Nie teraz, tato. Ja nie mogę. Ciągłe jest zbyt niebezpiecznie.

- Rozpadasz się, chłopcze. Twoja mama i ja nie możemy już dłużej patrzeć, jak niszczysz samego siebie.

- Tato, obiecuję. Nie będzie już żadnych pieniędzy, dopóki się nie spotkamy z szefami Harry'ego. Ale ja nie mogę tak po prostu odejść. Jeszcze nie. - John wybałuszył oczy, ogarnięty panicznym strachem. Dotychczas nie wyjawiał rodzinie, że „agent specjalny Harry” to nie kto inny, jak Robert Freegard.

Nie chodziło o to, że John miał wątpliwości co do Roba; wszystkie transakcje finansowe odbyły się na bazie zaufania, wielkiego zaufania.

John wierzył Robowi; musiał mu wierzyć, nawet nie próbował myśleć o innej możliwości, byłoby to nie do zniesienia. Ale jego ojciec zawsze zachowywał powściągliwość wobec Freegarda i John bał się mu teraz powiedzieć, jak wielkim zaufaniem obdarzył tego właśnie mężczyznę. Rodzina pożyczyła Johnowi tyle pieniędzy, że nie ważyłby się sprawić im zawodu, a ponadto ryzykował przecież nie tylko majątek rodziny, ale również jej szacunek oraz własny szacunek dla samego siebie i swoją przyszłość.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wiejskie życie

SARAH, POŁOWA GRUDNIA 1995

Od kiedy wyprowadziłam się z Conisbrough, mieszkam w Dore, bogatym przedmieściu położonym w południowo-zachodniej części Sheffield. Kiedy tu przyjechałam, ogarnęło mnie uczucie podniecenia pomieszanego z nadzieją, pomyślałam, że może wreszcie sprawy zaczęły iść we właściwym kierunku.

- No, co sądzisz o swojej nowej siedzibie? - zapytał Rob, wskazując ruchem głowy ostatni przy tej ulicy ładny, stary, kamienny domek. Przypomni mi dom, w którym mieszkałam w swoim poprzednim życiu i na moich wargach pojawił się uśmiech.

Rob gestem ręki zaprosił mnie do środka. Domek był równie mały wewnątrz, jak z zewnątrz. Jasny, kwiecisty chodnik prowadził do niedużej kuchenki. Ściany były nieskazitelnie białe, w poprzek sufitu biegły belki z ciemnego drewna. Pojedyncza sypialnia była duża i nawet znajdował się tam telewizor. Mój własny kąpiel, co za raj.

- Może będziesz musiała czasami jeździć do pracy autobusem, kiedy nie będę mógł po ciebie przyjechać, ale jeżeli zajdzie taka konieczność, będę ci dawał na bilet - powiedział Rob.

- A co z pieniędzmi i jedzeniem? - zapytałam z zażenowaniem. Rob powiedział, że po prostu będzie wpadał, kiedy się nadarzy okazja, podkreślając, że ma wiele innych zadań. Dodał, że kiedy nie będę w pracy, mam siedzieć w domu. Wyczuwając, że zaczynam wpadać w panikę, próbował mnie uspokoić: - Nie martw się. Będę wpadał regularnie. Pamiętaj, że jestem tu po to, żeby się tobą opiekować. - Powiedziawszy to, zostawił mnie samą.

Było to kilka miesięcy temu. Od tamtej pory Rob przyniósł mi szereg czeków, wystawionych na moje nazwisko przez ojca Johna Atkinsona. W sumie na 58 000 funtów. Rob kazał mi po prostu zrealizować te чеki i oddać mu pieniądze. Musiałam także zrezygnować z posady w hotelu Forte Posthouse, ponieważ, jak mi powiedziano, mam podjąć inną pracę, w klubie jeździeckim. Ale nie było mi to dane. Buty do jazdy konnej i bryczesy, które mi kupił, leżą nietknięte w moim pokoju dziennym. Nie ma żadnej nowej pracy, są tylko ciągnące się w nieskończoność, nużące godziny czekania na Roba. Jego wizyty są rzadkie i nieprzewidywalne, w związku z czym nieczęsto zdarzają mi się okazje, kiedy, będąc pewna, że już tego samego dnia nie wróci, mogę wyjść z domu i pospacerować po wrzosowiskach.

Żyję w strachu przed jego gniewem, gdyby się niespodziewanie pojawił i nie zastał mnie na miejscu. Ale gdzież ja bym miała pójść? Do domu pojechać nie mogę, rodzice mnie nie chcą. Jakże bym pragnęła, żeby mi ktoś sensownie wytłumaczył, dlaczego mi się to wszystko przydarzyło, zwłaszcza po to, że bym z kolei ja mogła pomóc rodzicom to zrozumieć, ale Rob ma na ten temat do powiedzenia tylko tyle, że nie będzie żadnych wyjaśnień, dopóki nie dostanę nowej tożsamości. Jeżeli nie będę z nim współpracowała, nie będę mogła wrócić do swojego życia i rodziny, a przecież tylko po to żyję.

Kiedy Rob po mnie przyjeżdża, zawsze zabiera mnie do jakichś bliżej nieokreślonych miejsc. Nie mogę o nic zapytać, ponieważ nie wolno mi się odzywać w samochodzie. Kiedy tam dojeżdżamy, zostawia mnie „na straży”, mam pilnować jego najnowszego auta, podczas gdy on udaje się na spotkanie. Samochody należą do firmy, ale Rob ma na ich punkcie obsesję i uparcie twierdzi, że nie mogą one zostać w jakikolwiek sposób uszkodzone. Nie wiem, co ja mogę osiągnąć, pilnując samochodów, ale stosuję się do instrukcji. Czasami, po takim spotkaniu, Rob zostawia mnie w pubie, ponieważ nie ma czasu zawieźć mnie do domu; ma ważniejsze sprawy do załatwienia.

Dzisiaj jest to pub w Catcliffe we wschodniej części Sheffield. Nazw pubów już nie zauważam.

- Masz tu funciaka - mówi. - Wrócę za godzinę. - Patrząc na lśniącą złotą monetę, którą mi wcisnął w dłoń. Zły znak. Zazwyczaj nie daje mi więcej niż pięćdziesiąt pensów. Może to oznaczać długie czekanie. Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale kiedy widzę, jak mu twarz tężeje, powstrzymuję się od powiedzenia czegokolwiek. Tylko by mnie ukarał, każąc czekać jeszcze dłużej. Proszę barmana o wodę sodową z limonką - to najtańszy drink, przy którym można długo posiedzieć, jaki mi przychodzi do głowy - i zajmuję miejsce w rogu sali z krzyżówką w rękę.

Mija kilka godzin. Mój drink dawno się skończył i zaczynam się niepokoić. Gdzie jest Rob? Na każdy ruch reaguję gwałtownym, nerwowym spojrzeniem i staram się jednocześnie, żeby nikt mnie nie przyłapał, kiedy się rozglądam.

Ktoś się do mnie zbliża. Zastygam w bezruchu. Sposób, w jaki ten mężczyzna rozmawiał z barmanem sugeruje, że jest stałym bywalcem. - Przepraszam panią - mówi. Co ja mam powiedzieć? Już za późno na ucieczkę. - Tak żeśmy się zastanawiali, bo pani jest sama i w ogóle... - Chowam głowę w gazetę. - Tak żeśmy się zastanawiali, bo już tak długo pani tu siedzi i ciągle coś pani pisze... - Mężczyzna drapie się w głowę i odchrząkuje. - Czy pani jest policjantką?

Mówię mu, że nie, ale on mi oczywiście nie wierzy, on oczywiście sądzi, że jestem tajniczką. Co za ironia losu!

Freegard przyglądał się sobie uważnie w lustrze, obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę i lustrując wszelkiego rodzaju przybory toaletowe i kosmetyki, które zapełniały łazienkowe półki; zastanawiał się, czy jest jeszcze coś, czym mógłby się skropić, zanim się pokaże w zewnętrznym świecie. Lubił o sobie dbać i regularnie wydawał setki funtów na różnorakie mikstury, emulsje i płyny po goleniu. Poklepał się po twarzy, nucąc coś pod nosem i przyjrzał się uważnie swojej ostatniej fryzurze.

Miał powody do tego, żeby być w dobrym nastroju. Był mężczyzną, który kochał samochody, a ostatnio poszerzył swą kolekcję o niebieską Astrę kupioną w Jessups Garage w Romford w hrabstwie Essex za prawie piętnaście tysięcy funtów oraz o biały Vauxhall Calibra z salonu A D Scholey, który kosztował około dwudziestu siedmiu tysięcy; oba samochody zostały zarejestrowane na Johna

Atkinsona. Kontrolę przedsprzedażną tego drugiego przeprowadziła Elizabeth Bartholomew.

Ciągle nucąc, sięgnął po wodę kolońską i nalał jej sobie na dłoń. Przystały one przypominać stwardniałe dłonie stolarza, były gładkie i delikatne. Te ręce zacisną się wkrótce na kierownicy ostatniego zakupu Freegarda: eleganckiego czterodrzwiowego BMW M3 w kolorze Avus Blue na specjalne zamówienie, który kosztował raptem pięćdziesiąt tysięcy.

Freegard już nie nucił, lecz śpiewał piosenkę Duran Duran „Rio”, uśmiechając się do siebie w lustrze. Obejrzał swoje przednie zęby i jeszcze raz poprawił włosy. Po Bożym Narodzeniu kupi kolejne BMW, tym razem model 328i SE w kolorze Boston Green, ten będzie wart czterdzieści jeden tysięcy funtów.

LONDYN, 9 LUTEGO 1996

Potężna bomba eksploduje w Docklands w Londynie. Są dwie ofiary śmiertelne, wielu rannych, a zniszczenia ocenia się na dziesiątki milionów funtów.

Zamach ten oznacza koniec ogłoszonego przez IRA, trwającego siedemnaście miesięcy zawieszenia broni.

SHEFFIELD

Telefon odebrała Elizabeth Bartholomew, dwudziestoczteroletnia pracowniczka salonu samochodowego A D Scholey. - To ja. Czy mogłabyś po mnie przyjechać na dworzec Chesterfield? - Rozpoznała głos Roberta Freegarda. Była mężatką, ale wkrótce miała się rozwieść. Od jakiegoś czasu spotykała się z Freegardem, zwabiona jego niewątpliwym urokiem osobistym.

- Nie ma sprawy. Zaraz tam będę - odpowiedziała, radośnie chichocząc.

W drodze na dworzec Liz rozmyślała nad ich krótkimi spotkaniami w ładnym, kamiennym domku w Dore. Freegard powiedział jej, że to kryjówka, w której przechowuje ludzi będących w niebezpieczeństwie. Życie z nim musiało być pełne przegód; po samym

Freegardzie można się było spodziewać wszystkiego, to pewne.

- Pozwól, że ja poprowadzę. Wiesz, tobie to raczej kiepsko wychodzi. - Witając się z Liz, Freegard patrzył na nią z ledwie skrywanym obrzydzeniem. Zawiedziona oschłym powitaniem, jako że liczyła na coś zgoła innego, przesiadła się jednak na fotel pasażera. Było piątkowe popołudnie, ludzie wracali do domu i drogi były zatłoczone, tak więc poczuła pewną ulgę, że nie będzie musiała siedzieć za kierownicą.

Znaki drogowe przelatywały jej przed oczami i po chwili Liz zdała sobie sprawę, że zamiast jechać na północ autostradą M1 z powrotem do Sheffield, kierują się w zupełnie przeciwną stronę. - Pomyślałam sobie, że cię zabiorę na weekend - powiedział Freegard od niechcenia. - Taka niespodzianka.

Parę godzin później zatrzymali się przed hotelem w Watford. Kiedy się zameldowali i zainstalowali w pokoju, Freegard zaproponował, żeby zeszli na dół do baru, gdzie zamówił dwa półlitrowe drinki będące mieszanką jakichś mocnych alkoholi.

- Jest taka gra - zaczął tłumaczyć. - Chodzi o to, żeby wypić całego drinka, zanim roztopi się lód, tak żeby móc złapać kostkę w usta. - Liz powiedziała, że spróbuje. Wypiła całą szklankę, zanim się lód roztopił i otworzyła usta, żeby udowodnić, że zdobyła punkt.

- Świetnie. Spróbuj jeszcze raz. - Popchnął w jej kierunku drugą półlitrową szklankę. Liz trochę się już kręciło w głowie, ale dzielnie sięgnęła po drinka i zaczęła pić, obserwowana przez Freegarda. Za parę minut szklanka była pusta i Liz znów pokazała mu kostkę lodu, którą zdołała chwycić zębami.

- Czy wygrałam? - wybełkotała, po czym osunęła się na bar.

Głowa ciążyła jej jak ołów, obrazy ukazywały się przed oczami i znikwały, była prawie nieprzytomna, ale do resztek jej świadomości docierało, że ktoś z trudem wlecze ją po podłodze za rękę, że dywan parzy, ocierając jej skórę. Jak przez mgłę czuła, że ma podrapane i poobijane nogi. Pamiętała jeszcze, że wciągnięto ją do pokoju hotelowego. I na tym koniec.

Kiedy się ocknęła, było rano. Raziło ją światło i nie była w stanie poukładać w jedną całość wydarzeń poprzedniego wieczora.

Freegard już wstał i kręcił się po pokoju. Liz próbowała skupić na nim wzrok, tak jakby widok kogoś znajomego miał jej umożliwić poukładanie myśli i odzyskanie straconych danych. Zauważywszy jej przytępione spojrzenie, Freegard zadał ostateczny cios, wypowiadając suchym tonem kilka krótkich zdań, które musiały zranić jak zatruta strzała.

- Kiedy spałaś, sfilmowałem na wideo, jak uprawiamy seks. Zrobiłem ci też nagie zdjęcia. Nie zawaham się użyć tych zdjęć i negatywów. Jeżeli nie zrobisz dokładnie tego, co ci każe, wyślę je do twojego męża.

Oniemiała z przerażenia Liz usiłowała jakoś się uporać z tą straszliwą groźbą. Myślała, że ten człowiek ją kocha. - Nie zrobisz mi tego, nie wierzę - powiedziała cicho, skamieniała ze strachu.

Freegard podszedł do niej i usiadł na łóżku. - Ależ oczywiście, że zrobię - odparł chłodnym głosem.

MANCHESTER, 15 CZERWCA 1996

Potężna bomba niszczy samo centrum dzielnicy handlowej Manchesteru. Poszkodowanych jest 200 osób. Większość ran została spowodowana latającymi w powietrzu odłamkami szkła. Wybuch słyszano w odległości 130 kilometrów. Do zamachu przyznaje się IRA.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Syn marnotrawny

LONDYN, WRZESIEŃ 1996

Siedząc w zatłoczonym podmiejskim pociągu i przyglądając się współpasażerom patrzącym przed siebie z bezmyślnym wyrazem twarzy, John Atkinson zastanawiał się, czy uwierzyliby, gdyby im powiedział, dlaczego podróżuje z 9000 funtów w gotówce. Sądził, że raczej by nie uwierzyli. Miał nadzieję, że nie rzuca się im w oczy jego niezmiernie wypchana lewa kieszeń.

Tydzień temu otworzył rachunek w Coop Banku w londyńskim City i zdeponował na nim kolejne 52 000 funtów, które otrzymał od rodziców. Przekazali mu te pieniądze z ociąganiem i tylko pod warunkiem, że w bardzo niedługim czasie spotkają się z osobą władną ich zapewnić, że wszystkie te operacje są legalne; zażądali też, żeby John jednoznacznie poinformował „Harry'ego”, że jest to nieodwołalnie ich ostatnia wpłata.

W tym roku jego rodzina znów sięgnęła do kieszeni, zaznaczając na niebiesko w swoich książeczkach bankowych przekazane kwoty, tak żeby móc kontrolować na bieżąco, ile są im winni bezimienni dłużnicy:

6 stycznia 1996	24 000 funtów
4 marca 1996 transfery na łączną kwotę	45 000 funtów
4 lipca 1996	3 500 funtów

Do tego momentu państwo Atkinson odprowadzili na różne konta prawie pół miliona funtów, a więc olbrzymie kwoty, które John, wymieniwszy na gotówkę, w całości przekazał Robowi.

Kilka dni temu do ojca Johna zatelefonowała jakaś kobieta, żądając kolejnych 7000 funtów. Powiedziała, że wkrótce wszystko się wyjaśni i że nie powinni odstępować od przyjętych zasad. Jednak tym razem rodzice Johna odmówili przelania pieniędzy, chociaż przyjęli do wiadomości, że kobieta była z policji. Oświadczyła ona wówczas, że jeżeli nie nabiorą rozumu i nie zapłacą, stracą wszystko, co do tej pory przekazali, co do ostatniego pensa; ich akta zostaną po prostu zamknięte. Russell Atkinson odłożył słuchawkę.

Pociąg, stukocząc, posuwał się do przodu, a John zastanawiał się nad swoim życiem. Jeszcze niedawno jeździł Astrą 1.8 Sport, która była „prezenterem” od policji i miała mu wynagrodzić niedogodności jego obecnej egzystencji, ale odebrano mu ją i obecnie czekał na nowy samochód.

Nie sposób było nie zauważyć eleganckich wozów, którymi jeździł Freegard. Tyle że, jak twierdził Rob, były to samochody wynajmowane, ponieważ w związku ze swoją pracą musiał ciągle pokonywać duże odległości. Natomiast swoje prywatne auta, BMW i Astrę GSI, otrzymał jako dodatek do pensji.

John miał telefon komórkowy, ale wolno mu było dzwonić tylko do Freegarda. W ciągu ostatnich dwóch lat nie miał prawa nigdzie wychodzić bez pozwolenia Freegarda, ponieważ istniała obawa, że go ktoś zobaczy. Zamiast wychodzić siedział więc w swoim mieszkaniu w Sheffield przy ulicy Leppings Lane, czekając na nie wiadomo co. Ostatnio przez większość czasu ukrywał się na farmie rodziców, z wyjątkiem tych dni, kiedy Freegard wysyłał go do najróżniejszych miejsc w całym kraju na spotkania z kimś „z kierownictwa”. W pogoni za tymi ludźmi „z kierownictwa” spędzał całe tygodnie, siedząc w pokojach hotelowych lub snując się po miasteczkach, czekając, aż zadzwoni jego komórka i zostaną mu przekazane szczegółów dotyczące spotkania. John nigdy nie podał w wątpliwość faktu, że Freegard stanowi część teamu. Niezmiennie wierzył, że ktoś się w końcu pojawi. Wyobrażał sobie nawet, że to testowana jest jego wytrzymałość i że jeżeli by nie przybył na wyznaczone miejsce, dałby „kierownictwu” pretekst do zatrzymania jego pieniędzy. Tak

więc wytrwale stawiał się na spotkania, zdecydowany na wszystko, byle odzyskać swój wkład.

Ciągle jednak kończyło się na tym samym. Czekał i czekał, ale nikt się nie zjawiał; no, najwyżej Freegard z kolejnym zapotrzebowaniem na pieniądze. John nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny, nieszczęśliwy, odizolowany od świata, samotny. Rozważał nawet popełnienie samobójstwa. Powstrzymała go przed tym jedynie myśl o wielkim bólu, jaki by sprawił rodzicom.

John zamknął oczy. Ostatni tydzień spędził w hotelu Crickle Lodge w północnym Londynie, a w tej chwili, stosując się do instrukcji, znajdował się w drodze na spotkanie z Robem w pubie w centrum Londynu. Zgodnie z tym, co mu powiedział Freegard, 9000 funtów, które miał przy sobie, musi zostać wpłacone na konto policyjne jeszcze tego samego dnia po to, żeby „zgadzały się wewnętrzne rejestry”.

John wysiadł z metra na stacji Green Park i ruszył ulicą Piccadilly w kierunku Hyde Park Corner. Skręciwszy w Old Park Lane, zauważył szyld pubu Rose and Crown, wszedł do środka i czekał.

Freegard pojawił się godzinę później i zaprowadził go do miejsca, gdzie zaparkował swój samochód. John wręczył mu brązową kopertę. Freegard zaczął przeliczać pieniądze.

- Czy z kimś się spotkamy? - zapytał John.

- Tak - odpowiedział Freegard nieobecny tonem, zajęty pieniędzmi. - Już niedługo, już niedługo.

- Muszę się z kimś spotkać, zanim będę mógł ci przekazać kolejne pieniądze.

- Spotkasz się, spotkasz, tylko po prostu nie mogę ci zagwarantować kiedy. - Freegard dalej liczył pieniądze, przypominał psa, który zwietrzył zgubioną kość.

SHEFFIELD, PAŹDZIERNIK 1996

W salonie samochodowym Sytner BMW w Sheffield Mark Endersby spojrział niecierpliwie na zegarek. W pół do piątej. W każdej chwili w drzwiach może się ukazać elegancko ubrany Robert Freegard

i pewnym krokiem przemaszerować przez salon wystawowy. Freegard regularnie się umawiał, żeby obejrzeć ostatnie modele i Mark Endersby wiedział, że jego klient pozostanie w sklepie jeszcze długo po zamknięciu.

Tym razem chciał kupić nowy model, w rozliczeniu oddając jeden z ostatnio zakupionych samochodów. Freegard był mężczyzną, który potrafił godzinami ślęczeć nad kolorowymi prospektami. Zawsze zamawiał specjalne wyposażenie. Odhaczał pozycje na liście akcesoriów, jakby sporządzał zamówienie na artykuły spożywcze. Mark widział go za kierownicą różnych samochodów, a każdy z nich miał indywidualne numery rejestracyjne: RDF, MAH czy RI PI. Podejrzał, że każda taka tablica musiała kosztować Freegarda co najmniej 2000 funtów.

Dealer zauważył swojego klienta wchodzącego niedbałym krokiem do salonu.

- Dzień dobry, panie Freegard - powiedział, wyciągając rękę.
- Co słychać?

- Mnóstwo roboty. Ale, broń Boże, nie narzekam - odrzekł Freegard, obdarzając Marka szerokim uśmiechem.

- Proszę tędy. Chcę panu pokazać nasz najnowszy model. - Freegard podążył za nim, stąpając po błyszczącej podłodze salonu.

- A jak się spisuje pana ostatni samochód? - zapytał sprzedawca.

- Świetnie. Ma już prawie pięćdziesiąt tysięcy na liczniku.

Mark gwizdnął ze zdziwienia. - O la la, to rzeczywiście dużo jak na trzy miesiące. - W szybkim tempie dokonywał w głowie obliczeń. - A niech to! Wychodzi około czterech tysięcy na tydzień, ponad pięćset kilometrów dziennie.

- Ano tak. Współpracuję z konsorcjum farmerów w Cumbrii. To oni używają samochodów, a ponieważ jeżdżą dużo po całym kraju, muszą je regularnie wymieniać.

Mark zastanawiał się, ile pieniędzy Freegard traci, wymieniając tak drogie samochody tak szybko po zakupie - musi to być około 20 000 funtów na każdym; biorąc pod uwagę te wszystkie BMW, które dotychczas u niego kupił, była to prawdziwa fortuna. Ale kimże on, Mark, jest, żeby mówić facetowi, co powinien lub czego nie powinien robić? Freegard ewidentnie wiedział co nieco na temat samochodów.

Mark posunąłby się wręcz do stwierdzenia, że jego klient ma na tym punkcie kompletnego bzika: studiuje wszystkie magazyny motoryzacyjne i uczy się na pamięć szczegółów dotyczących budowy i wyposażenia specjalnego każdego nowego pojazdu, jeszcze zanim samochód zostanie wypuszczony na rynek. Freegard był regularnym klientem salonu, z niektórymi pracownikami kolegował się, a kilku mechaników zaprosił nawet na drinka.

Za większość samochodów, które kupował, Freegard płacił gotówką z góry; resztę kredytowało BMW. Mark pomyślał, że byłoby cudnie, gdyby mógł mieć jeszcze kilku takich klientów jak Robert Freegard.

Dealer podał Freegardowi najnowsze prospekty, które ten najpierw przestudiował dokładnie, a dopiero potem zajął się oglądaniem modelu M3 coupe. Kilka godzin później Freegard oznajmił, że zdecydował się na zakup. Poprosił też o indywidualną tablicę rejestracyjną dla Marii, P846 MHE.

- To będzie razem czterdzieści osiem tysięcy - powiedział Mark.

- Nie ma sprawy - odrzekł Freegard.

- W jaki sposób chce pan zapłacić?

- Gotówką, oczywiście. - Freegard kupił w ciągu jednego roku w tym tylko salonie dziewięć samochodów. Wydał na nie setki tysięcy funtów i stracił ponad 150 000 na wymianach.

PÓŁNOCNY LONDYN, GRUDZIEŃ 1996

Znawali się w pokoju hotelowym i John ostro się sprzeciwiał kolejnym żądaniom. - Następne pięćdziesiąt tysięcy funtów? Absolutnie nie. Moja rodzina stanowczo odmawia. To koniec. Nie będzie więcej pieniędzy. Może gdyby doszło do spotkania z twoimi szefami. Sprawy zaszły za daleko i moi rodzice nie zmienią stanowiska.

- Ty gnido - warknął Freegard. - Spróbuj się teraz wymigać, a twoja rodzina dostanie wezwanie podatkowe na co najmniej sześćdziesiąt pięć tysięcy.

- Wszystko mi jedno. Wolałbym umrzeć niż tak żyć - odciął się John głosem łamiącym się ze wzruszenia.

- To znaczy, że narazisz na szwank całą sprawę, a rodziców na ryzyko dla jednej, ostatniej wpłaty? Zdziwiasz mnie, naprawdę.

- Freegard zaśmiał się pogardliwie; wyglądał tak, jakby chciał Johna uderzyć. Ten wzdygnął się mimowolnie, prawidłowo odczytując nastrój Freegarda.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Freegard od niechcenia wymierzył cios, aczkolwiek nie takiego rodzaju, jakiego się spodziewał John: - Pan Smith zamierza doprowadzić do aresztowania cię.

- Co? Dlaczego? - wyjąkał John, cofając się pod ścianę, całkowicie zbity z tropu.

- Twierdzi, że przetrzymujesz jego córkę jako zakładnika. Mówi, że łamiesz prawa człowieka - powiedział Freegard leniwie, tym razem przypominał kota wylizującego sobie łapy.

- Nie widziałem Sarah od dwóch lat. Przecież to nieprawda! - John patrzył na Freegarda oczami szeroko otwartymi z niedowierzania.

- Oczywiście, że nie. Tylko pan Smith znowu zaczyna swoje stare gierki. Musisz wiedzieć, że już się zwrócił do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. - Freegard wygładził rękawy koszuli, podziwiając swe złoto-platynowe spinki do mankietów. - Wie, że policja ma nad wami wszystkimi pieczę, a on po prostu chce odebrać swoją córkę. Używając ciebie i Sarah jako pretekstu, próbuje zmusić policję, żeby wkroczyła do akcji i otwarcie stanęła w waszej obronie, co miałyby w rezultacie wypłoszyć was z kryjówek. - Freegard przygładził włosy i ruszył do natarcia. - Oczywiście nie chcemy, żeby do tego doszło. Jeżeli wycieknie informacja, że wszyscy rzuciliście studia z powodu IRA, zagrozi to całej operacji policyjnej. To musi być ewidentne, twoja rodzina musi na pokaz opłacić obrońców.

John milczał przez chwilę. - Przekażę to moim rodzicom, ale niczego nie mogę obiecać.

- Zrób, co uważasz za stosowne - powiedział z szyderczym uśmieszkiem Freegard. - Ale pamiętaj, że jeżeli to spartaczysz, będziecie mieli mnóstwo do zapłacenia, a my nie będziemy już mogli zagwarantować niczego ani tobie, ani twojej rodzinie. Nie mówiąc o tym, że wszystko wszystkim popsujesz: mnie, Marii, Sarah, a na dodatek zniszczysz to, nad czym pracowaliśmy przez ostatnie cztery lata. Pomyśl o tym, palancie. Wszyscy znaleźlibyśmy się w punkcie

wyjścia. - Freegard wymaszerował z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

John zwinął się w kłębek na łóżku. Dla niego był to koniec, znalazł się w potrzasku. Sięgnął po telefon.

- Hallo. Tu Fundacja Samarytanie. W czym mogę pomóc?

Płacząc, John starał się wy tłumaczyć, w co się wplątał. Mężczyzna, który odebrał telefon grzecznie próbował się go pozbyć, musiał to według niego być jakiś pomyleniec, który mu tylko zabierał czas. To, co opowiadał, nie mogło być prawdą.

MARZEC 1997

Freegard ponownie odwiedził salon Synter BMW w Sheffield. Przeglądał broszurę, w której podane były najróżniejsze dostępne opcje, jeżeli chodzi o wyposażenie wozu. Postawił znaczek już prawie we wszystkich okienkach, ale chciał się upewnić, czy czegoś nie przeoczył.

Jego najnowszy zakup to srebrne BMW 2.8, 328i SE Touring, numer rejestracyjny PI MAH. Zdecydował się na skórzaną tapicerkę za ponad półtora tysiąca, elektrycznie otwierany dach za niespełna tysiąc funtów, elektryczną regulację siedzeń przednich za nieco ponad tysiąc funtów, alufelgi Double Spoke za tysiąc czterysta, sportowe fotele za prawie pięćset funtów, przyciemnianą szybę przednią, system monitorowania VTS, automatyczną klimatyzację, antracytową wyściółkę dachu, podgrzewane siedzenia przednie, kolorowe przednie i tylne fartuchy, elektryczne tylne szyby, lakier metalik. Całkowity koszt zakupu 40 000 funtów, płatność: częściowo gotówką, a częściowo w kredycie na nazwisko Marii Hendy.

- Powiniem być cię wziąć na basen. Masz szczęście, że ci się pozwalam rozbierać w domu. - Freegard przechadzał się po pokoju hotelowym w Brentwood w hrabstwie Essex. John trząśł się z przerażenia, zdejmując ubranie.

- Ale przecież ja nie jestem okablowany - jęknął John.

- Dalej, dalej, kundlu - Freegard warknął z pogardą. - Nie mam zamiaru siedzieć w tej norze przez cały dzień. - John rozebrał się do bielizny.

Pomimo że był wysokim mężczyzną, czuł się mały i żałosny i jeszcze bardziej się skurczył.

- Rozumiem, że masz pieniądze.

- Nikt nie przyjechał się spotkać z moim ojcem. Przecież ci powiedziałem: nie będzie spotkania, nie będzie pieniędzy.

W oczach Freegarda widać było wściekłość, kiedy ruszył do natarcia: - Nie ma pieniędzy, nie ma ochrony, nie ma gwarancji, niczego nie ma. Czego ty tu nie rozumiesz? Powinieneś do tej pory wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Chcesz narazić rodzinę na niebezpieczeństwo? Dobra, twoja sprawa. Chromołą, wszystko mi jedno. Chryste panie! Popatrz tylko na siebie! - Freegard roześmiał się na widok stojącej przed nim żałosnej postaci, po czym wykrzywił twarz i scenicznym szeptem dodał: - Jeżeli się teraz spróbujesz wykmknąć, nie ujdiesz z życiem!

- Wszystko mi jedno - wyjąkał John. - Już gorzej być nie może. Niech mnie IRA zastrzeli. I tak już nie żyję.

CUMBRIA, KWIECIEŃ 1997

Niemalże równo w cztery lata po tym, jak on, Sarah i Maria rzucili uczelnię, John zwlekł się na dół na śniadanie. Był na farmie rodziców, w dobrze sobie znanym otoczeniu. Popadł w osobliwe zubożenie. Poprzedniego dnia razem z ojcem spotkali się z właścicielem mieszkania przy Leppings Lane w Sheffield, które przez jakiś czas zajmował. Dowiedzieli się, że są mu winni czynsz za kilka miesięcy plus podatek lokalny, mimo że John już tam nie mieszka.

Do świadomości Johna zaczęła nieubłagalnie docierać naga prawda. Nie ma mowy, żeby to mieszkanie było kryjówką policyjną, ponieważ gdyby było, wszystkie sprawy zostałyby dawno uregulowane. Idąc dalej tym samym tropem, zrozumiał, że Freegard nie mógł być tym, za kogo się podawał.

John bez słowa zajął miejsce przy starym kuchennym stole. Ojciec zabrał się już do swoich płatków, a mama z Jean rozmawiały o diecie pomarańczowej.

John głęboko wciągnął powietrze i zebrawszy się na odwagę, oznajmił: - Słuchajcie, muszę wam coś powiedzieć.

Wszyscy oczywiście się spodziewali, że znowu zacznie mówić o pieniądzach i kolejnej sytuacji kryzysowej.

John zamknął oczy i powiedział mechanicznie: - Harry, mój specjalny agent.

- Co się stało z Harrym? - ostrożnie zapytał Russell.

John miał uczucie, że jego głowa zaraz eksploduje. Z trudem oddychał.

- Harry to Rob - zdradził swój wielki sekret.

- Co?

- Rob to Harry.

Miotani sprzecznymi uczuciami: niedowierzaniem, rozczarowaniem, gniewem i współczuciem rodzice i siostra Johna wpatrywali się w niego zszokowani, zdając sobie sprawę z doniosłości tego, co właśnie powiedział.

- Nie - wyszeptła mimo woli matka Johna.

Dla Johna sekundy ciągnęły się jak wieczność, czuł się jak skazaniec czekający, aż opadnie topór kata.

- Nie mówisz tego poważnie? Powiedz mi, że nie mówisz tego poważnie. O Boże, John, przecież to kompletny idiota - jęknął ojciec.

John otworzył oczy i spojrzał na swoich bliskich. - Przykro mi, tato - szepnął. - Wiem, że to idiota. Nienawidzę go. On wie, że go nienawidzę. Do tej pory wydawało mi się, że to wszystko, choć dziwaczne, ma jakiś sens, ale po wczorajszym mam wrażenie, jakby ktoś uniósł wielką, czarną płachtę, która wszystko przykrywała. Po raz pierwszy zobaczyłem, co pod nią jest i nagle do mnie dotarło, że cała ta sprawa może być jednym wielkim stekiem bzdur. - W oczach Johna widać było cierpienie.

- Oczywiście, że to bzdury. Och, John, nie. - Russell potrząsnął głową. Zdał sobie sprawę, że on również został oszukany, choć nieświadomie, przez swojego własnego syna.

- Co ja narobiłem? - jęknął John. - To oznacza, że nie dostaniecie z powrotem wyłożonych pieniędzy - dodał, czując, jak mu się kręci w głowie.

Russell szybko odzyskał panowanie nad sobą. Wiedział, że John jest kompletnie rozbity i chociaż miał chęć sprania syna na kwaśne jabłko za to, że okazał się aż tak naiwny, rozumiał, że to

złamałoby Johna do końca. Zrezygnowany, wziął głęboki oddech. - Nie dano ci wyboru. Otrzymałeś rozkaz, że masz się w to zaangażować - zdołał powiedzieć.

- Przez cztery lata wierzyłem temu człowiekowi. Wierzyłem we wszystko, co mówił. - John zacisnął pięści, myśląc z przerażeniem o następstwach tego, co się wydarzyło, dla siebie i rodziny.

Russell spojrział ze smutkiem na żonę, która się już pogodziła z gorzką prawdą. - Tak więc zostaliśmy okantowani. Zawsze mówiłem, że ten Rob to parszywa owca. - Russell spojrział w uczciwą twarz żony, szukając u niej pocieszenia.

Margaret objęła Johna ramieniem. - Już dobrze, skarbie. Jakoś to załatwimy.

- Tak mi przykro, mamó. Jestem kompletnym idiotą.

Jean zaciskała usta i z całej siły starała się nie odzywać. Okłamała ją i całą resztę. Co więcej, wykorzystał ją, żeby o wszystkim powiedziała rodzicom. Czuła się, jakby gdzieś w jej wnętrzu został już zapalony lont, była gotowa eksplodować w każdej chwili. Dlaczego rodzice znowu dają się nabrać na tę płacziwą historyjkę? Powinno się go powiesić i czekać, aż skruszeje. Wzięła głęboki oddech, próbując opanować emocje, zanim wybuchnie i w tym właśnie ułamku sekundy zmieniła zdanie. Przecież to jej brat, kłamstwa, które opowiadał to nie jego kłamstwa, po prostu nie był sobą. Robert Freegard, nikt z nas go nie polubił, to on za wszystkim stał. I chociaż była zła i zdesperowana, wiedziała, że musi przebaczyć bratu. - Hej, Kell - westchnęła, nazywając go przezwiskiem z czasów dzieciństwa. - Coś ty narobił?

- Powinniśmy iść na policję - stwierdził Russell i rozejrzał się dookoła, szukając poparcia.

John wybałuszył oczy. - Ale z czym, tato? Nie mamy żadnych dowodów. Tylko moje słowo przeciw jego zeznaniom. Nie uwierzą nam, będą uważali, że zmyśliamy albo że zwariowaliśmy, albo że jesteśmy zwyczajnie głupi. Ja akurat jestem, to pewne.

- Nie tylko ciebie jednego w to wciągnięto. Co się dzieje z Marią? - zapytała Margaret.

- Praktycznie rzecz biorąc, jest jego żoną.

- A Sarah?

- O Chryste! To ja ją w to wszystko wplątałem, ale nie mam pojęcia, gdzie by jej można było szukać. Rob ciągle ją gdzieś chował; zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tylko on wie, gdzie jest Sarah. - John próbował spokojnie się nad tym zastanowić. Nawet już nie pamięta, kiedy ją ostatnio widział. Ale przecież ona też już na pewno wszystko rozgryzła; to ona ciągle miała jakieś pytania, to ona odnosiła się ze sceptycyzmem do tego, co się działo.

- Sarah nie jest głupia, mamo. Na pewno już dawno z tym skończyła, wróciła do rodziny i na uczelnię. - John spojrzął na rodziców. - Nie mogę iść na policję, nie dam rady. Po prostu nie dam rady.

Głowa mu opadła. Miał uczucie, jakby się znajdował na polu bitwy, gdzie orężem były kłamstwo i oszustwo; cała krew wypłynęła z jego ciała, a uczucia zostały porąbane na kawałki. Był teraz tylko pustą skorupą, powłoką człowieka, który na dobrą sprawę i tak nie istniał przez ostatnie cztery lata. Wspomnienia tłoczyły się w jego umyśle: widział poniżające zadania, które wykonywał, niewinnych ludzi, których okłamywał, miejsca, do których jeździł bez sensu, lata, które stracił bezpowrotnie; pozostał tylko wstyd. A najbardziej bolało to, że oszukiwał tych, których kochał najbardziej dla kogoś, kogo nienawidził. Przygniatało go poczucie winy, ból był nie do zniesienia. Przez wiele kolejnych tygodni zasypiał, szlochając, mając pomimo wszystko nadzieję, że się myli, że Freegard jednak naprawdę jest policjantem. Dopiero po sześciu miesiącach udało mu się pogodzić z prawdą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Promyk nadziei

SARAH, MARZEC 1998

Gdzieś w oddali słyszę szczekanie psa, jestem na powietrzu, czuję wiatr wiejący mi w twarz i to podnosi mnie na duchu.

Minęły cztery lata od ostatniej rozmowy z rodzicami; od spotkania w pubie Pomona nie zamieniliśmy ani jednego słowa, nie było żadnego listu. Bez uprzedzenia zostałam przerwana do Manor Top, do innej części Sheffield; mieszkam z kimś, kogo nie znam. Znów śpię na podłodze. Od dwóch lat pracuję w pubie Shiny Sheff przy Manchester Road, około trzech kilometrów na zachód od centrum Sheffield. Znają mnie tam jako Marię Hendy - Rob kazał mi się tak przedstawić - i moja pensja wpłacana jest na konto bankowe Marii. Z kolei mojemu współlokatorowi, Kieranowi, powiedziałam, że mam na imię Liz, również zgodnie z poleceniem Roba.

Kontaktuję się wyłącznie z ludźmi z pracy, ale unikam przyjaźni. Rob tak często mnie przeprowadza, że byłoby smutno zbliżyć się do kogoś po to tylko, żeby za chwilę i tak zostać oderwaną od tej osoby. Rob jest jedynym stałym elementem w moim życiu. To on decyduje, jak spędzam kolejne dni. On i jego szefowie trzymają moją przyszłość w swoich rękach. Rob czasami przeprosza, że trwa to tak długo. Mówi, że naprawdę myślał, że wszystko skończy się dużo szybciej, ale ponieważ jego bossowie uznali, że spartolił sprawę, bo nie potrafił utrzymać mnie w ryzach, teraz będzie się musiał mną zajmować do samego końca.

Jego zwierzchnicy w Londynie wpłacili znaczną sumę pieniędzy na moje konto policyjne, co ma mi umożliwić wejście w nowe życie. Rob nie chce mi powiedzieć ile, mówi tylko, że zostało to

skalkulowane zgodnie z tym, na ile mnie wyceniono na podstawie moich bieżących zarobków, ogólnej zdolności zarobkowej, obligacji i akcji, których jestem posiadaczką, kont bankowych na moje nazwisko oraz funduszu powierniczego, z którego wypłata jest przewidziana na następny rok.

Rob twierdzi, że zanim będę mogła się wcielić w swoją nową tożsamość, muszę najpierw zwrócić jego wydziałowi kwotę, która znajduje się obecnie na rachunku policyjnym. Mimo że będę objęta programem ochrony świadków, rząd nie zamierza pokrywać kosztów mojego przyszłego utrzymania.

Kiedy tylko dostanę nową tożsamość, będę mogła znów normalnie żyć. Tak więc pracuję teraz na wszystkie możliwe zmiany we wszystkich możliwych godzinach, żeby jak najszybciej osiągnąć docelową kwotę i wreszcie mieć całą sprawę za sobą. Oprócz pracy w Shiny Sheff znaleziono mi dodatkowe zajęcie w innym pubie, żebym mogła zarobić więcej pieniędzy.

Idąc ciągle pod wiatr, próbuję się posuwać do przodu. W oddali dostrzegam Roba.

Jest arogancki i zarozumiały, wydaje mu się, że wszystkie kobiety się w nim kochają. Jego próżność nie zna granic. Ma obsesję na punkcie swojego wyglądu: musi się zawsze prezentować absolutnie nieskazitelnie - na jego koszuli nie może być najmniejszego zagniecenia, na butach najmniejszej plamki, żaden kosmyk włosów nie ma prawa być nie na swoim miejscu. Mówi, że się zapisał do klubu sportowego Davida Lloyda, żeby móc zdać regularne testy sprawnościowe dla pracowników sił bezpieczeństwa.

Jeżeli cokolwiek nie gra, wiem to natychmiast. Ma nieprawdopodobnie zmienne nastroje. W jednej chwili potrafi być niemalże miły i czarujący, a już w następnej bezwzględny i groźny. Najbardziej przerażający był, kiedy zmuszał mnie do dzwonienia do domu i zebrania o pieniądze. Znienawidziłam go za to.

Z drugiej strony jest między nami jakaś więź. Nie nazwałabym tego przyjaźnią, to raczej pewnego rodzaju poufałość, która nas połączyła, dlatego że jestem od niego całkowicie zależna, a poza tym z nikim innym nie wolno mi przecież rozmawiać. Byliśmy kilka razy w kinie na filmach z Jamesem Bondem, a kiedyś Rob zabrał mnie nawet na drinka i na przejażdżkę eleganckim, purpurowym bmw:

nazywał go M3 Evolution sedan. Powiedział mi, że ten samochód będzie kosztował 52 000 funtów, pokazał mi, z jaką szybkością może jechać i dodał, że go tylko testuje. Jednak nie mogę brać jego przyjaznego nastroju za dobrą monetę; zwykle kryje się w tym jakiś podstęp. W istocie jest to jedna z nielicznych przewidywalnych cech Roba. Jeżeli jest miły, oznacza to, że trzeba się mieć na baczności, że coś przykrego wisi w powietrzu.

- Do nogi, Fudge. - Rob przywołuje swojego labradora o czekoladowym umaszczeniu. Szczeniak podbiega do nas, podskakując z wawo. Psy z rodowodem są ostatnią manią Roba.

Od kilku tygodni Rob zachowuje się w sposób podejrzenie otwarty i przyjacielski. Złagodził nawet restrykcje co do rozmów w samochodzie. Dzisiaj jest najwyraźniej w świetnym nastroju. Spacerujemy po wrzosowiskach, na wzgórzach wznoszących się nad Sheffield i niespodziewanie zaczyna mi opowiadać o swojej rodzinie.

- Ojciec zmarł, kiedy byłem dzieckiem, ale poszedłem w jego ślady. Też był tajnym agentem. Moja prawdziwa matka mieszka w Kenii - mówi.

- Masz jakichś braci albo siostry? - pytam.

- Dwóch braci. Naprawdę nazywam się Andrew, Andrew Parker, nie Robert Freegard, to tylko kryptonim, który mi nadali w pracy. Wzięli go z rejestru zgonów. To samo zrobią w twoim wypadku - zauważa.

Przez chwilę przez myśl przelatuje mi ta nowa osoba, to moje nowe ja i próbuję sobie wyobrazić, jak mam na imię i jakie prowadzę życie.

- Czy jestem już blisko celu?

- No cóż, właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać. Problem w tym, że sprawy nie układają się zgodnie z planem.

Czuję ściskanie w żołądku i zatrzymuję się w miejscu.

- Twoi rodzice ciągle jeszcze nie przekazali wszystkich pieniędzy, które się znajdują na rachunkach na twoje nazwisko. Dopóki tego nie zrobią, moje zadanie nie będzie zakończone, a ty nie dostaniesz nowej tożsamości.

Wiem, dokąd to prowadzi i nie chcę tam iść. Ogarnia mnie panika. Jedyne, czego pragnę, to uciec przed nim. Przyspieszam kroku, ale w okamgnieniu jest znów obok mnie. Twarz wykrzywia mu grymas gniewu. Dosłownie rzuca we mnie komórką.

- Dzwon do matki.

Nie potrafię ukryć rozpaczy. - Dlaczego ciągle chodzi o pieniądze? Dlaczego ciągle muszę okłamywać rodziców? Wolałabym, żebyś mnie zrzucił ze skały i pozbył się raz na zawsze.

- Przestań biadolić. Dlaczego jesteś tak cholernie drażliwa? - Robi wrażenie urażonego. - Wszystko czego potrzebujesz do swojego nowego życia zostało już opłacone. Jedyne, co musisz jeszcze zrobić, to spłacić do końca dług. Wtedy dostaniesz to, co ci się należy. Pieniądze, które do tej pory przekazałaś, ciągle nie pokrywają całości.

Zniżam głos i próbuję nad sobą panować. - Nie mogę tak po prostu zadzwonić do mamy po czterech latach milczenia i poprosić o pieniądze. Nie będzie chciała ze mną rozmawiać. Podobnie jak ojciec.

Freegard wzdycha, zirytowany. - Ja się po prostu stosuję do zasad, wiesz, że tak jest. Mamy ekspertów, psychologów, którzy pracują nad takimi sprawami. Oni wiedzą, co robić. A ja dostaję rozkazy. Wszystko się może tylko pogorszyć, jeżeli nie zmusisz rodziców do przekazania tego, co do ciebie należy, chodzi oczywiście o finanse. No już, Sarah. Przestań utrudniać życie.

Tak więc przerywam czteroletnią ciszę i dzwonię do Nether Hale. Mówię mamie, że muszę się przeprowadzić i w związku z tym potrzebuję 3000 funtów, żeby wpłacić depozyt na nowe mieszkanie. Podkreślam, że to moje pieniądze. Ale w ciągu czterech lat nic się nie zmieniło: rodzice proponują czek, ja odmawiam, po czym kończę rozmowę. Kiedy zostaję zmuszona do kolejnego telefonu, sugerują inne kompromisowe rozwiązania, ale Rob niezmiennie daje znak, że kompromis nie wchodzi w rachubę, a ja odkładam słuchawkę.

Ustępują dopiero za szóstym razem.

NETHER HALE, CZERWIEC

Jill Smith poczuła, że pojawił się promyk nadziei. Sarah najwyraźniej postanowiła się poprawić i kupiła komórkę, żeby znów móc się z nimi kontaktować. Jill pomyślała, że może nareszcie istnieje szansa na przełom w ich stosunkach. Czy można jej mieć za złe to,

że śmiała mieć nadzieję, iż życie może wkrótce znów zacznie się toczyć normalną koleją? W czasie ostatniej rozmowy Sarah powiedziała matce, że planuje kupić dom i że jej życie naprawdę nabiera kształtów. zaproponowała, żeby się szybko spotkali, jak najszybciej.

Jill rzuciła pełne miłości spojrzenie na zdjęcie „bandy czworga” przypięte do tablicy nad komputerem. Przekazała Sarah 5 000 funtów, a także wysłała jej książeczkę bankową na przynależną jej kwotę z rachunku, który dzieliła z Guyem. Sarah powiedziała jej, że wynajmuje dom w Kettering i na ten właśnie dom Jill zaadresowała przesyłkę.

SARAH, LIPIEC

Przerzucano mnie z jednego pensjonatu do drugiego, aż w końcu zostałam umieszczona w tym, w którym obecnie przebywam, przy ulicy Pennison Road. Z jednej strony pensjonatu znajduje się stadion Hillborough, siedziba klubu piłkarskiego Sheffield Wednesday Football Club, gdzie w roku 1989 prawie setkę ludzi zagnieciono na śmierć. Z drugiej strony biegnie ruchliwa droga szybkiego ruchu. Ciekawostką może być to, że mój pensjonat jest położony niecałe pół kilometra od Dorothy Road, gdzie kiedyś mieszkałam. Wiem, że Maria ciągle tam jest, ale nie wolno mi się z nią widywać.

Dziękuję pokój ze spanielem, szczeniakiem, który bez przerwy podskakuje, żeby zwrócić na siebie uwagę. Rob zdecydował, że Tyzer, tak ją nazwał, będzie pomocna w przełamaniu lodów, kiedy spotkam się z mamą. Rodzice zawsze mieli psy na farmie i jeden z nich, Houdi, właśnie wpadł pod samochód taty i został zabity. Rob sądzi, że prezent w postaci szczeniaka posłuży za gałązkę oliwną i pomoże nam się pogodzić.

Mój pensjonat ma dziesięć pokoi, a jego właścicielką jest Anna Jones; ja występuję pod imieniem Sarah. Anna jest miła, ale za wiele jej nie mówię, ponieważ nie chcę wymyślać kłamstw, które potem wylatują mi z pamięci.

Pokoik, który zajmuję, został przerobiony ze strychu; jest tu miejsce tylko na pojedyncze łóżko i umywalkę. Kosztuje piętnaście funtów za noc.

Nie mam żadnych pieniędzy i jestem zależna od Roba, jeżeli chodzi o jedzenie i opłatę za pokój.

Całe dni spędzam w domu, poza chwilami, kiedy wyprowadzam Tyzer. Rob mówi, że nie wolno mi wychodzić pod żadnym innym pozorem, mam po prostu na niego czekać. Problem polega na tym, że nigdy nie wiem, kiedy się pojawi - przyjeżdża o najróżniejszych godzinach dnia i nocy i trąbi, co jest dla mnie sygnałem, że mam wyjść. Jeżeli nie usłyszę klaksonu i nie zareaguję natychmiast, odjeżdża, a ja nie mam nic do jedzenia. Taki prosty układ. Jeżeli nie zdążę i Rob mi ucieknie, wrzeszczy na mnie, kiedy się spotykamy następnym razem. Tak więc w rezultacie moje życie sprowadza się do tego, że siedzę godzinami, wpatrując się w drogę i nasłuchując uważnie, żeby tylko go nie przegapić.

Anna Jones obserwowwała swoją dziwną, nową lokatorkę, o której tak niewiele wiedziała. Przypomniało się jej popołudnie, kiedy Sarah pojawiła się na progu pensjonatu z torbą podróżną i szczeniakiem w rękach, prosząc o pokój na jedną noc. Powiedziała, że nazajutrz ma się wprowadzić do nowego mieszkania. Następnego dnia zwolniła pokój, ale po paru godzinach wróciła, mówiąc, że jej mieszkanie jeszcze nie jest gotowe. Zapłaciła za drugą noc.

Dwie noce zmieniły się w kilka tygodni i Sarah ciągle mieszkała u Anny jako niemalże stała rezydentka, w przeciwieństwie do reszty klienteli, której większość stanowili mężczyźni często zmieniający pracę i miejsce zamieszkania.

Sarah ładnie się wysławiała, była sympatyczna i grzeczna; wydawała się po prostu miłą dziewczyną, wykształconą, z dobrego domu. Anna poznała po akcencie, że jej lokatorka nie pochodzi z tych stron, ale nie miała pojęcia, dlaczego przebywa w Sheffield.

Właścicielka pensjonatu, kobieta pod pięćdziesiątkę o matczynym sercu, zwykła była nazywać rzeczy po imieniu i lubiła rozmawiać ze swoimi gośćmi. Jednakże przez czternaście lat prowadzenia hotelu nigdy nie spotkała nikogo tak niezwyklego jak Sarah Smith. Rozmowy o życiu prywatnym w ogóle nie wchodziły w rachubę; Sarah niewiele mówiła o rodzinie, wspomniała jedynie, że nie utrzymuje z nią kontaktu. W kuchni kobiety opowiadały sobie historie

o koniach i ich wspólnej miłości: jeździectwie. Anna miała własnego konia, którego trzymała w stajni mieszczącej się około trzech kilometrów od pensjonatu. Kiedy któregoś dnia zaproponowała, żeby razem pojechały do stajni, Sarah odmówiła, dodając: „Nigdy nie wiem, kiedy po mnie przyjadą”.

Anna domyślała się, że trudna sytuacja jej lokatorki miała coś wspólnego z odwiedzającym ją tajemniczym mężczyzną i że to z jego powodu dziewczyna żyła w swoim własnym świecie, często tkwiąc całymi tygodniami w domu. Wychodziła tylko wtedy, kiedy nadjeżdżał samochód i rozlegał się klakson. Sarah chwyciła wówczas w nerwowym pośpiechu płaszcz i pędem wybiegała z domu. Na ogół wracała po paru godzinach, ale zdarzało się, że spędzała noc gdzie indziej i przyjeżdżała do pensjonatu dopiero następnego dnia. W takich sytuacjach dzwoniła, żeby uspokoić Annę, mówiła, że wszystko jest w porządku i nie ma powodu do zmartwienia. Kiedy wracała, przynosiła czasami ze sobą torbę z jedzeniem.

Annę zadziwiła oszczędność Sarah. Ta młoda kobieta nigdy nie kupowała sobie ubrań, w przeciwieństwie do córek Anny, które żyły dla sobotnich zakupów. Wydawało się też, że racjonuje żywność, ograniczając się do jednego skromnego posiłku wieczorem. Traciła na wadze i dla pani Jones bardzo szybko stało się jasne, że biedna dziewczyna nie ma pieniędzy.

Sarah na ogół trzymała się z dala od innych, siedząc godzinami w swoim pokoju, szyjąc lub cierpliwie dopasowując do siebie kawałki drewna będące częścią większej układanki. Były to raczej staroświeckie sposoby spędzania wolnego czasu, niemające nic wspólnego z zainteresowaniami współczesnej kobiety. Najstarsza córka Anny miała mniej więcej tyle samo lat co Sarah, a jakże zupełnie nie były one do siebie podobne.

Anna była przyzwyczajona do młodych ludzi, którzy wiedli bogate życie towarzyskie, chodzili do pubów, na tańce. Jednak Sarah nic takiego nie robiła, a poza tym najwyraźniej nie miała żadnych przyjaciół.

Wszystko to było bardzo dziwne, a z drugiej strony wydawało się, że dziewczyna prowadzi taki, a nie inny styl życia z własnego wyboru. Właścicielce pensjonatu nasunęło się tylko jedno przypuszczenie, które miało jakikolwiek sens: Sarah musi mieć romans z zonatym mężczyzną; tajemniczy osobnik z samochodu musi być jej

kochankiem. Anna nie potrafiła sobie inaczej wytłumaczyć tak dziwnego zachowania.

Rozmawiała kilkakrotnie przez telefon z mężczyzną z samochodu, ale zawsze bardzo krótko. Chociaż wydawał się człowiekiem kulturalnym, był oschły i ani razu się nie przedstawił. „Czy jest Sarah? Czy może jej pani powiedzieć, że czekam na zewnątrz?”. Anna próbowała go dojrzeć przez firankę, ale samochód stał w bocznej uliczce zasłonięty wysokim parkanem.

Z rozmów ze swą młodą lokatorką pani Jones wywnioskowała, że ma ona kochającą rodzinę, ale z jakiegoś powodu najbliżsi nie akceptują mężczyzny, z którym się spotyka. Pomyślała sobie, że Sarah najprawdopodobniej czeka, aż jej kochanek odejdzie od żony; dopiero wtedy będzie go mogła przedstawić rodzicom i wreszcie wszystko się dobrze ułoży.

Dziewczyna nie wyglądała na osobę będącą w poważnych kłopotach i z pewnością była niezależna, umiała sobie sama radzić i nie potrzebowała niczyjej pomocy, tak więc Anna doszła do przekonania, że cała ta dziwna historia jest wynikiem wyboru Sarah, która postanowiła zachować w tej sprawie dyskrecję. A tak w ogóle to właścicielka pensjonatu nie lubiła się wytrącać w nie swoje sprawy.

Ale jednak było to dziwne, że Sarah nigdy nie dostawała listów czy kartek od rodziny lub przyjaciół, że nikt nigdy do niej nie telefnował. W rzeczy samej, jej jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym wydawał się mężczyzna z samochodu.

SOBOTA, 15 SIERPNI

Potężny wybuch samochodu-pułapki w Omagh w hrabstwie Tyrone zabija dwadzieścia dziewięć osób i rani kolejne dziesiątki. To najtragiczniejszy zamach w Irlandii Północnej od początku konfliktu. Jest dziełem dysydenckiego skrzydła IRA.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Spadek

SARAH, SIERPIEŃ 1998

Odebrałam z domu wynajętego w Kettering książeczkę bankową dającą mi dostęp do rachunku wspólnego. Saldo zostało podzielone na dwie części, mój udział wynosi nieco ponad 44 000 funtów.

Rob każe mi wszystko przetransferować na konto policyjne, tak więc przez następne kilka tygodni jestem wożona po całym kraju, od bankomatu do bankomatu. Podejmuję całe 44 000 funtów i przekazuję mu gotówkę.

Mam się zobaczyć z matką, po raz pierwszy od czterech lat. Rob obiecał, że będę mogła z nią spędzić cały dzień. Jestem pełna niepokoju. Tak wiele zostało powiedziane i tak wiele się wydarzyło, że nie sądzę, żebym tak naprawdę mogła liczyć na wyrozumiałość.

Miejsce spotkania zostało już kilkakrotnie zmienione. Ostatecznie Rob zdecydował, że możemy się zobaczyć w pubie w Danbury koło Colchester w hrabstwie Essex. Stanowczo twierdzi, że ma to być spotkanie tylko z mamą. Jeżeli pojawi się jakiegokolwiek podejrzenie, że gdzieś w pobliżu znajduje się mój ojciec lub brat, wszystko zostanie odwołane.

W DRODZE DO DANBURY, WRZESIEŃ 1998

- Nie tak szybko, to chyba będzie ten zakręt. - Guy pokazał ręką wiejską drogę. Peter siedzący za kierownicą Land Rovera wolno i spokojnie zbliżał się do miejsca spotkania.

- Jill, zadzwoń do mnie, jeżeli wyczujesz jakikolwiek problem - powiedział Peter.

- Dam sobie radę, naprawdę - zapewniła Jill.

- Będziemy w okolicy. - Peter miał ponurą minę, kiedy żona, zamknąwszy drzwi samochodu, ruszyła w kierunku ogródka pubu Bell Inn, gdzie miało się odbyć spotkanie zaplanowane na godzinę dwunastą w południe.

SARAH

Jest wpół do piątej i dopiero teraz dojeżdżam do pubu. Zastanawiam się, czy mama ciągle tam jeszcze jest. - Masz dokładnie godzinę, a potem musisz wrócić - oznajmia Rob ze zjadliwym uśmiechem.

- Mówiłeś, że będę mogła z nią spędzić cały dzień - protestuję, tracąc cały zapal.

- Samochód, który prowadzisz, jest pożyczony z pracy i musi być oddany z powrotem do wpół do szóstej - odpowiada stanowczo.

Po czterech latach mam tylko godzinę na spotkanie z mamą. Jestem załamana.

Każę mi zaparkować w niewidocznym miejscu, zjeżdżam więc w boczną dróżkę, kawałek drogi od pubu. Tyzer wyskakuje z samochodu i dalej idziemy piechotą.

Na widok mamy siedzącej w ogródku, popadam w zakłopotanie. Nie wiem, co robić. Żeby sobie poradzić z zadaniem, zamknęłam się w sobie, broniąc dostępu uczuciom i udało mi się to do tego stopnia, że odnoszę wrażenie, jakby dzieliła nas przepaść, której nie da się zasypać. Jest jeszcze inna, bardziej przepastna otchłań: utworzona przez moje dotychczasowe kłamstwa, a także przez te, którymi mam mamę uraczyć dzisiaj. Mimowolnie do oczu cisną mi się łzy.

- Niech no ci się przyjrzę, moja najdroższa Sarah. Tak nam cię brakuje - mówi mama chrypliwym głosem. W jej oczach pełnych łez maluje się bezdenny smutek.

- To dla ciebie ten szczeniak! - Staram się, aby słowa brzmiały radośnie. - Wiem, jak bardzo tęsknisz za Houdim. To suczka, nazywa się Tyzer.

Jill spogląda w dół na wierzący się futrzany kłębek. - Cześć, Tyzer - zwraca się do pieska, pochyla się, głaszcze go po łebku.

Siedzę na zielonym, plastikowym krześle i sącę cydr. Mama nie zapomniła, że był to zawsze mój ulubiony napój. Patrzą, nic nie widząc, na rodzinne zdjęcia i listy, które ze sobą przywiozła i słucham opowiadań, nic nie słysząc, zupełnie jakby oddzielała nas szyba, o tym, kto się ożenił, kto umarł, kto się urodził. Nie mogę pozwolić, żeby te fragmenty mojego dawnego życia stały się namacalne, byłoby to zbyt przygnębiające. Są częścią przeszłości, z którą mnie obecnie nic nie łączy i którą będę mogła odzyskać dopiero, jak się to wszystko skończy. Wbrew mojej woli łzy spływają mi po policzkach.

Kiedy przychodzi moja kolej na opowiadania, powtarzam w kółko kłamstwa, którymi Freegard kazał mi dziś nakarmić mamę.

- Mam nową sympatię, mammo.

- To wspaniale, skarbie.

- I mam samochód. Wszystko świetnie mi idzie. Prowadzę restaurację. Nazywa się Grove. Jej właścicielką jest siostra mojego chłopaka. Mam wielkie plany, mammo. Grove cieszy się dużym powodzeniem, a sądzę, że mogę ją doprowadzić do jeszcze większych sukcesów. Ale chciałabym się do tych sukcesów dołożyć. Tak sobie wymyśliłam, że kupię 49% udziałów w firmie. - Fikcja leje się strumieniem.

- I wiesz, co jeszcze? - dodaję cała szczęśliwa, to ostatni, pseudo triumfalny akt mojego przedstawienia. - Chcę kupić dom.

Na twarzy mamy pojawia się przez moment wyraz radości i nadziei, a ja czuję się okropnie. Nie ma żadnego chłopaka, nie ma restauracji, nie ma domu. Obraz mojego życia, który przedstawiam, jest jednym wielkim wymysłem, ale tak daleko już doszłam w programie ochrony świadków, że nie ma mowy o wycofaniu się. Tak więc kłamię dalej.

- Tak, pięćdziesiąt osiem tysięcy funtów. Przeglądałam ostatnio wzorniki kolorów. Myślę, że pomaluję sypialnię na liliowo.

- To wspaniale. A czy moglibyśmy przyjechać i obejrzeć ten twój dom? - pyta mama radośnie.

Nic nie mówię. Oczywiście, że nie mogą, nie ma żadnego domu, ale tego nie wolno mi powiedzieć.

Mama sięga do torebki po swój mały aparat fotograficzny. Siedząc, robi mi zdjęcie z Tyzer. Udaje mi się przywołać na usta szeroki uśmiech, ale wewnątrz umieram z bólu i wstydu. Mamie chodzi tylko o to, żeby doprowadzić do ugody, ale ja wiem, że cel tego spotkania jest inny: dobrać się do 70 000 funtów, które w swoim testamencie przeznaczyła dla mnie babka ze strony ojca. Rob mówi, że jeżeli uda mi się dostać ten spadek w swoje ręce, będę już bliska osiągnięcia docelowej kwoty, a co za tym idzie, nowej tożsamości. Będę w drodze do domu.

Szukam słów i odchrząkuję...

NETHER HALE

- Nie wierzę w ani jedno słowo! - zawołał Peter, zbulwersowany ponownymi żądaniami finansowymi córki.

- A ja uważam, że tym razem to są autentyczne potrzeby - powiedziała Jill, broniąc Sarah. - Myślę, że naprawdę kupuje dom. Była w dużo lepszym nastroju niż wtedy, kiedy się z nią widzieliśmy ostatnim razem w tym pubie w Sheffield, nie była taka spięta.

Każdy na swój sposób radzi sobie ze zmartwieniami. Jill Smith od wyjazdu córki starała się być cały czas zajęta. Była członkiem zarządu szkoły podstawowej prowadzonej przez miejscowy kościół anglikański, przewodniczącą instytucji dobroczynnej RABI na hrabstwo Kent oraz administratorką kościoła. Jednak pomimo całej odpowiedzialności związanej z pełnieniem tych funkcji, ciągle odczuwała przeraźliwą pustkę w sercu.

Ze wszystkich dzieci zawsze najlepiej rozumiała się z Sarah. Razem chodziły na pokazy jazdy konnej, miały wiele wspólnych zainteresowań. Jill ciągle zadawała sobie te same pytania: dlaczego stało się to, co się stało, gdzie u diabła Peter i ona popełnili błąd w wychowaniu córki?

Wiedziała, że Peter nie dopuszczał do siebie myśli, że Sarah odeszła. Radził sobie z problemami, koncentrując się na pracy na farmie. Był szczęśliwy, kiedy telefon milczał, bo to oznaczało spokój. Jill wiedziała, że obecna reakcja męża wynika z chęci chronienia jej, osłaniania przez żądaniami finansowymi Sarah mogącymi

każdego przyprawić o zawrót głowy.

Potrzeba dotarcia do córki wynikała w wypadku Jill z instynktu macierzyńskiego, była niezależna od jej woli. Jill uparcie próbowała w jakiś sposób nawiązać kontakt z Sarah, błagając ją, żeby podała czy to swój numer telefonu, czy adres. Żeby nie rozmyślać o cierpieniu, pisała listy do córki na komputerze, tu usuwając jakieś słowo, tam próbując w lepszy sposób wyrazić to, co miała do powiedzenia, doprowadzając się jednocześnie do obłędu na myśl o tym, jak Sarah zrozumie te listy, jeżeli w ogóle je kiedykolwiek otrzyma. Ale ta jednostronna korespondencja przynajmniej dawała Jill poczucie, że stara się dotrzeć do Sarah, była małym pocieszeniem, próbą wypełnienia wewnętrznej pustki.

W obecnej sytuacji Jill chciała zapewnić córce dostęp do spadku, tak żeby mogła jak najlepiej wykorzystać nadarzające się okazje, a więc kupić dom, który się jej podoba oraz udziały w firmie, w której pracuje.

- Wierzę jej, Peter. Muszę jej wierzyć.

Peter westchnął głęboko, spoglądając na Guya, ciekawy jego opinii. - Było już tyle kłamstw. Dlaczego niby to, co teraz mówi, miałyby być prawdą? - zapytał z powątpiewaniem. - Dopóki nie znajdzie się jakiś dowód zakupu domu i coś, co by potwierdziło istnienie firmy, nie sądzę, że powinno się jej udostępnić jakiegokolwiek pieniądze.

- Kiedy tylko dostanie to, czego chce, znów słuch po niej zaginie - powiedział Guy z pewnością w głosie.

- Jestem przekonana, że Sarah będzie z nami w kontakcie. Sądzę, że tym razem mówi prawdę - nalegała Jill.

SARAH, POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1998

Kiedy Rob ma coś do powiedzenia, nigdy nie robi tego na ulicy lub w miejscu ruchliwym. Udajemy się wtedy na jakiś miejski skwerek lub do parku. Wtapiamy się w tło obok matek z wózkami spacerowymi, ludzi z psami, rolkarzy i rowerzystów. Nikt na nas nie zwraca uwagi, niczym się nie wyróżniamy.

Jesteśmy dzisiaj w rejonie Manchesteru. Po niebie płyną strzępiaste obłoki, a plac zabaw rozbrzmiewa wesołym gwarem. Paskudny nastrój Roba kłóci się z ciepłą, senną atmosferą tego dnia.

- Musisz zdobyć te pieniądze. Moi szefowie mają cię powyżej uszu. Ja też chcę to zakończyć. - Jego górna warga wykrzywia się, Rob patrzy na mnie, jakbym była co najwyżej grudką błota, która się przyczepiła do jego buta.

- Chcę dostać nowe zadanie, które nie będzie miało nic wspólnego ani z tobą, ani z twoją cholerną rodziną. - Przyspiesza kroku. - Koniec końców to przecież twoje pieniądze, Sarah. Twoi rodzice nie mają prawa ich zatrzymywać. Co z tego, że zostały przeznaczone na twoją przyszłość. Teraz jest twoja przyszłość. - Wyrzuca ręce w górę w wymownym geście. - Dom został już zakupiony, masz samochód. Możesz już nawet wybierać kolorystykę do tego swojego domu. No dalej, zacznij planować.

Oczami wyobraźni widzę jakiś bliżej nieokreślony dom i siebie z pędzlem w ręku. Obraz jest tak realny, że z całej siły próbuję go zatrzymać. Tym razem będzie inaczej, musi być inaczej.

- W czym problem, Sarah? Po prostu zdobądź łaskawie te cholerne pieniądze - wrzeszczy.

Cztery tygodnie później Jill spotkała się z córką w Danbury i wbrew rozsądkowi państwo Smith niechętnie, ale w końcu zgodzili się udostępnić Sarah jej spadek w wysokości 70 000 funtów. Jako że od ponownego nawiązania kontaktu z Sarah Jill przekazała jej ponad 23 000 funtów w kilku różnych ratach, obecnie zatrzymała tę kwotę w charakterze spłaty, a resztę czyli 47 000 funtów przelała na konto Sarah w banku Woolwich. Trzy dni później, 26 października, Sarah podzieliła tę sumę na dwie części i umieściła na dwóch rachunkach, po czym w ciągu kilku kolejnych dni podjęła pieniądze w gotówce.

- Przelicz - zażądał Freegard, chcąc się upewnić, że Sarah nie zatrzymała niczego dla siebie. - A teraz mi to oddaj. - Sarah przekazała pieniądze i swoją przyszłość Freegardowi, pewna, że teraz wszystko rzeczywiście zmieni się na lepsze.

- No więc, kiedy będę się mogła wprowadzić do nowego domu?

- Twoi rodzice zatrzymali część pieniędzy - odburknął Freegard. - Jeszcze nie doszłaś do celu. Dopóki nie osiągniesz określonej kwoty, nie wrócisz do normalnego życia.

Sarah czuła, jak siły ją opuszczają. Budowla, którą wzniosła w swej wyobraźni, rozleciała się w drobny mak, nadzieja przysła jak bańka mydlana.

- Oddaj mi książeczkę bankową, kartę do bankomatu i paszport. Nie możesz mieć nic, co by umożliwiło zidentyfikowanie cię.

Freegard odwiedził 29 października salon samochodowy Gilfers Listerdale w Rotherham, gdzie kupił złotego volkswagena Golfa GTI, numer rejestracyjny SI MHF w cenie nieco ponad 24 500 funtów. Zapłacił w pięciu ratach, gotówką.

SARAH, BOŻE NARODZENIE 1998

Wokół okien jadalni błyskają kolorowe światełka, w pokoju stoi ubrana przez Annę choinka, pełno na niej najróżniejszych świecidełek, nie zabrakło aniola. Jestem jedynym gościem, który pozostał na święta w pensjonacie i dotkliwie odczuwam swoją samotność. Wyglądam z żalością przez okno, przyglądając się przejeżdżającym samochodom. Wpada Anna z kieliszkiem sherry.

- Może byś z nami zjadła obiad bożonarodzeniowy? - Zaprosiła kilkoro swych przyjaciół na świąteczny posiłek. Jakże bym chciała przyjąć zaproszenie, ale nie potrafię się zdobyć na to, żeby się wprowadzić w świąteczny nastrój i zasiąść do stołu, kiedy wiem, że nie mogę pojechać do domu. To byłoby nie do zniesienia. Myślę o Nether Hale, gdzie pewnie właśnie przygotowują dla mnie miejsce przy stole, zastanawiając się, gdzie jestem. Co roku w Boże Narodzenie ustawia się dodatkowe nakrycie dla niespodziewanego gościa, licząc na to, że może ktoś się pojawi, w tym roku będzie to nakrycie dla mnie.

- Bardzo bym chciała, ale nie mogę - odpowiadam Annie, starając się ukryć ból.

Rzuca mi znaczące spojrzenie. - Jak sobie życzysz, skarbie - mówi i lekkim krokiem wraca do kuchni, nucąc kolędę „Dobry Król Wenceslas”.

Kiedy nadchodzą goście, uciekam do swojego pokoju na poddaszu, ale zapach pieczonego indyka dolatuje po schodach aż do mnie, słyszę wybuchy śmiechu, wyczuwam świąteczny nastrój. Widzę przed sobą niekończący się szmat czasu. Mijają godziny, zaświecają się lampy uliczne. Są takie momenty, kiedy wydaje mi się, że wariuję, nie wiedząc, jak sobie poradzić z sytuacją, w której się znalazłam. Wszelkie myśli o rodzinie i wspomnienia o domu musiałam zepchnąć do najodleglejszych zakamarków mojego umysłu i siłą zatrzaskać za nimi drzwi. Myślenie o tym jest zbyt bolesne. Żyję jak więzień, tyle że w moim więzieniu nie ma krat; wszystko jest poddane reżimowi - kiedy chodzę spać, gdzie chodzę spać, co jem, co robię, wszystko odbywa się zgodnie z instrukcją. Więzienna cela przemieszcza się razem ze mną; idzie tam, gdzie ja idę i nie mogę się jej pozbyć. Wspomnienia nie są żadną ucieczką, pamiątki żadnym pocieszeniem. Zwijam się w kłębek na swoim łóżku i zasypiam, szlochając.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Do ostatniej kropli

NETHER HALE, MARZEC 1999

Jill Smith trzymała w ręku list od Sarah, w którym córka informowała rodziców, że chce sprzedać wszystkie swoje akcje, tak więc prosi o natychmiastowe ich przekazanie na jej adres. Poza spadkiem w wysokości 70 000 funtów Sarah była posiadaczką papierów wartościowych, ponieważ Peter i Jill z myślą o dzieciach zainwestowali w akcje swoje oszczędności i darowizny.

Sarah jeszcze raz opowiedziała w liście historyjkę o planach zakupienia udziałów w restauracji Grove.

Jill była u kresu wytrzymałości, zirytowana i zestresowana ustawicznymi prośbami o pieniądze. Z ciężkim sercem przekonała zarządców funduszu powierniczego, żeby przekazali jej wszystkie papiery, które następnie wysłała pocztą do Sarah. Pogrążając się w niemym żalu, pomyślała, że może wreszcie doczeka się chwili spokoju.

SARAH, STOCKPORT

Sekretarka wprowadza mnie do biura notariusza i prosi, żebym usiadła. Przyglądam się wiszącym na ścianach certyfikatom i dyplomom, zaświadczającym o kwalifikacjach zawodowych prawnika. Czuję napięcie w ramionach i plecach, jestem gotowa w każdej chwili zerwać się jak na sprężynie. Na biurku leży dokumentacja związana z moim akcjami i obligacjami zainwestowanymi w funduszu

powierniczym. Notariusz przesuwa stos papierów w moją stronę, obserwując mnie znad okularów w rogowej oprawie. Kiedy składam podpis na dole strony, mam wrażenie, jakby płynął on swobodnie po papierze, niczym ogon latawca unoszący się na wietrze coraz wyżej i coraz dalej.

Sprzedaję akcje i uzyskane pieniądze na łączną sumę 47 286 funtów wpłacam na konto w banku Woolwich i jeszcze dwa inne konta, które Rob kazał mi założyć. W ciągu kolejnych tygodni podejmuję całą tę kwotę w gotówce w Manchesterze, Leeds i Kettering. Rozmyślam nad tym, jak dużo pieniędzy przekazałam Robowi w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.

11 marca 1998	3 000 funtów	pożyczone od Jill i Petera
30 czerwca 1998	5 000 funtów	pożyczone od Jill i Petera
10 lipca 1998	44 145 funtów	moja część z rachunku wspólnego
11 września 1998	7 400 funtów	pożyczone od Jill i Petera
8 października 1998	7 600 funtów	pożyczone od Jill i Petera
26 października 1998	47 000 funtów	spadek
19 marca 1999	47 286 funtów	wartość akcji w chwili sprzedaży

W sumie jest to 161 431 funtów. Mam głęboką nadzieję, że wreszcie zbliżam się do celu.

Okazuje się, że to nadzieja płonna. - Musisz zażądać, żeby ci oddali resztę twojego spadku - nalega Rob.

- O co ci chodzi? - pytam z niedowierzaniem.

- Chodzi mi o to, że ciągle nie dostałaś wszystkiego, co do ciebie należy. Jeszcze coś tam jest i musisz to wyciągnąć.

Po raz kolejny dzwonię do mamy z tą samą okropną prośbą i w końcu w sierpniu zgadza się ona dokonać jeszcze jednej płatności na kwotę 27 500 funtów. Oznacza to, że w ciągu osiemnastu miesięcy przekazałam Robowi 188 931 funtów.

Wkrótce po kapitulacji państwa Smith Robert Freegard zamówił w King's Lynn kolejne BMW 328i, czterodrzwiowe, w kolorze fiołkowym w cenie 27 500 funtów. Zażyczył sobie dodatkowego wyposażenia na kwotę 12 000 funtów, tak że łącznie z VAT-em samochód kosztował 42 000 funtów.

NETHER HALE, LISTOPAD 1999

W hrabstwie Kent sytuacja przedstawiała się ponuro. Pieniądze, które farmerzy uzyskiwali ze sprzedaży swych produktów do wielkich sieci supermarketów, nie pokrywały już nawet kosztów uprawy. Oznaczało to, że właściciele gospodarstw rolnych, między innymi państwo Smith, znaleźli się pod olbrzymią presją finansową. Peter i Jill tracili pięć pensów na każdym kalafiorze i żeby oddalić widmo bankructwa, musieli podjąć drastyczne działania.

- Będziemy zmuszeni sprzedać osiemset akrów ziemi i zwolnić wszystkich trzydziestu pięciu pracowników - oznajmił ze smutkiem Peter. Jill spoglądała w dal. Wprost nie mogła uwierzyć, że po tylu wspólnych latach trzeba będzie odprawić ludzi, z których część spędziła na ich farmie całe zawodowe życie.

Czekają ich strasznie przykre zadanie. Peter i Jill z największym trudem zebrali się na odwagę, aby przekazać złe wiadomości swym pracownikom. Głucha cisza, która zapadła po tym oświadczeniu, została zakłócona przenikliwym dźwiękiem telefonu. Państwo Smith wymienili spojrzenia.

Dzwoniła Sarah. Twierdziła, że nie może zrealizować czeku, który rodzice przesłali jej tytułem zwrotu pieniędzy za nadpłacony podatek; chciała zamiast niego otrzymać gotówkę.

- Chyba nie mogłaś wybrać gorszego momentu, Sarah. Czy ty nie masz żadnego względu na nasze własne kłopoty? Nie zwracaj nam teraz głowy.

- Odeślę wam ten czek.

Peter rzucił słuchawkę.

Ponownie rozległ się dzwonek.

Sarah domagała się 2000 funtów gotówką natychmiast. Jill, zgnębiona smutnymi wydarzeniami dnia, była na skraju załamania nerwowego.

Telefon zadzwonił jeszcze trzy razy. Jill nie była już w stanie dłużej tego wytrzymać, nerwy odmówiły jej posłuszeństwa.

Peter miał dość. - Zapłaćmy te dwa tysiące i skończmy z tym raz na zawsze - krzyknął z wściekłością.

Naskoczył na córkę. - Od teraz sama się zajmuj swoim losem, nie próbuj nas na nic więcej naciągnąć, nic więcej nie mów, o nic więcej nie proś, dość tego! - Peter ze złością rzucił słuchawkę na widełki i wypadł jak burza z pokoju.

Kilka dni po wysłaniu pieniędzy Peter i Jill z przerażeniem odkryli, że czek, o którym mówiła Sarah, również został zrealizowany.

SARAH, TEGO SAMEGO DNIA

Moja rodzina już nigdy nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Jestem tego pewna. Oszukiwałam ludzi, na których mi najbardziej zależy, chcąc im w ten sposób zapewnić bezpieczeństwo, ale kłamiąc, spaliłam za sobą mosty. Nie mam gdzie iść. Nie mam domu ani pieniędzy, nie mam tożsamości, nie mam jedzenia ani perspektyw. Nie mam nikogo, do kogo bym się mogła zwrócić o pomoc. Nikomu nie mogę wytłumaczyć, co mi się przydarzyło, nikt by nie uwierzył.

Minęło już ponad sześć lat od dnia, kiedy zostawiłam uczelnię i udałam się w tę szczególną podróż. Przebyłam szmat drogi. Nie wiem tylko, czy to droga do wolności, czy też po prostu bardzo długi i bardzo wąski ślepy zaułek.

W każdym razie za daleko już zaszłam, żeby zawracać. Wszystko mi jedno, co się ze mną stanie; obchodzi mnie tylko bezpieczeństwo rodziny.

- Kiedy odzyskam swoje życie? - pytam Roba.
- Kiedy moi szefowie stwierdzą, że sprawa jest zakończona - odpowiada zjadliwie.

PENSJONAT PRZY PENNISTON ROAD, GRUDZIEŃ 1999

Anna Jones wyniosła z pokoju Sarah resztki jej skromnego dobytku. Była zawiedziona, że Sarah wyjechała bez pożegnania, bo Anna okazała jej tak dużo dobrej woli. Polubiła tę młodą kobietę pomimo jej dziwnego zachowania.

Na chwilę obecną Sarah była jej winna około 3 500 funtów: nie zapłaciła ani pensa tytułem wynajmu pokoju od zeszłego Bożego Narodzenia. Annie nie chodziło aż tak bardzo o pieniądze, miała po prostu nadzieję, że wszystko jest w porządku. Może w końcu jakoś ułożyły się sprawy z kochankiem Sarah i może wreszcie mogą być razem. Tylko w ten sposób Anna mogła sobie wytłumaczyć nagłe zniknięcie swojej lokatorki.

Robert Freegard zdołał już do tego momentu zgromadzić niemałą fortunę. Jednakże psychologowie, którzy próbują interpretować jego postępowanie, zgodnie uważają, że pieniądze nigdy nie były podstawowym motywem działań Freegarda, a raczej praktycznym efektem ubocznym. To, o co mu naprawdę chodziło, to status społeczny i władza. Prawdziwą przyjemność sprawiało mu kontrolowanie ludzi, ponieważ dawało mu to poczucie autentycznej władzy, a w jego opinii władza zapewniała status, o jakim marzył.

Freegard miał wiele cech właściwych socjopacie lub antyspołecznemu zaburzeniu osobowości, APD (z ang.: Antisocial Personality Disorder): całkowity brak poszanowania praw innych ludzi oraz nieprzestrzeganie zasad życia społecznego, pomimo świadomości różnicy między dobrem a złem; niemożność zrozumienia drugiego człowieka; nieprzyjazny i lekceważący stosunek do płci przeciwnej; wysokie, wręcz wygórowane mniemanie o sobie; wpadanie w złość bez szczególnego powodu. Na pierwszy rzut oka socjopata może się wydawać czarujący, ale w głębi duszy jest często bezwzględny, pozbawiony uczuć i pełen pogardy dla doznań innych. Wszystko, co go otacza, czy to ludzie, czy rzeczy, jest jedynie instrumentem służącym do zaspokojenia jego potrzeb i pragnień. Co ciekawe, uważa się, że aż 70% socjopatów wychowywało się bez ojca.

Wiele z tych cech posiadają również przywódcy sekt manipulujący ludzkimi umysłami, o czym wcześniej wspomniano, rozpatrując zachowanie Freegarda. Pragną, żeby im schlebiano, nie potrafią jednak ani kochać, ani być kochanymi.

Testują przekonania swoich wyznawców i ich oddanie, wprowadzając dziwaczne przepisy i wzorce zachowań oraz kuriozalne kary; liczą na to, że ich zwolennicy będą się czuli winni, jeżeli wykażą słabość. Na porządku dziennym są u nich wybuchy gniewu i wymierzanie kar cielesnych, podobnie jak rygorystyczne kontrolowanie życia seksualnego członków sekt - przywódcy ustanawiają zasady określające, z kim wolno się spotykać, żądają zrywania związków i wymuszają rozwody - podczas gdy sami nie mają oporów przed gwałtem i angażują się w perwersyjne akty seksualne.

W wypadku Freegarda cel zawsze uświęcał środki - nic nie miało prawa stanąć na drodze do jego osiągnięcia. I tak udoskonalając swe przestępstwo, Freegard stworzył ciągle się rozrastającą konstrukcję przypominającą odwróconą piramidę. Wykorzystując pieniądze wyłudzone od Sarah i Johna, mógł sobie pozwolić na styl życia, który ułatwiał mu zwabianie kolejnych ofiar. Im był bogatszy, tym lepiej mógł grać rolę tajnego agenta, a dzięki temu stawał się bardziej wiarygodny w oczach swych ofiar. Im łatwiej było mu kupować koszule szyte na miarę, drogie obuwie, luksusowe samochody czy zegarki marki Rolex, tym bardziej mógł ubarwić swą szpiegowską opowieść, a co za tym idzie, osiągnąć cel. Sukces rodzi sukces.

Zdobywszy określony status, Freegard zabrał się do rozszerzenia sfery swych wpływów. Im większą rzeszę ludzi kontrolował, im więcej pionków wprowadzał do gry, tym bardziej spektakularne stawały się jego manipulacje. To wszystko dawało mu poczucie władzy.

Jego nowym celem stały się kobiety po trzydziestce, a nawet po czterdziestce, inteligentne i podatne na wdzięki czarującego młodego mężczyzny, który najwyraźniej odniósł w życiu sukces i który im dorównywał pod względem statusu społecznego.

W miarę jak rosło jego „zaplecze”, Freegard stawał się coraz bardziej okrutny. Położenie Sarah musiało się w tej sytuacji zasadniczo pogorszyć.

Część szósta

**INTRYGGA ZATACZA CO-
RAZ SZERSZE KREGI**
grudzień 1999 - luty 2003

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nocny portier i dealer samochodowy

SARAH, POCZĄTEK MARCA 2000

Hotel Royal Berkshire jest usytuowany w wiejskiej rezydencji niedaleko Ascot. W holu pachnie mydłem i suchymi liśćmi. Pracuję tu jako nocny portier, moi pracodawcy i koledzy znają mnie pod nazwiskiem Maria Hendy.

Mam pokój w części hotelu przeznaczonej dla personelu, w oficynie na tyłach budynku głównego. Rob ma zapasowy klucz i nocą, kiedy ja pracuję, śpi w moim łóżku. Zostałam poinstruowana, że jeżeli ktokolwiek zapytałby, dlaczego ciągle się tu kręci, mam powiedzieć, że jest moim narzeczonym i że na imię mu James. Rob utrzymuje, że pracuje obecnie w salonie samochodowym w zachodnim Londynie, wykonując tam tajne zadanie.

Nie zawsze jednak udaje mi się dostać do swego łóżka po zakończeniu zmiany. Czasami, kiedy przychodzę do pokoju, okazuje się, że Rob zamknął drzwi od środka. Pukam, a on wychyla głowę tylko po to, żeby mi oznajmić, że jest u niego kolega lub szef i że mam wrócić za parę godzin.

Kiedy mam wolne, Rob zajmuje łóżko, a ja muszę się zadowolić podłogą; nie można powiedzieć, żeby kiedykolwiek był dzentelmenem. W niektórych pokojach hotelowych zmieniane jest wyposażenie i dzięki temu udało mi się zdobyć stare podglówki, z których zrobiłam sobie materac. Lepsze to niż twarda podłoga.

Podobnie jak przedtem, na żądanie Roba, używam imienia i nazwiska Marii oraz jej numeru w systemie ubezpieczeń społecznych. Moja pensja, obecnie około 800 funtów miesięcznie, jest wpłacana

na jej konto w banku HSBC. Według wyjaśnień Roba pieniądze te zostaną podjęte w gotówce i przetransferowane na konto policyjne.

Dziś rano Robowi wilkiem z oczu patrzy. - Nie wierzę, że nie dostajesz żadnych napiwków - wrzeszczy. Prawdę mówiąc, na nocnej zmianie niewiele ich jest, ale te nieliczne drobne, które udało mi się zebrać, przechowuję między papierami, w szufladach, w miejscach, w które, jak sędzę, Rob nie będzie zaglądał. Postanowiłam, że muszę mieć parę groszy na rzeczy najniezbędniejsze.

- A niby jakim sposobem mam dostawać napiwki na nocnej zmianie? - próbuję go zwieść, usuwając się na bok.

- Musisz je wpłacić - warczy, wyciągając rękę po pieniądze. - Musisz dobić do celu.

Przysuwa się do mnie. Moja determinacja słabnie. Nie jestem dla niego żadnym przeciwnikiem, kiedy wpada w gniew. - Im dłużej tkwisz w tej sytuacji, tym dłużej również ja nie mogę się ruszyć. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo jestem z tego powodu wkurzony. - Słowa, które powinnam wypowiedzieć, żeby się mu przeciwstawić, więzną mi w gardle.

- Im szybciej dostaniesz tę swoją nową tożsamość, tym lepiej będzie dla nas obojga. - Znużona i zrezygnowana odnajduję małą kupkę monet i niczym pokutnik mający nadzieję na rozgrzeszenie wręczam je Robowi.

Kilka dni potem ktoś puka do moich drzwi. To Jules. Ponieważ żyjemy tu niemalże jak w zamkniętej komunie, dość dobrze poznałam swoich współpracowników. Ciągłe odbywają się jakieś spotkania towarzyskie, ale staram się zbytnio do nikogo nie zbliżyć, ponieważ obawiam się, że mogę zostać oderwana od nowych przyjaciół nagle, bez żadnego uprzedzenia. Powiedziałam wszystkim, że jestem zadłużona u lichwiarza i boję się, że może mnie on odnaleźć, i to dlatego nikt do mnie nie dzwoni: nikt nie wie, gdzie jestem. Kiedy niedawno podjęłam dodatkową pracę w pubie, wytłumaczyłam się, mówiąc, że próbuję spłacić dług. Oczywiście w rzeczywistości chodzi wyłącznie o to, żeby szybciej osiągnąć cel.

Chowam się pod tymi stosunkowo nieszkodliwymi kłamstwami jak pod kloszem i przeraża mnie myśl, że pewnego dnia wszystko to może pęknąć jak bańka mydlana. Tak więc żyję w permanentnym

niepokoję i na każde nowe wydarzenie reaguję nieufnie, pełna najgorszych przeczuć.

- Może byś zeszła do nas na dół, Mario. - Jules jest cała rozpromieniona, wierci się jak podekscytowane szczenię. - Na drinka do Alana. Nie bądź taka ponura! No już, idziemy.

Wkładam stary, znoszony sweter, zamykam pokój i schodzę na dół za Jules. Szybkim ruchem otwiera drzwi i moim oczom ukazuje się udekorowany stół, pośrodku którego stoi wymyślny śmietanowo-truskawkowy tort ze świeczkami. Pokój jest przystrojony balonami i różnokolorowymi serpentynami, a wszyscy moi hotelowi przyjaciele śmieją się serdecznie.

- Niespodzianka! - skandują.

Przez chwilę stoję kompletnie zaskoczona. Dziś nie są moje urodziny. Ani nie mam żadnej rocznicy. Co jest grane?

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Mario - chórem wołają moi koledzy. W tym momencie dociera do mnie, o co chodzi. Oczywiście, to urodziny prawdziwej Marii. Zapomniałam, że powiedziałam im o tym, kiedy zaczęłam tu pracować.

- Uwaga, wszyscy wznosimy toast za zdrowie Marii - ponagla Jules.

- Tak, tak, toast na cześć Marii! - krzyczą entuzjastycznie pracownicy hotelu i zaczynają śpiewać „Happy Birthday”.

Moja maska opada. Jestem do głębi poruszona życzliwością, do której nie nawykłam. Łzy spływają mi po twarzy. Zapomniałam, co to znaczy być kochaną.

HAMMERSMITH, MAJ 2000

W salonie samochodowym Normand Continental w Hammersmith w zachodnim Londynie Renata Kister, z pochodzenia Polka, otworzyła drzwi volkswagena Golfa i zajrzała do środka.

Była atrakcyjną blondynką przed trzydziestką. Samochody zawsze ją fascynowały; była niepoprawnym fanatykiem motoryzacji. Jednakże tym razem, mając przed sobą perspektywę kupna nowego

wozu, nie doznawała nawet najmniejszego dreszczyku emocji. Była w piątym miesiącu ciąży i odkąd porzucił ją ojciec jej nienarodzonego dziecka, mogła liczyć tylko na siebie; czuła się bezradna i ciągle jej się chciało płakać. Przyszła do salonu, ponieważ wiedziała, że kiedy urodzi się dziecko, potrzebne jej będzie niezawodne auto.

Pieniądże na samochód, około 8 000 funtów, zgodził się pożyczyć Renacie kuzyn, Dariusz Mazurek, który jej towarzyszył, kiedy wybierała samochód. Kątem oka widziała resztę salonu i ustawione w nim nowe modele, skrzące się niczym sople lodu w promieniach słońca.

- Jestem pewna, że będzie dobry - powiedziała do kuzyna, a w jej głosie czuć było entuzjazm porównywalny z entuzjazmem więźnia, którego czeka kolejny posiłek złożony z chleba i wody.

W tym momencie na horyzoncie pojawił się dealer, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Nie sposób było nie zauważyć, jak bardzo elegancko się prezentował. Wszystko, co miał na sobie, idealnie do siebie pasowało, łącznie z pięknymi spinkami do mankietów. Zapach płynu po goleniu dotarł do Renaty znacznie szybciej niż sam mężczyzna.

- W czym mogę pomóc? - zapytał miękko.

- Myślę o kupnie samochodu - powiedziała Renata znużonym głosem.

- Rozumiem, że będzie pani potrzebowała czegoś niezawodnego i bezpiecznego. - Dealer obdarzył ją znaczącym, pełnym zrozumienia uśmiechem. - Musi pani być bardzo szczęśliwa. - Mówiąc to, skinieniem głowy wskazał zauważalny brzuch Renaty. - Gratuluję. Ale szczęściarz z tego ojca.

Trafił w czuły punkt i Renacie łzy zakręciły się w oczach. - Szczerze mówiąc, jestem samotna - powiedziała, pociągając nosem. - Trochę to trudne.

- Już niedługo to wszystko ułożymy - zapewnił ją dealer.

Freegard dokonał ostatnio prawnej zmiany nazwiska. Wyciągnął rękę do Renaty. - A propos, nazywam się Robert Hendy-Freegard. Byłbym szczęśliwy, gdybym się mógł do czegoś przydać.

Wytarła oczy. Jakież to miły mężczyzna, umie podnieść człowieka na duchu, pomyślała, podpisując papiery dotyczące zakupu fabrycznie nowego Golfa 1.4.

Nie minęło zbyt wiele czasu i pomiędzy dealerem samochodowym i jego bezbronną klientką zawiązała się przyjaźń. Renata ciągle marzyła o ojcu swego nienarodzonego dziecka, ale z radością przyjmowała oznaki sympatii ze strony Freegarda, które wydawały się jak najbardziej prawdziwe.

Trzy miesiące po tym, jak się poznali, Robert Hendy-Freegard zaprosił ją do „domu”, do oficyny dla personelu w hotelu Royal Berkshire. Powiedział jej, że mieszka w hotelu na wsi, co Renacie skojarzyło się z eleganckim światem. Wyjawiał jej również, że w rzeczywistości nie jest wcale dealerem samochodowym, ale że został umieszczony w salonie Normand Continental w związku z wykonywaniem super tajnej misji polegającej na obserwowaniu pewnej osoby.

Renacie rzuciły się w oczy ściany pokoju w kształcie litery L pomalowane na intensywne kolory: zielonożółty i liliowy, pojedyncze łóżko przykryte kołdrą w tych samych barwach, biurko i szafa oraz przylegająca do pokoju mała łazienka. Wszystko to było dość prymitywne.

- Spodziewałabym się czegoś trochę bardziej, no, jakby to ująć, zbytowego - zauważyła żartobliwie.

- Nie wierz w to, co ci pokazują w filmach o Bondzie. - Freegard rozluźnił krawat. - No cóż, nie tak w rzeczywistości żyjemy.

Renata uśmiechnęła się nieśmiało i dalej lustrowała pokój. Nagle się cofnęła. Drzwi szafy były uchylone i w środku dostrzegła parę damskich butów. Wzięła jeden z nich do ręki. - To twoje? - zapytała nieco speszona.

Hendy-Freegard zaśmiał się. - Oczywiście, że nie. To buty koleżanki. Ona również tu urzęduje. Oboje działamy tajnie. Na szczęście ona pracuje w nocy, podczas gdy ja jestem zajęty w ciągu dnia. Dzielimy wszystko, co się tu znajduje. - Wskazał ręką łóżko.

- To również nie ma zbyt wiele wspólnego ze splendorem - powiedziała Renata, składając zalotnie usta pomalowane różową pomadką. Pogłaskała się po bardzo już wielkim brzuchu. - Nie ma mowy, żebym ja coś dzieliła - powiedziała rozciągając plecy, aby wygodniej rozłożyć ciężar.

- Wiesz przecież, że nigdy bym czegoś takiego nie zaproponował. Jestem dżentelmenem - powiedział Freegard, ujmując twarz Renaty w dłoń i składając na jej ustach szybki pocałunek.

Zdjął marynarkę i powiesił ją w szafie, po czym starannie wygładził ręką, tak żeby nie było najmniejszego zagniecenia.

- Jestem twoim rycerzem w błyszczącej zbroi. - Uśmiechnął się do niej i nie spiesząc się, zamknął drzwi na klucz.

SARAH

Naciskam klamkę swojego pokoju. Zamknięte. Głowa mi opada ze złości i zmęczenia. Jestem tak zmordowana, że nie mogę się wprost doczekać, kiedy się znajdę w łóżku.

Wydaje mi się, że słyszę głosy, więc pukam cichutko. Drzwi się otwierają.

- Jestem zajęty - mówi oschłym, chłodnym tonem. - Przyjdź za trzy godziny.

Po czym zamyka mi drzwi przed nosem.

ZACHODNI LONDYN, KWIECIEŃ 2001

Renata wsłuchiwała się w dźwięk wody leżącej z prysznica. Nigdy w życiu nie spotkała kogoś, kto by się tak długo szykował do wyjścia. Czasami rano siedział pod prysznicem półtorej godziny.

Różne drobiazgi związane z Freegardem leżały porozrzucane po jej londyńskim mieszkaniu. Wprowadził się kilka miesięcy temu, ale nigdy nie wiedziała, kiedy będzie w domu, a kiedy go nie będzie. Powiedział, że często musi wyjeżdżać, „służbowo”.

Zajrzała do łóżeczka, w którym spała jej malutka córeczka. Chociaż Renata żyła w przyjaźni z Freegardem, lubiła go mieć na oku. Pożyczyła mu już setki funtów, które, jak ją zapewniał, były przeznaczone na utrzymanie jego dzieci. Ponieważ wierzyła, że jest wspaniałym i kochającym ojcem, brała to za dobrą monetę, ale mimo wszystko chciała mieć pewność, że kiedyś odzyska pieniądze. Gromadzenie rzeczy Freegarda w należącem do niej mieszkaniu

dawało pewność, że go jeszcze zobaczy i będzie mogła odebrać to, co się jej należy.

Freegard wynurzył się z łazienki, susząc włosy ręcznikiem. Nagle zaczął śpiewać „Rio” Duran Duran.

- No nie, znowu te starocie - powiedziała zde gustowana Renata.

- O co ci chodzi, Ronnie? Chyba nie powiesz, że ci się to nie podoba? Nie masz za grosz gustu. - Cmoknął z niezadowoleniem. - Daj buzi.

Renata pozwoliła się pocałować. - Dziwię się, że jeszcze się nie rozpuściłeś, tyle czasu stojąc pod prysznicem.

- Wiesz, poważnie się nad czymś zastanawiałem - odpowiedział na serio.

- O la la, i co takiego Einstein wymyślił tym razem? - zażartowała Renata.

Freegard zaczął mówić powoli i dobitnie, jak matematyk prezentujący nowy, zaskakujący dowód. - Pojawiło się coś naprawdę dobrego. Jest ładny i szybki i jestem pewien, że ci się musi spodobać. Fakt, że jest trochę droższy, ale wierz mi, mogę wynegocjować naprawdę dobrą cenę.

W salonie samochodowym Renata nerwowo zaciskała rękę na portfelu. - Osiemnaście tysięcy funtów to mnóstwo pieniędzy.

- Nie namawiałbym cię na to, gdyby to naprawdę nie był świetny interes - zapewnił Freegard. - Nic lepszego nie znajdziesz, a prowadzić taki samochód to duża frajda.

Renata uśmiechnęła się blado, ale nie trzeba jej było długo przekonywać; uwielbiała szybkie samochody. Podpisała dokumenty i została właścicielką czarnego Golfa GTI 1.8. Jej kuzyn, Dariusz Mazurek, ponownie zgodził się sfinansować zakup.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Koniec krótkotrwałej idylli

SARAH, PAŹDZIERNIK 2001

W korytarzu oficyny dla personelu rozlega się dźwięk telefonu. Zaspana narzucam na ramiona szlafrok i wpycham nogi w kapcie.

- Halo. Oficyna dla personelu. - Cisza. Wydaje się, że nikogo nie ma.

- Halo.

Mam już właśnie odłożyć słuchawkę, kiedy dobiega mnie słaby głos:

- Cześć, Sarah.

- Przykro mi, ale to nie Sarah. Nazywam się Maria - odpowiadam.

- Sarah, nie rozłączaj się, błagam. Potrzebuję pomocy. Odchodzę od zmysłów.

Twarz mi się wydłuża, czuję, że mam wypieki, a serce wali jak młot. Chcę odłożyć słuchawkę, ale szok, jakiego doznałam, usłyszawszy ten głos, sprawia, że nie mogę się poruszyć.

Cierpienie w głosie prawdziwej Marii jest niemal namacalne, ale Rob ostrzegł mnie, że ktoś może się próbować ze mną skontaktować. Powiedział, że jeżeli wdam się z kimkolwiek w rozmowę, nawet gdyby to byli starzy przyjaciele, Maria czy John, zmarnuję szanse na szybkie odzyskanie swojego życia. Po raz pierwszy od ośmiu lat w moim obecnym życiu zagościło coś w rodzaju stabilności i jestem przerażona, że mogę ją stracić.

- Zebrała się góra rachunków do zapłacenia, a nie mamy żadnych pieniędzy - kontynuuje Maria.

- Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc - przerywam jej wiedziona przede wszystkim instynktem samozachowawczym. Nawet sobie samej nie umiem pomóc.

Następuje chwila ciszy, po czym Maria mówi łamiącym się głosem: - Proszę, powiedz mi, czy ty pojechałaś ostatnio z Robem i dziećmi do London Eye* i on cię im przedstawił jako Caroline?

Nie wiem, o czym ona opowiada. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam twoje dzieci, Mario. Ale na pewno nie zostałam im przedstawiona jako Caroline - mówię przeproszającym tonem. Maria jest wzburzona.

- Czy mogę się z tobą spotkać, Sarah? - prosi.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Przykro mi, Mario, ale nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Odkładam słuchawkę. Czuję się, jakbym była zawieszona w próżni.

Życie tutaj było prawie znośne. Przez ostatnie dwa lata balansowałam na wysoko zawieszonej linie, znajdując się w stanie chwiejnej równowagi i doskonale zdając sobie sprawę, jak niewiele potrzeba, żeby tę równowagę zachwiać. Jeden telefon sprawił, że moja lina zaczęła się kołysać. Nie mogę się zdobyć na to, żeby spojrzeć w dół, nie mogę znieść myśli o tym, co się może wydarzyć.

Kiedy następnego dnia rano widzę Roba zbliżającego się do oficyny, uchodzi ze mnie powietrze. Jego nagłe ukazanie się po długiej nieobecności źle wróży i instynkt mówi mi, że była to tylko cisza przed burzą. Bez żadnego wytłumaczenia, każe mi wyjść z pokoju.

Wsiadamy do jego Golfa i bez słowa jedziemy najpierw długim podjazdem do hotelu, a następnie szosą przez Sunninghill, mijając schludne domki z poprzycinanymi żywopłotami. Uszy mnie pieką, czuję pulsowanie w klatce piersiowej. Po przejechaniu kilku kilometrów parkuje samochód pod motelem i wyłącza silnik. Obok motelu znajduje się mała restauracja, gdzie zamawia stek z frytkami, po czym spokojnie oznajmia, że wie o telefonie od Marii i zna treść rozmowy, ponieważ telefon jest na podsłuchu. Każe mi powtórzyć wszystko, co zostało powiedziane.

*London Eye (Londyńskie Oko) - atrakcja turystyczna, wielki diabelski młyn wzniesiony dla uczczenia milenijnego roku 2000.

Kompletnie wytracona z równowagi bezmyślnie powtarzam słowo po słowie wczorajszą rozmowę telefoniczną z moją byłą przyjaciółką z uczelni. Oczy Roba przypominają szklane kulki, twarz jest pozbawiona wyrazu. Coś mi mówi, że cisza i spokój, których zaznałam, skończyły się na dobre.

BLYTH KOŁO WORKSOP, PAŹDZIERNIK 2001

- Zadzwoń do niej i powiedz, że nie jesteśmy ze sobą od dwóch lat - wrzasnął Freegard do swojej konkubiny, Marii Hendy.

- Nie - krzyknęła, rozpaczliwie próbując uciec z samochodu.

Przez ostatnie dwa lata Maria widywała Freegarda jedynie sporadycznie w weekendy oraz z okazji świąt. Uwięziona w jego wyimaginowanym świecie pełnym szpiegów i terrorystów, Maria była w istocie więźniem w „kryjówce” przy Dorothy Road. Freegard powiedział jej, że telefony są na podsłuchu, zabronił wychodzić bez zezwolenia. Żyła z pieniędzy, które, jak uważała, wpłacał na jej konto bankowe, nieświadoma, że były to w rzeczywistości zarobki Sarah. Już od dawna przestała mu zadawać pytania: zawsze prowadziło to do kłótni. Ich dwie córki wychowywała w zasadzie jako samotna matka.

Niedługo po urodzeniu się pierwszego dziecka Freegard po raz pierwszy ją uderzył. Od tamtej pory przemoc towarzyszyła jej nieustannie: groźby, znęcanie się, obrzucanie wyzwiskami. Zmienne nastroje Freegarda przerażały Marię.

Chociaż wiecznie brakowało jej pieniędzy, była zmuszana do podpisywania faktur na zakup kolejnych samochodów, tak wielu, że straciła rachubę. Freegard tłumaczył, że z powodu jego małej zdolności kredytowej konieczne jest, żeby to ona podpisywała papiery w jego imieniu. Sama nigdy nie była zainteresowana zakupem żadnego z tych aut, ale obawiała się konsekwencji w wypadku, gdyby odmówiła zastosowania się do instrukcji. W głębi duszy nie rozumiała, po co Freegard kupuje drogie wozy, po czym zaraz je sprzedaje. Na chwilę obecną miała tak duże zadłużenie na kartach kredytowych i

tak wielkie długi do spłacenia z tytułu zakupu samochodów, że rozumiała, iż nie ma wyboru i musi się trzymać Freegarda. Zawsze podkreślał, że są to jego auta, zapłacone jego pieniędzmi. Dodawał, że może robić, co mu się żywnie podoba.

Parę dni temu Maria znalazła w plecaku Freegarda kartkę podpisaną: „Całuję C”. Tego wieczora, kiedy siedzieli w pubie w Blyth, miasteczku rodzinnym Freegarda, popijając drinki, został poruszony temat zdrady i ponieważ Freegardowi nie spodobały się komentarze Marii, kazał jej wyjść z pubu i wsiąść do samochodu. Wyjechali z Blyth i po chwili zatrzymali się w zatoczce na drodze do Retford.

Było zupełnie ciemno. Maria próbowała ukryć strach.

- Dzwon do Caroline! - warknął.

Maria zniżyła głos: - Nie jesteś dobrym ojcem dla naszych dzieci.

Freegard, wściekły, złapał ją za włosy i uderzył w twarz. Cios trafił w nos, lewe oko i policzek Marii. Ogłuszona osunęła się, uderzając głową w dźwignię zmiany biegów. Dostrzegła coś białego na wycieraczkę pod nogami; był to zakrwawiony ząb.

Freegard wyszedł z samochodu, podszedł do drzwi z drugiej strony, znowu schwycił ją za włosy i próbował wyciągnąć na zewnątrz. - Zabiję cię - zagroził z nienawiścią w oczach. - Nie mam nic do stracenia.

Maria, przerażona, błagała, żeby przestał.

- Popatrz na siebie, jak ty wyglądasz - powiedział ze wstrętem. Oprócz braku zęba Maria miała podbite oko i widać już było opuchliznę na policzku i nosie.

- Zobacz, do czego mnie doprowadziłaś - roześmiał się jej w twarz, patrząc, jak wyciera chusteczką zakrwawione usta.

Tydzień później Maria stanęła w obliczu eksmisji. Zalegała z czynszem i nie miała żadnej nadziei na zdobycie pieniędzy. Gordon Hendy przyjechał aż z południowo-zachodniej części Anglii, aby zabrać meble córki, zanim pojawi się komornik.

W tym samym czasie prawie 450 funtów miesięcznie było przelewane z jej rachunku bankowego na konto Volkswagen Finance Services tytułem spłaty kredytu za srebrnego Golfa 2.8 V6 4 Motion. Samochód kosztował 18 000 funtów.

Maria wyprowadziła się z mieszkania przy Dorothy Road i zamieszkała z matką Freegarda, Robertą.

BLYTH KOŁO WORKSOP, LISTOPAD 2001

- Tatuś powiedział, że jedziemy do Londynu. - Maria przyjęła tę informację do wiadomości i przeszła do pokoju Roberty, gdzie Robert Hendy-Freegard czytał swoją korespondencję. Pomimo że mieszkał gdzie indziej, pocztę w dalszym ciągu kazał sobie przysyłać na adres matki.

Maria zauważyła leżącą na łóżku komórkę Freegarda. Wiedziała, że jej partner ma dwa telefony, ale знаła numer tylko jednego z nich. Podniosła aparat, mając nadzieję, że dowie się, jaki jest ten drugi numer, na wszelki wypadek.

Freegard wyrwał jej telefon, więc rzuciła się na listy leżące na łóżku. Nagle poczuła, jak jego ręce zaciskają się na jej szyi; oddychała z największym trudem.

- Tym razem posunęłaś się za daleko - warknął i zwolnił uścisk. Próbowwała przemknąć się obok niego i uciec z pokoju, ale popchnął ją z całej siły obiema rękami i wpadła na wieszak na ubrania; przewracając się, złapała się jednej z koszul Freegarda; słyszała, jak się rozdziera.

- Dopilnuję, żebyś już nigdy więcej nie zobaczyła dzieci. - Jego gniew był zimny i kontrolowany. Maria próbowała podnieść się z podłogi, ale za każdym razem Freegard popychał ją z powrotem na ziemię. Z sąsiedniego pokoju dawał się słyszeć płacz córek.

W końcu udało się jej przemknąć obok niego, wyskoczyła do dużego pokoju i chwyciła telefon. Wykręciła numer policji, ale Freegard przerwał połączenie. Spróbowała jeszcze raz; tym razem wyciągnął kabel z gniazdka.

Freegard złapał dzieci i starał się je wyprowadzić z mieszkania. Maria usiłowała mu przeszkodzić, ale brutalnie wepchnął ją do środka. Uciekła do kuchni, chcąc zadzwonić ze swojej komórki. Jednak Freegard był tuż za nią i wyrwał jej telefon z ręki. Wybiegła przez drzwi wejściowe, ale on znowu ją dogonił. Otworzył samochód i pomógł dzieciom wejść do środka.

W panice Maria popędziła z powrotem do domu, żeby poszukać telefonu Roberty. Drżącymi rękami zamknęła na łańcuch drzwi frontowe i wykręciła numer alarmowy.

- Centrala. Z jakim numerem połączyć?

- Oddaj mi ten telefon. - Do Marii dotarł głos zimny i pełen grozy.

Podsłoczyła, ściskając komórkę; zapomniała o tylnym wejściu. Trzęsąc się ze strachu, kontynuowała rozmowę z operatorem, cały czas wymykając się Freegardowi. Udało się jej podać swoje nazwisko i adres, kiedy Freegard dał za wygraną i wyszedł z domu. W chwilę potem usłyszała odjeżdżający samochód.

O godzinie 20.35 posterunkowa z Worksop została drogą radiową skierowana do osiedla Greenview przy High Street w Blyth, gdzie zgłoszono przypadek przemocy w rodzinie. Kiedy dotarła na miejsce, zastała tam Marię Hendy pogrążoną w rozpacz z ewidentnymi obrażeniami na szyi. Jeszcze zanim policjantka zdążyła wyjechać z Greenview, otrzymała od kolegów informację, że Robert Hendy-Freegard znajduje się na posterunku razem ze swymi dziećmi.

Trzy dni później Maria Hendy z córkami wróciła do południowo-zachodniej Anglii, aby znów zamieszkać ze swymi rodzicami. Ponieważ Freegard groził, że zrobi wszystko, co możliwe, aby odzyskać dzieci, Gordon Hendy zaostrzył środki bezpieczeństwa na swojej farmie.

SARAH

Za dwa dni miałam być gościem na weselu Jules w Zimbabwie. Rob przez cały czas zapewniał, że nie widzi problemu i że jest pewny, iż jego szefowie zaaprobuje tę podróż. Po raz pierwszy od wielu lat pozwoliłam sobie mieć nadzieję, że pozwolą mi zakosztować choć odrobiny prawdziwego życia, ale teraz nagle mówi mi, że mam opuścić hotel i zapomnieć o weselu. To druzgocący cios.

Rob instruuje mnie, że, aby wytłumaczyć tę nagłą nieobecność, mam powiedzieć kierownictwu hotelu, że zachorował mój ojciec. Utrzymuje, że jest tylko kwestią czasu, kiedy pojawi się ktoś, kto będzie mnie poszukiwał, a wtedy „kto wie, jakie mogą być tego reperkusje”.

W najlepszym wypadku mogę stracić wszystkie pieniądze, które z takim trudem udało mi się do tej pory zebrać. Mamy sytuację wyjątkową, jak twierdzi. Koniec kropka.

Plan jest następujący: mam zostać czasowo umieszczona u jakiegoś kolegi Roba, który wie o mnie wszystko, ale, aby ocenić, czy się nadaję do mieszkania w kryjówce policyjnej, będzie mnie testował, to znaczy sprawdzał, czy się potrafię wcielić w rolę. Mogę wybrać: będę musiała albo przekonać starszego mężczyznę, że jestem jego córką zaginioną przed laty, albo udawać przed młodą kobietą, że pochodzę z Ameryki Południowej i nie znam angielskiego.

Robię się błada. Nie mam zbytniego wyboru. Nie ma mowy, żebym próbowała kogokolwiek przekonać, że jestem dawno niewidzianą córką, tak więc będę mieszkać u tej drugiej osoby. - Nie wolno ci mówić absolutnie nic - instruuje mnie Rob. - Jeszcze raz powtarzam: nic. Nie zapominaj, że to test.

W niedługim czasie zatrzymujemy się przed domem w stylu edwardiańskim w zachodniej części Londynu, gdzie mam pozostać, dopóki Rob po mnie nie przyjedzie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Podejrzane zachowanie

ZACHODNI LONDYN, LISTOPAD 2001

Renata Klster przyglądała się młodej kobiecie z długimi, rufarbowanymi henną włosami stojącej na progu jej mieszkania. Nie miała pojęcia, że to ta sama dziewczyna, w której pokoju spała w hotelu Royal Berkshire. Zgodnie z tym, co powiedział jej Rob przez telefon, kobieta ta została zgwałcona przez męża, znanego biznesmena; zeznawała przeciwko niemu w sądzie, ale został uniewinniony. Obawiając się jego zemsty, była zmuszona się przyczać, dopóki sprawy się nie unormują.

Pochodziła z Wenezueli i nie знаła ani słowa po angielsku, tak więc nie było sensu próbować nawiązywać z nią rozmowy.

Renata ruchem ręki zaprosiła kobietę do swojego skromnego mieszkania i wskazała kanapę. Mała córeczka Renaty, Ola, siedziała w plastikowym samochodzie i jeździła tam i z powrotem, śmiejąc się i gaworząc. Renata czuła się skrępowana, ponieważ nie miała pieniędzy na utrzymanie i wyżywienie uciekinierki Freegarda, ale jednocześnie w głębi serca nie potrafiła odmówić jej schronienia.

- Może kawy? - zapytała Renata. Kobieta patrzyła na nią beznamiętnie. - Herbaty? - Brak odpowiedzi. Renata wzruszyła ramionami i sięgnęła po kubki. Ten kompletny brak zrozumienia wydał się jej bardzo dziwny. Przecież każdy znał takie słowa jak kawa czy herbata, wszystko jedno, skąd pochodził.

Nagle usłyszała odgłos uderzenia w coś drewnianego i krzyk Oli. Wybiegła z kuchni i zobaczyła, że dziewczynka straciła równowagę i walnęła głową we framugę drzwi. Utuliła dziecko, patrząc

gniewnie na Wenezuelkę z pretensją, że nie uważała na jej córeczkę.

Renata ze złością złapała telefon. - Robert, nie chcę tej osoby w moim domu. Nie mam pieniędzy na jej wyżywienie, a poza tym na nią trzeba uważać jak na dziecko.

- Uspokój się, uspokój się. - Robert próbował ją ułagodzić.

- Mam swoje własne dziecko - krzyczała Renata. - Dość tego.

- Ronnie, proszę. Wytrzymaj z nią jeszcze jeden dzień. Ona naprawdę potrzebuje pomocy.

Westchnęła. Freegard wiedział, że Renata nie wyrzuci tej kobiety na ulicę.

- A skoro już rozmawiamy, to gdzie jest mój samochód?

Freegard namówił Renatę na nową lepszą wersję Volkswagena, tym razem miał to być ciemnozielony Golf V6 4 Motion. Na dodatek przekonał ją, żeby mu dała kolejne 15 000 funtów, za które, korzystając z okazji, zamierzał kupić jakiś samochód po niskiej cenie, a następnie go odsprzedać po cenie znacznie wyższej. Powiedział, że zysk z tego interesu pójdzie na spłatę pożyczki na Golfa GTI, który Renata kupiła sześć miesięcy wcześniej.

- Dostaniesz go, niedługo - obiecał Freegard.

- Mówisz to już od ponad miesiąca, Robert. Dałam ci pieniądze na ten samochód. Chcę go mieć, i to zaraz.

- Jest w Glasgow. Muszę po prostu znaleźć czas, żeby go przywieźć.

- Dzięki, że przyszedłeś. - Parę dni później Renata poprosiła swojego kolegę, Richarda, żeby ją odwiedził. Był prawnikiem, zajmował się sprawami przemytu narkotyków z Kolumbii i mówił po hiszpańsku. Chciała, żeby jej pomógł.

Renata opowiedziała mu o obawach, które żywiła w stosunku do swej dziwnej lokatorki: do tej pory nie wypowiedziała ona ani jednego słowa, a dziś poszła do łóżka wcześniej, dając do zrozumienia, że ma bóle brzucha. Wysłuchawszy tej relacji, Richard przyznał, że jest to rzeczywiście dość osobliwe. Obiecał, że zorientuje się, o co chodzi i dojdzie do sedna sprawy.

Kobieta leżała na podłodze sypialni, udając, że śpi. Richard zapalił światło, pochylił się nad nią i przysunął swą twarz do jej twarzy. - Hej, ty! Słuchaj no.

Mrugnęła.

- Kim ty jesteś? Co robisz w tym kraju?

Przestraszona, rozejrzała się wokoło, po czym usiadła, przyciskając kołdrę do piersi.

- Sądzę, że dokładnie rozumiesz, co mówię. Myślę, że znasz angielski. Nie? To może porozmawiamy po hiszpańsku? Hablas espaol? Creo que comprendes espaol.

W oczach kobiety widać było panikę. Richard mówił coś szybko, a ona w tym czasie naciągnęła sweter.

- Szmuglujesz narkotyki, tak? - Richard ukucnął parę centymetrów od niej. - Jesteś „mułem”. To dlatego masz bóle brzucha.

Dziewczyna siedziała skulona na podłodze, mocno obejmując ramionami kolana, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony.

- Te narkotyki w końcu pękną w twoim brzuchu i jeżeli czegoś z tym nie zrobisz, umrzesz. Dlaczego tu jesteś? Dlaczego się tak dziwnie zachowujesz? Jeżeli nie zechcesz ze mną rozmawiać, a uważam, że możesz, zadzwonię na policję.

Skoczyła na równe nogi, wciągnęła dżinsy i rzuciła się do drzwi. Richard próbował ją zatrzymać, ale udało się jej przemknąć obok niego. Z korytarza dobiegł jedynie odgłos kroków uciekającej kobiety.

SARAH

Dyszę ciężko, usta mi spierzchły. Pogubiłam się. Czy dobrze zrobiłam? Ostatnią rzeczą, której bym sobie życzyła, jest wmieszenie się policji, wtedy nigdy bym nie odzyskała swojego życia. A może to była część testu? Grzebię w kieszeni, szukając monety pięćdziesięciopensowej, gdzieś musi być. Wrzucam ją do aparatu telefonicznego. Przez czysty przypadek mam przy sobie numer Roba zapisany na skrawku papieru. Podnosi słuchawkę.

- Rob, musisz przyjechać i mnie stąd zabrać - łkam, przerażona na myśl o jego reakcji. - Nie udało się. To był koszmar. Jej przyjaciel zaczął się zachowywać agresywnie. Oskarżył mnie o szmuglowanie narkotyków i powiedział, że zadzwoni na policję. Kazałeś mi trzymać się z dala od gliniarzy, więc uciekłam z tego domu. - Przykucam w kącie budki telefonicznej, zamartwiając się tym, co może się wydarzyć, jeżeli Rob zostawi mnie na noc na ulicach Londynu.

ZACHODNI LONDYN, KONIEC STYCZNIA 2002

Londyńska prawniczka, Caroline Cowper, miała za kilka dni poślubić swojego narzeczonego, Roberta Hendy-Freeara. Spotykali się od roku. W sierpniu zaimponował jej, ofiarując kosztowny pierścionek z brylantem, a na Boże Narodzenie i Nowy Rok zabrał ją na niezwykle wakacje do Rio de Janeiro w Brazylii. Jednakże w ostatnich miesiącach zaczęły się w jej głowie rodzić pewne podejrzenia.

Freear zaproponował, żeby otworzyli firmę leasingującą samochody i od jakiegoś czasu planowali to wspólne przedsięwzięcie. Tuż przed podróżą do Brazylii Freear powiedział Caroline, że, aby przybliżyć realizację projektu, chce kupić dwa volkswageny warte w sumie ponad 30 000 funtów. Lwią część pieniędzy dostarczyła Caroline, chociaż osobiście widziała tylko jeden z tych samochodów, ciemnozielonego Golfa V6 4Motion. Nawet prowadziła to auto, ale ponieważ pod jej domem nie było miejsca na jego parkowanie, Hendy-Freear zaproponował, żeby zostawić je w pobliskim Park Royal, dopóki nie sfinalizują sprawy firmy leasingowej.

Przechwalał się, że jest posiadaczem portfela akcji wartości około sześciuset, a może nawet siedmiuset tysięcy funtów; miały to być pieniądze zaoszczędzone w czasie, gdy współpracował z tajnymi służbami. Kiedy Caroline prosiła go, żeby jej przedstawił jakieś dowody, zawsze wykręcał się od odpowiedzi. Zamiast tego opowiadał jej o tym, jak przez kilka lat kupował różne drogie samochody. Zadzwonił nawet do Marka Endersby'ego, dealera samochodowego z salonu Sytner BMW w Sheffield, a Caroline zapytała go przez telefon, czy Hendy-Freear jest osobą wiarygodną. „Nie mam do

niego zaufania za grosz”, brzmiała odpowiedź Endersby'ego, który ciągle jeszcze boleśnie odczuwał stratę finansową spowodowaną nieodebraniem przez Freegarda dwóch zamówionych przez niego samochodów.

Caroline podjęła ostatnią próbę znalezienia kogoś, kto by zechciał poręczyć za Hendy-Freegarda i poprosiła go, żeby zarekomendował jeszcze jedną osobę, z którą mogłaby pomówić. Freegard podał jej nazwisko matki jego pierwszej dziewczyny, Alison.

Po rozmowie z nią Caroline Cowper odwołała ślub w urzędzie stanu cywilnego w Richmond i skontaktowała się z policją.

NETHER HALE, LUTY 2002

Silny wiatr wyginał drzewa i krzewy; stalowoniebieskie niebo zapowiadało deszcz. Peter i Jill przyjechali właśnie z wakacji w Tobago, gdzie próbowali dojść do siebie po stresach ostatnich lat. Wnieśli walizki do holu i powrócili do znajomej sobie rzeczywistości.

Peter udał się z kubkiem kawy do swojego biura. W czasie ich nieobecności nagromadziło się mnóstwo listów i rachunków, które zalegały teraz na jego biurku, a obok korespondencji Peter zauważył notatkę napisaną odręcznie przez ich starszego syna: „Dzwoniła matka Alison z informacją o jakiejś pani z Londynu, która się z nią skontaktowała”.

Peter wyrzwał na zewnątrz, na pola, w ołowianej atmosferze poranka można było dojrzeć fioletowe odcienie nadciągającej ulewy. Jeszcze raz przeczytał notatkę. To niespodzianka. Peter rozmawiał z matką Alison ładnych parę lat temu. Czyżby znowu pojawił się Freegard?

Nie była to jedyna niespodzianka, która tego dnia czekała na Petera i Jill. Od dwóch lat nie mieli kontaktu z Sarah, a teraz, pół godziny po ich powrocie z wakacji, właśnie zadzwonił telefon. Peter zebrał siły. Miał dziwne przeczucie, że to ich córka i że nie dzwoni po to, żeby sobie pogawędzić z tatą. Miał rację.

Bez przywitania ani żadnego wytłumaczenia Sarah przedstawiła kolejne żądania finansowe. - Tato, potrzebuję natychmiast 20 700 funtów.

Peter obruszył się na bezczelność tej prośby.

- Spotykałam się z facetem o nazwisku Dariusz Mazurek, ale właśnie z nim zerwałam. - Na chwilę umilkła. Peter czekał, kipiąc ze złości, ale panując nad nerwami. - Był związany z polską mafią i uciekł moim samochodem, ciemnozielonym Golfem V6 4 Motion. To ja podpisałam papiery dla kredytodawców i teraz żądają oni natychmiastowej spłaty zaległej kwoty.

Peter powstrzymywał się od komentarzy, ale ta bajeczka to było już za wiele. - Polska mafia, tak? - Bez względu na to jak bezduszne może się to komuś wydać, nie zamierzał jej już dawać żadnych pieniędzy. - Jedyne, co mogę zaproponować, to żeby Guy przywiózł cię do domu - powiedział ze znużeniem. Przez moment panowała cisza.

- To niemożliwe - odpowiedziała ojcu Sarah. - Jeżeli w ogóle mnie jeszcze kochacie, to muszę mieć te pieniądze. - Kolejna przerwa w rozmowie. - A teraz muszę do kogoś zadzwonić, spieszę się. - Rozłączyła się.

Za chwilę ponownie rozległ się dzwonek telefonu. Peter wcale się nie zdziwił. - Jest gorzej niż ci powiedziałam, tato. Zapomniałam dodać, że wszystko wskazuje na to, iż samochód został sprzedany niejkiej pani Lucas, a ona grozi, że pójdzie na policję z powodu zaległych płatności. Naprawdę potrzebuję tych pieniędzy, tato.

Peter domyślił się, że Sarah naradzała się z Freegardem. - Sarah, zdaje się, że mówiłaś, że nie masz nic wspólnego z Robertem Freegardem. To on jest prawdziwym problemem... Podejrzewam, że te pieniądze idą wprost do jego kieszeni. Nie ma takiej możliwości, żebyśmy jeszcze kiedykolwiek dali ci jakiegokolwiek pieniądze. Możesz wrócić do domu, ale jeżeli chodzi o pieniądze, to by było na tyle. Koniec, kropka.

- Nie mogę wrócić do domu. Muszę uporządkować wszystkie sprawy.

- W takim razie do widzenia, Sarah. - Peter ze stanowczością odłożył słuchawkę.

Nie minęła chwila i telefon zadzwonił po raz kolejny.

- Przestań się wtrącać w moje życie! - Tym razem to Freegard wrzeszczał do słuchawki. - Wasza sytuacja jeszcze się pogorszy, jeżeli nie przestaniesz się wtrącać. - Peter włączył głośnik telefonu, wiedząc, że kiedy Freegard usłyszy kliknięcie, rozłączy się. I tak się stało.

Peter usiadł ociężale, zdjął okulary i wolno przesunął ręce po twarzy. Przed chwilę pogrążył się w myślach, po czym ponownie odezwał się w nim instynkt detektywa. Pod wpływem impulsu sięgnął po telefon i wybrał numer matki Alison.

Podziękowała mu, że zareagował na jej wiadomość, a następnie opowiedziała o kobiecie z Londynu. Nazywała się Caroline Cowper i dzwoniła do niej kilka dni temu, pytając o jej opinię na temat Roberta Freegarda.

Peter niemalże się zakrztusił na myśl o tym, że ktoś mógłby się spodziewać usłyszeć coś pozytywnego o Freegardzie z ust matki Alison, ale nie chciał jej przerywać. Objąsniła mu, że pani Cowper była w pełni gotowa poślubić Freegarda: data została ustalona, przygotowania do ślubu podjęte, jednak w ostatniej chwili zaczęła mieć w stosunku do niego pewne podejrzenia. Matka Alison pomyślała, że może pani Cowper ma jakieś informacje, które pomogłyby Peterowi odnaleźć Sarah.

Nie tracąc czasu, Peter zatelefonował do Caroline. Co prawda nic nie wiedziała o Sarah, ale za to powiedziała Peterowi, że dała Freegardowi pieniądze na zakup Golfa V6 4Motion. Freegard pokazał jej nawet papiery samochodu. Był on zarejestrowany na nazwisko Dariusz Mazurek. Caroline prowadziła to auto tylko raz.

- Czy nazwisko Lucas coś pani mówi? - zapytał Peter. Kiedy słuchał odpowiedzi, kolejny kawałek układanki trafił na swoje miejsce. Jak się okazało, Lucas było to nazwisko, które Caroline nosiła po mężu. Po rozwodzie z nim powróciła do swojego nazwiska panińskiego, Cowper.

- To tym się teraz Freegard zajmuje - głośno myślał Peter. - Wrobić więcej niż jedną osobę w zapłatę za ten sam samochód. Niezły przekręt, naprawdę niezły.

ZACHODNI LONDYN, LUTY 2002

Przyjaciele Renaty Kister czuli, że Freegard ją wykorzystuje i przestrzegali ją przed nim. Twierdzili, że nie można mu ufać i że byłoby jej lepiej bez niego. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem chciała się dowiedzieć, gdzie jest jej ostatni samochód, ciemnozielony

Golf V6 4Motion i po raz kolejny Freegard zbył ją, tłumacząc się na różne sposoby: auto znajdowało się u producenta, potem w Glasgow, konieczne były jakieś poprawki, on nie ponosił za to winy.

Renata była urodzoną hazardzistką i lubiła dreszczyk emocji. Ekscytacja grą była jak nałóg, ale taki, który umiała kontrolować. Tak właśnie wyglądała sytuacja z Freegardem. Pomyślała, że jeżeli wrzuci jeszcze jeden żeton na stół, wszystko dobrze się skończy i zdoła odzyskać to, co straciła. Ostatnia gra. Dała mu nawet 2 500 funtów w gotówce na zakup montowanego na zamówienie systemu nawigacji satelitarnej. - Naprawdę nie będziesz chciała patrzeć w mapę, jadąc z małym dzieckiem - argumentował Freegard w przekonujący sposób. Teraz jednak zaczynała mieć dość.

Powiedziała mu kiedyś, że pójdzie na policję. Ta groźba najwyraźniej zasłużyła na jego uwagę i obiecał, że zaraz przyjedzie.

Kiedy wówczas zbiegła na dół po schodach, zatrzymała się w miejscu, nie wierząc własnym oczom. Za kierownicą jej samochodu siedział Robert; była pewna, że to jej samochód, w każdym razie był to bez wątpienia jej numer rejestracyjny. Robert uśmiechnął się szeroko i powiedział, że ją kocha. - Tablica rejestracyjna jest twoja, ale auto nie - powiedział, wskazując Golfa VB.

Renata nie widziała Freegarda od kilku tygodni, a wpłaciła blisko 60 000 funtów na samochody, do kupienia których ją namówił. Pieniądze pochodziły albo z pożyczek zaciągniętych na spłatę rat, albo od jej kuzyna, Dariusza. Spłaty ją rujnowały. Chciała odzyskać co najmniej ostatnie 15 000 funtów. A głównie chciała wiedzieć, gdzie jest Freegard.

Dowiedziawszy się, że został niedawno wyrzucony z pracy w Normand Continental, Renata postanowiła zwrócić się do jego byłych pracodawców. Dyrektor salonu powiedział jej, że Freegard był dobrym dealerem, ale dawał się we znaki klientom i były na niego skargi. Renata poprosiła o adres, na który przesyłana jest jego korespondencja. Szef salonu wyjaśnił, że czek wysłany na ten adres został zwrócony. Okazało się, że mieszkali tam starsi państwo; ukradziono im torbę, ale o Freegardzie nigdy nie słyszeli.

Mężczyzna spojrział ze współczuciem na Renatę i siedzącą w wózekku malutką Olę. Powiedział, że może mogłaby jej pomóc kobieta, która często zaglądała do salonu, żeby się przywitać z Freegardem. Ma na imię Caroline i mieszka w jednym z pobliskich domów.

Renata podążała od jednego domu do drugiego, dzwoniąc do każdych drzwi. Wreszcie jakaś kobieta poinformowała ją, że Caroline mieszka trzy domy dalej i wskazała właściwy kierunek.

Blondynka, która otworzyła drzwi, zaprosiła Renatę do środka. Polka nie zdążyła zrobić dwu kroków, kiedy ukazał się Freegard.

- Chcę, żebyś mi oddał moje pieniądze - zażądała Renata, nie pozwalając Freegardowi wypchnąć się za zewnątrz. - Gdzie jest moje piętnaście tysięcy? Powiedziałam ci już kiedyś, że wezwę policję. - Renata, oburzona, piorunowała wzrokiem człowieka, którego uważała za swego przyjaciela.

Twarz Freegarda spochmurniała. - Jeżeli zależy ci na życiu córki, nie zadzwonisz na policję. Renata na chwilę straciła pewność siebie. - Grozisz mojej córce?

- Wyjdź ze mną na zewnątrz.

Nagle przygaszona, Renata posłusznie wyszła za Freegardem na podwórze. W tle słychać było odgłosy londyńskiej ulicy.

- Na początku spotykałem się z Caroline dla zabawy, ale się zaangażowałem. - Freegard spojrział na Renatę wprost. - Zakochałem się.

Renata chłodno przyglądała się Freegardowi. Zrozumiała, że nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia.

SARAH, LUTY 2002

- Wyjeżdżam na jakiś czas do Francji. Nie mogę już wytrzymać w pracy. Nie jestem pewien, czy twoja sprawa zostanie przydzielona komuś innemu. - Rob przekazuje mi tę wiadomość tak zwyczajnie, jakby to było sprawą oczywistą, jak wysłanie listu. Wpatruję się w niego kompletnie zaskoczona.

Spacerujemy po zachodnich dzielnicach Londynu. Rob odwraca się do mnie twarzą i pyta: - Chcesz pojechać ze mną?

Nie zastanawiam się zbyt długo nad odpowiedzią. - Co się stanie z moimi pieniędzmi i z moim życiem? Kiedy odzyskam jedno i drugie?

- No cóż, jeżeli teraz wyjechałabyś ze mną, nie odzyskałabyś niczego - mówi lekceważąco, a zarazem stanowczo, beznamiętnym tonem.

- Tak więc nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Wytrzymuję tę okropną sytuację tylko dlatego, że chcę odzyskać swoje dawne życie i móc opowiedzieć rodzinie, co się naprawdę wydarzyło. - Wbrew pozorom wszystko się we mnie kłębi na myśl o dziewięciu straconych, nieszczęśliwych latach.

Rob wygląda na zmęczonego. - Wcale nie miałbym ci za złe, gdybyś pojechała teraz do domu, tylko tyle mam do powiedzenia. - Jego twarz nic nie wyraża, myślami jest nieobecny.

- Do domu? Co ty opowiadasz, do jakiego domu? - pytam. Rodzina, przyjaciele, oni mnie nie przyjmą. Na niczym się nie znam, nic nie umiem. Staram się nie myśleć o przeszłości. Już nie wiem, kim jestem. - Nie możesz proponować czegoś takiego ni stąd, ni zowąd. Przecież wiesz, że nie mam po co wracać do domu, jeżeli nie mogę w pełni wytłumaczyć tego wszystkiego, co się stało.

- Ja chciałem się tylko pożegnać, nic ponadto.

- Nie możesz mnie tak po prostu zostawić. Co się ze mną stanie?

- Muszę już iść, Sarah.

Nie mogę wprost uwierzyć, że naprawdę zamierza odejść, zostawiając mnie w pensjonacie. Wszystko się wali. Uspokaja mnie myśl, że Rob wróci. Zawsze wraca. I mam rację. Tydzień później dzwoni, żeby mi powiedzieć, że jest z powrotem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Decydująca transakcja

CENTRUM LONDYNU, SIERPIEŃ 2002

Elizabeth była w drodze do stacji metra Green Park. Freegard wezwał ją na spotkanie koło restauracji Langan's.

Wsiadła do pociągu i kurczowo ścisnęła na kolanach plastikową torbę. Wywróciła ją na lewą stronę, zgodnie z instrukcją, żeby ukryć nazwę firmową Debenhams. Zajrzała do środka, chcąc się upewnić, czy sari ciągle tam jest, po czym ponownie zrolowała górną część torby.

Mniej więcej dwa tygodnie wcześniej Liz i Freegard siedzieli w samochodzie gdzieś w zachodniej części Londynu, kiedy Robert niespodzianie powiedział: - Idziemy na wesele z pewnymi moimi kolegami z MI5. Są Pakistańczykami. Będziesz musiała się ubrać w sari; pojawienie się tam w angielskich strojach byłoby równoznaczne z nieposzanowaniem ich zwyczajów.

Liz próbowała wyobrazić sobie siebie w sari, ale jakoś się jej to nie chciało udać. Wpatrywała się w niego w osłupieniu. To musi być kawał. Prawdziwe sari? Pomyślała, że się przesłyszała albo że Robert się z niej nabija. - A może być jakieś inne sari? - odpowiedział napastliwie, zanosząc się śmiechem. Następnie dodał, że będzie musiała mieć pełen strój: sandały, kółka na ręce, biżuterię, szal i „taką kropkę” na czole.

Wagony metra z łoskotem toczyły się przez czarne tunele, zatrzymując się z piskiem metalowych kół co kilka minut na kolejnych stacjach. Liz cofnęła się myślami w przeszłość. W ostatnich kilku latach jej życie posuwało się w dziwnym kierunku. Przez długi czas nie miała z Freegardem żadnego kontaktu, aż nagle zadzwonił ni stąd,

ni zowąd. Powiedział jej, że planuje wyemigrować do Brazylii, ale chciał najpierw dać ostatnią szansę ich znajomości. - Jestem twoim Richardem Gere, pamiętasz? Zamierzam zawrócić ci w głowie.

Liz była już wówczas po rozwodzie i Freegard poprosił ją, żeby zmieniła nazwisko, co, jak twierdził, umożliwiłoby jej zerwanie wszystkich więzi z Sheffield i rozpoczęcie nowego życia. Zapropo-nował, że może zamiast Bartholomew nazwałaby się Elizabeth Taylor albo Elizabeth Hurley? Liz miała inne pomysły. Zeszła na dół do budki telefonicznej ze swą przyjaciółką Karen i razem przewertowa-ły książkę telefoniczną. Doszły do litery R. Richardson. Tak, pomy-ślała, dobrze to brzmi i dokonała prawnej zmiany nazwiska.

Robert powiedział jej, że wykonuje ściśle tajną misję i że udało mu się przeniknąć do gangu w Glasgow. Z dumą opowiadał o biciu i zabijaniu ludzi, o tym, że jest wyznaczona cena za jego głowę i że jego tajna praca wymaga posiadania sieci rozsianych po całym kraju kryjówek. Miał sześć telefonów komórkowych, każdy do innej roli. Chciał, żeby Liz mu pomagała w wykonywaniu zadań, co oznaczało, że będzie się musiała zwolnić na jakiś czas z pracy.

Obecnie dużo podróżowała na zlecenie Freegarda. Kiedyś zażą-dał, żeby pojechała do Hastings na południowym wybrzeżu, przy czym miała się dokładnie trzymać wyznaczonej trasy. Wyjaśnił, że to test, którego celem jest sprawdzenie, czy potrafi wypełniać pole-cenia służbowe. Ostrzegł ją, że przez cały czas będzie obserwowana przez policyjne urzędnictwa monitorujące i że zarówno jej samochód, jak i komórka są na podsłuchu.

Poprosił ją także o przygotowanie raportów dla policji z oceną, czy Canterbury lub Aylesbury będą odpowiednim dla nich miejscem zamieszkania; powiedział, że obecnie mieszka w kawalerce policyj-nej, ale poszukuje odpowiedniego dla nich zakwaterowania, akcep-towanego z punktu widzenia policji, gdzie mogliby się urządzić, kiedy się już pobiorą.

Freegard obiecał Liz, że zajmie się jej kredytem hipotecznym i innymi długami. Przyjęła to z prawdziwą ulgą, ponieważ, od kiedy wznowili znajomość, przestała zarabiać. W istocie była nieraz zmu-szona do mycia się w toaletach publicznych i napełniania wodą

plastikowych butelek, żeby dotrzeć do końca dnia. Freegard musiał się z nią spotykać w coraz to innych punktach rozsianych po całym Londynie, a pomiędzy tymi spotkaniami regularnie zostawiał ją w różnych miejscach na wiele dni. Nigdy nie było żadnego wytłumaczenia. Liz zaakceptowała takie traktowanie, ponieważ, zgodnie z tym, co powiedział Freegard, musiała udowodnić, że jest odpowiednią kandydatką na jego żonę, wykonując dokładnie to, co każe. Kiedy znalazła się na Piccadilly, niedaleko miejsca dzisiejszego spotkania z Robertem, zauważyła restaurację Langman's po drugiej stronie ruchliwej arterii, ale nigdzie nie mogła dostrzec Freegarda. Przez niemal godzinę kręciła się koło wejścia, aż wreszcie usłyszała zaczepne gwizdnięcie i dojrzała, że przywołuje ją ręką z drugiej strony ulicy. Podbiegła, oczekując, że ją pocałuje lub przynajmniej przytuli, ale bez żadnego przywitania wyrwał jej komórkę i włączył ją, żeby zobaczyć, czy do kogoś nie dzwoniła oraz żeby sprawdzić, ile pieniędzy pozostało na karcie.

- Czy powiedziałaś komuś o naszym spotkaniu? - zapytał, podając jej nowy, srebrzystoniebieski telefon, który wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała. - Czy dostanę buzi? - zapytała nieśmiało.

- Jestem z kolegą, stoi tuż za rogiem i nas obserwuje, więc powinniśmy być dyskretni. Bez okazywania uczuć. Musimy zachować dystans - oświadczył Freegard stanowczo.

- Nie umiem obsługiwać tego telefonu - powiedziała Liz.

- Pożyczam ci go tylko na chwilę. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła i potem natychmiast tu wróciła. Słuchasz mnie? To bardzo ważne, żebyś wysłuchała, co ci mam do powiedzenia - kontynuował protekcyjnym tonem. - Pojedziesz metrem do City i znajdziesz damską toaletę. Zdejmiesz angielskie ubranie i przebierzesz się w strój pakistański. Posmarujesz się bardzo ciemnym fluidem, łącznie z dekoltem, pomalujesz sobie powieki kohlem* w płynie, a do czoła przykleisz sobie mały klejnocik. Zwiążesz włosy, owiniesz się szalem

*Kohl - drobniotko zmielony czarny proszek, używany jako kosmetyk pozwala osiągnąć orientalny wygląd oczu; kajał.

i włożysz okulary słoneczne, tak że widoczne pozostaną jedyne kawałek czoła i podbródka. Kiedy to wszystko zrobisz, chcę, żebyś się udała do Towarzystwa Budowlanego Halifax. Jak już będziesz w środku, otrzymasz kolejne instrukcje.

Liz struchlała na samą myśl o tym, co ją czekało. Niezbyt pewnie poruszała się po Londynie, a hałas, tłumy ludzi, wysokie budynki i tempo życia przytłaczały ją. Zdenerwowana zabrała się do wykonania zadania.

Tymczasem Freegard wsiadł na stacji St Pancras do pociągu jadącego do Leicester i zaczął się oddalać od Londynu. Od czasu do czasu dzwonił do Liz z pytaniem, czy jest już w budynku Towarzystwa. Dlaczego zabiera jej to aż tyle czasu?

Liz przebrała się w publicznej toalecie z czarnych dżinsów w sari, po czym włożyła na siebie wszystkie pozostałe akcesoria i w końcu wielkie i bardzo ciemne okulary słoneczne.

W budynku banku Halifax, z telefonem przy uchu, uważnie słuchając instrukcji Freegarda, przemieszczała się w kierunku umieszczonego na podium monitora telewizyjnego. - Nie zadawaj pytań. Po prostu słuchaj i rób to, co każę. To będzie test, zobaczymy, jak silny jest nasz związek, jak lojalna jesteś wobec mnie.

Liz zbliżyła się do elektronicznego urządzenia bankowego. Okulary jej przeszkadzały, więc je uniosła, żeby lepiej widzieć ekran. - Nie zdejmuj okularów, Liz, żeby nie wiem co - nakazał. Podyktował jej numer i kod dostępu. Liz wprowadzała je do komputera, powoli i posłusznie.

- Powiedziałeś „D” czy „T”? - wyjąkała.

- Czy ty jesteś zupełnie głupia? Nie słyszysz, co mówię? Obiecałem test.

Liz zagryzła dolną wargę. Miała suchość w gardle, ręce się jej trzęsły.

Nie mogła sobie poradzić z przejściem z małych do wielkich liter. Czas przeznaczony na operację się skończył i na ekranie ponownie pojawiło się menu główne.

- Czy ty nie potrafisz się zastosować do prostych instrukcji? – Freegard wrzeszczał jej wprost do ucha. - wydawało mi się, że używasz komputerów od lat, dlaczego nie umiesz wykonać tak prostego zadania?

Liz czuła mętlik w głowie. W banku, może z powodu wielkich okien, było gorąco i małe kropelki potu spływające po twarzy

sprawiły, że okulary zsunęły się jej na czubek nosa. Owinęła się szalem, chowając włosy i poprawiła okulary. Freegard powiedział jej, żeby spróbowała jeszcze raz.

Powtórzył kody, cyfra po cyfrze, litera po literze. Liz posłusznie wstukiwała każdy znak. W końcu zabezpieczenia ustąpiły i uzyskała dostęp do czyjegoś rachunku bankowego. Zauważyła imię Caroline. - Jesteś pewny, że to, co robimy jest okej, Rob? - Wiedziała, że numerów PIN nie powinno się ujawniać. Cała ta sytuacja wydawała się nieco dziwna.

- Pamiętaj, że to test - warknął w odpowiedzi.

Rzuciwszy przez ramię nerwowe spojrzenie, kontynuowała operację. Kazał jej napisać: 13 884 funty. Wykonała polecenie. - A teraz wcisnij „Transfer” - rozkazał.

Liz rozumiała. Chciał, żeby przeniosła pieniądze z konta Caroline na konto należące do kogoś innego. Freegard podał jej nazwisko posiadacza tego rachunku. Myślała, że może się przesłyszała. - Robert, czy ty jesteś pewien, że wolno nam to zrobić?

- Ile razy mam ci powtarzać? Powiedziałem, że wszystko jest w porządku. To po prostu test, muszę wiedzieć, czy potrafisz wykonywać moje polecenia.

Liz zawahała się. Chciała się upewnić, że nie robi czegoś złego. - A kiedy pieniądze zostaną zwrócone tej Caroline? - zapytała potulnie.

- Oblejesz test, jeżeli będziesz zadawać za dużo pytań. - Jego głos stał się stanowczy. Nie chciała go zawieść, tak więc wcisnęła klawisz „Transfer”. Pieniądze opuściły rachunek bankowy Caroline Cowper i trafiły na osobiste konto Roberta Hendy-Freegarda.

HAMMERSMITH, 14 SIERPNIĄ 2002

Na posterunku policji w gminie Hammersmith i Fulham Mark Simpson policjant z wydziału dochodzeniowego przeglądał zeznanie świadka. Londyńska prawniczka, Caroline Cowper utrzymywała, że prawie 14 000 funtów zostało nielegalnie przetransferowanych za pośrednictwem internetu z jej rachunku bankowego na konto Roberta Davida Hendy-Freegarda w Towarzystwie Budowlanym Halifax.

Z uporem twierdziła, że transakcja została przeprowadzona bez jej zezwolenia.

Nie był to pierwszy raz, kiedy Caroline zwracała się do policji. Sześć miesięcy wcześniej dzwoniła wielokrotnie, aż w końcu wysłali do niej oficerów śledczych. Twierdziła wówczas, że Freegard wyłudził od niej pieniądze. Poinformowali ją, że była to sprawa cywilna. Nic nie wskazywało na to, że Freegard popełnił przestępstwo kryminalne, tak więc nie miał za co odpowiadać.

Zirytowana reakcją policji Caroline zaczęła prowadzić własne śledztwo. Dowiedziała się między innymi, że salon Classic Cars w Mayfair, gdzie Freegard twierdził, że pracował, w rzeczywistości w ogóle nie istniał. Dopuszczała Freegarda ponownie do swego życia, mając nadzieję na odzyskanie części pieniędzy, które mu wcześniej przekazała na rozkręcenie firmy leasingowej, ale był to krótkotrwały epizod. A teraz z jej konta wyciekła duża kwota pieniędzy.

Mark Simpson podniósł telefon i wybrał podany numer komórki Roberta Henty-Freegarda.

- Oczywiście, nie ma problemu - powiedział człowiek o miłym głosie na drugim końcu linii. - To jakieś drobne nieporozumienie. Wszystko wytłumaczę. Oczywiście, że się stawię na posterunku. Przyjdę jutro.

Jednakże zamiast jechać na policję, Freegard zawrócił i skierował się na zachód. Istniało ryzyko, że może zostać odnaleziony jego więzień i musiał dopilnować, żeby do tego nie doszło.

SARAH

Właśnie skończyło się spotkanie towarzyskie pracowników hotelu Royal Berkshire i zabieram się do robienia porządku, kiedy zjawia się Rob.

Jestem tu na nowo od pięciu miesięcy, od kiedy uciekłam z mieszkania jego koleżanki, ponieważ jakiś facet groził, że wezwie policję.

Mam znów to okropne przeczucie, czuję, jakbym spadała na łeb na szyję w szybie windowym. Gorzkie doświadczenie nauczyło mnie, że nagłe pojawienie się Roba jest oznaką szykujących się zmian.

Jest pobudzony, jak lis, który się zabłąkał na terytorium wroga. Prowadzi mnie do mojego pokoju, który jest pełen jego rzeczy osobistych i dokumentów. Nigdy nie śmiałam zajrzeć do tych papierów; powiedział, że gdybym to zrobiła i tak wkrótce by się o tym dowiedział.

Mówi krótkimi zdaniami, ostrym głosem. - Masz dokładnie godzinę. Musisz zlikwidować wszystko, co mogłoby cię pomóc zidentyfikować. Jakies odręczne notatki, zdjęcia, cokolwiek osobistego. Zabierz parę ubrań, tylko tyle, ile możesz unieść. Resztę zostaw.

- Co się dzieje? - pytam. Rob jest wyjątkowo spięty i jestem bardzo zaniepokojona tym nowym obrotem sprawy.

- Ostrzeżono mnie, że ktoś coś miesza. Jesteś w niebezpieczeństwie.

- Kto?

- Zamknij się i przestań zadawać pytania, Sarah. - Jest śmiertelnie poważny. - Pospiesz się, dobrze. Naprawdę nie żartuję. No, ruszaj się, do cholery.

Ładuje wszystkie swoje rzeczy do samochodu, ale mnie pozwala wziąć tylko małą torbę. Prawdę mówiąc, i tak niewiele posiadam.

Pędzimy autostradą M4 na południowy zachód. Rob mówi, że chce zobaczyć dzieci.

Kilka dni później siedzimy w ogródku na tyłach pubu, a Rob przegląda swoje papiery. Drze dokumenty na drobne kawałeczki. - Te już mi nie są potrzebne - mówi. - To akta dotyczące sprzedaży samochodów w Normand Continental, a ta operacja się nie udała. Musimy mieć łatwość poruszania się. Te dokumenty są o wiele za ciężkie, żeby je ze sobą taszczyć.

Następnego dnia reszta papierów zostaje z powrotem zapakowana do bagażnika. Przywozi mnie do Londynu i przez następne kilka tygodni zostawia na noc w samochodzie w różnych ślepych zaułkach południowo-wschodniej części miasta.

HAMMERSMITH, 22 SIERPŃIA 2002

Przez ostatni tydzień Mark Simpson z miejscowej policji kilkakrotnie umawiał się z Robertem Hendy-Freegardem na spotkanie, ale mężczyzna ani razu się nie pojawił na posterunku, tak więc

Simpson wprowadził nazwisko „Freegard” do ogólnokrajowego policyjnego systemu komputerowego z adnotacją „poszukiwany”.

Oficer zaczął traktować sprawę poważniej. Caroline Cowper dostarczyła nowych informacji: powiedziała mu, że nawiązała kontakt z mężczyzną o nazwisku Peter Smith. Pan Smith również interesował się Freegardem i przesłał jej kopię listu, który otrzymał od niejakiego Johna Atkinsona. Caroline przekazała list Atkinsona posterunkowemu Simpsonowi.

Bardzo mi przykro, że Sarah w dalszym ciągu się z Państwem nie skontaktowała. Czuję się w obowiązku zapoznania Państwa z dalszymi szczegółami na temat tego, co przydarzyło się Sarah i mnie.

Oficer przeskoczył do kolejnego akapitu.

Był bardzo przekonujący i ja osobiście mu uwierzyłem. Od tego momentu ufałem mu bezgranicznie, gdy chodziło o zapewnienie nam bezpieczeństwa. Mniej więcej w tym czasie Sarah i ja zbliżyliśmy się do siebie.

Słyszałem, że pozbawianie możliwości snu, głodzenie i permanentne poniżanie są metodami prania mózgu. To prawda.

Posterunkowy Simpson nagle podniósł wzrok znad listu.

Pamiętam okropne rozmowy telefoniczne, które z Panem prowadziłem. Robowi udało się mnie przekonać, że musimy zmusić Pana do zrobienia tego, o co prosiła Sarah. Przeważnie nie wiedziałem, o co prosiła, ale z perspektywy czasu mogę się domyśleć. W tamtym okresie nie wolno nam było o tym rozmawiać. Rob odsyłał Sarah z powrotem do samochodu (zaparkowanego obok budki telefonicznej, z której danego dnia dzwoniiliśmy) i wzywał mnie. Mówił mi, co mam powiedzieć i jakie będą konsekwencje dla nas wszystkich, jeżeli tego nie zrobię, a potem stał spokojnie obok, podczas gdy ja kłamałem i bluźniłem przez telefon.

Na myśl o tym robi mi się niedobrze. Jeszcze raz najmocniej przepraszam.

W prima aprilis 1997 roku po raz pierwszy opowiedziałem o wszystkim rodzinie, łącznie z tym, że to Rob był moim kontaktem. Byli załamani, rozgniewani i rozczarowani. Jak to się stało, dlaczego przez cały czas ich okłamywałem? Co takiego Rob wiedział, że mógł mnie trzymać w garści? Nie umiałem odpowiedzieć na te pytania. Uwierzyłem Robowi tak bezgranicznie i zaryzykowałem tak dużo na poczet tego zaufania, że sądzę, iż przez długi czas wolałem się ludzić niż spojrzeć prawdzie w oczy. Nie miałem żadnego szacunku dla samego siebie. Być może Sarah także nie wraca, dlatego że upokorzenie, jakim jest przyznanie się do tak strasznej pomyłki, jest po prostu zbyt żenujące, żeby móc mu stawić czoło.

Posterunkowy Simpson spokojnie odłożył list na biurko i wykręcił numer do farmy Nether Hale.

- Pan Smith?
- Przy telefonie. - Głos na drugim końcu linii był wyraźnie nieufny.
- Mówi posterunkowy Mark Simpson z londyńskiej policji.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Życie pod gołym niebem

SARAH, POCZĄTEK WRZEŚNIA 2002

Znów uciekamy. Tym razem jedziemy na północ autostradą M6, kierując się drogowskazami na Birmingham.

- Wyjeżdżam na weekend na golfa - oznajmia, kiedy zbliżamy się do Shirley. - Będę cię musiał zostawić w pensjonacie.

Daje mi pieniądze na dwa noclegi i dodatkowo cztery funty na jedzenie. Obiecuje, że po mnie przyjedzie. Czwartego dnia ciągle nie daje znaku życia. Właściciel pensjonatu proponuje, że poprosi kogoś, żeby mnie podwiózł do Londynu. Ale co ja bym tam robiła? Nie mam pieniędzy, nie mam gdzie iść. Poza tym wiem, że jeżeli nie będę w miejscu, w którym mnie Rob zostawił, doprowadzi go to do szału, a nie mam najmniejszej ochoty na konfrontację.

Pytania, które mi zadają w pensjonacie, stają się niewygodne, a ja nie chcę mieć kolejnego niezapłaconego rachunku. Czuję, że nie mam wyboru: muszę uciekać. Zostawiam wszystko w pokoju, żeby nie wzbudzić podejrzeń i wychodzę, kiedy nikt na mnie nie patrzy. Wieczór ciągnie się w nieskończoność. Nie mogę wrócić do pensjonatu, a Rob ciągle się nie pokazał. Nie ma wyjścia, będę musiała spać pod gołym niebem.

Kiedy chodzę po ulicach, szukając odpowiedniego miejsca, wyobrażam sobie, że parki tutaj, na przedmieściach Birmingham, muszą być rzadziej patrolowane niż w centrum. Koncentruję się zatem na terenach zielonych i w końcu decyduję się na krzaki w ciemnym kącie parku, mając nadzieję, że liście osłonią mnie przed intruzami.

Jest wrzesień, ale pogoda ostatnio nie dopisuje i przypomina raczej późną jesień; jest wilgotno, chłodno, mży. Przygotowując się do nocy po gołym niebem, zdołałam podkraść trochę toreb plastikowych z nocnego supermarketu i teraz rozkładam je na ziemi, szykując sobie prowizoryczne poślanie. Z jednej z toreb robię coś w rodzaju miniśpiwora: rozcinam ją na dole i wkładam nogi do środka. Za poduszkę służy mi pień drzewa.

Z ubrania mam tylko to, w czym jestem: dzinsy, podkoszulkę i sweter; reszta została w pensjonacie. Kulę się, żeby zachować ciepło. Jest mi zimno i boję się, że znajdzie mnie policja albo jakiś gwałcieciel. Kiedy wreszcie przyjedzie Rob i mnie stąd zabierze? Jak do tego doszło?

Numer telefonu jest nabazgrany na skrawku papieru, który zwinęty tkwi na dnie mojego portfela od wielu miesięcy. Dzwonię z czerwonej budki telefonicznej. Cisza. Cały dzień spędziłam, snując się po okolicy. Rob dał mi telefon komórkowy, ale kredyt się już wyczerpał; on może do mnie dzwonić, ale ja nie mam jak się z nim skontaktować. Jeszcze raz próbuję z budki. Tak naprawdę nie wolno mi telefonować na ten numer, ale jestem zdesperowana. Nikt nie odpowiada. Dzwonię jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Ciągłe brak odpowiedzi. Daję za wygraną i wychodzę przygnębiona.

Następnego ranka budzę się ze wschodem słońca, jest wilgotno, śpiewają ptaki, słychać warkot samochodów wiozących ludzi do pracy i pisk opon pierwszych porannych autobusów. Po drugiej nocy w parku umieram z głodu. Grzebię w kieszeni i wydobywam nieliczne drobne pozostałe z czterech funtów, które dostałam od Roba. Jest tego raptem czterdzieści pensów.

Odnajduję supermarket, gdzie znalazłam torby plastikowe i przeczesuję półki w poszukiwaniu czegoś taniego. W dziale piekarniczym sprzedają wczorajsze czerstwe bułki po dwadzieścia pensów za torbę. To mi na jakiś czas wystarczy.

Jeżeli cokolwiek się zmieniło, to dziś jest zimniej niż wczoraj. Muszę obmyślić jakiś plan. Nie sposób zgadnąć, jak długo przyjdzie mi czekać na Roba, a nie mam zamiaru się rozchorować na zapalenie płuc, postanawiam więc znaleźć bibliotekę publiczną. Powinno

tam być przynajmniej nieco cieplej, a czytanie książek i gazet ułatwi zabicie czasu. Muszę tylko poczekać, aż ją otworzą... za trzy godziny.

Stoję w budce telefonicznej, starając się utrzymać ciepło. Już wiele razy próbowałam złapać Roba. Ciągłe brak odpowiedzi. Kiedy się wreszcie zbieram do wyjścia, rozlega się za mną dzwonek telefonu. Odwracam się i podnoszę słuchawkę.

- Co ty sobie do jasnej cholery wyobrażasz? Powiedziałem ci, że nigdy więcej nie wolno ci dzwonić na ten numer. Czy ty mnie w ogóle kiedykolwiek słuchasz? Miałem właśnie po ciebie jechać, ale w tej sytuacji będę musiał wrócić do Londynu i wytłumaczyć szefowi, dlaczego naruszyłaś zasady i zatelefonowałaś na zastrzeżony numer wbrew wszelkim instrukcjom.

- Rob, ja po prostu muszę wiedzieć, kiedy przyjedziesz. Nie mam pieniędzy, nie mam gdzie mieszkać. - Połączenie zostało przerwane. Nie powinnam była do niego dzwonić.

Jest późno, jestem zmęczona i głodna. Dowłókłszy się do kawiarni w nocnym supermarkecie, zwracam się do kogoś z personelu, mówiąc, że muszę czekać na mojego chłopaka i proszę, żeby mi pozwolili posiedzieć w środku, gdzie jest bezpieczniej. Z uprzejmości dają mi coś gorącego do picia. Nad ranem, nie chcąc nadużywać gościnności, szukam schronienia na przystanku autobusowym.

Następnego dnia Rob wreszcie się zjawia i wynajmuje mi pokój w tanim hoteliku. W samochodzie czeka na niego kolega, który nie może nas razem zobaczyć; Rob narusza przepisy samą swoją obecnością w tym miejscu.

- To tylko twoja wina, że jesteś głodna i zmarznięta. Miałaś czekać w pensjonacie. Gdybyś postąpiła tak, jak ci kazałem, nie musiałabyś spać na dworze. - Wciska mi do ręki banknot pięćofuntowy.

Płaci w recepcji gotówką za mój nocleg i w pośpiechu odjeżdża, mówiąc, że przyjedzie po mnie jutro.

Do mojego ciała powraca życie i zalewa mnie fala ciepła, kiedy zmywam z siebie brud ostatnich kilku dni.

Następny dzień spędzam, czekając w recepcji, ale Rob znów się nie pojawia. O szóstej recepcjonista mówi, że nie mogę dłużej zostać, więc zbieram się i udaję do sąsiedniego hotelu, gdzie opowiadam o przyjacielu, który ma przyjechać tu na nocleg, ale się spóźnia. Pozwalają mi poczekać w recepcji, siedzę tam do szóstej rano.

Ponieważ Roba ciągle nie ma, idę do centrum Birmingham, gdzie w supermarkecie kupuję kolejne przecenione bułki, a w sklepie z burgerami kawę. Dobrze mi, kiedy tak siedzę, obejmując rękami ciepły papierowy kubek; przeciągam tę chwilę tak długo, jak się da, przejmując płynące z niego ciepło do samego końca.

Wieczorem wracam do Shirley. Jest tam na przedmieściu most nad kanałem, wzdłuż którego biegnie ścieżka, a ponieważ zbiera się na deszcz, schodzę na dół, zbadać sytuację. Most dałby przynajmniej jaką taką osłonę i powinno być bezpiecznie. Nie wydaje się, żeby ktoś mógł mnie tu znaleźć. To będzie mój dom na następne trzy noce.

Kolejny zimny poranek; wstaję, kiedy budzą się ptaki. Nawet nie zmrużyłam oka, muszę coś zrobić, żeby pobudzić krążenie, tak więc wypuszczam się piechotą do miasta i docieram na dworzec autobusowy w centrum. To nie jest dobry pomysł. Zbyt duży tu ruch, pełno przyjeżdżających i odjeżdżających, czuję się przygnębiona. Ci ludzie wiedzą, po co żyją, mają cel - w przeciwieństwie do mnie: wyczerpanej, głodnej i brudnej. Upadam na duchu. Siadam ciężko pod wiatą, spuszczam głowę.

Nie chcę z nikim rozmawiać; mogliby mi zadawać trudne pytania. Nawet najprostsze: „Jak się nazywasz?”. Byłby problem z odpowiedzią, bo musiałabym kłamać. Ujawnienie czegokolwiek na mój temat oznacza, że mogę nigdy nie odzyskać swojego życia. Jakimś sposobem Rob się o tym dowie, jego szefowie nie będą zadowoleni, a ja znajdę się w punkcie wyjścia. Skąd mogę wiedzieć, czy nie jestem obserwowana. Jeżeli chcę odzyskać swoje życie, muszę wszystkich traktować jak potencjalnych donosicieli, gotowych zatelefonować do jednostki specjalnej, gdybym swoją osobą lub zachowaniem dała najmniejsze powody do podejrzeń.

Chrapliwy, nosowy głos przerywa moje przemyślenia. - Dałabyś parę groszy, skarbie? - Żebrak wyciąga rękę. Kręcę głową i wbijam wzrok w ziemię. Co za ironia, żeby ktoś mnie prosił o pieniądze.

Dzwoni komórka, podskakuję przestraszona. Prawie zapomniałam, że ją mam.

- Słuchaj uważnie. Masz się ze mną spotkać w pobliżu autostrady M42. Koło skrzyżowania, gdzie zjeżdżaliśmy poprzednim razem, jest hipermarket. Czekaj na parkingu.

- Ależ to jest kawał drogi - protestuję.

- Nie denerwuj mnie. To nie debata. Trzymaj się po prostu drogowskazów kierujących na M42 i czekaj na mnie na parkingu. OK?

Z centrum Birmingham do tego hipermarketu jest ponad piętnaście kilometrów. Kiedy tam docieram, jestem zmęczona, głodna, chce mi się pić i mam pęcherze na stopach. Niepotrzebnie się spieszyłam. Godziny mijają, a Roba wciąż nie ma. Robi się ciemno, zaczynam się zastanawiać, czy on w ogóle przyjedzie, kiedy w końcu zatrzymuje się koło mnie samochód.

Krażymy po sklepie, szukając czegoś do zjedzenia; przekazuje mi najświeższe rozkazy swoich bossów. - Sytuacja wygląda następująco. Będziesz musiała znowu przez jakiś czas spać w samochodzie. W tej chwili strasznie dużo się dzieje.

Światła autostrady przemykają, tworząc rozmytą plamę, kiedy rozpoczynamy nocną jazdę z powrotem do Londynu. Spanie w samochodzie jest na pewno lepsze niż pod krzakiem.

Kiedy wysiadamy w Londynie, wskazuje na srebrny volkswagen Polo. - Jeżeli ktoś cię o coś zapyta, powiedz, że jesteś przyjaciółką Kimberly Adams. - Kiwam przytakująco głową. Nie mam zielonego pojęcia, kim jest Kimberly, ale zapamiętuję podane mi nazwisko.

- I masz tu czekać, aż otrzymam kolejne instrukcje. Dla twojego własnego bezpieczeństwa, muszę cię zamknąć w samochodzie. - Słyszę głuchy odgłos zamykanych drzwi i widzę, jak wkłada kluczyki do kieszeni, po czym odchodzi.

Samochód stoi na parkingu obok stacji kolejowej Fulwell w południowo-zachodnim Londynie. To mój nowy „dom”. Mam nadzieję, że to rozwiązanie tymczasowe, dzień czy dwa i na nowo ruszymy w drogę.

Podczas dnia Rob zabiera auto, a wieczorem wraca i znów mnie zamyka. W czasie długich nocy, uwięziona, nie mogę się powstrzymać od myśli o moim bracie Guyu; zastanawiam się, czy ciągle

mieszka w pobliżu. Ale przecież zraziłam do siebie całą rodzinę, podobnie jak i przyjaciół i nie mogę teraz oczekiwać, że będą chcieli mi pomóc. Prawda jest taka, że nic mi nie pozostało z tamtych czasów i nie mam dokąd iść. Wszystko, co mogę robić, to czekać. Czekać na Roba i robić to, co każe.

Nie mam pojęcia, kiedy się znów pojawi, może to być równie dobrze siódma rano, jak i pierwsza po południu. Najgorzej jest, kiedy potrzebuję do toalety, muszę po prostu zaciskać nogi. Mogę co prawda otworzyć samochód od wewnątrz, ale i tak nie śmiałybym się oddalić, bo Rob mógłby właśnie wtedy nadejść, a mnie by nie było; jeszcze bardziej by mi utrudnił życie, a tego nie chcę nawet sobie wyobrazić. Jestem uwięziona w piekle na ziemi.

Kiedy go pytam, dlaczego muszę żyć w ten sposób, mówi, że tak zdecydowali jego szefowie, ponieważ nie ma pieniędzy na pokrycie kosztów mieszkania dla mnie. Nigdy nie dostałam żadnego dodatkowego wyjaśnienia, a nauczyłam się, że jeżeli się z Robem kłóczę, moja sytuacja się pogarsza, tak więc idę po linii najmniejszego oporu i godzę się na wszystko.

Udaje mi się natomiast przekonać go, żeby mi pożyczył parę bluz sportowych, a to bardzo ważne, ponieważ w miarę jak dni stają się krótsze, temperatura gwałtownie spada.

Spędzam dni, włócząc się po Teddington, próbując jakoś zabić czas, pijąc wodę z kranu w toaletach publicznych.

Kimberly Adams to, jak się okazuje, pseudonim agentki, koleżanki Roba. Jest Amerykanką i Rob dał mi do zrozumienia, że poproszono go, żeby ją miał na oku, ponieważ są pewne zastrzeżenia co do jej lojalności. Mieszka z nią w jednej z kryjówek kilka przecznic od dworca.

Mijają tygodnie. Kiedy Kimberly jest w pracy, Rob pozwala mi wziąć prysznic w ich kryjówce. Dobrze jest czuć się czysto i pobyc w cieple.

Stoję pod prysznicem z zamkniętymi oczami; ciepła woda działa na mnie hipnotycznie i uspokajająco. W łazience unosi się coraz gęstsza para, pokrywa wszystko, łącznie z lustrem. Chciałabym móc je otworzyć, wdrapać się do środka i zniknąć.

Słyszę, że Rob wchodzi do łazienki i natychmiast otwieram oczy, wiem, że muszę się mieć na baczności. Krew pulsuje mi w skroniach. Zakręcam wodę i w tym momencie Rob gwałtownym szarpnięciem ściąga zasłonę.

- Musisz mieć włosy takie jak Kimberly - odzywa się brutalnie.
- Wtedy każdy, kto cię zobaczy z daleka, weźmie cię za nią.

Coś stalowego błyszczy w świetle lampy. Naciągam na siebie zasłonę, ale on ją zrywa. Przygląda się mojej nagości z błyszczącymi oczami. Rzuca się do przodu i przechyla mi głowę na bok. Słyszę dźwięk towarzyszący cięciu nożyczkami, a następnie głuchy odgłos, kiedy moje włosy spadają na podłogę. Chcę krzyczeć, ale nie mogę, dławi mnie szloch.

W miarę jak rośło poczucie władzy Freegarda, stawał się on również coraz bardziej okrutny. Po dziewięciu latach wreszcie opuściła go Maria Hendy, ale w pewnym momencie w roku 2002 Freegard zwodził jednocześnie co najmniej pięć kobiet: londyńską prawniczkę Caroline Cowper; była sekretarkę firmy z Sheffield, Elizabeth Richardson; urodzoną w Polsce Renatę Kister; Sarah Smith oraz Kimberly Adams, psychologa ze Stanów Zjednoczonych. Doktor Adams była w rzeczywistości trzydziestotrzyletnią kobietą, która, zrezygnawszy z pracy na uniwersytecie w Minnesocie w USA, przeprowadziła się do Londynu, gdzie od roku mieszkała. Miała nastoletniego syna, który po rozpadzie jej małżeństwa pozostał w Ameryce i pracował w tym czasie jako psycholog szkolny w radzie miejskiej w Reading. Znużona dojazdami do pracy pociągami z zachodniego Londynu, zdecydowała, że potrzebny jej samochód. Zanim się przeprowadziła do Teddington, mieszkała w Chiswick; najbliższym salonem samochodowym był Normand Continental, a jako dealer pracował tam Robert Hendy-Freegard.

Kiedy podpisywała dokumenty dotyczące zakupu volkswagena Polo, Freegard zaprosił ją na obiad. Kimberly nie widziała w tym nic złego. „Oczywiście, dlaczegoż by nie”, odpowiedziała radośnie. Od tego momentu regularnie się z nim spotykała.

Sarah pozostawała w centrum utkanej przez Freegarda pajęczyny, ale metody, jakie zastosował w jej przypadku, były teraz powtarzane wobec innych kobiet, w szczególności wobec Elizabeth Richardson. Podobnie jak Sarah musiała ona ciągle przenosić się z miejsca na miejsce, żyć w brudzie i nędzy, niemalże głodować. Wprawdzie Freegard wykorzystał ją w charakterze narzędzia do kradzieży, jednak w wypadku tej kobiety głównym jego

celem nie było zdobycie korzyści finansowych. Chodziło raczej o wykazanie się władzą w sposób czysto sadystyczny; cierpienie Elizabeth ewidentnie sprawiało mu przyjemność.

Freegard był tak pewny swej władzy nad kobietami, że doprowadził do spotkania Sarah i Renaty, przy czym żadna z nich nie zdawała sobie sprawy, że ta druga również jest ofiarą.

Transfer pieniędzy z konta Caroline Cowper okazał się punktem zwrotnym. Policja zaczęła poważniej traktować skargi na Hendy-Freegarda i wszczęła dochodzenie. Ponadto Freegard, dając Caroline numer telefonu matki Alison, popełnił fatalny w skutkach błąd. Matka Alison stała się ogniwem, które połączyło Caroline i Petera Smitha, a kiedy kontakt między nimi został nawiązany, nie było mowy, żeby cokolwiek zdołało ich powstrzymać od doprowadzenia sprawy do końca.

Jednakże Freegard, mimo że wiedział, iż policja się nim interesuje, przygotowywał się do gry o jeszcze wyższą stawkę. Najwyraźniej nie przejmując się ryzykiem, zamierzał podjąć próbę bardziej misternego powiązania losów swych ofiar, łącząc poszczególne wątki w jedną całość. Z jednej strony zminimalizowałoby to konieczność zapamiętywania szczegółów zawiłych historii, które tworzył dla każdej z kobiet; z drugiej, umożliwiłoby mu zaspokojenie przemożnej potrzeby poniżania i znęcania się nad swymi ofiarami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Wiejskie więzienie

SUNNINGHILL, PAŹDZIERNIK 2002

Robert Hendy-Freegard i Kimberly Adams postanowili zamieszkać w dzielnicy Terrace w miasteczku Sunninghill koło Ascot w hrabstwie Berkshire. Wynajęli ładny, niewielki, stary wiejski domek, stojący w szeregu podobnych do niego schludnych domków z drewnianymi płótkami i zadbanymi ogródkami.

W pobliżu znajdował się hotel Royal Berkshire, gdzie zamożni goście jadali obiady po wyścigach i gdzie jeszcze niedawno pracowała na nocnej zmianę Sarah Smith.

Związek Freegarda z amerykańską panią psycholog był w rozkwicie i podczas wakacji na południu Hiszpanii Freegard oświadczył się jej na plaży w Marabelli. Zamierzali się pobrać jak najszybciej w małym kościółku w Walii i rozglądali się za odpowiednim pierścieniem zaręczynowym. Już parę miesięcy wcześniej Freegard podarował swej przyszłej żonie na urodziny zegarek marki Rolex.

Freegard powiedział Kimberly, że praca w salonie Volkswagena była w rzeczywistości jedynie przykrywką dla jego prawdziwego zajęcia. Był mianowicie szpiegiem na usługach rządu brytyjskiego i prowadził tajne dochodzenie w sprawie nielegalnej działalności w salonie, ale teraz jest to już sprawa zakończona.

Kiedy Kimberly dopytywała o jego tajną pracę, odpowiedź była zawsze ta sama: - Wiesz przecież, że nie mogę o tym mówić. To dla mnie trudna sytuacja, Kim. Tyle bym ci chciał powiedzieć, a po prostu nie mogę.

Zakomunikował jej, że po ślubie oboje dostaną nową tożsamość. On będzie się nazywał Harry Sinclair, a ona przyjmie polskie imię, Monika. Jego wydział wykazuje wszelkie dane o jej dotychczasowym życiu. - Będzie tak, jakbyś nigdy przedtem nie istniała - dodał, gładząc ją delikatnie po policzku.

W charakterze kaucji za dom przekazali równowartość półtoramiesięcznego czynszu i zapłacili z góry za miesiąc wynajmu. Papiery podpisali jako dr Robert i Kimberly Adams. Kimberly nie mogła się już doczekać, kiedy zamieszka w domku w Sunninghill.

SUNNINGHILL, KILKA DNI PÓŹNIEJ

- Oto on, Ronnie! Co o tym sądzisz? - Freegard obdarzył Renatę Kister czarującym uśmiechem, pokazując jej mały domek z białym, drewnianym płotkiem.

- O, jest wspaniały - odpowiedziała uszczęśliwiona.

Renata miała dość Londynu z jego brudem, tłumami ludzi, stresem. Miasteczko Sunninghill było jak balsam na jej duszę, a dodatkowo w pobliżu znajdowała się szkoła dla jej córki. Było idealnie. Tak, tu będzie szczęśliwa.

Jej związek z Freegardem miał swoje wzloty i upadki, a najgorszy incydent miał miejsce przed domem Caroline Cowper, ale Renata przebaczyła Freegardowi i była gotowa dać ich znajomości jeszcze jedną szansę. Istniał w jej życiu od dwóch lat, choć z przerwami. Jej warunki mieszkaniowe były kiepskie, a Freegard właśnie zaoferoował wyjście z tej sytuacji.

Dom został wynajęty i zgodzili się, że będą dzielić opłatę na połowę, a ponadto Freegard da jej samochód, żeby mogła się swobodnie poruszać.

- Powinnaś tu przywieźć swoje meble i ubrania - zaproponował. - I wiesz co? Może byś pomyślała o otwarciu tu firmy oferującej sprzątanie mieszkań, tyle że pod bardziej angielsko brzmiącym nazwiskiem.

- Zastanawiał się przez chwilę. - Na przykład Kimberly Adams.

- A kto to do diabła jest Kimberly Adams? - zapytała Renata z rozpromienioną twarzą.

- To po prostu wymyślone nazwisko. Nie ma takiej osoby. - Pocałował ją w przelocie. - Ale mówiąc poważnie, chciałbym, żebyś na to nazwisko wkładała pieniądze do banku. Będziesz mogła się teraz stać zupełnie nową osobą, odciąć się od starych układów. Mam nawet dla ciebie nowy dowód tożsamości.

SARAH, LISTOPAD 2002

- Połóż się - nakazuje - i nakryj się tymi ręcznikami.

Wyciągam się na siedzeniu i chowam pod kupą ręczników, zasłaniając sobie dostęp światła dziennego. Jestem bardzo zaniepokojona, zastanawiam się, o co chodzi.

Jedziemy przez prawie godzinę, ale ponieważ jestem zupełnie zdezorientowana, nie mam pojęcia, w jakim kierunku się przemieszczamy. W samochodzie jest ciepło, robi mi się niedobrze, potrzebuję tlenu. Nagle się zatrzymujemy.

Słyszę szelest, jaki towarzyszy wyjmowaniu czegoś z torby. - Włóż to na głowę - mówi Rob rzeczowym tonem. Wyglądam spod ręcznika i widzę, jak wymachuje jasnoniebieskim plastikowym wiaderkiem, które kupiliśmy po drodze. Wkłada mi je na głowę.

- Tak jak powiedziałem, nie możesz wiedzieć, gdzie jesteśmy - mówi krótko. - Pamiętaj, że będziesz bezpieczna tak długo, jak długo będziesz wypełniała moje polecenia. - Poruszam się niepewnie, prowadzi mnie ścieżką przez ogródek.

- Do środka - syczy. - Ani mru mru. - Wpycha mnie przez drzwi i zamyka je za nami. - Teraz możesz zdjąć wiadro. - Rozglądam się. Jestem w małym, nieumeblowanym pokoju w wiejskim domku.

- Jesteśmy w kryjówce. Poprzedni mieszkańcy musieli uciekać w popłochu. - Robię dwa kroki w kierunku wykuszu i widzę drewniany płotek.

- Odejdź od okna. Na litość boską! Co dla ciebie jest niezrozumiałego w słowie „bezpieczeństwo”? - wrzeszczy na mnie.

Każe mi iść do kuchni na tyłach domu. - Musisz się trzymać tyłów domu, być niewidoczna. Chcę, żebyś tu posprzątała. Wypucz wszystko dokładnie.

Pod koniec dnia ręce mam obolałe od szorowania i jestem gotowa do wyjścia. Jednak on ma inne plany.

- Nie ma innej możliwości.

Zastanawiam się, o czym mówi.

- Muszę gdzieś pojechać. Natychmiast.

Do czego to prowadzi? Ogarnia mnie niepokój.

- Nie ma czasu, żeby ciebie gdzieś stąd wywieźć. - Każe mi wejść do łazienki i mówi, że będę musiała tu zostać. To wcale nie takie złe, myślę sobie i zaczynam odczuwać ulgę. Jest ciepło, jest wanna, prysznic, toaleta; to zasadnicza poprawa w stosunku do samochodu. Nagle bomba pęka.

- Obawiam się, że będę cię musiał tu zamknąć. To dla twojego własnego dobra.

- Chyba sobie żartujesz. Nie możesz mnie tu zamknąć - panikuję.

- Nikt cię nie może zobaczyć. Ciebie tu nie ma. To kryjówka. Tylko w ten sposób będę pewien, że cię nikt nie nakryje.

- A jeżeli wybuchnie pożar?

- Nie bądź głupia, nic się nie wydarzy.

- A co będzie, jeżeli tobie się coś stanie? Nikt nie wie, że tu jestem.

- Przestań biadolić! Wróć niedługo.

Powiedziawszy to, trzaska drzwiami, zamyka je i wyciąga klucz. Odwracam się i opadam na kolana, szlochając. W panującej tu zimnej ciszy nie ma nikogo, kto by mnie mógł usłyszeć.

Kap, kap, kap... Kran w łazience cieknie. Oprócz tego, nie słychać żadnych innych dźwięków. Mijają godziny, a on się nie pokazuje. Mogłabym tu umrzeć i nikt by się o tym nie dowiedział. To ponura myśl. Wstaję i opryskuję sobie twarz zimną wodą.

Jest okno, ale małe, matowe i zamknięte. Widzę światło, ale nie mogę wpuścić świeżego powietrza. To cela więzienna. Nie mam nic do jedzenia. W ciągu ostatnich paru miesięcy mocno straciłam na wadze, z rozmiaru 44 doszłam do 40. Czuję się bardzo samotna, tak

jakby świat o mnie zapomniał. Moją maleńką przestrzeń życiową ogarnia noc.

Klucz przekręca się w zamku. - Gdzie byłeś do jasnej cholery?!
- rzucam się na niego. - Już nigdy mnie więcej tak nie zostawiaj. -
Rozgoryczenie i rozpacz kipią we mnie, przekształcając się w gniew.

Wydaje się, że mój wybuch go rozśmiesza. - To przez pracę.
Nie mogłem wrócić - mówi, uśmiechając się z wyższością. Otwiera
pudełko z pizzą. - No już dobrze, jedz. Nie stresuj się tak bardzo. -
Pożeram te pyszności pomimo protestów ze strony mojego żołądka.

- Cieszę się, że ci smakowało - zauważa, wypakowując toster
z torby z nadrukiem John Lewis i stawiając go ostrożnie na płycie
kuchennej. Rob ma na sobie czarną skórzaną kurtkę, bluzę sportową
i džinsy, jest nieogolony i wygląda wyjątkowo niechlujnie. Zastana-
wiam się dlaczego.

- Muszę już iść. - Ręką wskazuje łazienkę. - Do środka.

Jego słowa są dla mnie jak uderzenie batem, zamieram w bez-
ruchu, nic nie rozumiejąc.

- Nie mówisz poważnie. - Ogarnia mnie panika.

- Takie są zasady. -Ależ, Rob...

- Takie są zasady, do cholery!

Wpycha mnie bezceremonialnie z powrotem do mojej celi. Je-
dyne dźwięki, które słyszę to jego oddalające się kroki i kapanie
wody.

SUNNINGHILL, KILKA DNI PÓŹNIEJ

Renata poruszała się sprężystym krokiem. Przyjechała do niej z
Berlina przyjaciółka, Monika i Renata chciała jej pokazać wiejski
domek, gdzie miała zamieszkać, gdy zorganizuje sobie pracę. Przy-
jechały do Sunninghill i zatrzymały się przed domkiem, chichocząc.

- Uroczy - powiedziała Monika.

- Chodź, oprowadzę cię - zaproponowała Renata podnieconym głosem.

Szybko przeszły ścieżką przez ogródek, stukając obcasami o kamienie. Renata wyciągnęła klucz, który jej dał Freegard i wsadziła go w zamek, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Kręciła nim we wszystkie strony, coraz bardziej zirytowana i w końcu dała za wygraną.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że mi dał zły klucz - gotowała się ze złości. Otwierając z trzaskiem otwór na listy, zobaczyła światło w holu. Poza tym nie było znaku życia.

Będzie musiał za to odpowiedzieć. Żeby jej dać klucz niepasujący do zamka! Ciężko pracuje na to, co ma, będąc samotną matką i prowadząc firmę sprzątającą. Jak mógł jej coś takiego zrobić? Powie mu, że przemyślała wszystko i że nie zamierza zamieszkać w domku w Sunninghill. Nareszcie posłucha swych przyjaciół. „Nie ufaj mu”, ciągle ją ostrzegają. „Coś z nim jest nie tak”.

Renata niezależnie od wszystkiego zaczęła walić w drzwi, bardziej ze zdenerwowania niż w nadziei, że ktoś jest w środku. - Niech no tylko dorwę tego faceta. Ukręcę mu ten cholerny łeb. - Tupiąc, ruszyła w stronę furtki.

SARAH

Słyszę walenie w drzwi. Jestem przerażona, że ktoś może wejść do środka i mnie tu znaleźć. Co robić? Łowię uchem odgłos oddalających się kroków i oddycham z ulgą.

Minął tydzień. Leżę zwinięta w kłębek na zimnej podłodze. Od kiedy silny podmuch wiatru zgasił płomień palnika w piecyku gazowym, nie ma ogrzewania. Sztuczne ognie puszczane noc po nocy na dworze przypominają mi, co tracę*. Tutaj nie ma nic, tylko niekończące się, puste godziny.

*W Wielkiej Brytanii 5 listopada obchodzony jest Dzień Guya Fawkesa. Jest to święto ludowe upamiętniające wykrycie spisku Fawkesa, którego celem było wysadzenie parlamentu w roku 1605. Dla uczczenia rocznicy w całym kraju odbywają się między innymi pokazy ogni sztucznych.

Czasami Rob wypuszcza mnie na jakiś czas z łazienki, żebym posprzątała. Wszystko jest lepsze niż beczynne siedzenie w zamknięciu. Ostatnim razem, kiedy mnie odwiedził, zgodził się, żebym włożyła ubrania do pralki, natomiast nie pozwala wziąć niczego z szafek, chociaż pełno w nich jedzenia. Mówi, że to wszystko jest przeznaczone dla kolejnego agenta, który tu będzie mieszkał.

Poprosiłam, żeby mi przyniósł gazetę i rozkoszuję się każdym słowem, w kółko ją czytając. Poza tym po prostu rozmyślam, jak przez to przejść, jak to przetrwać.

Dla zabicia czasu wyobrażam sobie różne dobre rzeczy, które chętnie bym zjadła. W głowie przygotowuję rozmaite posiłki, łącząc dania w wyszukane menu.

Minęły trzy dni od jego ostatniej wizyty. Głód rwie mi wnętrzności.

- Masz jakieś przywidzenia - twierdzi, kiedy się wreszcie pojawia. - Popadasz w przesadę. Nie było mnie tylko dwa dni.

- Wiem, ile razy zrobiło się ciemno od twojego ostatniego pobytu tutaj - mówię rozżalona.

- Jedz. - Stawia przede mną danie indyjskie, które zjadam łapczywie, ale jedzenie po prostu przeze mnie przelatuje; mój żołądek nie jest w stanie tego przyjąć.

Znowu mnie zostawił, ale tym razem nie zgasił światła; nie mogę go wyłączyć, ponieważ kontakt jest na zewnątrz. Zamiast naturalnego cyklu dni przechodzących w noc, mam teraz jeden długi okres światła białego.

Rzucam się i przekręcam z jednego boku na drugi, starając się choć trochę przespać, ale jest to sen niespokojny, przychodzi falami, jak napady duszności. Kiedy się budzę, leżę i zadrezczam się myślami o mojej obecnej egzystencji. Świat skurczył się do umywalki, wanny, prysznicza i toalety.

ZACHODNI LONDYN, LISTOPAD 2002

Renata Kister była w domu i prasowała, kiedy zadzwonił telefon. Był to jej kuzyn Dariusz Mazurek. Właśnie dostał zaadresowany do niego list z policji. Zadawali ogólne pytania i chcieli wiedzieć,

czy kupił samochód od Roberta Hendy-Freearda.

- Czy ten list przyszedł pocztą? - zapytała Renata.

- Nie - odpowiedział Dariusz. - Ktoś go wrzucił przez otwór w drzwiach. Jest napisany odręcznie na kartce papieru.

Renata przypomniała sobie nagle, że trzeba się mieć na baczności. Pamiętała, co Robert jej opowiadał o fałszywych policjantach. Nieraz ją ostrzegał, że ktoś może się próbować z nią skontaktować, podając się za funkcjonariusza policji. W takich wypadkach miała zaprzeczyć, że kiedykolwiek go znała. Prawdziwy policjant nie powinien w rozmowie z nią nawet napomknąć o istnieniu Freegarda z powodu poufnego charakteru pracy, którą wykonywał. Renata zastanowiła się teraz nad tym, jak również nad faktem, że list był napisany odręcznie na kartce papieru. Wydawało się to zbyt nieudolne, żeby mogło naprawdę pochodzić z policji.

- Jest tam coś jeszcze?

- Podane są dwa nazwiska: posterunkowy Mark Simpson i sierżant Bob Brandon oraz ich numery telefonu.

- Zignoruj to - poradziła.

Usłuchawszy Renaty, Dariusz Mazurek zrobił z listu papierową kulkę i wrzucił ją do kosza na śmieci.

SARAH

Jestem w stanie takiej frustracji, że mam ochotę walić głową w ścianę łazienki. Od lat pracuję, żeby zasłużyć na nowe życie. A jeżeli to jedno wielkie kłamstwo? Oznaczałoby to, że straciłam blisko dziesięć lat i bezpowrotnie zniszczyłam wszelkie związki, na których mi zależy. I wszystko na nic. Jeżeli natomiast to, co się dzieje, ma coś wspólnego z prawdą, to dlaczego ciągle mnie tu trzyma; przecież do niczego mu nie jestem potrzebna? Jeżeli moje życie ma się sprowadzać do tego, to mogę równie dobrze umrzeć.

Patrzę w sufit. Przez głowę przemykają wspomnienia. Konne przejażdżki po polach Nether Hale z okresu dzieciństwa mają w

sobie coś z baśni, jakby należały do innego świata. Ja zostałam wyłączona. Przypominam sobie swoją rodzinę, ból, który im sprawiałam, niekończące się prośby o pieniądze. Co oni teraz porabiają? Moja rodzina, Nether Hale, mój dom, to wszystko stracone. „Dom”, „życie” to obce mi pojęcia; nie wiem już, co one oznaczają. Moje życie można podsumować krótkim słowem: nicność. Jedyne co mogę zrobić, to dociągnąć do samego końca. Ale czy nawet to ma sens? A może lepiej przestać istnieć?

Rozglądam się po łazience, szukam czegoś, czegokolwiek... ale nie ma nic, nie ma noża, nie ma sznura. Gdzieś z głębi mojej duszy wydobywa się długi, cichy skowyt, krzyk samotności, pustki, żalu; dochodzi do mnie, że nie mogę nawet odebrać sobie swego własnego życia.

ZACHODNI LONDYN, LISTOPAD 2002

Znowu zadzwonił kuzyn Renaty, Dariusz Mazurek. - Słuchaj, właśnie dostałem kolejny list z policji.

Renata przechadzała się bosą po mieszkaniu z telefonem bezprzewodowym przy uchu. Spojrzała z aprobatą na świeżo pomalowane paznokcie ręki, w której nie trzymała telefonu. - Coś takiego, znowu wrzucony przez otwór w drzwiach, tak? - zapytała, śmiejąc się po cichu.

- Tym razem to list polecony, tyle że bez znaczka. Zgadnij, kto musiał opłacić koszty przesyłki!

- Nie żartuj. To irytujące, - Renata usadowiła się na kanapie z nogami podkurczonymi pod siebie.

- W liście pytają, czy jestem spokrewniony z „Ronnie” - kontynuował Dariusz.

- Co? Naprawdę jest tam napisane „Ronnie”? - zapytała Renata lekko zdziwiona. Jediną osobą, która kiedykolwiek nazywała ją Ronnie był Freegard. Może to był test, może to Robert osobiście stał za tym listem, może chciał się przekonać, czy Renata skontaktuje się z policją.

- To niemożliwe, żeby został wysłany z policji - powiedziała. - Nie mogliby być na tyle głupi, żeby wysyłać list polecony i nie zapłacić za przesyłkę.

Po raz drugi w ciągu miesiąca Dariusz Mazurek zmiął list ze Scotland Yardu i wrzucił go do kosza na śmieci.

SARAH

Minęły trzy tygodnie. Jest zimno. Widać mi zębra. Nie jestem w stanie skupić się na żadnych pozytywnych myślach, w miarę jak odętwienie i apatia coraz bardziej mnie ogarniają.

Słyszę za drzwiami strażnika mojego więzienia. Tym razem nie wstaję z podłogi. Z trudem podnoszę na niego oczy i widzę w nich jakieś błyski: coś jakby podniecenie.

- Zawsze mi się podobałaś, Sarah - mruczy śmiertelnie zimnym głosem zabójcy.

- Ale mnie zamknąłeś w łazience - mówię wolno i niewyraźnie, sparaliżowana strachem na myśl o tym, do czego to może prowadzić.

- Chciałbym z tobą chodzić. Będziesz moją dziewczyną? - Podchodzi bliżej, wpatrując się we mnie.

Jestem zaszokowana. - Dziewczynę musiałybyś traktować dużo lepiej niż mnie - mamrocze.

- Chcę się z tobą kochać. - Jego głos jest złowieszczy, lepki jak syrop, wślizguje się do mojej świadomości.

Mimowolnie moje ciało odsuwa się pod zimną, ceglana ścianę, ale mój umysł zostaje nagle postawiony w stan pogotowia i zaczyna kalkulować, w szaleńczym tempie, jak palce biegające po klawiaturze. Może mogłabym się uwolnić z tego więzienia, gdybym się poddała, może mogłabym wynegocjować lepsze traktowanie?

Rozbiera mnie. Mój umysł walczy. To straszne, to jest naprawdę straszne.

Niosą mnie fale wezbranej rzeki, razem z nim; jestem bezradna, z trudem utrzymuję się przy życiu. W głowie mam pustkę. Unoszę się ponad tym wszystkim, gdzieś poza sobą. To się nie dzieje naprawdę, na pewno nie. Tak obrzydliwe wykorzystanie mojego ciała to ostatni promyk nadziei na jakąkolwiek poprawę w moim życiu. Łzy bezgłośnie spływają mi strumieniami po twarzy.

KONIEC LISTOPADA 2002

Metal zazgrzytał o metal z przeraźliwym piskiem i posterunkowy Mark Simpson osunął się bezwładnie na kierownicę. Wiedział, że jest poważnie ranny. Zdawał sobie sprawę, że przez pewien okres nie będzie zdolny do pracy.

Jego dochodzenie w sprawie Roberta Freegarda będzie musiało zostać na jakiś czas zawieszone.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nieracjonalne działania

KONIEC LISTOPADA 2002

Kierując się na północ, Freegard wyłożył Kimberly obowiązujące zasady. - Nie życzę sobie, żebyś pracowała w radzie miejskiej w Reading. To był twój ostatni dzień. Nie chcę, żebyś tam kiedykolwiek wróciła. Chcę, żebyś zaszła w ciążę.

Kim nic nie odpowiedziała.

- Moja matka jest wzorem doskonałej kobiety. Zabieram cię do niej. Będziesz z nią mieszkała.

Kim lekko kiwnęła głową na znak zgody. Ważniejsze od wszystkiego innego było męczące ją poczucie winy. Sądziła, że zrobiła coś strasznie złego i uważała, że musi mu to wynagrodzić, cokolwiek by to było, pracując nad zacieśnieniem ich związku. Robert był tak szlachetnym mężczyzną i jednocześnie tak dumnym, że ze wstydem myślała o kilku przygodach miłosnych, które się jej przydarzyły w przeszłości. Nie chciała, żeby ją Freegard porzucił. Tak długo, jak będą razem, wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży. Musi mu po prostu udowodnić, że jest warta jego miłości i że jest mu oddana. Zrobi wszystko, o co ją poprosi.

Freegard zostawił Kimberly u swojej matki w Blyth, po czym pojechał z powrotem do Teddington, żeby spakować jej rzeczy. Wpychając ubrania Kim do plastikowych toreb, zatrzymał się na chwilę nad czerwonym płaszczem, parą czarnych rękawiczek i czarnym szalikiem. Elizabeth Richardson narzekała ostatnio, że nie ma płaszcza. Tak, każe Sarah zawieźć jej te rzeczy do Kettering. Przed

wyjściem podarł wszystkie fotografie należące do Kim, łącznie ze zdjęciami jej syna.

SARAH, KONIEC LISTOPADA 2002

- Możesz wyjść na dwór. - Rob wyprowadza mnie z łazienki.
- Wyjeżdżamy.

Wychodząc niepewnym krokiem z mojego więzienia na świeże powietrze i światło dzienne, czuję, że wreszcie poprawia mi się nastrój. Ale optymizm znika prędko, ponieważ każda akcja zainicjowana przez Roba ma zawsze swoją ciemną stronę.

Jedziemy do domu w Teddington. Rob informuje mnie pośpym tonem, że Kimberly Adams, amerykańska agentka, którą rozpracowywał, popełniła samobójstwo, nie chcąc dopuścić do procesu i że on musi teraz uporządkować jej sprawę.

- Możesz się tu chwilowo zatrzymać - mówi, nagle się rozchmurzając. - Powinno być bezpiecznie. Ale powinnaś mieć się na baczności. Rodzina Kim i jej przyjaciele nie zostali jeszcze poinformowani o okolicznościach jej śmierci. Jeżeli ktoś będzie jej poszukiwał, nie otwieraj drzwi, a jeżeli ten ktoś nie będzie chciał odejść, powiedz, że wyjechała ze mną na wakacje. Jeżeli ktokolwiek zapyta cię, skąd się tu wzięłaś, powiedz, że jesteś przyjaciółką Kim i że ona poprosiła cię, żebyś się zaopiekowała domem podczas jej nieobecności.

BLYTH, GRUDZIEŃ 2002

- Ty dziwko! Jeżeli mnie zdradzisz w jakikolwiek sposób, zniszczę twoją rodzinę. - Freegard był znowu w ponurym nastroju. Oskarżał Kim o niewierność z powodu związków, które miała, z nim jeszcze się poznali.

- Zaprojektowałem pudło zamykane na kłódkę, specjalnie żeby cię móc torturować. Natrę ci nogi smalcem, wsadzę je do pudła, a

do środka wpuszczę głodne szczury - rozprawiał, podczas gdy ona kuliła się ze strachu w kącie pokoju.

- Albo nie, zostawię cię Pavowi. Pav znakomicie się umie obchodzić z nożem - powiedział, uśmiechając się krzywo.

Kim była przerażona, kiedy się zachowywał w ten sposób. Jakiś czas temu miał miejsce straszny incydent. Freegard zakopywał w ogrodzie na tyłach domu starego psa matki i wyciągnął ją na dwór, żeby się temu przyglądała. Zmarznięta i nieszczęśliwa patrzyła, jak Freegard opuścił psa do dołu i zasypał go ziemią. Ciągłe trzymając łopatę w ręku, podszedł do niej, przysunął swą twarz tuż do jej twarzy i wyrzucił z siebie: - Mam nadzieję, że nie będę musiał zrobić tego samego z twoim synem.

Nie miała pieniędzy, telefonu, kart bankowych, prawa jazdy, a ponieważ zgodnie z planem po ślubie czekała ją zmiana tożsamości, oddała Freegardowi również swój paszport. Nie mogłaby nawet udowodnić, kim jest. Nie śmiała mu się sprzeciwić, bo a nuż rzeczywiście miał przyjaciela o imieniu Pav, który się ponoć tak świetnie obchodził z nożem. Nie mogła sobie pozwolić na narażenie siebie i swojego syna na niebezpieczeństwo. Po prostu nie miała wyboru. Musiała zostać tu, gdzie była.

POŁUDNIOWO-ZACHODNIA ANGLIA, STYCZEŃ 2003

Freegard był w agresywnym nastroju. Oczy mu płonęły gniewem, wyglądał jak opętany. - Zdradzasz mnie! Pieprzysz się z kim popadnie!

Kim cieszyła się, kiedy zaproponował spokojny weekend z dala od Londynu, teraz jednak oskarżał ją o flirt z jakimś mężczyzną w barze hotelowym. - Jak śmiesz próbować podrywać kogoś innego, kiedy jesteś ze mną? - Freegard przemierzał pokój wielkimi krokami, wściekając się na nią, aż mu się ślina zebrała w kącikach ust. - Ty pieprzona dziwko. Ty zdziro. Chyba sobie nie zdajesz sprawy, że mógłbym cię zabić, tu i teraz, i nikt by się nawet o tym nie dowiedział. - Rzucił się na nią.

Totalna zmiana, jaka zaszła w nastroju jej narzeczonego, wprawiła Kim w osłupienie. Naprawdę się bała. - Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła, biegnąc do okna.

Był tuż na nią. - Już kiedyś zabiłem człowieka. Strzałem w łeb, z pistoletu do gwoździ. - Z rozdętymi nozdrzami zaczął okładać przerażoną kobietę pięściami po głowie i szarpać ją za ramiona. Nagle odepchnął ją od siebie. - Ty kupo gnoju. Z małżeństwa nici.

W pokoju zapanowała przeraźliwa cisza. Przerwał ją cichy, jękliwy głos Freegarda. - Całkowicie mnie zniszczyłaś. Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę, co ty ze mną zrobiłaś? Zobacz, co ze mną zrobiłaś. Kocham cię. Nie chcę z tobą zrywać. Gdyby nie ja, byłabyś zwykłą dziwką. Chcę cię uratować przez samą sobą. Chcę z ciebie zrobić dobrą, porządną kobietę.

SARAH, STYCZEŃ 2003

Jestem spięta, ciągle się spodziewam, że ktoś może przyjść lub zadzwonić, chcąc się czegoś dowiedzieć o śmierci Kimberly. Jestem na górze, kiedy dochodzi do mnie odgłos klucza zgrzytającego w zamku. To nie może być Rob, ponieważ wiem, że wyjechał za granicę. Kazał mi się zaryglować, jednak ta osoba nie zamierza odejść i głośno wali w drzwi. Wyglądam przez okno na Fulwell Road, ale nie mogę nikogo dojrzeć. Może to pułapka. Schodzę po cichu na dół i otwieram ostrożnie drzwi.

Na progu stoi mężczyzna, którego nigdy dotychczas nie widziałam. Jest wysoki, budzi we mnie grozę. Przygląda mi się ze zdziwieniem.

- Dzień dobry - mówi nieufnie. - Kim pani jest? Zgodnie z instrukcją przedstawiam się jako Juliet Butler.

- Nazywam się Simon Proctor. To mój dom.

Wpadam w panikę. Próbuję zebrać myśli, kiedy wyjaśnia, że wrócił wcześniej z podróży dookoła świata i spodziewał się zastać Kim.

- A co pani tutaj robi? - Stoi już teraz w holu.

Uciekam się do planu awaryjnego, który Rob naszkicował na wypadek, gdyby pojawił się jakiś znajomy Kim. Poznałam ją w barze na południu Londynu, gdzie pracowałam i Kim poprosiła mnie,

żebym się zaopiekowała mieszkaniem w czasie jej nieobecności. Mówię, że jestem z nią w kontakcie emailowym i że ma się dobrze.

- To dziwne. Od jakiegoś czasu próbuję się z nią skontaktować, ale nie odpowiada. Martwię się o nią. - Obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem i czuję, że się rumienię. - Nikt nie wie, gdzie ona jest, nawet jej matka. Nikt nie ma od niej żadnej wiadomości - mówi.

Przerywa, przypatruje mi się przez chwilę, po czym twarz mu się zachmurza i oznajmia, że zamierza zadzwonić na policję i złożyć zawiadomienie o zaginięciu Kimberly. Prosi o mój numer telefonu i adres. Chce, żebym była świadkiem.

Z całej siły próbuję wymyślić, co powinnam teraz zrobić, ponieważ najwyraźniej ten mężczyzna uwierzył w moją historyjkę. Odpowiadam, że jestem tu tylko dlatego, że zostałam o to poproszona, że utrzymuję w domu czystość i porządek.

Jeszcze raz domaga się, żebym mu podała swoje dane, a ja po prostu kręcę głową.

- Proszę mi oddać klucze i wyjść - mówi lodowatym tonem.

Zabieram małą torebkę z lodówki i wychodzę w pośpiechu. Moje instrukcje na taki wypadek są jasne: mam się udać na lotnisko Heathrow, do terminalu 4 i czekać tam, aż zjawi się Rob.

Do Heathrow jest z Teddington ponad piętnaście kilometrów, niezła wycieczka w ładną pogodę. Dziś jednak właśnie zaczął padać śnieg i zrobiło się przejmująco zimno. Jestem w szoku. Co się teraz stanie? Czy Simon Proctor, jeśli jego prawdziwe nazwisko, zatelefonuje na policję? Czy coś namieszałam? Kiedy Rob do mnie zadzwoni? Jak długo będę musiała czekać na Heathrow? Mam tylko dwa funty w drobnych monetach, to wszystko.

Po przejściu kilku kilometrów zatrzymuję się, żeby kupić paczkę pączków i herbatę. Coraz bardziej pada i płatki śniegu przyklejają mi się do twarzy. Moje buty są niemal całkowicie zdarte i mam przemarzniete stopy. Wzmaga się wiatr i śnieg zaczyna się kłębić. Zrywa się zamieć.

Pochylam głowę i brnę dalej w kierunku lotniska; prowadzi mnie paniczne przerażenie.

SHEFFIELD

Elizabeth Richardson jechała autobusem National Express do Sheffield. Na miejscu miała się znaleźć dopiero późno w nocy i poprosiła swoją przyjaciółkę, Karen, żeby po nią wyszła na dworzec autobusowy.

Elizabeth wyglądała mizernie i cuchnęła, jakby się nie myła przez dłuższy czas. Rzeczywiście się nie myła. Twarz miała spuchniętą, pokrytą wypryskami, żebra jej wystawały. Była nieumalowana, ale przecież nie miała kosmetyków, żeby móc sobie zrobić jakikolwiek makijaż.

Przyjaciółka była zaszokowana, zobaczywszy Elizabeth i zaczęła coś na ten temat mówić, ale Liz, wymachując telefonem komórkowym, który wyciągnęła z kieszeni, dała jej znak, żeby zamilkła. Karen zmarszczyła brwi, ale zastosowała się do niemych instrukcji Liz. Kiedy komórka została bezpiecznie schowana w bagażniku, wsiadły do samochodu i włączyły odtwarzacz na cały regulator.

- Chodzi o to, żeby nikt nas nie mógł usłyszeć - wyjaśniła Liz.
- Wyglądasz na chorą. Czy ty w ogóle coś jesz?
- Jest tylko jedna rzecz, której potrzebuję: kąpiel.

Znalazszy się w swoim mieszkaniu, Liz zapaliła świece; zgodnie ze ścisłymi rozkazami Roba nie wolno jej było włączać światła. Powiedział, że jest obserwowana przez snajpera ze znajdującej się w pobliżu szosy Stocksbridge. Celem snajpera jest oczywiście on, ale jeżeli nie uda im się zabić jego, to nie zawahają się zastrzelić Elizabeth, żeby tylko dotrzeć do Freegarda. Szosa przebiegała na wysokości salonu Liz, tak więc według instrukcji miała się schylać, zbliżając się do okien, żeby uniknąć ściągnięcia na siebie ognia.

Chcąc mieć pewność, że snajper ich nie dojrzy, zaciągnęła zasłony, po czym całą swą uwagę skupiła na kąpieli. Nie miała ani grosza, żeby zasilić licznik prądu, tak więc z konieczności musiała to być kąpiel zimna.

SHEFFIELD, 31 STYCZNIA 2003

Ponieważ w kinie nie grali niczego, co Robert Hendy-Freegard i Kimberly Adams mieliby ochotę obejrzeć, skierowali się z powrotem do samochodu. Nad ich głowami na nocnym niebie lodowatym

blaskiem połyskiwały gwiazdy. Jeszcze niedawno bardzo mocno padał śnieg.

Kim była blada i apatyczna. Straciła poczucie rzeczywistości i czuła się, jakby wisiała na ścianie skalnej, która w każdej chwili może się rozkruszyć.

- Kim - powiedział delikatnym tonem Freegard - rozchmurz się. Posłuchaj, zaoferowano mi coś, co może się okazać wielką szansą dla nas obojga. - Zamilkł na moment. - Naprawdę nie wiem, czy w ogóle powinienem z tobą o tym rozmawiać, ale... - Freegard nastroszył się jak jakiś egzotyczny ptak, a jego głos drżał z podniecenia.

- No więc tak. Byłem wczoraj na spotkaniu, na którym wysunięto propozycję, żebym monitorował rosyjskie łodzie podwodne u zachodnich wybrzeży Szkocji. Moglibyśmy tam wyjechać oboje. Co o tym sądzisz?

Kim uśmiechnęła się słabo. Wiedziała aż nadto dobrze, że nie należy zadawać zbyt wielu pytań.

- Będziemy musieli pojechać do Londynu na spotkanie, ale spróbuję to trochę przełożyć, tak żebyśmy mogli wszystko omówić. Jeżeli się zdecydujemy, konieczne będzie małe szkolenie, a to będzie kosztować...

- Freegard zamilkł. Coś w nim jakby pękło. Naprężył plecy jak koń, który właśnie zamierza zrzucić jeźdźca i zaczął przewracać oczami. - Jak to było z Paulem? Co się wydarzyło? Wiem, że się z nim przespałaś.

Kim wydała stłumiony okrzyk. Freegard wepchnął ją do samochodu i włączył silnik.

- Dlaczego nie chcesz się przyznać?

- Nie zrobiłam tego. - Kim z trudem zachowywała spokój.

- Kłamiesz - powiedział Freegard przez zaciśnięte zęby. - Jesteś zwykłą dziwką, zdzirą. Mam tego dość. Zabiję cię.

Freegard zwiększył obroty silnika i wrzucił bieg.

- Najpierw jednak poddam cię torturom. Słyszysz, co do ciebie mówię? - wrzasnął.

Z piskiem opon i na pełnym gazie ruszyli w drogę, kierując się za miasto.

- Jak to jest, kiedy się wie, że się swoimi kłamstwami zamordowało własnego syna? Bo to właśnie się stanie, zabiję twój syna - powiedział chrapliwym głosem.

Siedząca obok niego Kim cicho łkała.

- Oddałabyś za niego swoje życie? - dopytywał się Freegard. Kiwnęła głową. - Tak, oczywiście, że tak.

- To w porządku, tak właśnie zrobimy. - Freegard jechał coraz szybciej, a Kim zamknęła oczy.

- Boisz się? - zapytał nonszalancko.

- Tak.

- W takim razie będziesz zadowolona rano, kiedy już będziesz martwa.

Freegard pędził brawurowo wiejskimi drogami. Nagle poczuł się wyczerpany i zjechał do zatoki parkingowej na odludziu. - Muszę się przez chwilę przespać. Nie wychodź z samochodu. Jeżeli to zrobisz, tym gorzej dla ciebie.

Kim była oszołomiona i przerażona i strach przed tymi niewyobrażalnymi konsekwencjami sprawił, że siedziała sztywno na swoim siedzeniu, podczas gdy Freegard spał.

Kiedy Freegard w końcu otworzył oczy, zaczął mrugać powiekami jak ktoś, kto próbuje pochwycić wątki zacierającego się w pamięci snu. Odwróciwszy się do Kim, powiedział rzeczowym głosem: - Nie zamierzam tego wszystkiego zrobić. Nie mogę. Ja cię kocham. Dlaczego musiałaś mnie okłamać? Pragnąłem ci dać cały świat, opiekować się tobą. Będzie nam dobrze, ale pod warunkiem, że mnie nigdy więcej nie zdradzisz i że już nigdy mnie nie oszukasz.

SARAH, 3 LUTEGO 2003

- Wszystko ci się pomieszało. Odpowiadałaś źle. - Rob patrzy na mnie gniewnie. Jest w parszywym nastroju. Czuję się poniżona i upokorzona.

- Nie. Powiedziałaś mu, że jestem przyjaciółką Kim, dokładnie tak, jak mi kazałeś - bronię się. - Uważam, że skrupulatnie trzymałam się instrukcji.

- To wszystko było częścią programu, Sarah. Zadaniem tego faceta było pojawić się tam i zacząć ci zadawać pytania. Jedyne, co miałaś zrobić, to udzielić właściwych odpowiedzi, a on pozwoliłby ci zostać. Oblałaś.

Wsiadamy do samochodu, Rob wrzuca bieg. Jest druga trzydzieści w nocy. Drzewa kołyszą się na wietrze, a za każdym ruchem z gałęzi sypie się topniejący śnieg, który się rozchlapuje na szybie. Zostawiamy za sobą Heathrow, gdzie po kilku dniach wyjątkowo złych warunków pogodowych uniemożliwiających ruch lotniczy ponownie zaczęły startować i lądować samoloty.

Nie ujechaliśmy zbyt daleko, kiedy zaczynam rozpoznawać kontury znajomych budynków. Chociaż po szybach samochodu spływa woda, nie ma mowy, żebym się mogła mylić. Właśnie koło niego przejeżdżamy: to hotel Royal Berkshire. Rob nic nie mówi, kiedy skręcamy w lewo do Sunninghill, które znajduje się tuż obok. Zatrzymujemy się przez domkiem z drewnianym płotkiem; Rob gasi silnik.

- Nie bój się. Nie zamierzam cię zamykać. - W jego głosie wyczuwam nutę pogardy. - Jestem zbyt wykończony, żeby się zajmować środkami ostrożności, nie będę zatem ci wpychał wiadra na głowę. I tak wiesz już o wiele za dużo o różnych sprawach. Postanowiłem ci zaufać; zakładam, że nikomu nie powiesz, gdzie znajduje się ta kryjówka.

Wprost nie mogę w to uwierzyć. Byłam zamknięta w łazience w Sunninghill, dwie minuty drogi od hotelu, w którym pracowałam przez dwa i pół roku, gdzie miałam kiedyś przyjaciół.

- Wstajemy o czwartej, ponieważ muszę jechać na lotnisko Gatwick, a ciebie zabieram ze sobą.

Śpię krótko i niespokojnie, jakbym się znajdowała w ptasim gnieździe uplecionym z kruchych gałązek.

Zatrzymuje się przy hali odlotów północnego terminalu lotniska Gatwick. Parking tętni życiem, jedna za drugą podjeżdżają taksówki, wyładowują pasażerów i ruszają w drogę powrotną.

- Muszę kogoś odebrać.

- Nie możesz mnie tak po prostu tu zostawić! - mówię, rozsierdzona.

- Wszystko spieprzyłaś w Teddington. - Patrzy w niebo, wyciągając szyję nad kierownicą i wyglądając przez przednią szybę. -

To twoja wina, że muszę cię wysadzić na lotnisku. - Jego słowa zawisają w powietrzu, są jak wyzwanie, jak poruszająca się, czerwona płachta na byka.

- Rob, potrzebuję pieniędzy. Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie dasz pieniędzy.

Wzdycha i sięga do kieszeni. - Masz tu dziesięć funtów. Wrócę za parę godzin. Po prostu idź na górę do poczekalni, usiądź i nie wpakuj się w jakieś tarapaty.

Machnięciem ręki każe mi wyjść z samochodu i zatrzaskuje za mną drzwi.

Nie wiem skąd, ale przecież wiem, że jest mało prawdopodobne, żeby to rzeczywiście było tylko parę godzin.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Szpiedzy z latarni morskiej

GATWICK, 3 LUTEGO 2003

Lądowanie samolotu z Minneapolis, którym leciał ze Stanów Zjednoczonych ojciec Kimberly Adams, spodziewane było lada chwila. Po wysadzeniu Sarah pod halą odlotów Freegard objechał terminal i zostawiwszy samochód na parkingu krótkoterminowym, udał się do hali przylotów.

John Adams wolnym krokiem przechodził przez stanowisko odprawy celnej. Był człowiekiem dumnym i stanowczym, a przede wszystkim ojcem przywiązany do córki. Od chwili, kiedy został poinformowany o przełożeniu zaplanowanego na listopad ślubu Kimberly i Freegarda - ponieważ, jak doniosły „źródła” Freegarda, w sytuacji, która zapanowała po 11 września, należało ze względów bezpieczeństwa unikać lotów - John odczuwał coraz silniejsze uczucie niepokoju. Podczas Bożego Narodzenia jego żona, Dianne i przyjaciele spędzający z nimi święta namówili go, żeby się jednak dowiedział, o co chodzi. Podjąwszy decyzję, John powiadomił córkę, że przyjeżdża i ignorując sprzeciwy Freegarda, zarezerwował bilet na najbliższy dostępny lot do Londynu.

Znalazłszy się w hali przylotów, rozejrzał się, poszukując wśród tłumów ludzi znajomej twarzy córki.

W tym momencie przyskoczył do niego Freegard. - Pan Adams, prawda?

- Gdzie jest Kim? - zapytał John, zawiedziony, że córka nie wyszła go przywitać.

- Nie czuje się zbyt dobrze - odpowiedział Freegard. - Ale wkrótce się z nią spotkamy.

Zaprowadził Johna na parking. - Najpierw chcę panu pokazać Londyn.

Wsiedli do samochodu Freegarda. John, mężczyzna potężny, niemalże przytrzasnąwszy sobie kolana i łokcie, pomyślał, że to auto jest mniej więcej tak wygodne jak pułapka na myszy. Usiłował się jakoś usadowić, garbiąc się, żeby się nie ocierać głową o dach. Dlaczego ci przekłęci Europejczycy nie nauczyli się budować samochodów takich, jakie się robi w Ameryce?

- Tu mamy Tower of London - krzyknął Freegard, wskazując znaną atrakcję turystyczną, obok której właśnie przemknęli.

- Kiedy zobaczę córkę? - zapytał John. Zaczynał odczuwać brak powietrza w tej ograniczonej przestrzeni.

- Niedługo. To jest Big Ben, a tam widać Opactwo Westminsterkie - objaśniał Freegard, kiedy okrążali plac Parliament Square, zostawiając za sobą opary spalin.

- Teraz pojedziemy na północ - oświadczył Freegard po mniej więcej dwu godzinach.

John, który stracił orientację w czasie tej błyskawicznej wycieczki po londyńskich atrakcjach, dowiedział się, że udają się do miejscowości o nazwie Worksop i że zabierze im to trzy do czterech godzin w zależności od nasilenia ruchu. Wkrótce mknęli autostradą, a za oknami samochodu szybko przesuwał się towarzyszący jej nieciekawym krajobraz.

- Niech pan łaskawie zwolni! - krzyknął John, nieprzyzwyczajony do tak dużej prędkości w tak małym pojeździe. Ale im bardziej John narzekał, tym bardziej Freegard zwiększał szybkość.

Zatrzymywali się często na stacjach benzynowych, żeby kupić Red Bulla. - W ogóle nie spałem - wyjaśnił Freegard. - Z powodu śnieżyca musiałem wstać w środku nocy, żeby dojechać na czas do Gatwick.

John popatrzył na przyprószone śniegiem nasypy po obu stronach autostrady. To ma być śnieżyca! Gdybyś tak mógł zobaczyć nasz śnieg, pomyślał. U nas jak sypie, to w tym, co napada, można by zamrozić zapasy żywności na cały miesiąc. Zachował jednak swoje przemyślenia dla siebie, a powiedział jedynie: - W moich stronach nazwalibyśmy to przelotnym opadem. Tam, gdzie mieszkamy, potrafi zacinać przez kilka dni bez przerwy, a pokrywa śniegu może sięgnąć pięciu metrów. Pomiędzy naszym domem a granicą

kanadyjską nie ma niczego oprócz trzech słupków w płocie, co mogło by powstrzymać zawieję. Nie, Robercie, to nie jest śnieżycy, to tylko przelotny opad.

Zatrzymali się w końcu na stacji benzynowej nieopodal Work-sop i Freegard oznajmił, że są na miejscu. John zauważył zbliżającą się do nich kobietę w średnim wieku. Rozpoznał ją dopiero, kiedy znalazła się nie dalej niż metr od niego; doznał wstrząsu.

- Cześć, tatau - powiedziała Kim. John przypomniał sobie niebywale atrakcyjną, drobną, młodą kobietę, jaką była jego córka, kiedy wyjeżdżała z Ameryki. Obecnie, jak ocenił, musiała ważyć dwa razy więcej, a jej delikatne rysy zatonęły w tłuszczu.

SZKOCJA

Trójka podróżników podążała w kierunku Loch Ness w górach Szkocji. Poprzedni dzień spędzili w Walii, gdzie obejrzeli kościół, w którym miał się kiedyś w przyszłości odbyć ślub Kim i Freegarda, po czym zatrzymali się na noc w Liverpoolu.

Pojawiły się szkockie krajobrazy, demonstrując swe uroki w promieniach słońca: góry sięgające nieba i malutkie wiejskie zagrody, które przycupnęły w ich cieniu. Jednak pomimo piękna okolicy John był niespokojny. Spojrzał na córkę siedzącą na tylnym siedzeniu. Dawała się w niej zauważyć nie tylko zmiana fizyczna, całe jej zachowanie było inne. Kiedyś tak bardzo pewna siebie, teraz co chwila spoglądała na Freegarda, szukając u niego potwierdzenia dla każdego zdania, które wypowiadała. John zauważył, że ani razu nie udało mu się z nią porozmawiać na osobności; tak jakby jej narzeczonemu zależało na utrzymaniu ojca i córki z dala od siebie, a to coraz bardziej martwiło Johna.

W okolicy Loch Ness zameldowali się w pubie White Horse, po czym znaleźli w pobliżu kawiarenkę w budynku z litego, żółtego kamienia. Kwadratowe, drewniane stoły przykryte były białymi, szeleszczącymi papierowymi obrusami, a zamówienie na podwieczorek przyjęła od nich kelnerka w koronkowym fartuchu i żeglarskiej czapce.

- Dla mnie mrożona herbata - powiedział John, z zadowoleniem odnotowując wyraz konsternacji na twarzy kelnerki.

Freegard wyprostował się na krześle. - Zamierzamy z Kim zamieszkać w latarni morskiej na wysepce u wybrzeży Szkocji. Będziemy latarnikami przez następne dwadzieścia pięć lat.

John zadławił się ciastkiem, które właśnie przełykał.

- Chyba pan nie mówi poważnie? Latarnicy! Dwadzieścia pięć lat! Pan jest szalony, jeżeli pan sądzi, że moja córka będzie do końca życia siedziała w latarni morskiej. O rany! Ja nie mam pojęcia, co będę robił za dwa i pół tygodnia - prychnął, próbując to wszystko sobie uporządkować w głowie. - Poza tym pan jest szalony, jeżeli pan myśli, że ciągle jeszcze istnieją latarnicy. To jakaś przedpotopowa profesja.

Freegard rozejrzał się spokojnie po kawiarni. - Będziemy latarnikami tylko z nazwy - powiedział szeptem. - Tak naprawdę chodzi o monitorowanie działalności rosyjskich łodzi podwodnych na Morzu Północnym. Będziemy je obserwować z centrum telekomunikacyjnego mieszczącego się w latarni morskiej.

John zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał. Wiedział, że rządy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii monitorują rosyjskie działania, tak więc pomysł użycia latarni morskiej dla ukrycia tajnych operacji wydawał się prawdopodobny.

- Latarnia morska to tylko przykrywka, tato. Na Morzu Północnym zostanie umieszczony sonar - dodała Kim.

- I co ważne, zarobimy mnóstwo pieniędzy - dorzucił Freegard. - Ja będę miał około stu pięćdziesięciu tysięcy funtów rocznie, a Kim siedemdziesiąt pięć. Jeżeli będziemy mieli dzieci, rząd zajmie się ich edukacją i innymi sprawami.

- Nie mogę uwierzyć, że zechcesz mieszkać na wyspie przez dwadzieścia pięć lat. - John ciągle próbował pogodzić coś, co wydawało się nieskończonym okresem bezczynności z tym wszystkim, co wiedział na temat płodnego umysłu córki.

- Powinam chyba nieco zwolnić tempo, tato - powiedziała.

- Kim będzie musiała przejść szkolenie i zdać egzamin - kontynuował Freegard. - Ale najpierw trzeba jeszcze załatwić inne formalności. Rząd brytyjski, wykorzystując swoje powiązania z CIA i FBI,

zmieni nazwisko Kim. Unicestwią jej świadectwo urodzenia, dyplom uczelni i inne tego typu sprawy. Kim przestanie istnieć. Ale zanim ją oddelegują ze mną do latarni morskiej, musi zdać egzamin.

- Freegard wzruszył nonszalancko ramionami.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Kim zda ten egzamin - stwierdził stanowczo John. - Ta dziewczyna w życiu nawet czwórki nie dostała. Zawsze piątki. Nie życzyłbym panu, żeby pan musiał z nią grać w Trivial Pursuit*, ona zna wszystkie odpowiedzi.

- Koszt egzaminu wynosi trzydzieści pięć tysięcy dolarów - powiedział Freegard. - Chcemy, żeby pan to zapłacił.

John oparł się na krzesło, przyjmując do wiadomości najświeższy zwrot akcji. - Mam pieniądze, ale nie mogę ich wyjąć w tej chwili. Mógłbym je dostać za miesiąc do sześciu tygodni.

- To za późno, musimy mieć tę kwotę do piątku - powiedział Freegard.

- Pan jest chyba stuknięty, jeżeli się panu wydaje, że mogę wam dać tak duże pieniądze tak szybko.

- A może mógłby się pan zwrócić do matki Kim? Wiem, że jej mąż właśnie coś wygrał na loterii stanowej - zasugerował Freegard bez zmruczenia oka.

- Tato, musimy mieć te trzydzieści pięć tysięcy dolarów - powiedziała Kim bezbarwnym głosem.

John wypił łyk mrożonej herbaty, przyglądając się innym gościom, którzy zajmowali się swoimi własnymi sprawami. - No dobrze, zadzwonię w waszym imieniu.

Następnego dnia zatelefonował do Dennisa Hodginsa, męża swojej byłej żony. Opowiedział mu o monitorowaniu rosyjskich łodzi podwodnych, dodając, że uważa, że to czysta sprawa. - Oddam ci wszystko, Denny, jak tylko będę mógł.

- Okej. Wystaw mi weksel własny, a ja ci wyślę pieniądze - zgodził się Denny.

*Trivial Pursuit - popularna gra planszowa, w której gracze muszą udzielać odpowiedzi na pytania z wiedzy ogólnej.

- Wielkie dzięki. Ale chciałbym cię jeszcze o coś poprosić. Wyślij to dopiero w poniedziałek albo we wtorek, dobrze?

- Tak więc rozumiem, że trzydzieści pięć tysięcy dolarów znajdzie się na koncie Kim do piątku - powiedział Freegard.

- Na początku przyszłego tygodnia.

- Powiedziałem, że musi to być do piątku.

- Hej, Bob, wyluzuj. Może pan raz coś zrobić w moim tempie, nie w swoim.

- Niech pan mnie nie nazywa Bob.

- Przepraszam, bez urazy! - John przechadzał się z rękami w kieszeniach, z przyjemnością odnotowując irytację, w którą udało mu się wprowadzić Freegarda.

- Niech pan tylko dobrze traktuje Kim. Jeżeli z nią zdrzesz, Bob, wrócę razem z jej trzema braćmi, posadzę cię na płocie, przybiję ci jaja do słupka, a potem cię zepchnę.

- Niech się pan nie martwi, zaopiekuję się nią - odpowiedział Freegard z pogardą.

Było to na dzień przed wyjazdem Johna. - Jeszcze jedna, ostatnia sprawa - oświadczył Freegard. - Wszystko, co panu powiedzieliśmy, jest tajne. Możliwe, że w pewnym momencie agencja będzie chciała pana przetestować, bez pańskiej wiedzy, upewnić się, że nie ujawnia pan poufnych informacji. Prawdopodobnie spytają pana, czy ma pan córkę. Jestem pewien, że zna pan odpowiedź.

John kiwnął głową; miał w takiej sytuacji powiedzieć, że nie ma żadnej córki. Jednakże niezależnie od tego, jeszcze przed wyjazdem ze Szkocji, zadzwonił w środku nocy do swojej żony, Dianne i poprosił ją, żeby się udała do siedziby władz stanowych. - Wydostań stamtąd akt urodzenia Kim, jej dyplom, kartotekę z historią jej chorób, świadectwo maturalne. Umieść te dokumenty potwierdzające jej tożsamość w skrytce bankowej. Mogą mówić, że mi zabierają córkę, ale nie zabiorą mi dowodów na to, że jest moja.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Świeży trop

TEDDINGTON, 19 LUTEGO 2003

Posterunkowy Mark Simpson, który podjął pracę po chorobie, był w drodze do Teddington, gdzie chciał złożyć wizytę w domu przy ulicy Fulwell Road. Wypadek unieruchomił go na dwa i pół miesiąca, ale teraz wrócił do sprawy Roberta Hendy-Freeara ze świeżą determinacją.

Otrzymał informację, że samochód zaparkowany przed domem matki Freeara w Blyth koło Worksop jest zarejestrowany na adres w Teddington, do którego się właśnie zbliżał. Miał nadzieję, że uda mu się zaarrestować Roberta Hendy-Freeara.

Posterunkowy Simpson zatrzymał się przed domem, spoglądając na drobne płatki śniegu spadające na przednią szybę jego samochodu. Drzwi otworzył Simon Proctor. Policjant powiedział, kogo poszukuje, a wówczas Simon zaprosił go do środka.

Simpson dowiedział się, że Freear jest narzeczonym Kimberly Adams i że ona mieszkała w domu Simona w Teddington podczas jego podróży zagranicznych. Jednak obecnie Simon był przekonany, że Kim zaginęła i podejrzewał, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Była jeszcze jedna sprawa, o której Simon chciał opowiedzieć posterunkowemu. Kiedy około dwóch tygodni temu wrócił z podróży, zastał tu jakąś młodą kobietę. Przedstawiła się jako Juliet Butler, ale, co ciekawe, jak tylko zaczął ją wypytywać, co robiła w jego domu, dziewczyna uciekła.

Markowi Simpsonowi przyszła nagle do głowy pewna myśl. Wyciągnął z kieszeni dwie fotografie i pokazał je Simonowi. Jedna przedstawiała kobietę o ciemnych włosach i została zrobiona nad

morzem, na drugiej ta sama kobieta, elegancko ubrana, miała włosy blond. Były to zdjęcia Sarah Smith. Czy to ta osoba przedstawiła się Simonowi jako Juliet Butler? Simon Proctor uważnie przyjrzał się obu podobiznom, próbując wyobrazić sobie nieznaną, którą spotkał na progu swego domu. Kobieta, którą pamiętał, miała dłuższe i ciemniejsze włosy oraz była szczuplejsza niż dziewczyna z pierwszego zdjęcia, ale Simon był niemal pewny, że na obu fotografiach rzeczywiście znajdowała się Juliet Butler.

NETHER HALE, 20 LUTEGO, 2003

- Pani Smith? Mówi posterunkowy Simpson z policji londyńskiej.

Jill przyłożyła słuchawkę mocno do ucha i ścisnęła w palcach długopis, nie chcąc uronić żadnego szczegółu z tego, co policjant mógł mieć do powiedzenia.

- Dużo się zastanawiałem nad tą sprawą; chcielibyśmy, żebyście państwo zgłosili zaginięcie Sarah - powiedział detektyw.

Niepokój zdusił nagle rozbudzone nadzieje Jill.

- Oczywiście. Jeżeli pan uważa, że to pomoże. Co mamy zrobić? - zapytała Jill.

- Potrzebne nam będzie wszystko, co mogłoby pomóc ją zidentyfikować: informacje medyczne, kartoteki dentystyczne, jakiegokolwiek szczegóły tego rodzaju.

- Minęło sporo czasu, nasz miejscowy lekarz pierwszego kontaktu może nie przechowywać tak długo historii chorób - powiedziała Jill, wzdychając ciężko. - Ale chwileczkę, Sara złamała rękę w nadgarstku, kiedy miała dziesięć lat i musieli ją składać pod narkozą. Może w szpitalu w Margate trzymają dłużej dokumentację. Mogę to sprawdzić w dziale kartotek medycznych.

Nastąpiła pełna napięcia przerwa, po czym posterunkowy Simpson odpowiedział: - Możliwe, ale myślę, że szybciej mnie się uda dotrzeć do tego typu szczegółów, drogą formalną. Takie dane są zazwyczaj poufne. Jak się nazywał ten szpital?

- To był szpital imienia Elżbiety Królowej Matki.
- Ten temat niech pani mi zostawi - powiedział policjant. - A teraz sprawa kartotek stomatologicznych.

Jill przeleciało przez głowę jakieś mgliste wspomnienie. - Sprawdzę u naszego miejscowego dentysty w Birchington, zobaczę, czy coś ma. Pamiętam, że Sarah miała tam kiedyś robione prześwietlenie. Skontaktuję się z nim i do pana oddzwonię, dobrze?

SARAH, 21 LUTEGO, 2003

Muszę być ciągle na nogach, jeżeli nie chcę zostać zauważona przez policję. W Gatwick panuje stan podwyższonej gotowości w związku z napięciem na Bliskim Wschodzie i zagrożeniem atakami terrorystycznymi. Ludzie są usuwani z lotniska; co i raz to widzę, więc muszę być zawsze szybsza od policji. Nie mogę się dać namierzyć. Nauczyłam się być niewidoczna.

Mieszkam tu od trzech tygodni, cały czas się wymykając. Doprowadziłam mój porządek dnia do perfekcji: jeden dzień spędzam na terminalu północnym, następny na południowym, w nocy próbując się przez parę godzin przespać. Siedzenia na lotnisku nie mają poręczy i dzięki temu mogę się wyciągnąć i trochę poleżeć. Staram się wtopić w tło, ciągle się przemieszczać i nie dać się usunąć.

W ciągu dnia wędruję czasami do pobliskiego miasteczka, do biblioteki publicznej i czytam książki. Myszkuje po supermarkecie, wyobrażając sobie, co bym mogła kupić, gdybym miała pieniądze, ale w rzeczywistości na moją dietę składają się suche bułki, sprzedawane pod koniec każdego dnia po obniżonych cenach. Jakiś facet, który miał talon do McDonalda, najwyraźniej uważał, że głoduję, ponieważ kupił mi burgera na jednym z terminali. Ależ to była uczta.

Kiedy tylko nadarza się okazja, zbieram gazety i pisma zostawiane przez podróżnych, czytam je i rozwiązuję wszystkie możliwe krzyżówki. Ale dni i tak ciągną się w nieskończoność. Ta monotonia wywołuje stan będący mieszaniną letargu i stresu. Nic dobrego nie może wyniknąć z tego koktajlu i jak dawniej próbuję sobie radzić,

izolując się psychicznie od wszystkiego, co mnie otacza.

W końcu pojawia się Rob. Odbiera mnie z lotniska i zawozi do hotelu, gdzie mogę wziąć prysznic i zjeść normalny posiłek; mam nadzieję, że uda mi się trochę przespać.

- Musisz zmienić uczesanie - oznajmia - i czas, żebyś znowu zaczęła zarabiać. Załatwiłem ci pokój u kogoś w Londynie. Będziesz pracowała jako sprzątaczką.

- Ale nie jest to ta Polka, u której mieszkałam przedtem?

- To tylko na parę dni, Sarah.

- Nie, nie, nie. Nie ma mowy, żebym tam wróciła.

- To dla twojego dobra, Sarah. Musisz zarobić trochę gotówki. Za tydzień będziesz w drodze na kontynent z paszportem jednego z krajów bloku wschodniego. A teraz dobra wiadomość: kiedy już tam dojedziemy, odzyskasz swoje życie.

ZACHODNI LONDYN

Renata przyglądała się kobiecie stojącej na progu jej mieszkania; była szczupłą, miała krótko obcięte włosy z floletowoczerwonymi pasemkami. Nie rozpoznawała w niej osoby, która kiedyś u niej mieszkała, maltretowanej żony uciekającej przed mężem, ale Renata wiedziała, że to ona. Kiedy zadzwonił Freegard i poprosił o przysługę, stanowczo się sprzeciwiła. - To aby nie ta sama kobieta, którą tu kiedyś przyprowadziłeś?

- Daj spokój, Ronnie. Pomóż mi.

- Nie ma mowy - odpowiedziała. - Zeszłym razem nie powiedziała ani słowa. To jakiś dziwoląg.

- Zachowywała się tak, bo była przerażona. Przecież zadzwoniła i sama ci to powiedziała. - To prawda, Renatę została przeproszona wieczorem tego samego dnia, kiedy ta kobieta uciekła z jej mieszkania. - To tylko na tydzień - przymilał się - i może ci pomóc w firmie sprzątającej. - Renata ustąpiła. Pomyślała, że Rob ciągle potrafi znaleźć jej słaby punkt, powiedzieć coś, co właśnie chce usłyszeć, wykorzystać jej dobrą naturę.

Niezbyt entuzjastycznie skinieniem ręki zaprosiła do środka kobietę, która się przedstawiła jako Carrie Rogers. Renata nie mogła nie zauważyć, że była ona ubrana w rzeczy Freegarda, miała na sobie jego czarną, skórzaną kurtkę, jego adidas i pasek; zastanawiała się, dlaczego ta cała Carrie nie ma własnych ubrań.

- Będziesz musiała spać na podłodze - oznajmiła Renata.
- Oczywiście, to żaden kłopot - odpowiedziała kobieta.

Renata nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że osoba mająca taką łatwość porozumiewania się, znalazła się na progu jej mieszkania bez żadnych rzeczy osobistych i z tak skromnymi wymaganiami. Cała ta sytuacja była naprawdę bardzo dziwna.

Freegard musiał czuć, że pętla wokół jego szyi się zaciesnia. Wiedział, że policja jest na tropie i począwszy od tego momentu coraz więcej czasu spędzał w różnych częściach Europy, gdzie prawdopodobnie przygotowywał plan ucieczki. Pod pretekstem pokazywania Europy Kimberly przemierzył cały kontynent - był w Belgii, Francji, Szwajcarii, Monako, Włoszech, Austrii, Niemczech, Czechach i Holandii. Podczas tych podróży rzadko spędzał gdziekolwiek więcej niż jedną noc; jedynie, kiedy rozbił samochód w górach na południu Francji, zatrzymał się z Kimberly w tym samym miejscu na nieco dłużej.

Co robił w tych wszystkich krajach? Ojcu Kimberly powiedział, że jedzie do Berlina i Petersburga przeprowadzić pewne „transakcje finansowe”. Czyżby otwierał konta bankowe, na których mógłby umieścić wyłudzone od różnych ludzi pieniądze? Jeżeli tak, to czy występował pod swoim własnym nazwiskiem czy też pod jednym ze swych nazwisk fałszywych?

A co można powiedzieć na temat Sarah? W tym momencie znajdowała się pod kontrolą Freegarda już od dziesięciu lat; odebrał jej wszystkie pieniądze i zmusił do życia w taki sposób, że jej możliwości zarobkowania zostały zasadniczo ograniczone. A jednak wygląda na to, że nie miał zamiaru jej porzucić; wprost przeciwnie, zaopatrując ją w skradziony paszport jednego z krajów Europy Wschodniej, planował przypuszczalnie zabrać ją ze sobą na kontynent. Dlaczego chciał aż tak ryzykować? Zwłaszcza, że zatrzymanie Sarah przy sobie oznaczało dalszą konieczność organizowania dla niej zakwaterowania i wyżywienia, a więc ponoszenia kosztów, również za granicą. Wydaje się, że taki plan działania nie dawał mu żadnych praktycznych

korzyści. Przecież Sarah była mu teraz tylko brzemieniem.

Czy aby na pewno?

Sama Sarah mówi, że były momenty, kiedy czuła, że traktował ją jak „powiernika”. Jednakże dla Freegarda żyjącego w swym socjopatycznym świecie, gdzie wszystko opierało się na wyrachowaniu i manipulacjach, Sarah była niewolnikiem najważniejszym, jedynym elementem stałym, żywym uosobieniem jego mocy - dowodem, że potrafi kontrolować ludzi i nad nimi dominować. Freegarda upajał fakt, że był panem jej życia: po nocach spędzonych pod gołym niebem była wdzięczna za odrobinę ciepła i dach nad głową w Sunninghill; zareagował na to, zamykając ją na trzy tygodnie w łazience i kontrolując (jak już to wielokrotnie robił przedtem), co je, kiedy je, kiedy wolno jej wyjść. Istniała tylko po to, aby zaspokajać jego kaprysy.

Z drugiej strony, po dziesięciu latach izolacji w życiu Sarah nie było nikogo poza Freegardem. W czasie tych lat traktował ją sadystycznie, ale od czasu do czasu okazywał sympatię, a nawet dawał prezenty - takie na przykład jak aparat fotograficzny, który zresztą potem odebrał. Nie dziwi, że te „przejawy życzliwości” umacniały Sarah w przekonaniu, że Freegard pracuje dla rządu i że się o nią troszczy. Kiedy Freegard uprawiał z nią seks, odezwały się w Sarah instynkty pierwotne. Oddanie mu się było ostatnią desperacką próbą przetrwania, stanowiło iskierkę nadziei, że może w związku z tym będzie ją lepiej traktował.

Wydaje się, że ich „związek” - poprzez sam czas trwania - osiągnął stadium wykraczające poza tak zwany syndrom sztokholmski (gdzie ofiara porwania identyfikuje się z porywaczem) i wszedł w znacznie bardziej skomplikowaną fazę. Wykorzystywana i wykorzystujący zostali ze sobą sprzęgnięci, znaleźli się w zamkniętym kręgu - w jej wypadku przyczyną była zrezygnowanie, w jego - potrzeba okazywania władzy. Cokolwiek jeszcze Freegard zrobił lub zamierzał zrobić, nie miał w planach wypuszczenia Sarah na wolność.

Część siódma

WYŚCIG Z CZASEM

marzec - czerwiec 2003

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Pociągi, autobusy, samoloty...

SARAH, MARZEC 2003

Właśnie skończyłam sprzątanie biura w nabrzeżnym kompleksie na Plantation Wharf w Wandsworth w południowo-zachodniej części Londynu. Rob zadzwonił i wyznaczył mi spotkanie w centrum Wandsworth, czyli około dziesięciu minut drogi piechotą od miejsca, gdzie się znajduję. Mamy jechać na Oxford Street. Chce, żebym coś dla niego zrobiła.

- Posłuchaj - mówi tuż po wejściu do pociągu. - Dostałem zlecenie specjalne. A to oznacza, że będziesz musiała zostać u Renaty trochę dłużej i dalej sprzątać. Zachowuj wszystkie pokwitowania, żebym mógł sprawdzić, ile zarobiłaś; chcę być pewien, że Renata mnie nie oszukuje.

Wręczam mu gotówkę, którą zdobyłam, od kiedy zaczęłam pracować u Renaty, ale chcę też mu zadać swoje pytania. - Kiedy wyjadę na kontynent? Kiedy dostanę nowe życie?

- Jeszcze nie dość uzbierałaś, Sarah. Może byś wzięła więcej pracy? Jak tylko osiągniesz cel, będzie Europa, własne pieniądze i własne życie.

Tuż po wyjściu z metra na stacji Oxford Street odwraca się do mnie, twarz ma skoncentrowaną, głos szorstki. - Chcę, żebyś znalazła punkt, w którym mają najlepszy kurs euro. Sprawdź wielkie domy towarowe takie jak Selfridges i wszystkie kantory wymiany w okolicy. Spotkamy się w tym samym miejscu za dwie godziny.

Potwierdzam skinieniem głowy i ruszam w drogę.

- Aha, jeszcze jedna, ostatnia sprawa - woła, przywołując mnie z powrotem. - Kiedyś w przyszłości zatelefonuję do ciebie i będziesz musiała się udać na któryś dworzec kolejowy. Chcę, żebyś

tam odebrała walizkę pełną pieniędzy.

Czyżby to miały być moje pieniądze? Boże dopomóż, mam nadzieję, że nie, bo przecież one powinny być na koncie policyjnym. Jeżeli to są moje pieniądze, to znaczy, że stało się coś naprawdę złego. Odchodzi, zostawiając mnie samą wśród tłumów ludzi, którzy wyszli na sobotnie zakupy. Mam do wypełnienia misję: znaleźć najlepszy kurs euro w mieście.

Dwie godziny później schodzimy do parkingu podziemnego. Czeka nas kolejna podróż, tym razem do środkowej Anglii.

Jedziemy na północ w grobowej ciszy. Mijamy drogowskazy na Leicester i Dunton Bassett. W końcu skręcamy w boczną drogę, na końcu której znajduje się staroświecki przystanek autobusowy z wiatą. Zmierzamy w kierunku wioski. Rob zatrzymuje się na poboczu i każe mi się ustawić na przystanku; mam zwrócić uwagę, czy ktoś go nie śledzi i pilnować, żeby nikt nie uszkodził jego czarnego audi. Patrzę za nim, kiedy się ode mnie oddala, po czym wchodzi do jednego z domów.

SARAH, NASTĘPNEGO DNIA

- To pierwszy raz. Dlaczego mi je dajesz? - pytam, trzymając w rękę kluczyki do srebrnego Polo Kimberly Adams. Rob nigdy dotychczas nie powierzył mi kluczyków do żadnego samochodu.

Właśnie wróciliśmy do Londynu ze środkowej Anglii, zostawiliśmy audi, zabraliśmy Polo i wjechaliśmy nim na podziemny parking Master-park na placu Audley Square w Mayfair.

- Gdybyś kiedyś musiała szybko uciekać, wiesz co robić - mówi Rob.

- A tymczasem samochód będzie z dala od wścibskich spojrzeń.

- A jak niby mam zapłacić za parking? Gdzie jest kwit? - pytam.

Przez chwilę nie odpowiada. Zamiast tego spogląda na mnie lekko poirytowany, po czym najwyraźniej się uspokaja. - Kiedy pójdziesz na stację i odbierzesz walizkę, o której ci mówiłem, znajdziesz tam dość pieniędzy, żeby to uregulować. A co do kwitu, sama coś wymyślisz.

John Adams, przypięty pasem bezpieczeństwa, leciał samolotem z Iowa do Waszyngtonu DC. W wolnym czasie zasiadał w sądzie stanu Iowa rozpatrującym przestępstwa narkotykowe popełniane przez nieletnich, a raz na rok udawał się do stolicy USA na spotkanie z kongresmenami i senatorami, jako członek grupy lobbyngowej, forsującej poprawki ustawodawcze na rzecz społeczności lokalnych. Wyglądał przez małe, okrągłe okienko na niebieskie przestworza, wbijając wzrok w horyzont. W trakcie lotu miał czas, żeby spokojnie pomyśleć. On i inni członkowie rodziny wyłożyli dotychczas blisko 150 000 dolarów dla jego córki Kimberly. Parę tygodni po powrocie ze Szkocji do Johna zadzwonił Freegard, informując, że Kim oblała egzamin, który miał jej dać uprawnienia do pracy w centrum monitoringu w latarni morskiej, a co za tym idzie, potrzebowali pieniędzy, żeby mogła jeszcze raz przystąpić do tegoż egzaminu.

- Jeszcze dziesięć tysięcy dolarów.
- Nie wierzę, że oblała - krzyknął John.
- Zabrakło jej jednego punktu.
- Co to były za pytania?

Freegard oddał słuchawkę Kimberly.

- Nie mogę ci powiedzieć - odezwała się Kim wymijająco.
- Gdzie zdawałaś ten egzamin? Kim byli egzaminatorzy?
- Nie możemy omawiać tych spraw - ponownie wtrącił się

Freegard.

John wypił łyk wody i w zamyśleniu przesuwał po dnie szklanki kostki lodu, sięgnął do górnej kieszeni marynarki po portfel, z którego wyciągnął małe zdjęcie Kim. Przyjrzał się podobnie córki. Oblewanie egzaminów zupełnie do niej nie pasowało; powiedział to zresztą Freegardowi: nigdy w życiu nie przepadła na żadnym egzaminie. Coś w tym wszystkim nie grało, coś nie dawało Johnowi spokoju, a nie był typem człowieka, który lekceważy instynkt, zwłaszcza jeżeli sprawa dotyczy córki.

John Adams ubrany w strój wieczorowy przemierzał wielki hol Kapitolu w Waszyngtonie. Był gościem na dorocznym obiedzie dla osób oddanych sprawie ustawodawstwa dla stanu Iowa, ale tego

wieczora co innego chodziło mu po głowie. Zajął miejsce przy stole, zauważając, że został posadzony obok szefa policji Sioux City, Joe Frizby'ego, człowieka, którego John dobrze poznał, spotykając się z nim od lat. Nagle podjął decyzję.

- Joe, muszę ci coś opowiedzieć - zaczął wolno, patrząc szefowi policji prosto w oczy.

- To zaczynaj, słucham - odparł Frizby.

- Pamiętasz moją córkę Kim, prawda? Związała się z kimś, kto twierdzi, że chce się z nią ożenić. Ale posłuchaj tego: ten facet utrzymuje, że pracuje w brytyjskich tajnych służbach, że jest kimś w rodzaju Jamesa Bonda i mówi, że będą mieszkali w latarni morskiej u wybrzeży Szkocji przez dwadzieścia pięć lat i monitorowali rosyjskie łodzie podwodne. Czy sądzisz, że to może być prawda?

- Czyś ty oszalał?

- Właśnie się nad tym zastanawiałem.

- Jeżeli w to wierzysz, to może uwierzysz również w to, że mam ziemię do sprzedania na Florydzie. A niech to, John! Jak ja nie cierpię tej hołoty, tych wszystkich kanciarzy.

John odwrócił się, nie wytrzymując wzroku Joe i zajął się obiadem. Miał nadzieję, że przyjaciel uspokoi jego obawy, ale on w istocie tylko potwierdził ich zasadność. John Adams wiedział już, co powinien zrobić.

Kilka dni później w Sioux City historii Johna wysłuchał szef biura senatora Chucka Grassleya.

- Kim nie reaguje na to, co do niej mówię. Nie jest sobą - powiedział John, wzruszając ramionami. W ciężkim powietrzu wszystko zastygło w bezruchu, z oddali dobiegały monotonne odgłosy ulicy.

Ktoś natychmiast zatelefonował do waszyngtońskiego biura senatora Grassleya i po pół godzinie pojawili się Steve Harker i Bob Burney z siedziby Federalnego Biura Śledczego w Sioux City.

Dwaj agenci FBI zmrużyli oczy i spojrzeli na siebie z ukosa, robiąc szczegółowe notatki. Z uzyskanych informacji wywnioskowali, że Kimberly była prawdopodobnie przetrzymywana wbrew swojej woli; możliwe nawet, że została poddana praniu mózgu. John nie mógł jej odnaleźć, ponieważ, jak się wydawało, ciągle się przemieszczała.

Agenci byli jednak przekonani, że im uda się ją odszukać.

John i jego była małżonka, Anna, zgodzili się na założenie podsłuchów na ich telefonach, co miało umożliwić FBI monitorowanie rozmów telefonicznych pomiędzy Johnem, matką Kimberly, mieszkającą w Arizonie i Freegardem.

Tymczasem w Londynie posterunkowy Mark Simpson otrzymał od FBI numer Johna. Za parę godzin w domu państwa Adamsów rozległ się dzwonek telefonu. - Czy rozmawiam z panem Adamsem? Dzień dobry panu. Mówi posterunkowy Mark Simpson ze Scotland Yardu. - Była czwarta rano. Próbując się obudzić, John nie mógł wprost uwierzyć, że ktoś może do niego dzwonić o takiej godzinie, a już na pewno nie Scotland Yard. Pomyślał, że to bez wątpienia jeden z „testów” Freegarda, odłożył więc słuchawkę i ponownie pogрузił się we śnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Zdjęcie

KWIECIEŃ 2003

Posterunkowy Mark Simpson i sierżant Bob Brandon wychodzili właśnie z sali rozpraw w sądzie koronnym w gmachu Middlesex Guildhall przy Parliament Square w Londynie. Korytarze gotyckiej budowli roily się od adwokatów chyłących się pod ciężarem stanowionego tu od setek lat prawa.

Sierżant Brandon dostrzegł kątem oka dwie znajome twarze; byli to prokurator Prokuratury Koronnej Andrew West i jego kolega Michael Hick, specjalista od poważnych oszustw finansowych.

Witając się z prawnikami, Brandon uważnie się im przypatrywał. - Mam dość nietypowy przypadek - zaczął wolno. - Dotyczy mężczyzny, który, jak sądzimy, porywa ludzi i to już od bardzo dawna.

Andrew West skinieniem głowy dał znak Brandonowi, żeby mówił dalej. - To bardzo dziwne, ale wydaje się, że wyciąga pieniądze od rodzin ofiar na wyposażenie latarni morskiej w Szkocji, aby mogła ona służyć do monitorowania rosyjskich łodzi podwodnych - zakończył Brandon.

Prokurator zmarszczył twarz w niepewnym uśmiechu. - Chyba pan żartuje! To nie może być prawdziwy przypadek - powiedział Andrew West.

- To jest prawdziwy przypadek - uparcie twierdził Brandon. - Ciągłe prowadzimy śledztwo, ale kiedy się jeszcze trochę posuniemy, czy byłoby możliwe zorganizowanie spotkania w kancelarii w celu przedyskutowania tej sprawy?

Przez chwilę zapanował pełen koncentracji bezruch, po czym West wyciągnął swój terminarz. Spotkają się 20 maja. Ustaliwszy datę, rozdzielili się, przy czym prawnicy udali się ponownie do sali sądowej.

- Nie mogę uwierzyć, żeby ludzie mogli być aż tak głupi – mruknął prokurator do swego szacownego kolegi.

NETHER HALE, KONIEC KWIETNIA 2003

Taksówka wioząca posterunkowego Marka Simpsona i sierżanta Boba Brandona mknęła polną drogą, wzniecając kłęby pomarańczowego kurzu. Skręciwszy w prawo w miejscu, gdzie rosnące w rzędzie drzewa iglaste tworzyły przerwę, znalazła się przed głównym budynkiem farmy Nether Hale. Po zwyczajowych powitaniach Jill Smith zaprowadziła policjantów do jadalni, gdzie wszyscy usiedli wokół stołu.

- Nie powinniśmy jej byli dać ani grosza - powiedział Peter z zalem.

- Telefony zawsze dotyczyły pieniędzy - dorzuciła Jill, podając herbatę. - Wszystkie te historie brzmiały tak prawdopodobnie.

- To był błąd. Nie powinienem być w żadnym razie pozwolić jej odejść po spotkaniu w pubie Pomona. Powinienem być was obie stamtąd wyprowadzić. Od tamtego dnia ciągle sobie pluję w brodę - dodał Peter.

Posterunkowy Simpson wyjrzał przez okno do ogrodu. - Chciałbym przyjąć od pana zeznanie, panie Smith - powiedział, odwracając się od okna i wskazując skinieniem głowy duży i raczej staroświecki magnetofon, który policjanci przywieźli ze sobą. - Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Smith, również od pani przyjmujemy zeznanie, ale dopiero kiedy skończy mąż. To ważne, żeby państwa relacje były niezależne od siebie.

- Czy rozmawialiście z Johnem i Marią? - zapytała Jill, podając Simpsonowi zdjęcie „bandy czworga”, które zrobiła wiele lat temu.

- Tak, spotkaliśmy się z nimi. I proszę mi wierzyć, pani Smith, że zrobimy co w naszej mocy, żeby zlokalizować Sarah i przywieźć ją do domu - powiedział, przyglądając się dokładnie fotografii.

Renata Kister odnosiła się z coraz większą podejrzliwością do swojej lokatorki. Nie była pewna, czy „Carrie” dawała się Freegardowi nabierać, czy też była z nim w zмовie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ta kobieta nigdy z nią nie rozmawia otwarcie, nigdy się jej nie zwierza. Co ona ukrywa?

Zaraz na początku przy śniadaniu Renata zapytała ją, dlaczego nosi ubrania Roberta. - Rob mi je pożyczył - odpowiedziała Carrie, chrupiąc tosta.

Renata zerwała się z krzesła i przeszła na drugi koniec pokoju. - No więc, skoro chodzisz w jego ubraniach, to możesz równie dobrze i to dodać do swojej kolekcji. - Otworzyła szufladę, wyciągnęła bluzę sportową i zaczęła nią wymachiwać. Carrie wyglądała na zakłopotaną.

Jeszcze tego samego dnia Renata zadała identyczne pytanie Freegardowi. Ich odpowiedzi się nie pokrywały. Instynktownie wiedziała, że coś tu nie gra. Freegarda i tę całą Carrie coś łączyło i miała zamiar dowiedzieć się, co.

Renata wybrała się na spacer do parku w zachodnim Londynie z córeczką i kobietą, którą знаła pod imieniem Carrie. Dzień był ciepły i słoneczny i rzekomo przyszyły tu karmić kaczki. Mała Ola biegała w kółko, klaskając, cała podniecona.

- Ciocia, ciocia! - pokrzykiwała po polsku.

Carrie śmiała się, widząc żywiołowość dziewczynki. - Co ona mówi? - zapytała Renatę.

- To po polsku. Ona ciebie traktuje jak członka rodziny.

Kaczki wytoczyły się z wody i dreptały jedna za drugą równym rzędkiem, kwacząc natarczywie. Ola rzuciła im garść okruszków, zataczając rączką szerokie koło, a potem zaczęła podskakiwać i zanosić się śmiechem.

Renata nerwowo pomacała aparat fotograficzny, który miała w kieszeni, czekając na właściwy moment, żeby zrobić zdjęcie. Przygryzła dolną wargę.

- Ola, podbiegnij do mnie! - zawołała do córeczki. Dziewczynka odwróciła się rozbawiona i ruszyła do mamy. Teraz, pomyślała Renata.

Błyskawicznym ruchem wyciągnęła aparat z kieszeni i ukucnęła, udając, że chce sfotografować Olę.

- Uśmiechnij się! - krzyknęła; twarzyczkę jej córeczki rozświetlił promienny uśmiech.

Renata widziała w tle Carrie, która się wzdrygnęła i obróciła, próbując schować głowę w fałdach czarnej skórzanej kurtki, ale Renata wiedziała, że było za późno: zrobiła zdjęcie, na którym jej zależało, miała fotograficzny dowód, że ta kobieta istnieje. A nuż taki dowód okaże się potrzebny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Wakacje we Francji

FRANCJA, 10 MAJA 2003

Chambery leży w sercu Alp francuskich, między Annecy a Grenoble. Wąskie brukowane uliczki i podwórza starego miasta sprawiają, że czuje się tu historię. Była to niegdyś stolica Księstwa Sabaudii i ważne graniczne miasto na drodze do Włoch.

Robert Hendy-Freegard był niezwykle wylewny, kiedy się mel-dował w dwugwiazdkowym hotelu Buffalo. - Jestem lekarzem. Pro-wadzę praktykę w Stanach - poinformował ujmującym tonem, w odpowiedzi na co recepcjoniści obdarzyli go uśmiechami pełnymi zachwytu. - Mam też gabinet w Londynie. - Przygładził ręką włosy, jakby głaskał kota. - Od pięciu lat nie udało mi się wyjechać na wa-kacje, ale teraz wreszcie przez trzy miesiące podróżujemy po Euro-pie. Czyż nie tak, kochanie? - Freegard zwrócił się do Kimberly, która stała obok niego z ponurą miną.

- Co by nie mówić, dziś jesteśmy tutaj! - Z rozmachem złożył swój podpis, tym razem używając prawdziwego nazwiska: Robert Hendy-Freegard, a nie jak dotychczas jednego z fałszywych, Sinclair czy Adams.

- Przestań się zachowywać tak żałośnie - burknął Freegard do Kimberly, kiedy znaleźli się w małym pokoiku hotelowym. - Prze-cież ci powiedziałem, że we Włoszech się pobierzemy.

Następnego dnia, siedząc na skraju łóżka, Kim wolno wykręciła numer do Arizony. Był Dzień Matki, doskonała okazja, żeby za-dzwonić do domu, chociaż złożenie mamie życzeń nie było jedynym

celem tej rozmowy. Kim miała dodatkowe polecenie: wycisnąć z Ann Hodgins jeszcze trochę pieniędzy.

Freegard stał za nią jak cień, dręczący, ponury. Ani on, ani Kim nie wiedzieli, że rozmowa jest nagrywana przez FBI.

KIM: - *Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Matki!*

ANN: - *Dziękuję.*

KIM: - *Co słychać?*

ANN: - *Wszystko w porządku. A u Ciebie?*

KIM: - *Oj! My mieliśmy główniany tydzień.*

ANN: - *Co się stało?*

KIM: (*pociągając nosem i popłakując*): - *Znowu oblałam ten egzamin.*

ANN: - *Chyba sobie ze mnie żartujesz.*

KIM: - *Czy możesz zadzwonić na mój telefon?*

ANN: - *Daj mi numer, no już.*

Ann oddzwoniła i stosując się do instrukcji FBI, jakby od niechcienia napomknęła o możliwości przyjazdu do Londynu.

ANN: - Jest taka oferta w internecie, dotyczy weekendu majowego*, mogłabym przylecieć do Londynu na bodajże dwie noce, do hotelu w centrum Londynu, on jest w cenie, za sto czterdzieści dziewięć dolarów w jedną stronę.

KIM: - *Coś takiego!*

ANN: - *No, wyobraź sobie.*

KIM: - *A mogłabyś zostać trochę dłużej niż te dwie noce?*

ANN: - *Sądzę, że to tylko na dwie noce. Co prawda myślę, że gdyby tak dopłacić, to mogłabym zostać dłużej. Ale przecież ciągle pracuję w szkole, więc to jednak musiałyby być ten weekend.*

KIM: - *Kiedy to wypada?*

*W Stanach Zjednoczonych w ostatni poniedziałek maja obchodzony jest tzw. Memoriał Day, czyli Dzień pamięci poległych na polu chwały.

ANN: - To przedostatni weekend maja, dwudziesty trzeci, dwudziesty czwarty.

KIM: - Bardzo interesujące. Nie wiem, czy będę wtedy w Londynie, muszę spojrzeć w kalendarz, bo widzisz (westchnięcie) to był jeden z najgorszych tygodni w moim życiu. We wtorek wieczorem ponownie podeszłam do tego egzaminu... i dostałam wiadomość, że mam zadzwonić do mojego towarzystwa ubezpieczeniowego. Powiedzieli, że nie pokryją kosztów naprawy samochodu. W środę dowiedziałam się, że znowu nie zdałam egzaminu, więc ostatnie już nie wiem ile dni spędziliśmy, błagając ich, żeby pozwolili jeszcze raz do niego podejść. W końcu się zgodzili, ale pod warunkiem, że opłacimy koszt egzaminu, a to następne dwa tysiące funtów.

Kimberly umówiła się z matką za dwa tygodnie na lotnisku Heathrow, gdzie Ann miała jej przekazać 10 tysięcy dolarów na naprawę samochodu i kolejny egzamin.

Jeżeli Kimberly się wydawało, że telefon do domu sprawi, że Freegard będzie ją lepiej traktował, to się myliła. Bez żadnego ostrzeżenia, niemalże tuż po odłożeniu przez nią słuchawki, wpadł nagle w podły nastrój.

- Co było w tych SMS-ach, które do siebie pisaliście z Paullem? - krzyknął z wściekłością.

- To było rok temu, przecież nie mogę pamiętać, co do niego napisałam rok temu.

- Dobrze pamiętasz - wrzasnął. - Okłamujesz mnie. Znowu mnie okłamujesz.

Kimberly próbowała go udobruchać. - Rob, proszę. Nie wiem, co w nich było.

- A jak sądzisz, co w nich mogło być?

- Nie wiem. Nie wiem. - Kim zaczęła płakać.

Freegard nie okazał najmniejszego zrozumienia. Pochyliwszy się, ponieważ Kim siedziała na łóżku, przysunął swą twarz do jej twarzy i spojrzał jej prosto w oczy. - Jeżeli jeszcze raz powiesz „nie wiem”, przyłożę ci pięścią w twarz i już nigdy nie zobaczysz swojej matki.

Jak pies zbity w przypiływie niczym niesprowokowanego okrucieństwa, Kimberly siedziała cicho, nie odzywając się ani słowem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Prowokacja

INNER TEMPLE, 20 MAJA 2003

W londyńskiej Inner Temple od XIV wieku mają swą siedzibę korporacje adwokackie. Powietrze jest aż gęste od tradycji i odczuwa się brak światła, jakby budynek był zasłonięty welwetowymi kotarami.

W jednej ze znajdujących się tam kancelarii zasiadło na tajną naradę czterech mężczyzn: Andrew West z Prokuratury Koronnej, Michael Hick z kancelarii oraz dwóch detektywów z policji londyńskiej: sierżant Bob Brandon i posterunkowy Mark Simpson.

- Początkowo sam byłem nastawiony sceptycznie - przyznał Simpson - ale teraz mamy już zeznania Johna Atkinsona, jego ojca Russella i jego wuja Williama; Marii Hendy, matki dwójki dzieci Freegarda oraz Caroline Cowper. Piętrzą się dowody przemawiające przeciwko temu człowiekowi.

- Tak John Atkinson, jak i Maria Hendy zeznali, że Hendy-Freegard podawał się za agenta rządowego i że skłonił ich do porzucenia studiów - rozpoczął Brandon. - Atkinson twierdzi, że Freegard otrzymywał pieniądze od niego i jego rodziny na ochronę przed terrorystami, zaś Cowper utrzymuje, że dała mu środki finansowe na utworzenie firmy leasingującej samochody, która nigdy nie powstała. Ponadto Freegard wytransferował pieniądze z konta bankowego Cowper bez jej zgody.

- Jedna osoba znajduje się na liście zaginionych - dodał posterunkowy Simpson. - Sarah Smith. Rodzice nie mają z nią żadnego kontaktu od ponad roku. - Spojrzał na kolegę. - Nie wiedzą, czy w ogóle jeszcze żyje. - Osobiście obaj policjanci uważali, że byłby to cud, gdyby się udało odnaleźć Sarah żywą. - Poza tym wszystko

wskazuje na to, że obecnie jest z nim młoda Amerykanka, Kimberly Adams.

- Chcemy go aresztować - powiedział Simpson. - Musimy tylko być pewni, że kiedy do tego dojdzie, będzie z nim Kimberly Adams. W przeciwnym razie moglibyśmy jej nigdy nie odnaleźć.

Andrew West przysłuchiwał się uważnie, przesuwając wolno ręką po nieogolonej brodzie. Ostatnio pracował nocami, ale, jak łatwo się domyślić, musiał też funkcjonować w ciągu dnia, żeby policja miała możliwość się z nim kontaktować.

- A zatem jak wygląda wasz plan? - zapytał detektywów.

Złapanie Freegarda miało się odbyć podstępem, Scotland Yard zamierzał przeprowadzić prowokację policyjną. Matka Kimberly zgodziła się przylecieć do Londynu i przekazać córce 10 tysięcy dolarów, ale pod warunkiem, że będzie mogła wręczyć jej te pieniądze bezpośrednio.

- Tak więc, jeżeli nam dopisze szczęście, zatrzymamy go na Heathrow.

Andrew West zastanowił się nad tym planem. - Myślę, że postępujecie właściwie.

- Chodzi teraz o to, żebyśmy wiedzieli, jak dalej poprowadzić śledztwo - powiedział Bob Brandon. - To niezwykle zawiły przypadek, a jestem pewien, że zaledwie dotknęliśmy sprawy. Już w chwili obecnej zarysowuje się kilka możliwych linii postępowania. Pytanie, której z nich należałoby się trzymać? Jakie zarzuty postawić?

- No cóż, mamy tu niewątpliwie do czynienia z kradzieżą i zdobywaniem pieniędzy na drodze oszustwa - zapewnił Andrew West. - Jeżeli zaś chodzi o ludzi, raczej nie będziemy mogli postawić zarzutu bezprawnego pozbawienia wolności. Chyba dobrze zrozumiałem, że zarówno John, jak i Maria mogli pójść na drinka albo do sklepu?

- Oczywiście - potwierdził Simpson.

- No tak. Bezprawne pozbawienie wolności polega na niezgodnym z prawem i zamierzonym lub lekkomyślnym pozbawieniu ofiary prawa do opuszczenia danego miejsca. Moglibyśmy go o to oskarżyć, biorąc za podstawę fakt, że nie pozwalał im wrócić na studia, ale, jak rozumiem, mogli się udać na uczelnię z wizytą. A zatem według mnie nie uda się nam podtrzymać takiego zarzutu. Ale można by się zastanowić nad porwaniem.

Mark Simpson uniósł brwi. - Czy to nie jest zupełnie ta sama sytuacja? Ci ludzie nie byli skrepowani fizycznie. Mogli odejść w każdej chwili.

- To prawda, ale istnieje zarzut „porwania na drodze oszustwa”, kiedy to ofiara daje się nakłonić do podążenia za sprawcą w rezultacie oszustwa, którego tenże sprawca się dopuszcza.

- Czy to łatwo udowodnić? - zapytał sierżant Brandon.

- Czy taki przypadek trafił już kiedyś do sądu? - prokurator zwrócił się do swego kolegi.

Michael Hick potwierdził, że raz coś takiego się zdarzyło. - Trzydzieści lat temu został skazany za porwanie mężczyzna, który podawał się za policjanta szukającego narkotyków. Nakłonił jakąś kobietę, żeby przeszła z nim sto metrów i wsiadła do jego samochodu. I chociaż ten człowiek odjechał, jak tylko pojawił się przyjaciel kobiety i wyciągnął ją z samochodu, ażeby uznać to za przestępstwo, trzeba było jedynie udowodnić, że było to pozbawienie ofiary wolności i doprowadzenie jej do miejsca, gdzie nie życzyłaby sobie być, gdyby nie została oszukana.

- Można to wykorzystać - powiedział West w zadumie. - Są jeszcze dwie ważne kwestie. Pierwsza: jest to tak niewiarygodna historia, z pogranicza fantastyki, że potrzebujemy jak największej liczby dowodów potwierdzających naszą tezę. A więc rachunki telefoniczne, wyciągi z kont bankowych, książeczki bankowe, z których wynikałoby, że pieniądze były wybierane, dane dowodzące, że gotówka była wpłacana na konta kontrolowane przez Freegarda. Ale na chwilę obecną chyba nawet ważniejsze jest odseparowanie od niego ofiar i ustalenie, czy nie ma innych poszkodowanych. Im więcej będziemy mieli świadków, tym lepiej.

- Musimy oczywiście bardzo poważnie zająć się zlokalizowaniem Sarah Smith. Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i ją odnajdziemy. I módlmy się o to, żeby była żywa, kiedy do niej dotrzemy.

HEATHROW, 23 MAJA 2003

Za kulisami wypadki toczyły się szybko. Oficerowie ze Scotland Yardu zaprowadzili Ann Hodgins w takie miejsce na lotnisku Heathrow, żeby wyglądało, jakby właśnie wyszła z samolotu.

W rzeczywistości przyleciała z Arizony dzień wcześniej i od chwili wylądowania przez większość czasu była informowana o operacji i udzielano jej instrukcji na temat jej udziału w niej.

Freegard podjechał do lotniska, zatrzymał się na sąsiadującym z nim parkingu wielopoziomowym i pozostawił Kimberly w samochodzie, każąc jej czekać, aż przyprowadzi matkę. Udał się następnie do terminalu ubrany w nowe, eleganckie buty marki Church's, które zakupił ostatnio w magazynie Lester Bowden w Epsom. Zapłacił za nie 375 funtów gotówką, każąc sobie jeszcze dorzucić parę rękawiczek do jazdy samochodem.

Sprawdziwszy tablicę informacyjną w hali przylotów, Freegard stwierdził, że samolot już wylądował, więc ustawił się w pobliżu barierek. W tym czasie policja ukradkiem obserwowała mężczyznę w ciemnej, skórzanej marynarce, dżinsach i czerwonej koszuli stojącego z boku wśród kierowców taksówek i limuzyn. Zauważono, że jest sam.

Na tablicy przylotów wyświetliły się najświeższe informacje, co wyglądało jakby ktoś przetasował olbrzymią talię kart. Ludzie tłoczący się przy barierce szukali znajomych twarzy wśród wynurzających się pasażerów. Freegard spojrzął na zegarek. W chwilę potem Ann Hodgins pojawiła się w drzwiach z napisem „Wyjście”.

- Ann! - krzyknął. - Cieszę się, że mogę panią poznać.

- Gdzie jest Kim? - Ann starała się, żeby jej głos brzmiał wesoło.

- Czekaj na parking. Na trzecim piętrze.

Ann rozejrzała się zaniepokojona. Dlaczego policja jej nie okablowała? Wiedzieliby, co Freegard właśnie wyjawiał.

- Niech pan chwileczkę poczeka, dobrze? Muszę iść do toalety. Długi lot, no i w ogóle - tłumaczyła się. Kiedy tylko zniknęła z jego pola widzenia, wyciągnęła komórkę, w którą ją zaopatrzyła policja, wybrała numer Boba Brandona i przekazała mu informację, o tym, co jej Freegard powiedział.

- Niech pani go nie odstępować - ponaglił policjant. - Wszystko jest pod kontrolą. No już, niech pani idzie, już, już.

Serce jej waliło, żołądek podchodził do gardła, ale wiedziała, że musi zachować spokój, żeby Freegard nie nabrał podejrzeń. Jeżeli coś by poszło nie tak jak trzeba, mogłaby już nigdy nie odzyskać córki.

Wróciła do Freegarda i razem zaczęli się przepychać przez halę przylotów pełną podróżnych ciągnących małe, czarne walizeczki. W windzie, która ich wiozła do parkingu, Ann zastanawiała się, kiedy wkroczy policja i aresztuje Freegarda.

- Oto i ona - Freegard wskazał Kimberly siedzącą w samochodzie na fotelu pasażera.

- Kim! - krzyknęła Ann w momencie, gdy córka wysiadła z auta, żeby się z nią przywitać. - Niech no ci się przyjrzę. - Poczowała nieprawdopodobną ulgę, widząc ją po tak długim czasie, Freegard natomiast chciał jak najszybciej odjechać.

- Musimy wsiadać do samochodu - wtrącił się, otwierając bagażnik i ładując torby Ann. - Pospieszcie się, czas w drogę.

Umysł Ann pracował na zwiększonych obrotach. Gdzie jest policja? Musi jakoś zyskać na czasie. - Chwileczkę. - Podniosła rękę, prosząc, żeby poczekał. - Zimno mi. Muszę wyjąć kurtkę z walizki. - Ann zabrała się do grzebania w bagażniku, szarpiąc się z suwakami, jednym po drugim.

Freegard zaczął się niecierpliwić. - Nie mamy zbyt dużo czasu, Ann. Musimy jechać.

Gdzie jest policja? Gdzie oni są? Anna starała się nie wpadać w panikę.

Właśnie w tym momencie ze wszystkich stron nadjechały samochody i zatrzymały się z piskiem opon. Z jednego z nich wyskoczył Mark Simpson, pokazując legitymację policyjną. - Posterunkowy Simpson z wydziału przestępstw gospodarczych. - Jego szczeka poruszała się zżywieniem, kiedy wyrzucał z siebie kolejne słowa. Po pouczeniu Freegarda o przysługujących mu prawach kontynuował: - Mam obowiązek przesłuchać pana w sprawie porwania Sarah Smith, Johna Atkinsona, Marii Hendy i Kimberly Adams oraz na okoliczność kradzieży pieniędzy należących do ich rodziców dokonanej na drodze oszustwa w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Freegard wydawał się zaskoczony. - Co? Mnie?

- Tak, pana. A zatem jest pan aresztowany pod zarzutem porwania i bezprawnego pozbawienia wolności czterech osób oraz dopuszczenia się licznych oszustw - kontynuował posterunkowy Simpson.

Policjanci w cywilu założyli Freegardowi kajdanki.

- Nie do wiary - protestował z niewinną miną w bezgranicznym zdumieniu.

Chaos towarzyszący zatrzymaniu Freegarda został spotęgowany ustawicznym trąbieniem sfrustrowanego kierowcy, któremu drogę zablokowały nieoznakowane samochody policyjne i który nie miał pojęcia o przeprowadzanej akcji.

Kiedy Freegarda wsadzano na tylne siedzenie wozu policyjnego, krzyknął do Kimberly: - Kim, najdroższa, pamiętaj, że cię kocham!

Oszołomiona i zdezorientowana Kim wsiadła do innego samochodu policyjnego razem z matką. Wolno, z migającymi światłami na dachach kawalkada wyruszyła w kierunku posterunku policji Charing Cross w centrum Londynu.

NETHER HALE, TEGO SAMEGO DNIA

Peter Smith podniósł słuchawkę. - Mam dobre wiadomości - powiedział sierżant Brandon. - Zatrzymaliśmy go na lotnisku.

Peter szybko oswoił się z otrzymaną informacją. - Gratuluję. A czy są jakieś wieści o Sarah? - zapytał rzeczowym tonem.

- No cóż, znaleźliśmy przy nim jakieś paszporty, które nie są jego własnością. Przy odrobinie szczęścia wkrótce się dowiemy, gdzie jest Sarah. Będziemy państwa informować.

- Świetnie! To wspaniała wiadomość.

Ostatni kontakt z Sarah mieli dobrze ponad rok temu. Peter i Jill nie wiedzieli, czy ich córka jest jeszcze przy życiu. Często rozmawiali o tym, co mogło się wydarzyć; zakładali i mieli głęboką nadzieję, że Freegard jej nie zabije, ponieważ będzie uważał, że bardziej mu się przyda żywa niż martwa. Nie wierzyli, że osoba taka jak Sarah mogła popełnić samobójstwo. Alą gdzie ona może być? Czy w ogóle znajduje się w Wielkiej Brytanii? A może Freegard wywiózł ją za granicę? Możliwości były nieograniczone.

Aresztowanie Freegarda przybliżyło ich o krok do poznania prawdy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Poszukiwanie Sarah

CHARING CROSS, 24 MAJA 2003

W pokoju przesłuchań na posterunku policji Charing Cross słyhać było cichy szum włączonego magnetofonu. Pomieszczenie, w którym detektywi Simpson i Brandon przygotowywali się do przesłuchania Roberta Hendy-Freegarda, oświetlała niczym nieosłonięta żarówka.

Adwokatka przypomniała policjantom, że jej klient ma prawo milczeć.

Sierżant Brandon podsunął Freegardowi zrobione przez Jill Smith zdjęcie „bandy czworga” i poprosił go, żeby podał nazwiska osób znajdujących się na fotografii. Freegard udzielił odpowiedzi. - To jest John Atkinson, to Sarah Smith, Maria Hendy, a ten facet na samym końcu to ja. - Freegard zawahał się i spojrzał przypoehlebie na sierżanta Brandona. - Czy mógłbym zapytać o pańskie imię? - powiedział z przesadną grzecznością.

- Nie - odparł Brandon oschle.
- Próbowałem tylko złagodzić nieco formalizm naszej rozmowy. - Freegard wyglądał na urażonego.
- Nazywam się sierżant Brandon i tak ma się pan do mnie zwracać - odpowiedział policjant chłodnym tonem. - Powiedziano nam, że jest pan wciąż w kontakcie z Sarah Smith. - przerwał posterunkowy Simpson. - Czy to się zgadza?
- Wciąż utrzymuję z Sarah kontakty - odparł Freegard wesoło.
- Gdzie ona jest?

- Nie wiem.
- Jak więc się pan z nią kontaktuje?
- Nie mówię, że się z nią nie kontaktuję. Mówię, że nie wiem dokładnie, gdzie ona obecnie się znajduje.
- Co może nam pan powiedzieć o dziewczynie z Polski? - wtrącił się sierżant Brandon.
- To tylko domysły - powiedział chłodno Freegard. - Panie posterunkowy Simpson, z całym szacunkiem, sędzę, że pan już zdecydował, co o tym wszystkim myśleć. Myli się pan i kiedy dojdzie do procesu, zostanie panu udowodnione, że się pan myli. Bardzo trudno odpowiadać, kiedy pan mówi rzeczy, o których nigdy przedtem nie słyszałem i o których nic nie wiem, ale nie jestem kłamcą, wbrew temu, co pan uważa.

Freegard wpatrywał się w grzbiet swoich dłoni, po czym podniósł oczy i spojrzał wprost w twarz policjanta. Jego wzrok był ostry i skupiony, kiedy dodał: - W zaistniałej sytuacji będę odpowiadał na wszystkie pytania jednakowo: „Nie mam nic do powiedzenia”.

Policja posiadała dostateczną ilość dowodów prima facie*, żeby postawić Freegardowi zarzut porwania, kradzieży i oszustwa i zatrzymać go w areszcie śledczym, ale posterunkowy Simpson, wychodząc z pokoju przesłuchań, był zirytowany, że nie przybliżyli się ani o krok do odnalezienia Sarah. Miał jednak przynajmniej jakieś nowe tropy. Przeszukując Freegarda poprzedniego dnia, trafił na hotelowe kółko na klucze z napisem „Buffalo”. W jego kieszeni znalazł poza tym polski paszport na nazwisko Renaty Kister i kawałek papieru z nabazgranym numerem telefonu komórkowego i imieniem „Ronnie”.

Kimberly Adams powiedziała policji, że Freegard zostawił teczkę w hotelu Buffalo w Chambery. Simpson uważał, że mogą się tam znajdować niezwykle istotne informacje. Złapał telefon, obawiając się, że, jeżeli nie będzie działał szybko, hotel pozbędzie się pozostawionych w pokoju rzeczy; obsługa musiała się do tej pory zorientować, że osoby wynajmujące tenże pokój zniknęły, nie zapłaciwszy za

Dowód prima facie to w zasadzie przypuszczenie, wynikające z logicznego rozumowania, że, jeżeli pewne (udowodnione) okoliczności miary miejsce, to okoliczności z nich wynikające także miały miejsce.

pobyt i nie zamierzają wrócić. Nie było czasu do stracenia.

Na drugim końcu Londynu telefon odebrał prokurator Prokuratorii Koronnej Andrew West.

- Musimy mieć oficjalne pismo z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do ich odpowiednika we Francji z prośbą o pomoc - powiedział prawnik. - Jakikolwiek dowód pochodzący ze źródeł zagranicznych uzyskany inną drogą sąd uzna za niedopuszczalny.

- Zrozumiałem - odparł Simpson.

- Niech pan to zostawi mnie - powiedział Andrew West. - Zaczynam się do tego zbiorę.

CHAMBERY, 4 CZERWCA 2003

Detektywi Simpson i Brandon weszli do pokoju numer 229 w hotelu Buffalo w Chambery w towarzystwie lokalnej francuskiej brygady do walki z przestępczością. W pokoju pełno było rzeczy osobistych i kiedy zaczęli je przeszukiwać, stało się jasne, że większość należy do Freegarda. Wśród znalezionych przedmiotów znajdowały się dwie samochodowe tablice rejestracyjne i trzy telefony.

W końcu Simpson zauważył walizeczkę. Otworzył dwa zamki i podniósł klapę. Teczka była pełna dokumentów, natknął się na listy do Sarah od jej rodziny, świadectwo urodzenia Guya Smitha, nowe prawo jazdy Sarah, jej paszport. Simpson zmarszczył brwi i podał papiery Brandonowi. Grzebał dalej w teczce, przeszukując resztę zawartości i trafił na podania o pożyczki samochodowe na nazwiska Leslie Gardner i Elizabeth Richardson.

Simpson spojrział na kolegę wzrokiem pełnym niepokoju. Pajęczyna, w którą Freegard łąpał swoje ofiary, zdawała się sięgać coraz dalej.

Wreszcie Simpson odkrył papiery na nazwisko Renaty Kister. Już po raz drugi w niedługim czasie pojawiło się ono w dochodzeniu i z całą pewnością Simpson chciał porozmawiać z osobą noszącą to nazwisko.

- Kiedy widziała pani po raz ostatni Roberta Hendy-Freegarda?
- zapytał Simpson Renatę Kister.

- Mniej więcej dwa lata temu - usłyszał w słuchawce powściągliwą odpowiedź.

- A jak może pani wobec tego wytłumaczyć fakt, że jestem w posiadaniu pani paszportu? - kontynuował Simpson.

Renata przypomniała sobie, że jej paszport zniknął podczas ich niedawnej wspólnej z Freegardem wyprawy do Berlina. Niemniej jednak Freegard ostrzegał ją przecież, że może być przez kogoś o niego wypytywana i powiedział, że gdyby coś takiego się wydarzyło, nie wolno jej pod żadnym pozorem niczego zdradzić.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała obojętnie.

- Mamy tu pewne dokumenty na pani nazwisko. Wynika z nich, że zamieszkiwała pani pod różnymi adresami w zachodnim Londynie. - Policjant wyrecytował nazwy ulic. - Jest także list od niejakiego Dariusza Mazurka. Czy pani się to z czymś kojarzy?

Renata milczała. Jak to się stało, że mają jej paszport? I o co chodzi z tymi innymi papierami? Skąd znają jej poprzednie adresy? Jakoś musieli się tego wszystkiego dowiedzieć.

- No dobrze - powiedziała wolno. - Z przyjemnością spotkam się z panem na posterunku, żeby sprawdzić, czy są to rzeczywiście moje dokumenty.

Renata usiadła naprzeciwko detektywa Simpsona na posterunku w Hammersmith i Fulham. W biurze wrzało jak w ulu, a co i raz słyhać było głosy niewidzialnych policjantów wydobywające się z krótkofalówek. Renacie przypominało to rozmowy z astronautami przebywającymi w przestrzeni kosmicznej.

- Kiedy po raz pierwszy spotkała pani Roberta Freegarda? - zapytał posterunkowy Simpson.

Renata, siedząc z rękami skrzyżowanymi na piersiach, nie miała ochoty ujawniać informacji o Robercie. Chyba że zostanie przekonana, że zrobił coś złego.

Założyła za ucho zwisający kosmyk blond włosów. - Czy mogłabym zobaczyć swój paszport? - W tym momencie jej uwagę zwrócił zbliżający się do nich policjant. Jego świeża twarz i silna budowa były znajome. Przypomniała sobie tego mężczyznę. Widywała go kilka lat temu w barze w Fulham, gdzie pracowała dorywczo. Zawsze siedział sam, trzymał się na uboczu i był niezmiennie uprzejmy. Uważała go za miłego człowieka, ale nigdy nie zapytała ani o to, jak się nazywa, ani czym się zajmuje.

- Cześć, Bob - powiedział Simpson do kolegi.

- Pani Kister, chciałbym pani przedstawić sierżanta Boba Brandona. Razem pracujemy nad tą sprawą.

Spojrzeli na siebie. Renata wiedziała, że policjant także ją poznał. Nagle jej wątpliwości co do podejrzeń Simpsona w stosunku do Freegarda zaczęły się rozwiewać. Wówczas w barze obserwowała Brandona i wydawało się jej, że wie, jakim jest człowiekiem; czuła, że mogłaby mu zaufać. Jeżeli on zajmuje się tą sprawą, to znaczy, że podejrzenia muszą być uzasadnione. Jej opór zaczął słabnąć i zdecydowała się przerwać milczenie na temat Roberta Freegarda. - Pomogę wam, na ile to będzie możliwe - powiedziała.

Kiedy przesłuchanie zostało zakończone, Renata spojrzała na policjantów z zakłopotaniem. Była jeszcze jedna sprawa, która od mniej więcej pół godziny nie dawała jej spokoju. Chciała o tym wspomnieć, ale była w rozterce, obawiając się, dokąd to może doprowadzić. Pomimo że początkowo miała do niej różne zastrzeżenia, Renata polubiła Carrie, a jej córeczka po prostu ją uwielbiała. Dobrze się czuły w jej towarzystwie; wydawała się kobietą prostolinijną i uczciwą. Jednak Renata nie zapominała o jej ubraniach, o braku pieniędzy, o tym, że nie chciała niczego powiedzieć o swoim prywatnym życiu, wreszcie o dziwnym epizodzie z Wenezuelką. Co by było, gdyby się okazała współniczką Freegarda? Czy nie oznaczałoby to, że córka Renaty jest w niebezpieczeństwie?

- Mieszka u mnie pewna osoba - powiedziała z wahaniem.

Policjanci spojrzeli na nią, gotowi do natychmiastowej akcji.

- Chciałabym się dowiedzieć, kim ona jest. - Renata zamilkła niepewna, czy powinna kontynuować. Simpson i Brandon zerknęli na siebie. - Zupełnie nie wiem, co myśleć o całej tej sytuacji. Mam zdjęcie tej kobiety.

- Czy mogłaby pani je przynieść?

Renata przyszła ponownie na posterunek i wręczyła detektywom zdjęcie Carrie, które zrobiła w parku. Posterunkowy Simpson i sierżant Brandon, stojący ramię przy ramieniu, wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Simpson otworzył szufladę i wyciągnął inne zdjęcie. - Czy to ta sama osoba? - zapytał, nie mogąc ukryć radosnego podniecenia.

Renata przyjrzała się fotografii kobiety z nastroszonymi blond włosami, w krótkiej spódniczce. Rozpoznała Carrie natychmiast i zaczęła się kręcić na krześle; czuła się nieswojo, niepewna, czy ma rację, demaskując ją.

- Na wniosek rodziców znajduje się ona na liście osób zaginionych - podsunął Brandon.

Renata zastanowiła się nad tą ostatnią informacją. Jeżeli rodzice zgłosili jej zaginięcie, to może jednak była ona po stronie Freegarda. Renata stwierdziła, że nie ma wyboru, musi im powiedzieć.

- Tak, to ona - wyszeptwała.

Detektywi Simpson i Brandon odetchnęli głęboko. Zrozumieli, że odnaleźli poszukiwaną osobę.

- Czy pani wie, gdzie ona jest w tej chwili? - zapytał Simpson. Renata się zawahała, po czym kiwnęła przytakująco głową. Policjanci zdawali sobie sprawę, że muszą postępować ostrożnie. - Ważne jest, żeby pani jej o tym wszystkim absolutnie nic nie mówiła. Mogłoby ją to wystraszyć i znowu by uciekła. - Renata ponownie skinęła głową; nic nie powie.

Tego wieczora Renata i Carrie, popijając drinki i jedząc pizzę, świętowały przeprowadzkę do nowego mieszkania.

- Wiesz, czuję się u ciebie jak u siebie w domu - powiedziała Carrie, pałaszując ciasto pokryte sosem pomidorowym. - Naprawdę od dawna nie było mi tak dobrze.

Renata poczuła się beznadziejnie, jak zdrajczynie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Zatrzymanie

BATTERSEA, 11 CZERWCA 2003

Sierżant Brandon w towarzystwie dwójki policjantów zbliżał się do domu w Battersea, który Sarah właśnie sprzątała. - Mówi pani, że ten dom znajduje się nad rzeką? - zapytał Brandon.

- Tak. Tuż koło mostu Wandsworth, trochę na lewo od niego - potwierdziła Renata.

SARAH

Jest prawie dwunasta. Mam napięty program i nie mogę sobie pozwolić na stratę czasu pomiędzy jednym a drugim sprzątaniem. Chcę stąd wyjść punktualnie, żeby się nie spóźnić do następnej pracy. Nie cierpię się spóźniać.

Policjanci zatrzymali się na brukowanej uliczce naprzeciwko domu w Battersea, który był celem ich akcji. Brandon zwrócił się do swoich ludzi: - No to do roboty. Zatrzymajmy ją.

SARAH

Wychodzę z domu tylnymi drzwiami, przez ogród, zatraskując za sobą niebieską, metalową bramę; zatrzymuję się na chwilę tylko po to, żeby się upewnić, czy kot właścicieli nie wymknął się, kiedy

otworzyłam furtkę.

Bob Brandon nacisnął dzwonek przy drzwiach wejściowych. Nikt nie otwierał. Zrobił krok do tyłu i spojrzał w górę, w okna trzy-piętrowego budynku.

- Spróbuj jeszcze raz zadzwonić - poprosił kolegę. W dalszym ciągu nie było odpowiedzi.

- Nie ma jej - powiedział ze złością.

SARAH

Przechodząc przez parking Homebase, widzę autobus do Fulham podjeżdżający właśnie do przystanku. Rzucam się biegiem przez ulicę York Road i wskakuję do autobusu w ostatniej chwili.

- Nie rozumiem - powiedziała Renata. - Spróbuję zadzwonić na jej komórkę.

- Będzie pani musiała jakoś wytłumaczyć, dlaczego chce się pani z nią zobaczyć - ostrzegł sierżant Brandon.

Renata wystukała numer i usłyszała znajomy głos.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- W autobusie do Fulham.

- Słuchaj, nie mogę się dostać do domu, zatrasnęłam klucze w środku. Czy mogłabyś mi pożyczyć swoje? Podjechałabym do tego domu, który będziesz teraz sprzątać?

Była to wymówka dająca policji gwarancję, że Sarah otworzy drzwi.

SARAH

Jestem już na Chiswick Quay, to małe osiedle domków otaczających przystań na Tamizie. Jest piękne popołudnie i nie mogę się doczekać, kiedy znów się znajdę w nowym mieszkaniu Renaty. Nuce

sobie coś pod nosem, biorąc sprzęt do sprzątan.

Klucze dla Renaty zostawiam na stole w jadalni i zdejmuję bluzę. Będzie dziś za ciepło, żeby mieć na sobie cokolwiek poza podkoszulką.

Właśnie weszłam na górę, kiedy dzwoni moja komórka. To Renata, czeka na dole.

Otwieram drzwi i...

- Dzień dobry, Sarah.

Wszelkie dźwięki należące do codziennego świata przestają istnieć. Na progu stoją dwaj mężczyźni i kobieta; nigdy ich przedtem nie widziałam. Skąd znają moje imię? Nikt z wyjątkiem Roba nie nazywa mnie Sarah. Chcę zatrzaskać drzwi, uciec, ale powstrzymuje mnie widok Renaty. Co ona tu robi z tymi obcymi ludźmi?

- Robert Hendy-Freegard nie pracuje dla rządu. Nigdy nie pracował dla rządu - mówi jeden z mężczyzn. Słyszę słowa, ale nie mają one dla mnie żadnego sensu. Spoglądam na Renatę; przecież ona jest po tej samej stronie co Rob.

- Musimy z panią porozmawiać - mówi mężczyzna. Wprowadza mnie do środka. Przedstawia się jako sierżant Bob Brandon.

- Robert Hendy-Freegard nie jest tajnym agentem - powtarza. - Bardzo mi przykro, Sarah, ale ostatnie dziesięć lat było w zasadzie jednym wielkim kłamstwem.

Kręci mi się w głowie. Krew tętni mi w skroniach. Wpadam w panikę. Słyszę słowa, ale nic mi one nie mówią. Patrę na Renatę, błagając ją wzrokiem, żeby mi powiedziała, że to, co słyszę, nie jest prawdą.

- Mnie także oszukał. - Renata przestępuje z nogi na nogę zakłopotana. - Tak mi przykro. Czuję się jak szmata, oddając cię w ręce policji, ale pomyślałam, że może jesteś w kłopotach.

Patrę na nią wielkimi oczami niczym w transie. Mój świat to jedna wielka pustka.

- Musimy panią zabrać na posterunek, Sarah. Jest wiele pytań, które chcielibyśmy pani zadać - mówi detektyw. - Rozmawialiśmy już z Johnem Atkinsonem i Marią Hendy.

W głowie mam całkowity chaos. W jednej chwili popłakuję ci-chutko, w następnej każę sobie wziąć się w garść. Wszystko wydaje się nierealne. Siedząc w samochodzie, zastanawiam się, czy może przypadkiem to, co się odbywa, rzeczywiście nie jest prawdziwe, może to jakiś trik. Mam kompletny zamęt, nie mogę zebrać myśli.

Zatrzymujemy się przed szarym, nieciekawym budynkiem posterunku policji. Kiedy wchodzimy do środka, przytłaczają mnie hałas i ruch: wokół siebie widzę pełno mundurów policyjnych, dzwonią telefony, bezładnie kłębią się jacyś ludzie.

- Zechce pani wejść tutaj, panno Smith. - Policjanci wprowadzają mnie do pokoju, w którym nie ma nic oprócz stołu i czterech krzeseł. Siadają razem ze mną.

A jeżeli oni rzeczywiście mówią prawdę? A jeżeli Rob rzeczywiście przez cały ten czas karcił mnie jedynie kłamstwami? O Boże, to zbyt straszne, żeby się nad tym w ogóle zastanawiać. Oznaczałoby to, że ni mniej, ni więcej, tylko zmarnowałam swoje życie.

Ponieważ jestem załamana, Bob Brandon proponuje, żebyśmy się przenieśli do Tooting, gdzie znajduje się centrum pomocy ofiarom gwałtu. Panuje tam znacznie swobodniejsza atmosfera, a ponadto będą mogli zarejestrować przesłuchanie na wideo.

- Wiem, że to zabrzmiało, jakbym była szalona - mówię, kiedy już znajdujemy się na posterunku w Tooting - ale muszę wiedzieć, czy to wszystko prawda. Chciałabym porozmawiać z Marią Hendy. - Muszę sprawdzić, czy ci ludzie są tymi, za których się podają i czy rzeczywiście jestem na posterunku policji. Chce usłyszeć od Marii osobiście, że ją też przesłuchiwali. Na chwilę obecną czuję, że jedynie Marii jestem w stanie zaufać.

Przynoszą mi telefon.

- Maria?

- Tak, Sarah, to ja. Porozmawiaj z nimi. Złóż zeznanie. Powiedz im prawdę. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Złożyłam zeznanie, ale jestem również świadkiem.

- Proszę się nie spieszyć, panno Smith - mówi detektyw. - Powołutku. Proszę mi opowiedzieć własnymi słowami, co się wydarzyło w pani życiu w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Na początku słowa z trudem przechodzą mi przez gardło, tak jak strumień z trudem toruje sobie drogę między skałami. Kiedy przez tak długi czas żyło się, nikomu nie mówiąc ani słowa o sobie, chęć ukrycia informacji jest przemożna. Mam wyjawić wszystko, co się wydarzyło w ciągu dekady, opowiedzieć o tym, kim byłam, o rzeczach, które robiłam, o pieniądzach, które straciłam, o ludziach, których skrzywdziłam. Mam opory przed powiedzeniem policji wszystkiego; ciągle nie do końca wierzę w to, co się stało. Podczas tego pierwszego przesłuchania kilka szczegółów zostawiam dla siebie.

TEGO SAMEGO DNIA NIECO PÓŹNIEJ

W hrabstwie Kent Peter i Jill spacerowali po plaży z Guyem i swoim najstarszym wnukiem. Poprzedniego dnia Bob Brandon poinformował ich, że wszystko wskazuje na to, iż wiedzą, gdzie jest Sarah.

Zadzwoniła komórka Guya. Był to wreszcie telefon, na który wszyscy czekali. - Znaleźli Sarah - Guy przekazał rodzicom wiadomość. - Poprosili, żebym natychmiast przyjechał do Londynu i ją odebrał.

Minęła długa chwila, zanim dotarło to do ich świadomości. Po dziesięciu latach niepewności, fałszywych śladów i zniweczonych nadziei nie mogli wprost uwierzyć, że ich córka wkrótce będzie znowu w domu.

- Dzięki, Guy - powiedział Peter.

Opiekuńczym gestem objął żonę ramieniem i spacerowali dalej w milczeniu, każde pochłonięte swymi własnymi myślami. W jakim stanie będzie Sarah? Czy będzie się bała z nimi spotkać? Jak mają z nią nawiązać kontakt? Padło tak wiele gorzkich słów, czy zechce ich po tym wszystkim zaakceptować? - Nie ma wątpliwości, że jakoś się to rozwiąże - powiedział Peter ze stoickim spokojem.

Pomimo tych obaw nie posiadali się ze szczęścia i nawet nie próbowali ukryć wielkiej radości, jaką sprawiła im otrzymana właśnie wiadomość.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wyznania

SARAH, TOOTING, TEGO SAMEGO DNIA

W kamerze wideo zatrzymuje się taśma, urządzenie zostaje wyłączone. Mówią, że na dziś dość. Sierżant Brandon informuje mnie, że nie mogę nocować u Renaty, ponieważ ona również jest świadkiem w tej sprawie.

- Chcielibyśmy więc, żeby pani zadzwoniła do rodziców.

Przez głowę przelatują mi błyskawicznie najróżniejsze obrazy, jak na pokazie slajdów; żaden z nich nie jest przyjemny. Tyle kłamstw... Nether Hale to miejsce, na które nie jestem gotowa, miejsce, do którego nie mogę się udać. Poczucie winy jest zbyt wielkie.

- Nie, nie mogę - mówię stanowczo, wymachując rękami, jakbym chciała odsunąć ten pomysł jak najdalej od siebie.

Detektyw patrzy na mnie ze zrozumieniem. - W porządku, ale w międzyczasie poprosiliśmy pani brata, żeby po panią przyjechał, jest już w drodze z Kentu.

Jestem przerażona. Jak zareaguje Guy? Wyrzuciłam z moich myśli rodzinę i przyjaciół i teraz będzie musiało upłynąć trochę czasu, zanim się na nowo przystosuję. Przez tak długi okres nie pozwalałam sobie na uczucia. Wszystko jest pustką.

Kiedy Guy pojawia się w drzwiach, pierwsze, co zauważam, to jego włosy. Są siwe i jest ich dużo mniej. W tym momencie możliwość skupienia się na takich drobnych szczegółach bardzo mi pomaga.

- Mój Boże, co ci się stało?

Stoi w progu i śmieje się nerwowo. - Ty w ogóle się nie zmieniłaś.

Udaje mi się przywołać na usta niepewny uśmiech, ale cała się trzęsę.

Siadamy do samochodu Guya; za oknami przemyka miejski krajobraz, kiedy jedziemy do jego domu w południowo-zachodniej części Londynu. Mówię mu, że marzę o prysznicu. W kółko powtarzam, że muszę wziąć prysznic. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Dziesięć straconych lat zalega między nami niczym przepaść, której w obecnej chwili nie sposób zasypać.

Szok, jestem w szoku. Tak muszą się czuć ludzie, którym udało się przeżyć zamach bombowy lub klęskę żywiołową. Następstwa tego, co się wydarzyło, są olbrzymie i można myśleć jedynie o drobiazgach: o kolorze włosów, guziku u koszuli, potrzebie stanięcia pod prysznicem.

Guy jest jak zwykle flegmatyczny, ale wyczuwam w nim pewne wahanie, nieufność.

Po drodze zajeżdżamy do supermarketu kupić mi jakieś ubranie. Wszystko, czym mogę się poszczycić po dziesięciu latach zmieści się w dwóch torbach plastikowych, a moja skromna garderoba jest przecież ciągle u Renaty. Jedyna rzecz, którą zdołałam przez te wszystkie lata zachować, to naszyjnik подарowany mi przez rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny. Jego czarny opal, błyszczący niczym światło latarni morskiej, pomagał mi przetrwać w złych czasach.

Tuż po przyjeździe do domu Guy nalewa mi kieliszek mocnej brandy, czuję jak alkohol rozplywa się po moim ciele, zalewa mnie fala ciepła. To jakby słońce roztapiające lód.

Początkowo powoli, ostrożnie zaczynam odsłaniać drobne skrawki swojego życia. Stopniowo zaczyna się z tego wynurzać Sarah Smith, którą trzymałam zamkniętą w klatce. Przekonuję samą siebie, że skoro policji powiedziałam tak dużo, to Guyowi mogę powiedzieć trochę więcej; i mówię.

W miarę jak odtwarzam swoje bolesne doświadczenia, piję coraz więcej brandy. Pod koniec wieczora butelka jest pusta i wiem, że popadam w błogi stan upojenia alkoholowego. Jednocześnie staje się dla mnie całkowicie oczywiste to, co muszę zrobić: pokonam ciemność i wpuszczę światło.

Fragmenty tego, co przeżyłam, mimo woli wpychają się do mojej świadomości. Budzę się z krzykiem. Kolejny zły sen. Mówię sobie, że jest pod kluczem, za kratkami, ale przecież to tylko areszt śledczy. Co będzie, jeżeli mnie znajdzie i będzie mnie chciał znowu zabrać? Co ja wtedy zrobię?

Wstaję z łóżka w panice, wypijam duszkiem szklankę wody i próbuję przestać dygotać.

To jeszcze nie koniec. Co będzie, jeżeli mu się uda im wmówić, że nie zrobił niczego złego?

Część ósma

SPRAWA SĄDOWA
czerwiec 2003 - czerwiec 2005

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Założenie sprawy

CENTRUM LONDYNU, CZERWIEC 2003

Andrew West włożył kasetę do magnetowidu i nacisnął przycisk „Start”. Na ekranie pojawiła się Sarah Smith.

W swojej karierze prawniczej był prokuratorem w sądzie karnym w Londynie w co najmniej dwudziestu głośnych sprawach o morderstwo, był także oskarżycielem w skomplikowanym trwającym dziewięć miesięcy procesie przeciwko gangowi fałszerzy oprogramowania Microsoftu, ale nigdy nie zetknął się z czymś podobnym do obecnej sprawy.

Prawdę mówiąc, miał do niej nieco ambiwalentny stosunek. Czy rzeczywiście było to coś więcej niż prosty przypadek naiwnych ludzi, którzy padli ofiarą drobnego oszusta?

Wiedział, że jeżeli chcą doprowadzić do skazania Freegarda, zeznanie Sarah będzie miało znaczenie podstawowe. Cała sprawa opierała się w istocie na tym, co ona ma do powiedzenia.

Przesłuchanie Sarah trwało ponad dwa dni i West musiał teraz przebrnąć przez z górą trzygodzinny zapis wideo. Oglądając nagranie, będzie wynotowywał sytuacje, w których mogły zostać popełnione czyny karalne i spróbuje dokonać klasyfikacji przestępstw; te notatki będzie musiał następnie powiązać z zeznaniami Johna Atkinsona i Marii Hendy.

Usiadł wygodnie i wsłuchał się w długą opowieść Sarah.

Powiedział, że pracuje dla MI5. Wierzyłam mu..., myślałam że jest szpiegiem. Przekonał mnie, że jeżeli będą się chcieli dostać do

mnie, skrzywdzą również moich rodziców i że to samo się stanie, jeżeli wrócę do domu.

Powiedział mi, że muszę dać do zrozumienia rodzicom, że sytuacja jest trudna, że na razie nic się nie wyjaśniło i że wobec tego potrzebuję pieniędzy. Zawsze miało się to odbyć natychmiast, musiała to być gotówka i musiała być przesłana bezpośrednio do takiego a takiego banku czy gdziekolwiek indziej, zgodnie z tym, co zdecydował. Mówił, że rodzice wydali tysiące funtów na prywatnych detektywów i że nie działają w moim interesie. Ciągłe naciskał, że bym wydobyła od nich jeszcze trochę pieniędzy. Nie chciałam się z nimi kontaktować, bo tak bardzo ich skrzywdziłam i tak dużo od nich pożyczyłam. Mówił... że najwyraźniej moje dobro nie leży im na sercu, jemu natomiast jak najbardziej.

Powtarzał: „Jeżeli ktokolwiek się z tobą skontaktuje, uciekaj. Po prostu odejdz, nie rozmawiaj z nimi, zwłaszcza jeżeli by to była policja, zwyczajnie odejdz; w przeciwnym wypadku wszystko stracisz”. Doprowadził do tego, że wierzyłam, iż odzyskam to, co zostało mi zabrane, ale, że jeżeli z kimś zacznę rozmawiać, wszystko przepadnie.

Miałam najróżniejsze wątpliwości, wielokrotnie, ale już tak daleko zaszłam, że nie wiedziałam, jaką inną drogą miałabym pójść, jak cokolwiek zmienić i jedynie nadzieja, że cała ta sytuacja jest prawdziwa, sprawiała, że dawało się to wytrzymać. Myśl, że może jestem po prostu głupia, że wszystko jest kłamstwem, że zmarnowałam tyle czasu i pieniędzy, że skrzywdziłam tylu ludzi, a w głównej mierze tych, których kocham, coś takiego zwyczajnie nie wydawało się możliwe, a może po prostu nie chciałam, żeby to było możliwe, więc brnęłam dalej.

Przekonał mnie, że jest tym, za kogo się podawał i że muszę mu ufać, bo nie ma innego wyboru. Nie miałam gdzie pójść, nie miałam nic, odejście oznaczałoby życie jakiego doświadczyłam w Birmingham, a to było straszne. Czy rozważałam powrót do domu? O tak, tyle razy się nad tym zastanawiałam, że trudno by było w to uwierzyć, ale nie sądziłam, że zasługuję na to, żeby mnie na powrót zaakceptowano i nie miałam nic. Miałam mniej niż nic. Miałam mniej niż kiedy byłam szesnastolatką, tyle tylko, że szesnastolatką już nie byłam.

Nagranie z przesłuchania się skończyło, obraz zniknął z ekranu, słyhać było tylko jednostajny szum.

Andrew West, ojciec dwójki dzieci, był ewidentnie poruszony tym, co zobaczył i usłyszał. - To z pewnością prawda, takie to szczerze i takie tragiczne - powiedział do swego kolegi Michaela Hicka. - Nie dość, że to wszystko faktycznie się wydarzyło, to ta dziewczyna została zmanipulowana i oszukana, i na dodatek godziła się na to, co jej robiono.

Podszedł do okna i spojrzął w dół na ulicę Ludgate Hill. - To przesłuchanie jest tak pełne bólu, że szczerze mówiąc, czuję się podle. Uświadomiło mi, jak bardzo ważne będzie przygotowanie naprawdę dobrego aktu oskarżania przeciwko Freegardowi za to, co zrobił tym ludziom.

Andrew West i jego zespół z Prokuratury Koronnej mieli sześć tygodni na doręczenie obronie pism procesowych. Chodziło między innymi o takie dokumenty jak akt oskarżenia, zeznania świadków i lista dowodów rzeczowych. Freegardowi już wcześniej postawiono zarzut porwania Sarah Smith, Johna Atkinsona i Marii Hendy. Na ślad Elizabeth Richardson jeszcze nie natrafiono i Andrew West zwrócił się z prośbą do zespołu obrońców, żeby postarali się uzyskać pomoc Freegarda w kwestii jej odnalezienia. Freegard odmówił.

Tymczasem pojawił się kolejny świadek: Leslie Gardner pracująca w służbie cywilnej w Chelmsford w hrabstwie Essex. W ciągu nieco ponad trzech i pół roku przekazała ona Freegardowi blisko 30 000 funtów, aby umożliwić mu „wykupienie się z policji” i rozpoczęcie nowego życia w zawodzie taksówkarza w Middlesex. Pewnego razu powiedział jej, że potrzebuje pieniędzy, żeby przekupić pewnych zabójców; byli to, jak twierdził, „zamachowcy z IRA”, zwolnieni na mocy porozumienia z Wielkiego Piątku.

Prokurator zajął się dokładną analizą posiadanych informacji i ich porównaniem. Ważne było wprowadzenie rozróżnienia pomiędzy tym, co się wydarzyło w sprawie i zbliżonymi incydentami o niegroźnym charakterze, takimi na przykład jak przyjęcie niespodzianka z okazji urodzin. W końcu nawet mimo że zamiar jest szczytny, czyż solenizant lub solenizantka nie są doprowadzani na

miejsce akcji podstępem? Nikt nie uznałby tego za porwanie, na jakiej więc podstawie można wysuwać podobne argumenty jako dowody porwania w wypadku studentów? Kluczowym zagadnieniem było udowodnienie złych intencji w tym, czego dopuścił się Freegard.

Jednak Andrew West i tak obawiał się, że mogą przegrać proces o porwanie, ponieważ sędziowie przysięgli albo nie rozumieją istoty zarzutu, albo wręcz potraktują Freegarda jako „faceta z ikra”. Ponadto zapisy bankowe dotyczące sprawy nie były dowodem, że pieniądze, które ofiary straciły, zgodnie z ich własnymi zeznaniami, trafiły do Freegarda. Oskarżenie mogło oczywiście udowodnić, że prowadził on określony styl życia, ale nie mogło dowieść, że pieniądze opuściły jedno konto i trafiły na drugie. Nie było żadnego bezpośredniego powiązania. A zatem jedyne, na czym można się było oprzeć, to zeznania świadków.

West przygotowywał się także na twardą obronę. Co będzie na przykład, jeżeli Freegard zezna, że uważał, iż pracuje dla kogoś innego, kto z kolei utrzymywał, że działa na zlecenie rządu; że osobiście nie miał pojęcia, co się dzieje z pieniędzmi, że po prostu je odbierał i przekazywał dalej. Co by z tego mogło wyniknąć?

Kiedy oskarżenie otrzymało wnioski procesowe obrony, Andrew West odetchnął z ulgą. Zgodnie z tymi dokumentami Freegard twierdził, że świadkowie wymyślili całą historię; że był to spisek uknuty przez Petera Smitha i że oskarżające go kobiety były zgorzkniałymi byłymi kochankami. On, Freegard, nie powiedział im, że jest szpiegiem i nie brał pieniędzy ani od Sarah Smith, ani od Johna Atkinsona.

West pomyślał, że mogło być znacznie gorzej. Zastanowiwszy się nad tym, prokurator uzmysłowił sobie, że Freegard jest zbyt próżny, żeby zeznać, iż dał się komuś nabrać. Dla niego liczył się głównie własny image i nie było takiej możliwości, żeby Freegard przyznał, że jest głupcem. Jednak pomimo wszystko Andrew West wiedział, że udowodnienie, iż Freegard dopuścił się porwania Sarah, Johna i Marii na drodze oszustwa nie będzie sprawą łatwą. Wygranie tego procesu może się okazać wielką sztuką.

WRZESIEŃ 2003

Prawie cztery miesiące po aresztowaniu Freegarda posterunkowy Mark Simpson odebrał telefon, na który z nadzieją wyczekiwał. Dzwoniła Elizabeth Richardson.

Próbując ją odnaleźć, detektyw napisał list do jednego z jej starych przyjaciół, a tego dnia rano tenże przyjaciel skontaktował się z Simpsonem, żeby go poinformować, że przekazał Elizabeth jego numer telefonu.

Simpson udał się razem z sierżantem Brandonem do Dunton Bassett, wioski w hrabstwie Leicestershire, gdzie prawie sześć miesięcy temu Freegard kazał Sarah pilnować swojego samochodu. Znaleźli tam Liz.

Powiedziała policjantom, że nie została poinformowana przez MI5, że Freegarda zabito, mogła więc jedynie przypuszczać, że wykonywał jakieś długotrwałe zlecenie; w tej sytuacji czekała po prostu, aż zadzwoni do niej z kolejnymi instrukcjami. Czekala pięć i pół miesiąca.

Po odnalezieniu Elizabeth Richardson Freegarda oskarżono również o jej porwanie i dołączono ten zarzut do postępowania w sprawie Sarah, Johna i Marii. W akcie oskarżenia postawiono mu ostatecznie dwadzieścia cztery zarzuty: cztery dotyczyły porwania, jedenaście kradzieży, osiem oszustwa i jeden grożenia śmiercią. Hendy-Freegard nie przyznał się do żadnego z nich.

Wszystko było przygotowane do procesu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Werdykt

SARAH, 22 LISTOPADA 2004

Budzę się dręczona niepokojem. Mam dziś zacząć zeznawać. Upiętno już osiemnaście miesięcy, a proces dotarł dopiero do tego momentu. W żadnym razie nie jest to sprawa prosta.

Rozpoczął się na początku roku, ale został przerwany po zaledwie dwóch tygodniach, kiedy drugi zespół obrońców Freegarda zrezygnował „z powodów zawodowych”.

Wznowienie procesu zostało wyznaczone na kwiecień, ale nowi adwokaci stwierdzili, że wydaje się, iż może być „problem”. Sędzia Deva Pillay zwolnił ławę przysięgłych, kiedy obrona potwierdziła, że rzeczywiście istnieje pewien problem i że oni również rezygnują „z powodów zawodowych”. Rozprawa została przełożona na czerwiec. W czerwcu prawnicy reprezentujący obronę stawili się przed sądem i oświadczyli, że nie zdążą na czas. Sędzia nie miał wyboru i był zmuszony jeszcze raz przesunąć proces, tym razem na październik.

Nareszcie nadeszła pora na moje wyjaśnienia w sądzie. Większość ofiar ma zeznawać z za specjalnie postawionego przepierzenia, tak żebyśmy nie musieli oglądać Freegarda, nasze zeznania będą więc skierowane wprost do ławy przysięgłych. Mimo wszystko ogarnia mnie paniczny strach i jestem przerażona, że jakimś sposobem uda mu się zmanipulować nasze oświadczenia i tak wszystko przekręcić, żeby móc wykorzystać to, co powiemy dla własnych celów. Wystarczy, iż wiem, że tam będzie. Czuję, jak moje poczucie sensu życia, wywalczony z takim trudem zaczyna się rozpadać.

Schodzę na dół do kuchni, gdzie mój brat odprawia codzienny rytuał śniadaniowy. Jest jak zawsze spokojny, opanowany; nie widać po nim, że ma się wydarzyć coś niezwykłego. Zdając sobie sprawę z mojego podenerwowania, nastawia czajnik, żebyśmy mogli jeszcze przed wyjściem wypić kawę.

- Nie martw się, będę na ciebie czekał przy wyjściu, kiedy skończysz - mówi, uspokajając mnie. - Jeżeli czegokolwiek potrzebujesz albo jesteś czymś zaniepokojona, mów śmiało. Już niedługo będzie po wszystkim.

Co ja bym zrobiła bez Guya? Pomaga mi odzyskać spokój, kiedy jestem rozdrażniona i czuwa, żeby kruche podstawy mojej obecnej egzystencji nie wymknęły się spod kontroli. Zbiera porzrzucone kawałki mojej pewności siebie i pomaga mi je złożyć w całość. Daje mi nową siłę i sprawia, że jakoś mogę sobie ze sobą poradzić.

Nadszedł czas wyjścia.

- No dobra, Sarah. Idziemy.

Razem z Guyem wsiadam do pociągu jadącego na stację Waterloo. Stąd już niedaleko do sądu w Blackfriars. Wewnątrz nowoczesnego budynku panuje kliniczna atmosfera przypominająca raczej salę operacyjną niż sądową. Zło jest tu napiętnowane, a życiu przywraca się nowy sens. Taki przynajmniej jest zamysł.

Czekanie, aż mnie wezwą na salę rozpraw, wydaje się nieskończenie długie i żebym nie wiem ile chodziła, siedziała i myślała, czas nie chce lecieć ani trochę szybciej. Boję się i jestem zestresowana, ale tak naprawdę wolałabym już tam być, stawić czoło obronie, przebrnąć przez pytania i mieć to za sobą. A nade wszystko mam nadzieję, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Przychodzi po mnie woźny sądowy i prowadzi mnie na salę. Biorę głęboki wdech...

SARAH, 23 CZERWCA 2005

Ława przysięgłych obraduje od kilku dni. Minęły właśnie dwa lata od chwili aresztowania Freegarda. Bob Brandon zadzwonił do

mnie przed chwilą, żeby mi powiedzieć, że werdykt jest spodziewany za mniej więcej dziesięć minut.

O dziwo, czuję się bardzo spokojna, jak gdybym stała na pustej ulicy, przez którą przeszła burza piaskowa. Nic nie mogę zrobić; nie jest to już w moich rękach; zadecyduje ława przysięgłych.

Dzwoni komórka. Poznają głos natychmiast. Zbieram się w sobie.

- Winny osiemnastu kradzieży i oszustw oraz dwu porwań. Winny porwania ciebie i Johna.

Kolana się pode mną uginają, jestem naprawdę bardzo szczęśliwa, że sędziowie przysięgli podjęli właściwe decyzje. To taka ulga, taka radość. - Wspaniale - mówię. - Absolutnie wspaniale.

Przekazuję wiadomość Guyowi, a następnie dzwonię do mamy i taty. Niedługo potem telefonują znajomi. Dowiedzieli się o werdykcie z telewizji i chcą mi przekazać gratulacje. Mogę w końcu zostawić przeszłość za sobą i odbudować swe życie.

Ciągle jednak brakuje jednego ogniwa, żeby układankę można było uznać za zakończoną. Po werdykcie ławy przysięgłych Freegard czeka na wyrok, ale ja ciągle nie wiem, dlaczego to wszystko się wydarzyło i dlaczego stało się to mnie. Co wtedy w Swanie chodziło Freegardowi po głowie? Czy po prostu znalazłam się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie?

Część dziewiąta

**ZBIERAJĄC OKRUCHY
ŻYCIA**
teraz

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Nowe horyzonty

SARAH SMITH, TERAZ

Proszę położyć bagaż na wadze. - Podnoszę swoje torby i stawiam je na gumowym pasie, obawiając się, że może przekroczyłam limit wagowy.

- W porządku. Życzy sobie pani miejsce przy oknie czy przy przejściu, panno Smith?

- Poproszę przy oknie.

Po moich dziesięcioletnich ciężkich przejściach wolność wyboru zaskakuje mnie na każdym kroku. Możliwość pójścia do sklepu, kiedy chcę, zobaczenia się, z kim chcę, wyjazdu do domu, kiedy mam na to ochotę, posiedzenia przy dobrym jedzeniu, podróżowania, dokąd mi się podoba - wszystkie te oczywiste wolności ciągle są w stanie mnie zaskoczyć.

Kiedy byłam na Heathrow tego straszego zimowego dnia w roku 2003, bez czucia w palcach rąk i nóg po długiej wędrówce w śniegu, a potem na Gatwick, gdzie z braku jedzenia ledwie utrzymywałam się przy życiu i przez cały czas próbowałam uniknąć spotkania z policją, w czasie tamtych pobytów na lotniskach, lubiłam przypatrywać się podróżnym. Zastanawiałam się, dokąd jadą i w jakim celu, pragnęłam być jednym z nich. Oczami wyobraźni widziałam różne odległe miejsca, do których ja pojechałabym, gdybym mogła. Wtedy były to tylko marzenia.

Opisanie, jak wielką władzę miał nade mną Freegard, jest niemożliwe, chyba że nazwę go panem życia i śmierci. W ciągu ostatnich kilku lat w wyniku jego traktowania mogłam umrzeć z głodu lub wyziębienia.

W każdej chwili mógł mnie doprowadzić do odebrania sobie życia, gdyby miał ochotę. Takiej władzy żaden człowiek nie powinien mieć nad innym człowiekiem.

Chociaż z pozoru jestem spokojna, ciągle wszystko się we mnie kłębi. Ludzie, z którymi się obecnie spotykam, sądzą zapewne, że jestem zwyczajną, a nawet dość pewną siebie osobą, ale bardzo trudno jest mi komukolwiek zaufać po doświadczeniach z Freegardem. Urazy spowodowane torturami psychicznymi nie są widoczne na zewnątrz. Przez dziesięć lat byłam indoktrynowana i żyłam jak w zamknięciu, wskutek czego dałam wiarę wierutnym kłamstwom i skrzywdziłam wszystkich, których kocham. Musiałam się pogodzić z faktem, że moje życie było farsą i w wieku trzydziestu siedmiu lat spróbować na nowo jakoś je uporządkować. Na szczęście mam kochającą rodzinę, wspomagającą mnie w moich wysiłkach, ale będzie musiało minąć trochę czasu, zanim się znów nauczę ufać ludziom.

Podejmowanie decyzji to walka, a kiedy muszę dokonać wyboru, ogarnia mnie poczucie bezradności i zalewam się łzami. Ludzie bez przerwy decydują o codziennych sprawach i na ogół nie mają z tym kłopotu, robią to podświadomie, tak jak kierowca prowadzący samochód nie zastanawia się, gdy zmienia bieg czy wybiera zakręt. Ja jednak musiałam się uporać ze zreorganizowaniem całego swojego życia i uporządkowaniem go od nowa. Przez długi czas nie ufałam sama sobie, nie wierzyłam, że mogę podjąć właściwą decyzję na jakikolwiek temat, ważny czy błahy. Tak więc Guy rzucił mi wyzwanie, żebym każdego dnia robiła coś, co mnie przeraża i stawiała czoło sprawom napawającym mnie lękiem, takim jak nawiązanie kontaktu ze starymi przyjaciółmi, którzy, jak sądziłam, nie będą chcieli mieć ze mną nic wspólnego czy z ludźmi, którym byłam winna pieniądze i którym powinnam się odwdziaczyć.

I tak właśnie robię. Mam uczucie, jakbym się od nowa uczyła przechodzić przez jezdnię. Od czasu do czasu ciągle nie mogę sobie ze sobą poradzić, zaskakują mnie moje własne reakcje emocjonalne. Czasami czuję się zagubiona, sfrustrowana, przygnębiona. Freegard coraz rzadziej pojawia się nieproszony w moich myślach, a jeżeli się to zdarza, powodem jest zwykle jakiś znajomy widok czy dźwięk, ale te wspomnienia zacierają się wraz z upływem czasu. Stałam się

silniejsza i moje życie poprawiło się w sposób niewyobrażalny. Jestem chodzącym dowodem na to, że nawet po straszliwych doświadczeniach ciągle warto żyć. Powinnam też dodać, że dobre rzeczy zdarzają się nawet w złych czasach. Podczas mojej mordęgi niejednokrotnie zdziwieniem napawała mnie uprzejmość okazywana przez zupełnie obcych ludzi, dzięki nim dawało się wytrzymać nawet najgorszą niedolę.

Czasem mam wrażenie, jakby tego wszystkiego w ogóle nie było. W zasadzie wróciłam do swojego poprzedniego życia. Otaczają mnie ci sami ludzie, tyle tylko że są nieco starsi, niektórzy się ożenili czy wyszli za mąż, niektórzy nawet dorobili się dzieci. Mam olbrzymie szczęście, że zostałam obdarzona wielkoduszną, kochającą rodziną; ponadto pomimo moich obaw wszyscy znajomi, starzy i nowi, stoją murem przy moim boku i udzielają poparcia, kiedy go potrzebuję.

Moje „tajne” życie, kiedy dziś na nie spoglądam, ma w sobie coś nierealnego, jest jak przedmiot o niewyraźnych konturach; jak okręt na horyzoncie, może rzeczywiście istnieje, a może to tylko złudzenie. Jednakże na każdym kroku coś przypomina mi o tym, co straciłam. Rzuciłam studia, więc nie mam żadnych kwalifikacji. Nie posiadam domu ani samochodu. Jestem bez grosza. Zaprzepąciłam dziesięć najcenniejszych lat życia, kiedy normalny, młody człowiek buduje podstawy przyszłej egzystencji.

Poza tym odbudowywanie życia po okresie, kiedy przestało się istnieć w urzędowych aktach, jest dużo trudniejsze niż można to sobie wyobrazić. Dziecko na przykład ma prawo otworzyć rachunek w banku, posiadając monetę jednofuntową, ale nie dotyczy to osoby dorosłej. Nie mając dowodu tożsamości, nie da się wyrobić paszportu ani założyć konta. Wszystkie dokumenty identyfikujące mnie jako Sarah Smith, a więc świadectwo urodzenia, paszport, prawo jazdy i książeczka zdrowia zostały znalezione w pokoju hotelowym Fregarda we Francji. Ale ponieważ były dowodami w sprawie, żeby sobie wyrobić nowy paszport, musiałam prosić o udostępnienie mi prawa jazdy. Bez paszportu czy konta bankowego trudno dostać pracę i mieszkanie. Nawet gdybym dostała pracę, to na nazwisko Marii Hendy. Z kolei nie mając rachunków za gaz czy elektryczność

na swój adres, dowodu tożsamości ani zaświadczenia o dochodach, nie można otworzyć rachunku bankowego.

Jest to zamknięte koło, z którego prawie nie można się wydostać tak więc, mając trzydzieści parę lat, musiałam poprosić mamę, żeby zgodziła się na wspólny rachunek bankowy. Było to jedyne możliwe rozwiązanie, a i tak wymagało wielokrotnego tłumaczenia się i zabrało mnóstwo czasu.

Ucieczką były rozmowy z innymi ofiarami Freegarda, zawieranie nowych znajomości, a głównie świadomość, że nie jestem sama, że ktoś mnie rozumie. Spędziłyśmy wiele godzin z Renatą, porównując doświadczenia i próbując odtworzyć przebieg wypadków, na nowo interpretując wydarzenia w oparciu o posiadaną teraz wiedzę o tym, co się naprawdę działo. Dopiero dowiedziawszy się, jak nasze historie zostały ze sobą splecione, możemy próbować cokolwiek zrozumieć. Rozmawiałam też z Kim. Sądzę, że obie skorzystałyśmy na tym, że mogłyśmy sobie nawzajem opowiedzieć, co się nam przydarzyło. Wszystkie jesteśmy ze sobą powiązane poprzez nasze wspólne doświadczenie. Chcemy zrozumieć, co robił Freegard, jak to robił i dlaczego - pewnych rzeczy nigdy się nie dowiemy. To ostatnie stwierdzenie prowadzi mnie do Johna Atkinsona.

Z Johnem zobaczyłam się po ogłoszeniu werdyktu. Było to nasze pierwsze spotkanie po jedenastu latach. Musiałam przede wszystkim sama sobie wyjaśnić, co było prawdą, a co fikcją w czasie, kiedy byliśmy razem. John był zdenerwowany; nalegał, żeby się spotkać na moście Millenium w centrum Londynu - bał się, wiedząc, jak wiele zmartwień i zgryzot przysporzył mojej rodzinie, obawiał się, że może Guy będzie czekał za rogiem. Oczywiście o niczym podobnym nie mogło być mowy. Nikt z nas go nie wini. Był sterywany w równym stopniu jak ja i robił to, co mu kazano. Nasze spotkanie dostarczyło mi pewnych odpowiedzi i nieco przywróciło mi spokój wewnętrzny, a John wie teraz przynajmniej, że nie obarczam go odpowiedzialnością za to, co się stało.

John ma swój własny pogląd na temat tego, jak się to wszystko zaczęło i dlaczego w ogóle do tego doszło, który sobie wyrobił, wysłuchawszy zeznań Freegarda. Sądzi on, że pragnienie posiadania władzy i statusu społecznego, sprowadza się w wypadku Freegarda do jednego zagadnienia: do zazdrości. To ona była według Johna

podstawową przyczyną tego, co się nam przydarzyło. John uważa, że Freegard zraził się do niego osobiście niedługo po ich spotkaniu w Newport. Dlaczego? Po prostu dlatego, że John mieszkał w tym samym domu, w którym mieszkała dziewczyna Freegarda, Maria Henty. Freegard nie mógł tego znieść, tak więc John i wszystko, co sobą reprezentował, jak na przykład wykształcenie i wychowanie typowe dla przedstawiciela klasy średniej czy stosunkowo zamożna rodzina, stało się przedmiotem złośliwych ataków Roba. Zazdrość Freegarda była ponadto podsycana jego rozgoryczeniem z powodu swego własnego wychowania i przekonaniem, że jest kimś szczególnym i zasługuje na więcej. Postanowił więc upokorzyć Johna w oczach jego przyjaciół. Początkowo wymyślał kłamstwa tylko po to, żeby zrobić z Johna pośmiewisko, ale kiedy odkrył swój talent do osiągania celu podstępem, zaczął na tym bazować i nic nie było go w stanie powstrzymać.

Z tego, co dowiedziałam się od Johna, wynikałoby, że Freegard nie miał początkowo żadnego ostatecznego celu; chciał po prostu poniżyć ludzi i sprawować nad nimi kontrolę, schlebując jednocześnie swojej własnej próżności. Kiedy ja zostałam „wessana”, przeniósł całą swoją nienawiść do Johna i jego uprzywilejowanej pozycji na mnie i moją rodzinę. Stosując jakąś zawiłą logikę, poczuł się upoważniony do posiadania wszystkiego, co należało do mnie. Tak więc potężna pajęczyna kłamstw i oszustw wzięła się ze zwykłej zazdrości, która doprowadziła Freegarda do odkrycia, że posiada predyspozycje do oszukiwania ludzi. Ta umiejętność rozwinęła się do zatrwających rozmiarów i pozostawiła trwałe ślady na naszej psychice.

Freegard postępował zgodnie z tym wzorcem zachowania przez dziesięć lat. Kiedy ogarniała go chorobliwa zazdrość, jak na przykład w wypadku byłych związków Kim, gotów był posunąć się niemalże do ostateczności, byle tylko zastraszyć, upokorzyć, poniżyć, zniszczyć przedmiot swojej zazdrości. Upajał się władzą i nie odczuwał najmniejszego poczucia winy. Wydaje się, że zazdrość i wściekłość były katalizatorami uruchamiającymi reakcję łańcuchową, która pochłonęła nie tylko mnie, Johna i Marię, lecz również Liz, Leslie, Renate, Caroline i Kim. Kto wie, dokąd doprowadziłyby go zazdrość i żądza władza, gdyby nie został powstrzymany?

Uważałam, że muszę opowiedzieć swoją historię, mając nadzieję, że posłuży ona jako ostrzeżenie. Zupełnie niczym się nie różnię od innych ludzi. Po prostu znalazłam się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie. To co przydarzyło się mnie, może się przydarzyć każdemu innemu.

W życiu Johna wiele się od tamtego czasu zmieniło. Jest nauczycielem w Czechach i właśnie kupił dom. Jesteśmy sobie bliscy tylko dlatego, że ukształtowała nas i połączyła wspólna przeszłość, ale żadne z nas nie zamierza tkwić w tej przeszłości. Oboje chcemy zmian, nie możemy się ich doczekać i jak było do przewidzenia, nasze drogi się rozeszły. Tak właśnie powinno być. Rozstaliśmy się po tym jednym spotkaniu, wiedząc, że będziemy sobie przysyłać kartki na Boże Narodzenie.

Jeżeli chodzi o moje pieniądze, wiem, że przepadły na zawsze. Niemniej jednak ciągle czasami się zastanawiam, czy Freegard rzeczywiście wszystko wydał, czy też włożył je do banku gdzieś na kontynencie. Wracam myślami do chwili, kiedy powiedział mi, że pewnego dnia wyśle mnie na dworzec kolejowy, żebym tam odebrała walizkę pełną pieniędzy. Kto wie, co by się ze mną stało, gdyby mnie wywiózł z Anglii i ukrył gdzieś w Europie? O mały włos nie wyjechałam z kraju. Gdyby do tego doszło, byłabym prawdopodobnie zgubiona.

Podczas przesłuchiwania na policji dałam Bobowi Brandonowi kluczyki do srebrnego volkswagena Polo, który Freegard zostawił na parkingu South Audley w Mayfair. W bagażniku Bob znalazł kask motocyklowy i torbę z moimi rzeczami z czasów sprzed zamieszkania u Renaty po pobycie na lotnisku Gatwick. Niezapłacony kwit parkingowy opiewał na kwotę 7000 funtów, więcej niż wart był sam samochód.

W sprawie Kimberly Adams Freegard został skazany za zdobycie pieniędzy na drodze oszustwa. Sędziowie przysięgli nie uznali go winnym porwania Marii Hendy ani Elizabeth Richardson prawdopodobnie dlatego, że nie byli pewni, czy obie te kobiety nie podporządkowały się Freegardowi, ponieważ pozostawały z nim w stałym związku. Freegard został ponadto oczyszczony z jednego z zarzutów kradzieży oraz z zarzutu grożenia śmiercią.

Simon Young wyprowadził się jakiś czas temu z Sheffield i nie kontaktował się z Freegardem, chociaż ciągle jeszcze nie podważał faktu, że Freegard jest szpiegiem pracującym na zlecenie rządu.

Dopiero kiedy zobaczył w gazecie relację z procesu, zdał sobie sprawę, że było to jedno wielkie oszustwo i zgłosił się na ochotnika na świadka.

Nie wszystkie elementy układanki zostały dopasowane. Wśród rzeczy osobistych Freegarda policja trafiła na wzmiankę o kolejnej kobiecie, niejkiej Solange z Brazylii, ale nie udało się znaleźć najmniejszego śladu, który by mógł do niej doprowadzić. Czy gdzieś są jeszcze jakieś inne ofiary? Ile?

Pozostaje poza tym sprawa podsłuchów. Niewykluczone, że Freegard mówił prawdę w tym zakresie, ponieważ był często w posiadaniu informacji, których nie miał prawa znać, gdyby nie podsłuchiwał rozmów telefonicznych. Ponadto ciągle nie udzielono odpowiedzi na pewne pytania związane z samochodami. Gdzie je trzymał? Co takiego robił, że liczniki tych aut wykazywały tak duże przebiegi? No i ostatnia kwestia: co należy sądzić o Robercie, matce Freegarda? Niezależnie od tego, co powiedziała moim rodzicom, ja nigdy jej nie spotkałam. Dla mnie pozostaje ona zagadką.

Podsumowując te rozważania, można wyrazić przekonanie, że Freegard czuł nieprzepatą potrzebę władzy, a cała intryga została rozbudowana do takich rozmiarów, że sam już nie mógł ogarnąć wszystkich jej elementów. Eksperci zgadzają się, że przez większość czasu Freegard wiedział, iż kłamie, ale postać, którą wymyślił, stała się tak kompletna, że w końcu nie mógł rozróżnić Freegarda fikcyjnego od prawdziwego. Jest prawdopodobne, że rozumiał, co się z nim dzieje, ale nie chciał wyrwać się ze stworzonej przez siebie rzeczywistości. Oznaczałoby to konieczność przyznania się przed ofiarami, że jest zwykłym szarlatanem, a jego próżność nie pozwoliłaby mu pogodzić się z faktem, że mógłby być kimś bez znaczenia. Z tego powodu prawdopodobnie nigdy się nie przyzna do tego, co zrobił ani też nie wyjawi całej prawdy o swych przestępstwach.

Ogłaszając wyrok, sędzia Deva Pillay powiedział: „Jest pan zadowolonym w sobie oszustem i nie okazał pan ani odrobiny skruchy czy współczucia ofiarom, które naraził pan na cierpienie i poniżenie. Są istotne podstawy, aby twierdzić, że będzie pan w dalszym ciągu stanowił poważne zagrożenie dla społeczeństwa, a w szczególności

dla kobiet”. Sędzia powiedział, że „był to ohydny typ przestępstwa” i że wszyscy poszkodowani padli ofiarą „oszukańczego uroku osobistego” Freegarda. „W moim mniemaniu werdykt ławy przysięgłych oznacza rehabilitację ofiar pańskiego przestępstwa. W przekonujący sposób wyraża uznanie dla ich odwagi, nieustępliwości, woli przetrwania i pokonania przeciwności losu pomimo skrajnej rozpacz, do jakiej pan tych ludzi doprowadził”.

Czy Freegard kiedykolwiek się zmieni? Nie wydaje się, żeby zdemaskowanie go jako oszusta zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie. Przebywając w areszcie śledczym, był podobno jedynym więźniem, któremu udało się przekonać strażników, żeby zamawiali dla niego posiłki z restauracji oferujących dania na wynos. Kiedy już został osadzony w więzieniu w Wandsworth, w niedługim czasie doprowadził do tego, że współwięźniowie wykonywali dla niego różne przysługi, wierząc, że zostaną opłaceni, kiedy Freegard znajdzie się na wolności. Powiedział im, że ma pieniądze ukryte w Belgii. Policja wkroczyła natychmiast i został przeniesiony do Long Lartin, więzienia o podwyższonym rygorze w hrabstwie Worcestershire.

Jeżeli chodzi o mnie, to ciągle nie mam chłopaka; nie nadarzyła się jak dotąd żadna okazja i nie wiem, jak zareaguję, kiedy w końcu naprawdę kogoś spotkam. W związkach chodzi głównie o obdarzenie partnera zaufaniem, a w moim przypadku będzie to trudne. Może kiedyś, ale na razie nie patrzę jeszcze aż tak daleko w przyszłość. Zamiast tego zajmuję się fotografią - to jedna z moich pasji od dzieciństwa. Spłaciwszy długi, oszczędzając każdy zarobiony grosz, uzbierałam na aparat cyfrowy, teleobiektyw i specjalne filtry. Nie omijam żadnej sposobności, żeby fotografować naturę, krajobrazy, ludzi; ostatnio w jednym z czasopism po raz pierwszy zamieszczono zrobione przeze mnie zdjęcie. Skromny początek, ale zawsze początek. Mam nadzieję, że wkrótce otrzymam zlecenie i sprzedam swoje prace.

Muszę w końcu opisać pierwsze po latach spotkanie z rodzicami. Odsuwałam od siebie ten moment i zobaczyłam się z nimi dopiero w tydzień po tym, jak znalazła mnie policja. Dręczyło mnie uczucie piekącego wstydu i wyrzuty sumienia za wszystkie te razy, kiedy

żądałam pieniędzy, za niezliczoną ilość kłamstw, którymi ich karmiłam, za ból, który im sprawiłam. Uważałam, że to wyłącznie moja wina i naturalnie strasznie się martwiłam, myśląc o tym, jak mnie przyjmą. Ale kiedy mama i tata pojawili się w drzwiach mieszkania Guya, po krótkiej, kłopotliwej chwili milczenia wszystko było tak, jakby lata, kiedy byliśmy z dała od siebie, poszły w niepamięć, a wraz z nimi moje obawy. Zrozumiałam, że niepotrzebnie się martwiłam. - No i dobrze - powiedział tata. - Wszystko będzie w porządku. - Był po prostu szczęśliwy, widząc znów swą rodzinę w komplecie. Cóż więcej można powiedzieć w takiej chwili?

Jeżeli moje przeżycia czegoś mnie nauczyły, to na pewno tego, że nic nie może stanąć na drodze prawdziwej rodzinnej miłości. Wszelkie nieporozumienia i krzywdy zostają po prostu zapomniane.

- To pani karta pokładowa, panno Smith. Wyjście będzie otwarte o szóstej pięćdziesiąt - mówi stewardesa.

Przyciskam kartę do piersi i z szerokim uśmiechem na twarzy idę z Guyem w kierunku bramki. Wyjeżdżam na wycieczkę do Ameryki i Kanady.

- Uważaj na siebie - mówi. - Postaraj się nie narobić za dużo zdjęć Statui Wolności.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. - ściskam go i macham mu na pożegnanie. Przechodzę przez bramkę bezpieczeństwa i przyłączam się do współpasażerów. Jestem jednym z nich, dziś to ja lecę w podróż. Wolność jest cudowna. Dziękuję za nią Bogu każdego dnia.

Robert Hendy-Freegard został skazany pierwotnie za dwa porwania na drodze oszustwa: Sarah Smith i Johna Atkinsona oraz za dziesięć kradzieży i osiem przypadków zdobycia pieniędzy na drodze oszustwa. Przed wydaniem wyroku poproszono o opinię biegłego na temat stanu psychicznego Hendy-Freegarda, ale na prośbę obrony treść nie została ujawniona. Freegard został skazany na podwójne dożywocie, przy czym obie kary miały być odbywane jednocześnie, a ponadto na dziewięć lat więzienia za kradzieże i oszustwa.

W kwietniu 2007 uwzględniona została apelacja Freegarda od wyroków w sprawie porwań, co oznacza, że unieważniono karę dożywocia.

Trzej sędziowie sądu apelacyjnego - Naczelny Sędzia, Lord Phillips, sędzia Burton i sędzia Stanley Burnton - orzekli, że, kiedy Sarah i John opuścili uczelnię Harpera Adamsa, nie zostali bezprawnie pozbawieni wolności - niecałkowicie została im odebrana swoboda ruchu - a zatem nie może w tym wypadku mieć zastosowania ściśle prawna definicja porwania. W chwili pisania tej książki istniała możliwość, że decyzja ta zostanie ponownie zakwestionowana w Izbie Lordów. Na tym samym posiedzeniu wniesiona przez Freegarda apelacja od wyroku za pozostałe przestępstwa została oddalona. Rozgoryczenie, które ogarnęło Sarah po unieważnieniu wyroku za porwania, może się równać tylko z jej przeświadczeniem, że nigdy więcej nikt nie powinien zostać narażony na przeżycia, które stały się jej udziałem.

Podziękowania

Mam dług wdzięczności wobec mojego brata Guya, którego nigdy nie zdołam spłacić, za to, że był dla mnie opoką i że ze mną wytrzymał. Bez niego, bez rodziny i przyjaciół wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Byłoby mi z pewnością dużo trudniej poradzić sobie z nowym życiem i od początku je ukształtować.

Chciałabym podziękować wszystkim, którzy byli zaangażowani w szukanie mnie, a następnie przygotowanie procesu oraz wydanie właściwego werdyktu. Dziękuję przede wszystkim detektywom Bobowi Brandonowi, Markowi Simpsonowi i Cathy Harrison za ich osobisty kontakt ze mną.

Jestem z całego serca wdzięczna tym wszystkim ludziom, którzy przez lata okazywali mi wielkoduszność i bezinteresowną uprzejmość. Miało to dla mnie olbrzymie znaczenie i bardzo pozytywnie odbiło się na moim życiu w tamtym czasie. To, co często uważa się za nieistotne gesty, może naprawdę znaczyć bardzo dużo, kiedy jest się w tarapatkach.

Wielkie dzięki należą się Kate i jej mężowi, Markowi, za ich poparcie i pomoc w ciągu kilku ostatnich lat. Bardzo to doceniam. Dziękuję ci Kate za to, że znosiłaś moje stany emocjonalne i że dopilnowałaś, żeby książka została napisana z wyczuleniem na krzywdę osób, które miały swój udział w tych koszmarnych zdarzeniach.

Jestem wdzięczna wszystkim, którzy służyli mi radą i pomocą w odbudowywaniu życia. Jeżeli nie zostałeś wymieniony, to nie dlatego że jesteś mniej ważny. Dziękuję wam wszystkim.

Sarah Smith

Wydarzenia opisane w tej książce są prawdziwe. Zostały odtworzone na podstawie wspomnień ludzi, z którymi przeprowadzałam wywiady w ciągu prawie dwóch lat. Konwersacje z udziałem osób, z którymi nie rozmawiałam, są rekonstrukcją dialogów, tak jak je pamiętali moi interlokutorzy. W rozdziale pierwszym dla zwięzłości połączyłam w jedną scenę różne rozmowy studentów i wydarzenia towarzyszące. Jednakże nastrój, który udało się oddać w tej scenie, jak również fakty wspomniane w dialogach są, z wyjątkiem kłamstw Freegarda, prawdziwe.

Dla ofiar i ich rodzin ponowne zagłębianie się w tamte wydarzenia było bardzo trudne i bolesne. Gdyby nie ich niezwykła odwaga i odporność, napisanie tej książki nie byłoby możliwe.

Jestem szczególnie zobowiązana Sarah Smith i jej rodzinie za ich pełne poparcie dla moich wysiłków, aby opowiedzieć tę skomplikowaną historię. Peter i Jill nie dość, że mieli do mnie nadzwyczajną cierpliwość, to udostępnili swoje drobiazgowy notatki, co bardzo mi pomogło w pracy. Dla Sarah ta podróż w przeszłość była trudna ze względów emocjonalnych, ale ani razu nie zachwiała się w postanowieniu, żeby mi pomóc zrozumieć swoje przeżycia. Dziękuję ci za odwagę.

Wiele osób wykazało się szczodrością i uprzejmością, pomagając mi otworzyć różne drzwi prowadzące w głąb tej opowieści. Szczególne podziękowania należą się Johnowi Atkinsonowi za jego niezwykłą szczerą i serdeczność. Dziękuję także jego rodzicom, Russellowi i Margaret, którzy przyjęli mnie w swoim domu w Cumbrii. Gorące podziękowania dla Kimberly Adams, Johna Adamsa i Ann Hodgins - obiecuję, że pewnego dnia wypijemy razem herbatę na pustyni! Wspaniała Renata Kister znalazła czas w swym napiętym grafiku, żeby opowiedzieć o swych doświadczeniach i podzielić się spostrzeżeniami. Podobnie postąpili Simon Young, Anna Jones, Mark Endersby, Simon Proctor, Rita Taylor, Michael Ingram, Jason Ben-net, Darren i David Hancockowie, Richard Harbord, Hannah Bendon (z domu Wilson) i John Sims. Jestem wam wszystkim wdzięczna.

Jill Mytton, starszy wykładowca na wydziale psychologii Uniwersytetu Londyńskiego i Colin Gili, dyplomowany psycholog przez

wiele miesięcy chętnie poświęcali mi swój czas. Dzięki ich obserwacjom możliwe było znacznie pełniejsze zrozumienie poruszanych kwestii, przez co książka nabrała wiarygodności. Ponadto opierałam się na dwu dodatkowych źródłach: *Brainwashing: The Science of Thought Control* [Pranie mózgu] autorstwa Kathleen Taylor (Oxford University Press, 2004) i *Feet of Clay; A Study of Gurus* [Stopy z gliny; studium o guru] Antony'ego Storra (Harper Collins Publishers, 1996). Poglądy i materiały badawcze w obu pozycjach okazały się interesujące i przekonujące. Podziękowania należą się również sierżantowi Ivanowi Stallworth'emu z policji w Nottinghamshire i Cathy Harrison z centrum pomocy ofiarom gwałtu w Tooting za ich wyjątkowy wkład w powstanie książki.

Dziękuję mojemu agentowi Jonny'emu Peggowi z agencji literackiej Curtis Brown za zaufanie do mnie i głęboką wiarę w powodzenie projektu, a także wszystkim pracownikom wydawnictwa Orion.

Na koniec muszę wyrazić najserdeczniejsze podziękowania Prokuraturze Koronnej; rzecznikowi prasowemu Russellowi Hayesowi za spełnienie moich licznych i różnorodnych próśb w ciągu ostatnich kilku lat, a przede wszystkim prokuratorowi Andrew Westowi. Można z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że gdyby nie jego nieustająca gotowość udzielania mi pomocy, ta książka byłaby dużo słabsza, zarówno jeżeli chodzi o zrozumienie sprawy, jak i ekspertyzę sądową, której dostarczył.

Wreszcie, jak w wypadku każdej mojej pracy, podziękowania nie byłyby pełne, gdybym nie wspomniała swojego męża, Marka, którego celne uwagi, chęć czytania kolejnych wersji, cierpliwość i zrozumienie nigdy nie przestaną mnie zadziwiać. Dziękuję.

Kate Snell, marzec 2007

Spis treści

Prolog	7
CZEŚĆ PIERWSZA: PUŁAPKA	
Rozdział 1	Szczęśliwe dni w Blue Door 11
Rozdział 2	Werbunek Johna 23
Rozdział 3	Osaczenie Sarah 33
Rozdział 4	Ucieczka 39
CZEŚĆ DRUGA: ZABAWA W KOTKA I MYSZKĘ	
Rozdział 5	Pożegnanie z rodziną 49
Rozdział 6	Kryjówka 56
Rozdział 7	Na tropie 60
CZEŚĆ TRZECIA: PRANIE MÓZGU	
Rozdział 8	W jarzmie niewoli 75
Rozdział 9	Obława 93
Rozdział 10	Telefony do domu 102
Rozdział 11	Nowy rekrut 107
Rozdział 12	Sianie zamętu 111
Rozdział 13	Misja szpiegowska 119
Rozdział 14	Dostęp do wspólnego rachunku bankowego 124
Rozdział 15	Ostateczna rozgrywka w pubie Pomona 131
Rozdział 16	Ostatni przyjaciel 137
CZEŚĆ CZWARTA: NARODZINY OSZUSTA	
Rozdział 17	Maminsynek 145

CZEŚĆ PIĄTA: KRADZIEŻ NA WIELKĄ SKALĘ

Rozdział 18	Cel: państwo Atkinsonowie	159
Rozdział 19	Wiejskie życie	167
Rozdział 20	Syn marnotrawny	173
Rozdział 21	Promyk nadziei	184
Rozdział 22	Spadek	192
Rozdział 23	Do ostatniej kropli	200

CZEŚĆ SZÓSTA: INTRYGA ZATACZ CORAZ SZERSZE KRĘGI

Rozdział 24	Nocny portier i dealer samochodowy	209
Rozdział 25	Koniec krótkotrwałej idylli	216
Rozdział 26	Podejrzane zachowanie	223
Rozdział 27	Decydująca transakcja	233
Rozdział 28	Życie pod gołym niebem	242
Rozdział 29	Wiejskie więzienie	250
Rozdział 30	Nieracjonalne działania	261
Rozdział 31	Szpiedzy z latarni morskiej	271
Rozdział 32	Świeży trop	277

CZEŚĆ SIÓDMA: WYŚCIG Z CZASEM

Rozdział 33	Pociągi, autobusy, samoloty...	285
Rozdział 34	Zdjęcie	290
Rozdział 35	Wakacje we Francji	294
Rozdział 36	Prowokacja	297
Rozdział 37	Poszukiwanie Sarah	303
Rozdział 38	Zatrzymanie	309
Rozdział 39	Wyznania	314

CZEŚĆ ÓSMA: SPRAWA SĄDOWA

Rozdział 40	Założenie sprawy	319
Rozdział 41	Werdykt	324

CZEŚĆ DZIEWIĄTA: ZBIERAJĄC OKRUCHY ŻYCIA

Rozdział 42	Nowe horyzonty	329
	Podziękowania	339

Książkę wydrukowano na papierze Amber Volume 70 g/m²

Amber
BY ARCTIC PAPER

www.arcticpaper.com

MUZA SA

00-590 Warszawa

ul. Marszałkowska 8

tel. 022 6290477, 022 6296524

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 022 6286360, 022 6293201 Księgarnia internetowa:

www.muza.com.pl

Warszawa 2008 Wydanie I

Skład i łamanie: ART-PEK, Warszawa Druk i oprawa: ppolgraf